

Karol May
"Dolina smierci"

Niecodzienny list

Samotny mężczyzna jechał konno wzdłuż małego strumienia spływającego z dalekiego wzgórza. Wzgórze to zdawało się być celem jeźdźcy, bowiem w pewnej chwili uniósł głowę i poszukał go wzrokiem.

Mężczyzna nie był już młody; w każdym razie z pewnością miał na karku pięćdziesiątkę. Jego twarz zbrązowiła od wiatru, a oczy uważnie patrzyły w dal.

Ale nie tylko w dal - usiłowały również przeniknąć zarośla rozciągające się po lewej i prawej stronie jeźdźcy. Od czasu do czasu przechylał głowę na bok i nasłuchiwał. W takich momentach zwykł był trzymać swą strzelbę gotową do strzału.

Posuwał się wolno do przodu. Jego wychudły kofci, podobnie jak pan był zmęczony. Właśnie mijał kępę krzaków; wydało mu się, że z ich strony doszedł go jakiś cichy szmer. Zatrzymał konia i zaczął nasłuchiwać, ale na próżno. Było to tylko złudzenie. Już miał podążyć dalej, gdy nagle zarośla poruszyły się i wyszedł z nich mężczyzna, na widok którego kofci gwałtownie stanął dęba, tak że jeździec miał sporo kłopotów, aby uspokoić swego rumaka. Wygląd nieznajomego był, trzeba przyznać, bardzo dziwny. Spod smutnie zwisającego ronda przedpotopowego, filcowego kapelusza wyglądał spomiędzy zmierzwionej brody 5 przerażających rozmiarów nos. Z pozostałych części twarzy widać było jedynie dwa ruchliwe, pełne sprytu oczka, które patrzyły mądrym spojrzeniem. Reszta ciała dziwnego mężczyzny tkwiła w starym ubraniu myśliwskim z koźlej skóry, które zapewne zostało uszyte na o wiele większą osobę i nadawało niskiemu wzrostem nieznajomemu wygląd dziecka, które postanowiło włożyć na siebie szlafrok dziadka. Z tego więcej niż dziwnego stroju wyglądały dwie chudziutkie, krzywe nogi ginące niemal w olbrzymich, indiańskich butach. W ręce nieznajomy trzymał rusznicę, przypominającą bardziej kij aniżeli broń.

- Good day! - odezwał się z uśmiechem człowieczek.

- Good day!

- Przestał się pan już wreszcie dziwić? Otworzył pan swój dziób jak bocian, który chce połknąć żabę razem z rogami, skórą i włosami!

- Dziękuję za pouczenie. Nie wiedziałem, że żaba ma rogi i włosy. Poza tym nie wygląda pan na tyle apetycznie, aby chciał pana ugryźć.

Człowieczek przyjrzał się jeźdźcowi uważnym spojrzeniem i po-trząsnął głową.

- Gdzie się podział pafiski wóz?

Jeździec drgnął i obrzucił pytającego spojrzeniem, w którym odbijał się kompletny brak zaufania.

- Skąd panu przyszło do głowy, by pytać mnie o jakiś wóz?

- Ponieważ miał go pan, jeśli się nie mylę.

- Do diabła! Czyżby pan rozmawiał z tymi łotrami?

- Nie.

- 'Ib mi się nie podoba! Pytał pan o mój wóz. Zaprzecza pan jednocześnie, że rozmawiał z tymi łotrami. Żądam uczciwej odpowiedzi, w przeciwnym razie zmuszę pana do niej. Niech pan nie myśli, że westman zadaje pytania tylko dla żartów!

Człowieczek roześmiał się rozbawiony. .

6

-Pan jest westmanem? Pshaw! Nie musi pan przede mną udawać!

Wie pan, kogo mi pan przypomina teraz?

- Kogo?

- Porządnego, niemieckiego leśniczego, który schwytał złodzieja drzewa i usiłuje mu przemówić do sumienia.

- Pańskie oczy naprawdę nie są złe, dobry człowieku!
 - Może pan spokojnie zostawić tego „dobrego człowieka”, jeśli się nie mylę. Pod tym względem nie znam się na żartach, sir!
 - Nie chciałem pana obrazić. Proszę mi wybaczyć! Ale to pafiskie porównanie z niemieckim leśniczym... Niech mi pan po-wie, co pan wie o Niemczech?
 - Zapewne więcej od pana. A może... pafiski angielski pachnie mocno popiołem drzewnym. Tb jest całkiem możliwe, że ssał pan smoczek nad Renem albo Łabą.
 - Bo to prawda.
 - A więc jednak! Jest pan Niemcem?
 - Yes.
 - Niech pan przestanie z tym swoim głupim yes! Jeśli jakiś Niemiec chce mówić po niemiecku, to nie krzyczy przecież bez przerwy albo oui! Ja też jestem stamtąd - kontynuował człowieczek po niemiecku. - Jesteśmy więc rodakami, że tak powiem! Witam pana! Oto moja łapa!
- Jeździe~ wahał się jednak i nie od razu uścisnął wyciągniętą rękę. Jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie w przedpotapowym kapeluszu i olbrzymich indiafiskich butach.
- Nie tak szybko - stwierdził po chwili również po niemiecku. - Najpierw muszę się upewnić, że nie należy pan do tych łajdaków, którzy mnie okradli.
 - W swoim życiu poznałem wystarczająco dużo łajdaków, ale dam się raczej pożreć, jeśli nie potrafię powiedzieć panu, który z nich okradł pana. Kiedy to się stało?
 - Przed czterema dniami.
 - Gdzie?
 - W okolicy, gdzie są tylko same skały, gładkie jak stół.
 - Hm, znam taką okolicę. Ale ona leży nie cztery, tylko niecały jeden dzień jazdy stąd.
 - I ów. Posuwaliśmy się bardzo wolno i musieliśmy często zatrzymywać się na popas. Jest nas czworo, a mamy tylko jednego konia.
 - Znaczy się, że na osobę przypada tylko jedno końskie kopy-to, jeśli się nie mylę. A pan jeszcze siedzi na tym biednym koniu i sam omal nie spada z siodła ze zmęczenia. Niech pan zsiada i da chwilę odpocząć zwierzęciu! Dwóch rodaków spotykających się w Górach Skalistych może chyba pozwolić sobie na kwadrans poga-wędki, prawda?
 - Nie wiem, czy mogę panu zaufać.
 - Posłuchaj przyjacielu! Komuś innemu dałbym za takie słowa pięścią w zęby! Przyjeżdża sobie ktoś na takiej sparaliżowanej szkapie i nie wie, czy może zaufać Samowi Hawkensowi! Oczywiście, tutaj nie wolno nikomu ufać, nawet swemu rodakowi, ale w moim przypadku może pan spokojnie zrobić wyjątek. Nie pożrę pana, hihihih!
 - Sam Hawkens? Pan jest Samem Hawkensem? Słyszałem wiele o panu! Oto moja ręka!
 - No i wszystko w porządku. Niech pan więc zsiada w imię Boże!
 - Ale stracę przy tym mnóstwo czasu! Muszę polować. Jeśli nic nie upoluję, to moja rodzina nie będzie dzisiaj wieczór miała co jeść.
 - Jeśli tylko oto idzie, to nie musi się pan martwić. Mam wystarczająco dużo zapasów, aby podzielić się z panem i pana rodziną. Jeździec zsiadł w koficu z konia, puścił go wolno i usiadł obok Sama na trawie.
 - Kim są te trzy osoby, które znajdują się w pańskim towarzystwie?
 - To moja żona, syn i szwagierka. Chcę być wobec pana g uczciwy i opowiem panu wszystko. Uznał mnie pan za leśnika. Jestem nim rzeczywiście. Nazywam się Rothe. Posiadłość w której pracowałem dostała się w inne ręce. Doszło do sprzeczki z nowym właścicielem. Miałem rację i

upierałem się przy niej. On zapomniał się w gniewie i sięgnął po szpicrutę. 'Il;go było dla mnie za dużo; zacząłem się bronić i powaliłem go. Oczywiście zostałem zwolniony. Nie udało mi się znaleźć nowej pracy. Czekałem, szukałem, wszys-tko na próżno. W koficu miałem już dość. Mój syn od dawna chciał wyjechać do Ameryki. Podjąłem szybką decyzję. Spakowaliśmy się i wyjechaliśmy. Myślałem jednak, że to wszystko będzie o wiele łatwiejsze. Chcieliśmy przejechać przez cały kontynent do Kaliforni. Kupiliśmy kilka wozów, koni i wołów, załadowaliśmy cały majątek i wyruszyliśmy do Santa Fe. 'I'dm spotkaliśmy ludzi, którzy też chcieli jechać do Kaliforni. Dołączyli do nas. Przed czterema dniami dotarliśmy do skalistej wyżyny, o której mówiłem przed chwilą. Wtedy okazało się, że zgubiłem po drodze cały pakunek koców. Pojechałem z powrotem i po wielu godzinach znalazłem je. Nastął już jednak wieczór. Kiedy wróciłem do naszego obozu, karawany już tam nie było. Tylko moja żona, syn i szwagierka leżeli związani na ziemi. Napadnięto na nich tuż po moim wyjeździe i związano. Zaraz potem te łotry wyruszyły w drogę, zabierając ze sobą moje wozy.

- Oczywiście postanowił pan dogonić tych żartownisiów?
- I'dk, ale ich nie znalazłem.
- Musiał pan jednak odkryć jakieś ślady!
- Na skalistej ziemi?

Sam Hawkens uśmiechnął się na swój sposób pod nosem.

- I pan twierdzi, że jest leśnikiem i myśliwym! 'Pdk, tak, jeśli ślady wozów nie są tak szerokie i głębokie jak Łaba, to rzeczywiście trudno je zobaczy~! Tb jasne! Czy stracił pan wszystko?

- Wszystko, z wyjątkiem tego, co mam ze sobą.
- Czy pieniądze także?
- Tak. Były w wozie, którego pilnowały obie kobiety.

9

- Ile?

- Wymieniliśmy marki w Nowym Jorku. Ja dostałem Lysiąc pięćset dolarów, ale moja szwagierka miała ich aż osiem tysięcy:

- Do stu piorunów!
- 'Idk, jest zamożna, albo raczej: niestety, była zamożna.

- Mam wielką nadzieję, że znowu będzie. Oczywiście odbie-rzemy pieniądze tym łotrom!

- Powiedział to pan tak, jakby to było samo przez się zrozu-miałe. A my nawet nie wiemy, gdzie są ci złodzieje?

- Dowiemy się. Wrócimyfdo miejsca, gdzie się to wszystko wydarzyło. „Pdm znajdę ślady, za którymi po prostu pojedziemy.

- Po czterech dniach? - zdziwił się leśnik.

-Dlaczego nie? Gdyby rosła tam trawa, to jej zgniecione źdźbła wyprostowałyby się po takim czasie i nic byśmy nie zobaczyli. Po-nieważ jednak jest tam skała, to możemy jeszcze mieć nadzieję, że znajdziemy jakieś ślady. Ciężki wóz ciągnięty przez woły zostawi ślady nawet na najtwardszej skale. Od czterech dni nie było silnego wiatru, ani deszczu, ślady nie zostały więc zatarte, lub rozmyte. Z pewnością nie pojedziemy na próżno.

- Nawet jeśli dopadniemy tych złodziei, to nie odzyskam moich pieniędzy!

- Dlaczego? Ilu ich jest?
- Dwunastu.

- I sądzi pan, że musimy się ich obawiać?'I~n nędzny tuzin łotrów załatwię sam, jeśli się nie mylę. Nie mamy jednak czasu na dłuższe pogawędki. Musimy już jechać. Czy pańska rodzina została daleko z tyłu?

- Nie. Sądzę, że dotrzemy do nich w ciągu godziny.

-`Ihk długo?

-`l'dk, bo pan przecież będzie musiał iść~ pieszo.

- Ja? Hrn! Niech pan uważa!

Sam Hawkens włożył do usŁ dwa palce i gwizdnął przeraźliwie. Odpowiedziało mu rzenie i z zarośli wyłoniło się zwierzę, na widok którego dawny leśniczy wybuchnął śmiechem.

Nie był to bowiem kofi, lecz muł, ale tak stary, że wydawało się, iż jego rodzice musieli żyć tuż po potopie. Długie uszy powiewającejak skrzydła wiatraka były całkowicie pozbawione włosów. Od dawna też nie miał już grzywy. Ogon składał się z nagiego kikuta. Do tego wszystkiego zwierzę było przeraźliwie chude. Jednakże jego oczy były jasne jak u młodego żrebaka; ich wyraz wywołałby szacunek każdego znawcy.

Wybuch śmiechu leśnika spowodował nieprzyjemne zaskoczenie Sama Hawkensa.

- Dlaczego pan się śmieje, panie Rothe?

-Jeszcze się pan pyta? Czy ten cap jest rzeczywiście pańskim wierzchowcem?

- Cap? To prawda, że moja Mary jeszcze nigdy nie wygrała konkursu piękności, ale mimo to nie zamieniłbym jej na tysiąc pełnej krwi arabów. Sto razy uratowała mi życie; musi ją pan najpierw poznać, aby potem wyrokować o niej, jeśli się nie mylę. Wsiadajmy! Niebawem zapadnie wieczór. Musimy się pośpieszyć. Obaj mężczyźni wskoczyli na siodła i pojechali w kierunku, z którego nadjechał leśnik.

- Najpierw nie ufałem panu - powiedział Rothe - ponieważ powiedział pan, że miałem wóz. Jeszcze pana nie zapytałem skąd pan to tak dokładnie wiedział.

- Gdyby przebywał pan na prerii dłuższy czas, wcale nie musiałby pan pytać. Ma pan za pasem bat. A bata używa tylko ktoś, kto ma wóz, nieprawdaż?~ Ale nie gadajmy tyle, tylko jedźmy! Droga prowadzi~a na wschód; jeźdźcy mieli więc za plecami zachodzące słońce, a przed sobą trawiastą prerię usianą gdzie-gdzie zaroślami. Sam Hawkens nie sądził, aby musieli zachować szczególną ostrożność, jako że od dość długiego czasu nie pojawił się w tej okolicy 7.aden Indianin.

Dlatego też wydał okrzyk zdziwienia, kiedy nagle zauważył po lewej ręce dwóch jeźdźców pędzących galopem w ich stronę. Po chwili zauważył ich również leśnik.

- Do diabła! - powiedział do Rotheego. -A to ci historia! Tylko niech pan, na miłość boską, nie zdejmujecie teraz swej strzelby z pleców!

-Dlaczego nie? Wydaje mi się, że to Indianie, a pan mówi, żebym zostawił moją strzelbę w spokoju!

- Naturalnie! Widzi pan te orle pióra na ich głowach? Zb wodzowie, a gdzie są wodzowie, tam zazwyczaj w okolicy znajduje się i spora liczba wojowników. Wodzowie nie mają w zwyczaj.aju jeździć samotnie po prerii. Ponieważ zaś jest ich aż dwóch, można przypuszczać, że idzie tu o jakąś ważną sprawę. Na razie nie musimy się niczego obawiać. Na wszelki wypadek zsiądźmy jednak z koni. Niech pan robi dokładnie to samo, co ja!

Sam zatrzymał swego wierzchowca, zsiadł z niego i stanął obok.

Dopiero teraz sięgnął po rusznicę, czekając aż Indianie się zbliżą.

Leśnik poszedł za jego przykładem.

Indianie podjechali się do nich bez lęku i zatrzymali swe konie w odległości niecałych dwudziestu kroków.

- Stać! Ani kroku dalej! - zawołał Sam. - So będziemy strzela~!

Czerwonoskórzy naradzali się przez chwilę cicho, a potem głośno roześmiali, co raczej nie leży w zwyczaju tej nad wyraz poważnej rasy. Później jeden z nich odezwał się w języku będącym miesza-niną narzecza indiańskiego, angielskiego i hiszpańskiego.

- Czyżby blada twarz się lękał'a?
- Ani mi to w głowie!
- łó wyjdź do nas, abyśmy mogli porozmawiać!
- Nie wiem, o czym mógłbym z wami rozmawiać. Kim jesteście?
- Powiemy ci potem.
- Ach, nie chcecie zdradzić mi swych imion? To niedobrze dla was.

12

Wsiądziemy więc na siodła i pojedziemy dalej.

- Wtedy my pojedziemy waszym tropem.
- Powiem wam więc, że możecie natknąć się na nasze kule, jeśli staniecie się dla nas uciążliwi!
- Preria należy do wszystkich ludzi. Każdy może po niej podróżować, dokąd chce. ,
- O czym pan z nimi rozmawia? - zapytał Rothe. - Nie rozumiem ani słowa z tego szwargotu. Sam wyjaśnił mu problem.
- Tó brzmi wrogo - uznał leśnik. - Co robimy?
- Sam jeszcze nie wiem. Jak widzę, nie są to Komancze.
- Kim więc mogą być?
- Paunisami też nie są, tak samo jak i Siuksami, bo ci nie zapuszczają się tak daleko na południe. Pomalowali twarze, ale nie na barwy wojenne, po których można rozpoznać plemię, do którego należą. Naprawdę nie wiem, o co tu idzie. Oprócz swoich koni, mają jeszcze dwa osiodłane luzaki. Żaden wódz tak nie postępuje. Sam Hawkens zdecydował się wyjść z za muła. Podszedł do Indian, trzymając rusznicę gotową do strzału. Indianie również zsiadli z koni i idąc za przykładem Sama, ruszyli mu naprzeciw trzymając swe strzelby przygotowane do strzału. Cała trójka zatrzymała się w odległości pięciu kroków od siebie.
- Czy przyszlście, aby wypalić z nami fajkę pokoju? - zapytał Sam Hawkens.
- Być może wypalimy ją z tobą - odparł ten, który mówił już poprzednio. - Chcesz usiąść z nami?
- `Pdk.
- Usiedli więc teraz we czwórkę, po dwóch naprzeciw siebie, ze strzelbami położonymi w poprzek kolan i badawczo się sobie przyglądali.
- Obaj wodzowie byli niemal tej samej postury, wysocy i szczupli, ubrani w stroje ze skóry bawolej. Swe włosy związali w warkocze, do których umocowane były ich wodzowskie pióropusze. 'Ii~udno było rozpoznać rysy ich twarzy, bowiem niemal całkowicie pokrywała je farba.
- A więc, czego chcecie? - zapytał Sam. - Dlaczego zatrzymujecie nas?
- Chcemy poznać wasze imiona.
- Ja nazywam się Daniel Willers, a mój towarzysz Isaak Balten.
- Ja zaś jestem Ryczący Byk - przedstawił się z dumą wódz.
- A ja - stwierdził z taką samą dumą drugi z wodzów - nazywam się 'Pdczący Niedźwiedź.
- Nigdy jeszcze nie słyszałem waszych imion.
- My waszych także. Chyba nie polujecie długo w tej okolicy.
- Znamy tę prerię; ale my jesteśmy cichymi myśliwymi. Nie polujemy na sławę, tylko na bobry i bizony.
- Czy poznaliście innych myśliwych?
- Kilku.
- Czy spotkaliście może takiego, który zwie się Samem Hawkensem.
- Nie.
- Są z nim podobno również dwaj inni, wysocy i chudzi, jak tyczki wigwamu. Czy ci trzej myśliwi są może waszymi przyjaciółmi?
- Nie.
- `Ib bardzo dobrze. W innym razie musieliby~my was zabić!
- Czy ten Sam Hawkens jest waszym wrogiem?
- `Pak. Wysłał do Krainy Wielkich Łowów kilku naszych braci.

- Do jakiego szczepu należycie?
- Do Paunisów.

Usłyszawszy tę nazwę Sam Hawkens poczuł nieprzyjemne mrowienie pod włosami. Właściwie pod peruką, jako że mały traper od wielu lat nosił perukę, od czasu gdy w jednej z potyczek z Indianami stracił swój skalp. Indianie zabrali mu go, sądząc, że jest martwy. ‘Pdmci Indianie także byli Paunisami. Nic dziwnego więc, 14 że to spotkanie wywołało wspomnienia o tamtym wydarzeniu.

- Skąd wiesz, że Sam Hawkens jest w tej okolicy? - badał dalej tnały traper.

- Powiedzieli nam to jego przyjaciele.
- Jacy przyjaciele?
- Nazywają się między sobą Dick i Will.
- I powiedzieli wam to, mimo że są waszymi wrogami, a jego przyjaciółmi?
- ‘Pak było.

Brwi trapera ściągnęły się, ale tylko na moment. Ogarnęła go wielka troska o przyjaciół; szybko się jednak opanował.

- Spotkaliście więc ich?
- ‘Pak.
- Gdzie oni są teraz?
- Odjechali, ale nie wiemy dokąd.
- A wy szukacie teraz tego Sama Hawkensa?
- ‘Pdk. Sądziiliśmy, że mogłeś go zobaczyć.
- Nie spotkałem go, ale jestem w tej okolicy z moim towa-rzyszem dopiero od kilku godzin. On jest tu natomiast od dłuższego już czasu i mógł go spotkać. Czy mam go o to zapytać, jako że nie zna on waszego języka?

- ~p~l go ~eF!

Sam Hawkens miał taki zamiar, nie mógł jednak do tej pory rozmawiać ze swym towarzyszem, nie wzbudzając podejrzeń In-dian. ‘I~raz miał ku temu okazję. Zrobiwszy więc obojętną minę, zwrócił się dofi po niemiecku:

- Niech pan będzie opanowany! Znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie. Niech pan udaje, że się zastanawia, że chce sobie coś przypomnieć! Na nich proszę patrzeć przyjaźnie, mimo że mamy,wszelkie powody, aby wysłać ich do wszystkich diabłów.

- Dlaczego?

15

- Szukają mnie, bo chcą mnie zabić. Zabili już prawdo-podobnie dwóch moich przyjaciół. Są co prawda za sprytni, żeby mi to powiedzieć wprost, ale zauważyłem, że ich strzelby należą do moich towarzyszy. Zabrali im je.

- Niech ich za to diabli porwą!

Mówiąc to leśnik spojrział jednak na obu Indian przyjaznym wzrokiem, kiwając głową. ‘Ib oszustwo udało mu się znakomicie.

-‘Ib są Paunisi. Niech te łotry dowiedzą się, co znaczy zabijać przyjaciół Sama Hawkensa. Proszę się dokładnie na mnie patrzeć! Kiedy powiem do pana słowo „teraz”, w tym samym momencie złapię za strzelbę jednego z nich; pan schwyci za strzelbę drugiego. Wtedy zerwiemy się z ziemi, odskoczmy kilka kroków i wyceluje-my w nich. Pozostaną im tylko noże, które nic im nie pomogą przeciw strzelbom. Jeśli tylko spróbują się bronić, zastrzelimy ich. Zrobi pan to, co powiedziałem?

- Oczywiście.

- Niech pan więc dokładnie uważa! - Sam Hawkens zwrócił się teraz znowu do obu wodzów: - ‘Pdk, on ich tu widział.

-‘Iitaj? ‘Ib chyba niemożliwe. Nie ma tu żadnych śladów, poza naszymi i waszymi.

-Jeden z nich jest więc śladem, który zostawił Sam Hawkens.

- Nie rozumiem cię.

- Zaraz mnie zrozumiesz. Teraz!

Obaj biali złapali za brofi Indian, wyrwali ją, odskoczyli o kilka kroków i wycelowali w nich.

Jednakże na grubo posmarowanych farbą twarzach czerwonoskórych nie pojawił się wyraz zaskoczenia. Pozostali spokojnie siedząc na ziemi, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

- Mam was, psy! - zawołał groźnym głosem Sam Hawkens.

- A my ciebie! - odparł spokojnym tonem jeden z wodzów. - Myśleliście, że dwóch wodzów znalazło się tu samotnie? Za nami, w tamtych zbrojach, ukryli się nasi wojownicy. Wystarczy, że podniosę rękę, a ich kule was zabiją.

16

-Do diabła! -zaklął Sam i z troską spojrział w kierunku zarośli.

- Odłóżcie strzelby! - rozkazał czarwonoskóry. - W prze-ciwnym razie zginiecie! Sam opuścił rusznicę.

- Myślicie może, że się was boję? - warknął. - Tb się bardzo pomyliliście! Pokażę wam, że nie boję się całej bandy czerwonoskó-rych wojowników. Jestem Samem Hawkensem, którego szukacie.

- Wiemy o tym. Ale jesteś jeszcze kimś innym na dodatek.

- Kimże to?

- Dzieckiem pozbawionym oczu i uszu. Poza tym uważałeś nas za głupców. Myślisz, że czerwonoskórzy mężowie nie rozumiają języ-ka białych twarzy? Słyszeliśmy, jak się umawiałeś ze swym towarzy-szem.

Na twarzy Sama pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Rozmawialiśmy przecież po niemiecku!

-‘1’dk. Zrozumielіśmy, co mu zaproponowałeś. Mielіście zamiar zabrać naszą broń.

- Indiańscy wodzowie, którzy rozumiają po niemiecku? Tb mi się jeszcze nie przytrafiło, jeśli się nie mylę.

- Jesteś naprawdę wielkim osłem. Powiniеś nas rozpoznać po naszych rusznicach!

W tym momencie Sam zauważył, że jego rozmówca ma jakieś dziwnie znajome mu oblicze.

- Na wszystkie dobre duchy! Wy jesteście... och, do diabła! Wy nieopierzone gawrony!

Rothe stał nieruchomo z wyrazem nieopisanego zdumienia na twarzy, ściskając swą strzelbę.

-Żeby mnie nie poznać! -śmiał się Will Parker, wstając z ziemi.

- I mnie! - dodał Dick Stone zwiјаjąc się ze śmiechu.

- No, wła~ciwie nic w tym dziwnego -bronił się rozgniewany Sam Hawkens. -Jeden baran jest zawsze podobny do drugiego. Te stroje, te warkocze z orlimi piórami, grubo pomalowane twarze i... Skąd 17 wła~ciwie wzięło się to wasze przebranie?

- Przebranie? Pshaw! Tb są teraz nasze prawdziwe ubrania.

Niedawno spotkaliśmy się w bardzo przyjaciejski sposób z jednym z wodzów Paunisów. ‘It~znaczy, wzięli go do niewoli Siuksowie, którzy chcieli go trochę przypiec przy palu męczarni. Uwolniliśmy go i szczęśliwie dostarczyliśmy do jego wigwamu. Z wdzięczności dał nam te dwa ubrania i cztery konie, ktbre tu widzisz. Nasze stare ubrania zawinęliśmy starannie w dwa koce, które Paunisi też nam łaskawie podarowali i przytroczyliśmy do tamtych koni.

- Ale to niebezpiecznie krążyć po tej okolicy w przebraniu Indian.

- Może tak, może nie. Jesteśnry albo czerwonoskórymi, albo białymi twarzami, w zależności od sytuacji. Stąd ta nasza maskara-da!

- Ach, boys, wobec tego zaraz będziecie mieli okazję do zaba-wy! Mamy zamiar zrobić komuś dowcip, a ta maskarada doskonale się do tego nadaje. Siadajmy! Zarazwam wszystko po krótcwyjaśnię. Z nasyconej wrogością sceny zrobiła się nagle bardzo pokojowa narada.

Spotkanie trzech traperów było kolejnym przykładem sprytu, jakim zwykli kierować się na Dzikim Zachodzie doświadczeni westmani. Sam Hawkens ustalił po prostu miejsce na prerii, w któ-rym chciał się spotkać z Dickiem i Willem, a oni naprawdę go znaleźli, bez kompasu i zegarka.

- I co powiecie na to? - zapytał Sam koficząc swą opowieść o napadzie na rodzinę Rothe. Will Parker wzruszył ramionami.

- Pojedziemy za tymi łotrami i odbierzemy im łup. I chyba samo przez się zrozumiałe! Pytanie tylko, od czego zaczniemy. Masz jakiś plan?

~ Jeszcze nie. Musimy się zastanowić, gdzie i jak ich spotkać. 'I~raz jednak nie traEmy czasu, tylko wyruszajmy w drogę, żebyśmy 18 szybko dostali tych opryszków w swoje ręce...

Sam pu~cił swoją mulicę galopem; Rothe nie mógł ukryć zdziwienia, jak szybko ten wychudły „cap” pokonywał prerię. Słofice już prawie zaszło. Jeźdźcy wyjechali w końcu na otwartą prerię, gdzie jak okiem sięgnąć nie było widać żadnych zarośli. W pewnej chwili Sam Hawkens dostrzegł trzy pojedyncze punkty zbli-żające się w prostej linii ze wschodu.

- Tb moja rodzina - powiedział Rothe. - Posuwają się bardzo szybko, aby spotkać się ze mną jeszcze przed zapadnię-ciem zmroku.

- Niech pan wyjedzie im naprzeciw! Mogą się przestraszyć, gdy ujrzą nagle z daleka obcych. Poczekamy na pana tutaj. W ciągu zaledwie kilku minut Rothe dotarł do swoich bliskich. Byli wyczerpani, ale dobra nowina kazała im zapomnieć o zmęczeniu.

- Nasi przyjaciele są chyba głodni, jeśli się nie mylę - powie-dział Sam Hawkens, kiedy znaleźli się razem, zaś pani Rothe i jej siostra rozpływały się w podziękowaniach. - Zatrzymajmy się więc tu na krótki popas. Mam spory kawałek jeleniej pieczeni, którą upiekłem dzisiaj rano na ognisku. Musi to wystarczyć dla wszy-stkich. Jutro upoluję jakąś inną pieczefi.

Wszyscy usiedli w wysokiej, pachnącej trawie i zaczęli jeść. Sam Hawkens zastanawiał się przez cały czas, w jaki sposób mógłby oszczędzić trudów i niebezpieczefstw obu kobietom, które nie były przyzwyczajone do wyrzeczeń człowieka prerii.

-Najlepiej będzie- zaczął - je~li poszukamy jakiejś kryjówki dla kobiet, zanim my nie wrócimy z naszej wyprawy wojennej. Co o tym sądzisz, Willu?

- Hm... Policzmy najpierw: napad miał miejsce przed czterema dniami. Ile godzin można jechać dziennie wozem zaprzężonym w woły?

- Osiem albo dziewięć.

- Są więc oddaleni o około trzydzieści godzin marszu. Możemy 19 pokonać tę odległość, jeśli będzie trzeba, w ciągu jednego dnia:

Dzisiaj jednak nie ujrzymyjuż żadnego śladu. Wieczorem pojedziemy mimo to na miejsce napadu. Rozbijemy tam obóz, aby nasze konie wypoczęły. Mam nadzieję, że o świcie znajdziemy jakiś trop i jeżeli natychmiast za nim pójedziemy, możemy schwytać tych drabów jeszcze jutro wieczorem. Nie sądzisz, Samie?

- Jestem tego samego zdania. Ale nasze damy! Nie będą w stanie wytrzymać tak intensywnej jazdy, jak jutrzejsza; to pewne. Dzisiaj za to mogą spróbować jazdy na koniu.

- Jeśli o to idzie - oświadczył Rothe - to nie sprawią nam chyba większego kłopotu. Nie są co prawda wytrawnymi amazonkami, ale w czasie nudnej jazdy wozami wskakiwały od czasu do czasu, dla rozrywki, na siodło. Dlatego jestem przekonany, że przynajmniej nie spadną z koni.

Młody Rothe przyniósł kilka koców, które były przyczyną tak nieprzyjemnej zmiany losu całej rodziny. Położono je na siodło, aby obie kobiety miały trochę bardziej miękko.

Potem wyruszone dalej.

Odległość nie była duża, jako że Rothe nie ujechał zbyt daleko na swym „czterooosobowym koniu”. Należąca do Sama Hawkensa Mary absolutnie dorównywała kroku indiańskim koniom Dicka i Willa; było rzeczą zaskakującą, jak szybko i łatwo poruszała swymi starymi nogami. Na jednym z luzaków jechał syn Rothe, na drugim zaś obie kobiety.

Do miejsca napadu dotarli jeszcze przed północą. Szybko założono obóz. Nie sądzono, by w pobliżu znajdowali się wrogo nastawieni Indianie czy myśliwi, stąd też zapalono ogniska, przy którym obrabowani jeszcze raz obszernie opowiedzieli, co przeżyli w tym miejscu.

Przy okazji padło imię Jack. Nie było w nim nic zaskakującego, jako że to imię posiada w Stanach trochę więcej niż tuzin ludzi. Mimo to Sam zapytał z przyzwyczajenia:

20

- Jack? Jakie włosy miał ten mężczyzna?

- Miał gęste, rude włosy - odparł leśnik Rothe.

- Na Boga? Czyżby to miał być sam Krwawy Jack?

- 'Ib on! - zawołał młody Rothe. - Przypominam sobie, że w pewnym momencie dwóch jego towarzyszy rozmawiało o nim. Sądzili zapewne, że nikt ich nie słyszy i wtedy nazwali go Krwawym Jackiem.

- A niech to! Czy to na pewno on? Jeśli tak, to niech Bóg będzie dlań łaskawy, jeśli go dopadnę! Zjadł chyba już swą ostatnią kolację, jeśli się nie mylę.

- Brzmi to bardzo złowrogo - zauważyła żona Rothe. - Zna go pan?

- Ja miałbym go nie znać?! Wszyscy trzej mieliśmy z nim do czynienia. 'R~ niebezpieczny typ; chciał napaść na pewną plantację. Ale przechytrzyliśmy go i pojмалиśmy wraz z całą jego bandą. Zawieziono ich do Uan Buren, aby tam wytoczyć im proces. Wielu z nich zostało uniewinnionych. Wykorzystali więc pierwszą, lepszą okazję, aby któreś nocy uwolnić resztę z więzienia. Krwawy Jack oczywiście natychmiast wrócił do swego niecnego procederu. Kiedy ruszono za nim w pościg, zniknął na pewien czas. A teraz dowiaduję się, że to on was obrabował. Nie wyjdzie mu to na zdrowie, hihihhi! Kiedy zjedzono kolację, tym razem przygotowaną z zapasów Dicka i Willa, rozlosowano kolejność wart; pozostali położyli się spać.

Sam Hawkens obudził się, ponieważ ktoś gwałtownie potrząsał go za ramię. Nad nim stał Will; był wyraźnie zdenerwowany.

- Co się stało? - zapytał Sam, trąc zaspane oczy. - Nie nadeszła jeszcze pora wyruszenia w dalszą podróż, jeśli się nie mylę.

- Nasza broń zniknęła, Sam!

1~ wiadomość natychmiast postawiła go na równe nogi.

- Zwariowałeś? Nie widzisz, że nadal trzymam moją Liddy w ramionach? 21

- Ktoś zabrał nasze strzelby! - powtórzył żalonym głosem Will.

- Ustawiliśmy je wieczorem w kozioł, a teraz ich nie ma.

- Do diabła! Jeśli żartujesz, to jest to głupi dowcip!

- Ani mi w głowie żarty. Stałem na straży pod tamtą skałą. Kiedy nadeszła pora zmiany i chciałem obudzić Dicka, zauważyłem brak strzelb.

- Willu, Willu, co ja mam z tobą! Przynosisz hafibę swojemu wychowaniu. Podczas warty pozwalasz sobie ukraść broń! Jesteś i pozostaniesz greenhornem, jeśli się nie mylę.

Pozostali obudzili się podczas tej głośnej rozmowy; zaczęli się teraz prześcigać w pytaniach, ale Sam nakazał im gestem milczenie.

- Połóżcie się natychmiast na ziemi, żeby nie stanowić dobrego celu! Mam nadzieję, że zostały nam konie! Leżcie tu spokojnie i czekajcie na mój powrót!

I Sam poczołgał się w ciemność nocy. Ale już po kilkunastu sekundach usłyszeli jego głos.

- A cóż to talczęgo? Chodźcie tu na chwilę!

Pozostali pośpiesznie podążyli za jego wezwaniem, Około pięć-nastu kroków od obozowiska stały złożone w kozioł rzekomo skradzione strzelby, a do jednej z nich przyczepiono białą kartkę.

- Co to ma znaczy~? - 7.apytał Will.

- Zaraz się tego dowiemy - odparł Sam i sięgnął po kartkę. ~ Zabierzcie swoje rusznice, a ja zobaczę co się dzieje z kofimi! - i znowu zaczął się skradać. Powrócił do obozowiska dopiero po dłuż-szej chwili.

- Wszystko w najlepszym porządku - zameldował. - Konie są całe i zdrowe, a ja nie zauważyłem ani śladu człowieka. Na Boga, gdyby to byli nasi wrogowie! Nasze dusze znajdowałyby się już w siódmym niebie, jeśli się nie mylę.

-- Widzisz więc Willu, co mógłbyś narobić swoją nieu.wagą— mruknął Dick.

~ Nie gadaj! - bronił się Will. - 'Ijr też byś nic nie usłyszał.

22

'Ib mocna rzecz, tak się zakraść między nas i zabrać nasze strzelby. Człowiek, który tego dokonał, jest mistrzem w swoim fachu. Ale z pewnością nie naszym wrogiem.

- Dlaczego jednak się nie pokazał? - sprzeciwił mu się Dick.

- To dla mnie też jest zagadką - potrząsnął głową Sam - ale wyjaśni się ona, gdy przyjrzymy się kartce. Rozdmuchaj ogień, Dick, i dołóż do niego trochę suchych gałęzi!

Kiedy płomienie buchnęły w górę, Sam przysunął papier do ognia i zaczął czytać. 'I3~ešE kartki trudno było odcyfrować, jako że słowa napisano ołówkiem i to po ciemku. Minęło kilka chwil, zanim Sam zerwał się na równe nogi z okrzykiem radości. Przyłożył zwinięte w trąbkę dłonie do miejsca, gdzie w gęstwinie brody zapewne znajdowały się usta i zawołał tak głośno, że pośród nocnej ciszy słycha~ go było na odległość co najmniej mili:

- Hallooo, sir, hallooo! Thank you very much! Bardzo panu dziękujemy, sir!

Przerażony Dick skoczył na równe nogi i złapał Sama Hawkensa za ramię.

- Czyś ty oszalał, Sam?! 'Iwoim rykiem ściągniesz nam na kark wszystkich Indian z Gór Skalistych!

- Nie ma obawy! Jeśli w okolicy są ci, których mam na myśli, to wszyscy Indianie powinni zniknąć stąd jak najdalej. Przed chwilą jeszcze miałem wielką ochotę dać Willowi w szczękę, to prawda. 'I~raz jednak jest inaczej. Gdy wiem, kto nam zrobił ten dowcip, mogę mu już wybaczyć. Jeżeli tych dwóch będzie chciało, to wyniosą was wszystkich z obozu, a wy nawet tego nie zauważycie. Natęście uszu! Mieliśmy najbardziej dostojnych gości, jakich można mieć na całym Dzikim Zachodzie, jeśli się nie mylę.

Powiedziawszy to usiadł i jeszcze raz podsunął kartkę do ognia.

- Słuchajcie więc i wyrażcie swój zachwyt! Napisano tutaj - uwaga, ladies and gentlemen , napisano tu wielkimi literami Winnetou, a obok...

23

Will zerwał się jak ukąszoity przez szerszenia.

- Winnetou! -wykrzyknął. - 'Tb zupełnie coś innego! Czy tak naprawdę tam napisano?

- Nie przerywaj mi! 'Ihk tu pisze, ale list został napisany przez kogośinnego.

- Przez kogo? - chciał się dowiedzieć Will, ale Sam Hawkens znowu zrobił sceniczną pauzę, aby nasycić się widokiem wytrzeszczonych ze zdumienia ki~ku par oczu.

- Czytaj dalej!

Ale Sam z zadowoleniem gładził tylko brodę, chichotając pod nosem.

- Nigdy nie będziesz dobrym westmanem, Will, jeśli nie po-trahsz opanować swej ciekawości - stwierdził z przyganą. - Pier-wszą rzeczą, jakiej musi się nauczyć każdy westman, jest cierpliwość. Jak mógłbym z wami wytrzymać~ do dzisiaj, gdybym nie miał tej pięknej cechy...

- Gadasz jak kaznodzieja z Salt Lake City! - warknął Will.

- Nawiasem mówiąc, to nieuprzejme, że każesz tak długo czekać damom!

- Dawno bym już skoficzył, greenhomie, gdybyś mi bez przerwy nie przeszkadzał. Tb drugie imię warte jest na Dzikim Zachodzie tyle samo co Winnetou i...:

- Old Shatterhand? - zawołali jednym głosem Dick i Will.

-No. Ale to jeden z tych, którzy są zapewne tak samo sławni jak Old Shatterhand i który kilka razy siedział razem ze mną i z wami przy jednym ognisku, jeśli się nie mylę: Old Firehand!

- Do stu piorunów!

- Old Firehand? - zawołał Will. - Na Boga! Zb rzeczywiście najstłynniejsi ludzie na Dzikim Zachodzie. Nie ma się więc co dziwić, że podeszli nas w taki sposób!

- Winnetou? Old Shatterhand? Old Firehand? - zapytał Rothe.

- Jestem na Zachodzie dopiero od niedawna, ale słyszałem już te

24 sławne nazwiska. Będzie mi miło, jeśli dowiem się od pana czegoś więcej o tych ludziach.

Sam Hawkens pizymzużył szelmowsko oko.

- Winnetou jest wodzem Apaczów, nie mającym sobie równego wojownikiem, jeźdźcem, zapaśnikiem i strzelcem. Ib najmą-cirzejszy Indianin, jakiego kied)jokolwiek Spotke~eln. ~iaaa b~a~~'ft1 twarzom, jeśli Winnetou przyjdzie na myśl stanąć na czele wszy-stkich indiańskich szczepów! Jest jeszcze młody, ale wśród westma-nów jest tylko dwóch, którzy mogą się z nim mierzyć: Old Shatter-hand i Old Firehand.

Rothe pochylił się ku traperowi i dotknął palcem kartki papie-ru, który Sam trzymał wysoko, jak coś bardzo cennego.

- I ten słynny Firehand napisał ten świstek?

- 'Pdk przypuszczam - odparł Sam. - Nie znam jego charakteru pisma. Ale pod spodem napisano jego imię.

- Czy ten wielki Firehand jest pańskim przyjacielem?

Sam Hawkens pogładził się po brodzie.

- 'I~k jest, jeśli się nie mylę - zachichotał. - Old Firehand zna Zachód jak linie mojej dłoni.

Dwuletnie Indianiątka pieją z zachwytu nad nim, a białe babcie i dziadkowie opowiadają o nim bajki. Jest silny jak grizzly i zarazem łagodny jak dziecko. Pojawia się i znika niczym duch. Nigdy nie zostawia za sobą śladów, a kiedy ktoś napotka trop jego konia, to urywa się on nagle, jak gdyby jeździec i jego wierzchowiec rozplłynęli się w powietrzu. Ivlówię wam, że zaliczam się do westmanów, i to tych nie najgorszych. Ale gdzie mi tam do tych dwóch!

Will Parker kręcił się niespokojnie.

- Czy byłbyś tak uprzejmy i powiedział nam w końcu, co jeszcze napisano na tej kartce? Jeśli Firehand i Winnetou piszą do nas list w środku nocy, to chcą, abyśmy go przeczytali!

Sam pochylił się ku ognisku i zaczął czytać:

- Jechać dokładnie na północny zachód, cztery godziny... wąska 25 dolina, trzy akacje u wejścia... w środku są wozy... dwóch ludzi na straży... pozostali pojechali na południe, aby napaść na Palomę Nakanę... pod lewym, tylnym kołem wozu stojącego z przodu zako-pano pieniądze... na przyszłość lepiej trzymać wartość... mogliśmy was wszystkich pozabijać.

Old Firehand - Winnetou.

Dick i Will potrząsnęli głowami.

- Czyż to możliwe? - odezwał się zdziwiony Will. - Czy tak jest rzeczywiście tu napisane?

- Proszę, przeczytaj sam! - Sam wyciągnął kartkę w jego stronę.

- Zatrzymaj sobie ten papier! Wolę zadawać się raczej z pięć-dziesięcioma Indianami, aniżeli z trzema literami! Z Indianami mogę sobie ewentualnie dać jeszcze radę, ale z pewnością nie z tą bazgraniną. Jednak, drogi Samie, cała ta sprawa wydaje mi się trochę nieprawdopodobna!

- Dlaczego?

- Po pierwsze dlatego, że te typy są od nas oddaleni tylko o cztery godziny. Przecież chyba nie są na tyle głupi, aby zatrzymywać się tak blisko miejsca napadu!

- Nie znamy ich myśli.

- Po drugie zaś zastanawia mnie fakt, że zakopali pieniądze.

Przecież bandyci zazwyczaj tak nie robią.

-Pshaw! 'I~ lotry wyruszyły ze swego obozu na kolejny napad. Nie wiedzą, czy im się uda. Jeśli się nie uda, to grozi im niebezpieczeństwo utraty pieniędzy, jeśli będą trzymali je przy sobie.

Postąpili mądrze zakopując pieniądze.

- Chcesz więc pójść za tą pisemną radą?

- Naturalnie! Jej zaletą jest to, że nie musimy szukać kryjówki dla naszych dam; z pewnością wytrzymają cztery godziny w siodle. Możemy je od razu zabrać ze sobą.

- Ale dlaczego tych dwóch się ukrywa? Dlaczego nas nie obudzili, aby powiedzieć nam to osobiście? 26

- Z pewnością mają swoje powody.

- Zwle skąd oni wiedzą to wszystko?

-Ti~ ichspława. Aw ogóle to jeszcze nie koniec; napisano tu, że „pozostali pojechali na południe, aby napaść na Palomę Nakanę”. Wiedzie, co to znaczy?

- Naturalnie! - odparł Dick. - Ludzie mówią, że Paloma posiada wielkie skarby. Prawdopodobnie to je chce zdobyć Krwa-wy Jack.

- Kim jest ta Paloma~ Nakana? = zapytał Rothe.

- Mówi się o niej od pewnego już czasu - zaczął Sam. - Podobno jest młoda i bardzo piękna. Tb biała, ale poważana przez Indian jak bogini. Nasza trójka obracała się od dłuższego czasu na północy; dawno już nie byliśmy na południu. Stąd też nie mieliśmy okazji jej poznać. Mam nadzieję, że teraz do tego dojdzie. Rozbiła swój wigwam na granicy terenów należących do Koman-czów i Apaczów. Od niepamiętnych czasów oba te szczepy są śmiertelnymi wrogami, ale wigwam Palomy jest dla nich miejscem ~wiątym. Teren na którym przebywa jest terenem neutralnym;

Komancze przyjeżdżają ze Wschodu, Apacze z Zachodu. Oba szczepy obsypują ją cennymi podarkami. Przed dwoma tygodniami spotkałem pewnego tropiciela, który był u niej i opisał drogę do jej wigwamu. Mieszka ze swym ojcem w zabudowaniach dawnej misji. Zapytałem o nazwisko

jej ojca, ale nic się nie dowiedziałem, poza tym, że nazywa go Pa, a ona ma na imię Almy, jeśli się nie mylę.

- Wiesz co - odezwał się Will - te imiona wydają mi się bardzo znajome. Czy nie tak nazywała się ta młoda dama o nazwisku Wilkins, z Wilkinsfield, gdzie wtedy spotkaliśmy się z Walkerem-Hopkinsem? Niestety, udało mu się wymknąć z naszych rąk.

- Rzeczywiście, ta młoda dama tak miała na imię. Była diabelnie piękna.

Sam zauważył pytające spojrzenie obu Rothów i kobiet. Opo-wiedział im więc o swych przygodach w Wilkinsfield.

27

- Och, co za biedna dziewczyna - powiedziała ze współ-czuciem pani Rothe. - Nie słyszał pan, jak się skoficyła ta historia?

- Kobiety zawsze chcą wiedzieć, jak się koficyła wszystkie histo-rie - roześmiał się Sam. - 'Ih miała niedobre skutki, ale jeszcze się nie skoficyła, jeśli się nie mylę. Plantator Wilkins przegrał proces przeciwko swemu sąsiadowi, Leflorowi. Miał trafić więzienia za długi; pewnego razu na dodatek strzelił do Leflora. Zamknięto go za to, do aresztu śledczego, z którego uciekł ze swą córką, Almy. Niemiecki nadzorca plantacji, nazywał się Adler, zniknął już wcześniej i nikt nie wie, dokąd pojechał. Ió wszystko, co mogę powiedzieć.

- Czy Paloma to lady Wilkins? - zapytała zaciekawiona leś-niczyna.

- Pyta pani o więcej, niż wie Sam Hawkens. Może jest nią rzeczywiście; na Dzikim Zachodzie dochodzi do najdziw-niejszych zdarzeń.

- O Boże! -wykrzyknęła pani Rothe. - I te łotry chcą teraz obrabować tę Palomę, jak przedtem nas? Nie możemy do tego przecież dopuścić! Tizeba ją ostrzec i jej pomóc!

- Ma najlepszych obrofców, jakich można w ogóle znaleźć tutaj: Winnetou i Old Firehanda. My jednak pojedziemy ją odwie-dzić. 'I~n tropiciel tak dokładnie opisał jej miejsce pobytu, że z pewnością znajdę go bez trudu. Obozujemy na wschód od Sierra de los Mimbres. Jeśli pojedziemy jeszcze pół dnia na południe, a potem skęcimy na zachód, dotrzemy do Sierra della Acha, skąd wody spływają głównie na południe. Wśród szczytów Sierra della Acha, znajduje się otoczone stromymi skałami cudowne jezioro górskie, 'Iiztlishto, Niebieska Woda. Przed ponad dziesięcioma laty starłem się w tamtej okolicy z Komanczami. Uważają ten teren za święty i chowają tam swoich słynnych wodzów. Nie znoszą więc z tego powodu widoku białych twarzy w tamtej okolicy. Byłem

28 szczęśliwy, że udało mi się ujść z życiem, mimo kilku ran od noża, jeśli się nie mylę. Na brzegu tego jeziora stają opuszczone zabu-dowania dawnej misji katolickiej. 'Ihm, jak sądzę, zamieszkała Pa-loma.

- Co oznacza imię Paloma? - zapytał Rothe.

- Właściwie jej pełne nazwisko brzmi Paloma Nakana. Oba słowa należą do języka 'I~hua. Pierwsze z nich oznacza gołębia, drugie las, wielki las. Jej nazwisko znaczy więc Leśna Gołębicą. Dlaczego ta dziewczyna jest tak nazywana przez Indian, tego oczy-wście nie wiem. Może się jeszcze tego dowiemy.

- Zapomina pan, że mieliśmy jechać do Kaliforni.

- Najlepsza droga stąd do Kaliforni prowadzi właśnie przez Sierra della Acha! Skoro wiemy też o niebezpieczefistwie grożą-cym Palomie, to naszym obowiązkiem jest się o nią zatroszczyć.

- Brawo! - wykrzyknęły obie kobiety.

- Właściwie, to niepotrzebne! - sprzeciwił się Will. - Sądzisz może, że Old Firehand przekazał nam tę wiadomość, ot tak sobie? Jest z pewnością w drodze do niej. Zostawił nam wiadomość~ na piśmie, żebyśmy nie opóźniali jego jazdy?

- Bardzo słusznie. Ale właśnie dlatego, że jadą tam Winnetou i Old Firehand, ja też chcę się tam dostać. Chcę znowu spotkać się z tymi dwoma ludźmi. Zrozumiałaś, tyczko?

- 'Pak. Jak zwykle masz rację!

- Czy nie sądzicie, że dobrze by było, gdybyśmy położyli się jeszcze na godzinę? Nasze konie są mądrzejsze od nas, położyły się na ziemi i odpoczywają. My natomiast siedzimy tu i gadamy, jak gdyby jutro było święto. Zamknijcie więc oczy i rozmawiajcie ze sobą w duchu!

Wkrótce wszyscy, z wyjątkiem pełniącego wartę, leżeli pogrążeni we śnie.

Leśna Gołębica

O świcie całe towarzystwo było już na nogach. Siodła przygotowano tak, aby kobietom było w nich jak najwygodniej. Śniadanie szybko minęło, a że pielęgnowanie urody na Dzikim Zachodzie nie zajmuje zbyt wiele czasu, słońce nie wzeszło więc jeszcze zbyt wyso-ko, kiedy mała grupka ruszyła prosto na północny zachód, tak jak radził list.

Na przodzie jechał Sam Hawkens; jego uważnym, pełnym sprytu oczkom nie uchodziło nic, co byłoby godne uwagi. Mimo to coraz częściej potrząsał głową. Kiedy inni jechali nadal prosto, on zaczął zataczać koła wokół swego małego oddziału. Po powrocie z jednej z takich wycieczek oświadczył:

- Sądziłem, że uda mi się znaleźć ślady wozów, ale nic z tego.

Gdyby Old Firehand nie przekazał nam informacji, byłibyśmy teraz ciemni jak tabaka w rogu.

Podróż trwała nadal. Sam bez przerwy trzymał oczy wlepione w ziemię. Jechali już tak co najmniej dwie godziny, gdy Hawkens nagle wstrzymał konia.

- Zauważyłeś coś, Willu?

- Nie, nic poza trawą.

- Hm! Jeśli się nie mylę, to w koficu znalazłem trop! Spójrz najpierw do tyłu, a potem do przodu! Nic nie rzuca ci się w oczy, 30 poza świeżą trawą?

- Wyschnięte źdźbła! Czy to ma być ten twój trop?

- Naturalnie. Te źdźbła zostały jakby wyskubane, i to w równej linii. Leżą na pozostałej trawie i prowadzą całkiem prosto. Jeśli się nie mylę, to zostały wyskubane jakimś przedmiotem podobnym do grabi. 'I~ „grabię” są nieco szersze od wozu. Powyżej jego szerokości nie znajdziesz ani jednego, jedyne-ego suchego źdźbła.

- Do stu piorunów! Masz rację!

- 'I~ typy muszą mieć przy każdym wozie takie urządzenie - mówił dalej Sam. - Czy pan coś wie o tym, mister Rothe?

- Oczywiście, że tak. Kazali sobie sporządzić takie grabie w Santa Fe.

- I z pewnością umocowali te grabie z tyłu wozów i ciągnęli je za sobą, aby zacierać ślady kół na trawie.

- 'I~k było. Ich przywódca powiedział, że to z powodu Indian, żeby nie mogli odkryć naszych śladów.

- 'I~n typ bardziej obawiał się białych aniżeli czerwono-skórych. Już w Santa Fe postanowił obrabować pana. No, ale na szczęście mamy już jego trop. Kartka wskazała nam dobry kierunek. Nic, tylko ruszać!

Konie ruszyły żwawo, jakby przejęły dobry humor od swych panów. Od tego miejsca na prerii zaczęły pojawiać się nieliczne zrazu zarośla. 'I~ren wznosił się stopniowo, wida~ też było pojedynczo rosnące drzewa. Po lewej stronie jadących wznosiło się niewielkie wzgórze. Sam wjechał na nie, aby rozejrzeć się po okolicy. Kiedy wrócił, uśmiechał się zadowolony.

- Jeszcze dziesięć minut i będziemy na miejscu. Musimy jed-nak zatoczyć małe koło. Należy oczekiwać, że u wejścia do doliny stoi wartownik, albo że reszta włóczy się po okolicy. Proponuję więc, aby objechać to wzgórze, wtedy nadjedziemy z przeciwnego kierunku. Skręcimy teraz w lewo!

Pojechalituz u podnóża wzniesienia. Po drugiej stroniewidzieli 31 tylko górę, w której niegdyś szerokie strumienie wody wymyły dolinę. 'I~raz rzeczka była mała i wąska, trudno ją było nazwać nawet strumieniem. Jej brzegi porastały gęste zarośla, które pozwalały zbliżyć się niezauważenie do doliny.

- 'Ib dobrze - stwierdził Will. - W ten sposób będziemy mogli łatwo zaskoczyć te psy.

- Wydaje ci się może, że wjedziemy sobie tak po prostu do doliny? 'I~ką propozycję może zrobić tylko prawdziwy green-horn, jeśli się nie mylę. Jest chyba jasne, że tych dwóch bandytów, o których pisał Old Firehand, przedsięwzięło jakieś środki ostrożno~ści. Na czym one polegają, możesz się chyba domyślić. A może ta twoja odrobina rozumu nie wystarcza do tego?

- A jakże! Myślę, że jeden z wartowników zajął pozycję u wejścia do doliny.

-Już to przecież powiedziałem. Ukrył się z pewnością za jakimś krzakiem albo skałą, gdzie go nie zobaczymy. Za to on nas zauważy i z pewnością pošle nam kilka kulek ze swej kryjówki. Jego towa-rzysz usłyszy strzały i też się ukryje, aby potem również powitać nas kulami. W ten sposób zostaniemy z łatwością zestrzeleni z koni.

- Chcesz się więc dostać do doliny z drugiej strony?

- Bardzo słusznie. Jeśli masz oczy, to z pewnością zauważysz tam, po lewej stronie, las. Możemy do niego dotrzeć za niecały kwa-drans. Gdy znajdziemy się wśród drzew, nikt nas już nie dostrzeże. Pojedziemy dalej skrajem lasu i dostaniemy się do zbocza góry. Potem wjedzieiny na nią, docierając do doliny dokładnie pod kątem pro-stym. A więc w drogę!

Kłusem ruszyli w stronę lasu. Linia jego skraju tworzyła łuk styka-jący się z celem ich podróży. Po tej stronie góra nie była zbyt stroma, tak że dość łatwo udało im się wjechać na szczyt, z którego ujrzeni całą dolinę.

Dzieliła ona górę na połowy, ' łączące się na końcu wą-wozu pionową, skalistą ścianą. Z tamtej strony nie istniała żadna 32 możliwość dostania się do wnętrza doliny, przynajmniej razem z kofimi.

- Spójrzcie! - powiedział Sam. - Jest tak, jak myślałem.

Przywiążemy tu nasze konie i zejdziemy w dół. Panie nie są nam potrzebne; nieeh zostaną na górze pod opieką obu panów Rothe. Nasza trójka: Dick, Will i ja, wystarczy na razie. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, zagwizdam ostro trzy razy. Wtedy panowie zejdą na dół razem z paniami. Konie sprowadzimy później. Rothe wyrażał wprawdzie pewne obawy, ale w koficu pod-porządkował się poleceniom Sama.

Ti~zech westmanów dotarło wkrótce do miejsca, z którego mogli dokładnie widzieć przednią część dol~iny. Stały w niej wozy. Obok pasły się woły, a na skraju doliny, w pobliżu wozów, siedział przy ognisku mężczyzna piekący kav~ł mięsa nabity na gałąź.

- Widzicie tego typka? - zapytał Sam. - Dobry człowiek!

Przygotowuje dla nas śniadanie, hihihhi! Nie ma to jak przyjaciel, na którym można polegać! Słyszycie? Właśnie zagwizdał!

- 'Idk. 16 z pewnością sygnał dla tego drugiego.

- Naturalnie, stary spryciarzu! Chyba, że myślisz, iż dotyczył on nas? Patrzcie, zbliża się już jego kamrat! Postarajmy się szybko zejść na dół, aby też dostać kawałek tej pieczeni! Sam ruszył w dół, a za nim pozostała dwójka. Ttawa i miękki mech tłumiły odgłosy ich kroków. Chroniły ich także zarośla. Dlatego też trzej traperzy dotarli bez przeszkód w pobliże bandytów. Ukryci w gęstych zaroślach, nie dalej niż pięć czy sześć kroków od ogniska, mogli bez trudu podsłuchiwać ich rozmowę.

- Idziemy tam? - szepnął Will.

- Jeszcze nie. Może powiedzą coś, co będzie dla nas ważne.

Poczekajmy jeszcze!

Sam miał rację.

- Wiesz - zaczął ten, który piekł mięso - nie musimy zadawać sobie aż tyle trudu. Strażowanie w tym miejscu nie jest

2 - Dolina śmierci wcale konieczne. Nie pójdę już więcej do wejścia do doliny. Położę się tutaj i wyśpię porządnie.

- Jeżeli szef wróci i zauważy to, nieźle się nam dostanie!

- 'Pdk, nasz Jack zachowuje się ostatnio jak prawdziwy nad-zorca niewolników. Tylko nam ma przecież do zawdzięczenia, że nie powieszono go kilka metrów nad ziemią. Zapomniał o tym, jak się wydaje. Wtedy, w Van Buren, wpadłby w niezłe tarapaty, gdybyśmy go nie wyciągnęli z pudła.

- Masz rację. Sami jednak wystarczająco głęboko wpakowaliśmy się w tę historię, i gdyby ktoś dowiedział nam udziału w niej, nie siedzielibyśmy teraz tutaj! Och, gdybym mógł jeszcze raz spotkać tego traperą!

- Sama Hawkensa?

- 'Idk. Tb on był winny wszystkiemu, podsłuchał nas w lesie. Jeżeli wpadnie mi w ręce, to zaszlachtuję go jak świnie, a z jego tłuszczu zrobię świeczki. Możesz być tego pewny!

- A ja wyrwę mu oczy!

- Właściwie to nieostrożne ze strony Jacka, że zostawił nas tu samych.

- Masz może zamiar zwiać razem z tymi wozami?

- Nie, ani mi to w głowie. Ale chętnie zrobiłbym to z pieniędzmi.

- 'I~ parę tysięcy dolarów nie wystarczy na długo. Musieli-byśmy wtedy zrezygnować ze wszystkiego, co oni przywiozą znad Niebieskiej Wody. Ciekaw jestem, czy ten napad się uda.

- Dlaczego miałyby się nie udać? Jack jest sprytny. Cały łup zostanie załadowany na te wozy, a potem jazda do Arizony!

- Do Walkera?

- 'Pak. Ubijemy z nim doskonały interes. Tb nader zręczny typ, chociaż wtedy, w Wilkinsfield, omal go nie schwytali. Gdy przybyli-śmy do Czarnego Bommiego, siedział w jego chacie, jak w oblężonej twierdzy.

34

- Nie rozumiem ludzi z tej Koniczyny! Co oni riiają z tego, że przeszkadzają nam w interesach z Walkerem? Gdyby wiedzieli, że siedzi teraz w Prescott i jest piekielnie bogaty! Chybaby od razu wyjechali, żeby go odwiedzić. Co za bezczelne typy, które bez prze-rwy wtykają nosy w nie swoje sprawy! Mam nadzieję, że spotkam jeszcze kiedyś tę trójkę. Chciałbym wyrównać z nimi moje rachunki.

- Właśnie tu są! - rozległ się z tyłu głos.

Przerażeni bandyci odwrócili gwałtownie głowy i ujrzeni Sama Hawkensa, który wypowiedział te słowa. Sam stał przyjaźnie uśmiechając się i mrużąc filuternie oko, wsparty na swej Liddy. Obaj bandyci patrzyli na niego, jak na nieziemskie zjawisko.

- Good morni, panowie! - roześmiał się Sam. - Nie otwie-rajcie swych buzi tak szeroko! A może sparaliżowała was radość z mojego widoku? Hihihih!

Jeden z bandytów zerwał się z ziemi i wyciągnął nóż. Jego kamrat zrobił to samo. Sam potrząsnął głową, śmiejąc się.

- Nie trudźcie się! Spójrzcie lepiej na tamtych dwóch, którzy mają was na muszce!

W tym momencie zza krzewów wyszli Dick i Will. Obaj trzymali swe rusznice gotowe do strzału.

Bandyci stali bez tuchu, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa.

- No, i co powiecie na to? - dodawał im odwagi Sam. - Gadajcie, albo wam pomogę!

- Indianie!

- Najlepszych oczu to wy akurat nie macie. Ci dwaj panowie nie są żadnymi Indianami, jeśli się nie mylę. Tb bardzo dobre, uczciwe blade twarze, które tylko tymczasowo pomalowały się, aby sprawić wam przyjemność. 'Idk bardzo przecież tęskniliście za naszym widokiem. A my jesteśmy piekielnie uprzejmymi ludźmi i nie po-zwalamy długo na siebie czekać.

- A niech was diabli! - bandyci zorientowali się, że wszelka obrona jest bez sensu i ukradkiem zaczęli się odwracać.

35

- Hola! - roześmiał się Sam. - Nie uda wam się nam uciec. 'I-n, który ruszy się z miejsca, dostanie kulkę!

- Ty przeklęty psie!

Jeden z bandytów wykonał długi skok, aby ukryć się za wozami, a potem, pod ich osłoną, dotrzeć na drugą stronę doliny. Jego kamrat uczynił to samo. Ale kula jest szybsza od najszybszego biegacza. Rozległy się dwa strzały i obaj bandyci upadli na ziemię.

- Macie, czego chcieliście! - stwierdził Sam. - Dlaczego jeste-ście tak głupi i chcecie nam uciec. Podziękujcie Bogu, że postąpili-śmy z wami tak łaskawie! Dostaliście tylko w nogi. Następnym razem będziemy celować wyżej.

Mówiąc to, Sam rozwiązał lasso i ruszył w stronę leżących na ziemi bandytów. Ranni zrezygnowali z bezsensownego oporu, którym mogli tylko pogorszyć swą sytuację. Pozwolili się więc opatrzeć i związać.

- Tę sprawę mielibyśmy już załatwioną - uśmiechnął się Sam. - 'Ibraz chcielibyśmy się dowiedzieE, czego właściwie szukacie w tej pięknej okolicy. Do kogo należą te wozy?

- Do nas - odparł jeden z bandytów.

- Kto je tu przyprowadził?

- My.

- Tylko was dwóch?

- 'Ihk.

- Dokonaliście więc wielkiej sztuki, której wam zazdroścę.

Dwóch ludzi, którym udało się pokonać tę drogę wozami zaprzęgniętymi w woły! Nikt wam więc nie pomagał?

- Nikt.

- Nawet Krwawy Jack?

- Nie znamy nikogo o takim nazwisku.

- No, dzieci, nie bądźcie śmieszne! Widzę tam akurat ładny bat.

Willu, przynieś go tutaj! Spróbujemy, czy nam się nie przyda, gdy będziemy poprawiać pamięć tych panów.

36

Will przyniósł bat. Był spleciony z mocnych rzemieni. Obaj bandyci pojęli już, że nie ma żartów i kiedy traper wziął bat do ręki, natychmiast zgłosili chęć wyznania całej prawdy.

- Dobrze. Jak to jest więc z Krwawym Jackiem? Gdzie on się teraz znajduje?

- Na polowaniu. Potrzebujemy mięsa.
- I ma zamiar znaleźć je nad Niebieską Wodą?

Obaj mężczyźni milczeli.

- Jak widzicie, wcale nie potrzebujemy waszych zeznań. Macie tak delikatne sumienia, więc nie przypuszczam, abyście chcieli zdradzić waszego szefa. Chętnie dowiedziałbym się tylko jednego: mówiliście o jakimś Walkerze. Skąd wiecie, że ten człowiek jest teraz w Prescott?

- Jack nam to powiedział.
- A od kogo on to wie?
- Od posłańca, którego Walker wysłał do niego, do Santa Fe.
- Chcecie robić z nim interesy. Jakiego rodzaju?
- 'I-go nie wiemy; to sprawa Jacka.
- Może trochę i nasza, jeśli się nie mylę. 'I-raz damy wam trochę spokoju. Byliście wobec nas tak szczyrzy, że nie będziemy was dłużej męczyć i zajmujemy się waszą pieczęcią.

Sam zagwizdał ostro trzy razy i usiadł spokojnie przy ognisku;

Dick i Will poszli za jego przykładem. Zabrali się do jedzenia; udawali że nie słyszą zbliżających się kroków.

Był to Rothe ze swoją rodziną.

Na ich widok bandyci drgnęli zaskoczeni. Żona Rothe i jego szwagierka natychmiast pobiegły do wozów, aby sprawdzić, co jeszcze pozostało z ich majątku.

- Sądzę, że wiecie już, jaka jest wasza sytuacja - odezwał się Sam do więźniów. - 'Ii oto stoi mister Rothe, wasz oskarżyciel. Tb on wyda na was wyrok! Co pan o tym sądzi, misier Rothe?

- Nie jestem człowiekiem żadnym krwi i chcę tylko dostać
- 37 z powrotem moją własność. Poza tym widzę, że ci ludzie są ranni. Zostali więc ukarani w wystarczający sposób.

- Według prawa prerii zasłużyli na śmierć. Ponieważ jednak nie chce pan tego, pozwolimy im odejść. Damy im jednak coś na pamiątkę. Każdy z nich dostanie dwadzieścia pięć kijów. Doskonale przyczynią się one do gojenia ich ran. Może zrezygnuję z tych kijów, jeśli odpowiedzą mi zgodnie z prawdą na jedno pytanie: kto ma pieniądze, które zostały zabrane tym ludziom?

- Nie wiemy nic o żadnych pieniądzach!
- Ocho! A jednak w tych wozach były pieniądze.
- Więc ma je Krwawy Jack. To on przeszukiwał te wozy, nie my.
- Doskonale, dostaniecie więc swoje dwadzieścia pięć kijów.

Gdybyście powiedzieli prawdę, kara zostałaby wam darowana.

Sam zaczął szukać motyki. Znalazłszy, podał ją Rothemu.

- Niech pan kopie za tylnym lewym kołem pierwszego wozu! 'Pam znajdzie pan swoje pieniądze - dodał po niemiecku. Potem wrócił do więźniów i z zadowoleniem obserwował ich zaskoczenie na widok kopiącego leśnika, podczas gdy kobiety i młody Rothe zabrali się do zaprzęgnięcia wołów.

Po krótkim czasie Rothe wydał okrzyk radości. Z wykopanego dołu wyjął kofiską derkę, w którą zawinięty był duży skórzany mie-szek.

- Niech go pan tu przyniesie! - polecił Sam. - Zobaczymy, co w nim jest.

Mieszek był pełen pieniędzy. Znajdująca się w nim suma prze-kraczała dwanaście tysięcy dolarów.

- „Pdk też sobie myślałem! - roześmiał się mały traper. - Krwawy Jack był na tyle uprzejmy, że dołożył do mieszka i swoje pieniądze. Będą one więc procentami, które nam wypłaci, jeśli się nie mylę. Dostał pan swoje pieniądze z powrotem, mister Rothe. Niech je pan schowa i w przyszłości lepiej na nie uważa! Teraz odbyto naradę, co począć z więźniami, wozami i ich 38 zawartością.

- Zabierzemy ze sobą tylko tyle, aby zbytnio nie obciążać na-szych koni - stwierdził Sam Hawkens.

- Resztę rzeczy spalimy, także i wozy. 'I~ łotry nie powinny nic dosta~.

- Czy nie moglibyśmy zabrać ze sobą wozów? - zapytała leśniczyna.

- Tb niemożliwe!

- Stracę więc wszystko, moje piękne łóżka, bieliznę...

- Niech pani nie płacze z tego powodu! Postaram się, aby wynagrodzono pani tę stratę. Opuścimy to miejsce na koniach. Wozy tylko by nam przeszkadzały...

Pani Rothe musiała się poddać.

Spakowano wszystko, co dało się zabrać ze sobą. Resztę wrzucono z powrotem na wozy, które zsunięto razem i podpalono. Cała grupa pozostała w dolinie do chwili, gdy ogień dokończył dzieła zniszczenia. Potem rozpoczęto przygotowania do podróży.

Przed odjazdem Sam Hawkens zwrócił się do obu bandytów:

- Nie chcemy, abyście zginęli marnie. Dlatego zostawimy wam waszą broń i trochę kul. W ten sposób nie umrzecie z głodu. Nieda-leko płynie strumień, a tam są woły. Jeżeli zastrzelicie jednego z nich, będziecie mieli mięso i to aż nadto. 'I~raz jednak muszę wymierzyć wam przyręczone dwadzieścia pięć kijów, aby nasze rachunki zo-stały wyrównane.

Obaj bandyci ciągle jeszcze wierzyli, że Sam chce ich tylko prze-straszyć. Zmienili zdanie, gdy zobaczyli zbliżających się Dicka i Willa ze świeżo wyciętymi, giętkimi kijami.

Kobiety oddaliły się, aby nie być świadkami chłosty. Mężczyźni jednak pozostali.

Wykonania wyroku podjęli się Dick i Will. Doskonale też spełnili swą powinność. Obaj bandyci przyjęli karę w milczeniu, ale po ostatnim uderzeniu jeden z nich warknął przez zaciśnięte zęby:

- Podarowaliście nam życie; wykorzystamy je, aby się na was 39 zemścić!

- Nie trudźcie się i nie próbujcie nas straszyć-roześmiał się Sam.

- 'ldkich wariatów jak wy, należałoby właściwie skrócić o głowę.

Zawdzięczacie swoje życie tylko tym, których ograbiliście. Pielęgnuj-cie się dobrze, żebyście szybko wyzdrowieli! Co będziecie robić potem, jest mi obojętne, jeśli się nie mylę.

Podróż przez Sierra de Ios Mimbres do Sierra della Acha minęła szczęśliwie. Sam znał drogę ze swego wcześniejszego pobytu nad 'Ii~tlish-to. Wiedział, że muszą się śpieszyć, dlatego unikał jakichkolwiek niepotrzebnych objazdów.

Na szczęście obie kobiety dobrze zniosły jazdę konną, chociaż nie były przyzwyczajone do tego sposobu podróżowania. Inna sprawa, że Sam zadał sobie wiele trudu, aby im to ułatwić. Dick Stone i Will Parker znowu wyciągnęli z juków swoje stare ubrania i zmyli z twarzy farby. W okolicy, w której się teraz znajdowali nie należało raczej występować w przebraniu Indian. W jednym z wozów znaleźli dwa kapelusze, które założyli teraz do swych myśliwskich strojów.

Całe towarzystwo było bardzo ciekawe Palomy. Wyruszając świtem Sam powiedział im, że był to ostatni popas przed dotar-ciem do jeziora. Znajdowali się teraz na bardzo rozległej wyżynie,

zamkniętej po obu stronach porośniętymi lasem wzgórzami. Na wyżynie jednak nie rośło ani jedno drzewo, tylko trawa. Wyży-na zwięzła się; Sam wyjaśnił im, że wody zasilające Tlitlish-to spływają ze wzgórz po lewej ręce, spadając wysokim wodospadem w dolinę jeziora w miejscu, gdzie wyżyna stawała się bardzo wąska. Koficząc swe wyjaśnienia Sam obejrzał się.

- Na Boga! Nie jesteśmy jedynymi, którzy są na tej wyżynie.
Spójrzcie!

Dość daleko zauważyli dwóch jeźdźców; odległość zmniejszała się jednak w widoczny sposób, jako iż obaj zbliżali się jadąc galopem. Zatrzymali się poza zasięgiem strzału z rusznicy.

40

- 'Ib Indianie - powiedział Sam. - Są chyba jeszcze młodzi, sądząc po wroście, jako że nie mogą dojrzeć ich twarzy.

- Apacze czy Komancze? - zapytał Dick.

- Nie wiem. Nie mają na sobie nic, po czym mógłbym to poznać. Acha, naradzają się! Ruszyli znowu w naszą stronę. Wyższy z jeźdźców był ubrany w strój myśliwski i mógł mieć ze dwadzieścia lat. Swą dwulufową rusznicę przewiesił przez ramię. Jego twarz nie była pomalowana; miała niemal kaukaskie rysy. Drugi Indianin był młodszy; miał na sobie myśliwskie ubranie z białej, sarniej skóry zeszytej zabarwionymi na czerwono ścięgniami jelenia. Jego twarz była pomalowana w czerwoną i żółte pasy, tak że trudno było dojrzeć jej rysy. Miał wspaniałą odyłcówkę Le-faucheuxa, wielką rzadkość wśród Indian.

Starszy siedział na karym ogierze, a młodszy na siwej klaczy; oba konie były wysokiej klasy.

Indianie zatrzymali swe wierzchowce.

- Uff, uff! - wykrzyknął młodszy z Indian delikatnym, chłopięcym głosem, jak gdyby dziwić się czemuś, podczas gdy starszy przyglądał się całemu towarzystwu z poważną miną.

- Dokąd prowadzi droga białych twarzy? - zapytał po chwili.

- Do 'Ti~tlish-to - odparł Sam.

- Chcecie tam polować?

- Nie, mamy zamiar tam odpocząć.

- Mój biały brat nie wie zapewne, że nie ma tam miejsca, w którym obcy mógłby rozbić swój wigwam? Jest tam gniazdo Leśnej Gołębiczy, a czerwoni wojownicy strzegą go, aby żaden drapieżnik nie zbliżył się do jej gniazda.

- Jadę tam jako przyjaciel; chcę jej przekazać ważną wiadomość.

- Ona nie przyjmie białego człowieka.

- Zrobi to - wtrącił się młodszy z Indian. - Będziesz przez nią mile widziany.

41

- Dziękuję ci, chłopcze! 'Ii~oje słowa brzmią lepiej od słów twego brata.

- Chętnie z tobą rozmawiam; jesteś bowiem odważnym myśliwym, a twoje serce pełne jest dobroci i uczciwości.

- Skąd możesz o tym wiedzieć?

- Każdy oceni Sama Hawkensa tak samo, jak ja to uczyniłem.

- Chwała ci za to!

- 'Pakże Dick Stone i Will Parker będą mile widziani przez Gołębicę.

- Skąd znasz nas, na Boga?!

- Wyświadczyliście mi kiedyś wielką przysługę.

- Jaka?

- O tym później!

Młody Indianin ścisnął swego konia piętami i ruszył galopem. Jego brat uczynił to samo. 'Pdkże i nasza mała grupka, która nie wiedziała, co sądzić o obu Indianach, podjęła przerwana podróż. Po jakimś czasie dotarli do miejsca, w którym wzgórza zbliżyły się do siebie, a z nimi i las. Niedaleko płynęła też rzeczka, która zasilana swymi wodami 'Iitlish-to. Potem usłyszeli szum wodospadu. Wody rzeczki spadały z wysokości co najmniej pięćdziesięciu metrów w skaliste zagłębienie i płynęły dalej ku jezioru, którego nie było jeszcze widać z tego miejsca.

Ścieżka omijała wodospad, opadała ku zagłębieniu i stamtąd prowadziła wzdłuż rzeczki do rozstępującego się w pewnym miejscu lasu. Stąd już widać było dolinę z jeziorem w całej okazałości. Był to cudowny widok.

Niemal pionowe skalne ściany porośnięte były w niektórych miejscach krzewami, których korzenie wczepiały się w każdą rysę i pęknięcie. 'Ij~lko tu i ówdzie rosły na skalnych wystęgach cedry; były tak potężne, jak drzewa rosnące w słynnej dolinie Yosemite w Kalifornii. Na te skaliste ściany nie byłby w stanie wspiąć się żaden człowiek. Istniały tylko dwie drogi, aby wejść do doliny: tam, gdzie 42 wpływała do niej rzeka, i tam, gdzie ona wypływała. Większą część doliny wypełniało jezioro 'Ii~tlish-to. Słońce stało już wysoko na niebie i w jego promieniach fale jeziora lśniły cudownie błękitem; stąd zapewne wzięła się nazwa jeziora: Niebieska Woda.

Opodal miejsca, w którym rzeczka wpływała do jeziora, wznosił się stary budynek dawnej misji. Zbudowany był całkowicie z kamienia i przypominał klasztor. Jego budowniczowie byli zmuszeni chronić się przed wrogimi atakami. Mury misji były bardzo grube, a na parterze było tylko kilka okien, przeważnie bez szyb; budynek wyposażono za to w wiele otworów strzelniczych. Z tego samego powodu istniało tylko jedno, jedyne wejście, zamknięte potężnymi drewnianymi drzwiami.

Przy framudze znajdował się dzwonek, który pochodził już z nowszych czasów.

W pobliżu misji pasło się kilka koni, między nimi kary ogier i siwa klacz, na których przyjechali tu obaj Indianie. Na brzegu leżało wiele indiańskich kanu zbudowanych z kory.

Wokół jeziora wznosiło się mnóstwo sztucznych, porośniętych trawą kopców. Ich wysokość dochodziła do dwunastu metrów. Na szczycie kopców rósł jakiś krzew, wokół którego zatknięte były w ziemię dzidy i widniały różnego rodzaju sprzęty.

- To groby wodzów - wyjaśnił Sam Hawks. - W całej okolicy uważane są za miejsca święte.

- Czy zmarli leżą pod tymi olbrzymimi kopcami? - zapytał Rothe.

- Leżą? Cóż za pomysł! Indianie wodza nigdy nie chowa się w trumnie. Jego zwłoki ubiera się w najlepszy, uroczysty strój, sadza na ukochanego konia i daje im się do ręki brofi oraz woreczek z lekami. Potem obsypuje się zwłoki i konia ziemią. Kiedy zwierzę nie jest już w stanie się poruszyć zostaje zakłute. Nagromadzoną ziemię okłada się kamieniami. Kiedy kopiec osiągnie odpowiednią 43 wysokość, wtedy umieszcza się na jego szczycie wszystkie rzeczy należące do wodza: dzidy, strzały i łuki, a na nich wiesza ulubioną odzież. 'Tych rzeczy nie wolno od tej pory dotykać. Człowiek, który złamie ten zakaz, popełnia przestępstwo karane śmiercią. Biali dopuścili się sprofanowania tych grobów. Dlatego od czasu, kiedy byłem tu po raz pierwszy, każda błąda twarz przyjmowana jest tu wrogo. A oto i brama. Będziemy musieli zadzwonić, jeśli się nie mylę.

Sam pociągnął za sznur dzwonka. Jego dźwięk zabrzmiał głucho, jakby dochodził z dużej odległości. Po jakimś czasie w drzwiach uchyliło się małe okienko, a w nim ukazała się twarz starej Indianki.

- Czy tu mieszka Paloma Nakana? - zapytał Sam Hawks.

- 'I~k - zabrzmiała odpowiedź.

- Chciałbym z nią porozmawiać.

- Wydarzył się wielki cud. Jesteście bladymi twarzami, które przynoszą tylko nieszczęście, a mimo to otrzymałam rozkaz, aby was wpuścić.

Brama zaskrzypiała otwierając się. Goście ruszyli za Indianką sze-rokim, sklepionym korytarzem i dotarli do czworokątnego dzie-dzifca, znajdującego się w środku budynku. 'Pakże i tu nie widać było śladu człowieka.

- Który z was jest wodzem? - zapytała starucha.

- Ja - odparł Sam.

- Wejdź więc tymi schodami na górę! Inni niech zaczekają tutaj.

Mówiąc to Indianka wskazała na otwarte drzwi. Sam zeskoczył z siodła i wszedł po kamiennych schodach. Na ich szczycie stał starszy z dwóch Indian, których spotkali w drodze.

- Masz spotkać się z ojcem Palomy. Chodź za mną! - powiedział i zaprowadził trapera ku jednym z drzwi, przed którymi zostawił go samego.

Hawkens znalazł się w wysokim, ponurym pomieszczeniu, w którym poza nagimi kamiennymi ścianami nie było nic, oprócz 44 stołu zbitego z surowych desek i kilku podobnie zbudowanych ław. Przed nim stał mężczyzna w indiańskim, uszytym ze skóry stroju. Miał gęstą brodę, tak że z trudnością można było rozpoznać jego rysy. Mężczyzna wyciągnął prawą rękę do Sama.

- Serdeczne pana witam, mister Hawkens! Bardzo się ucie-szyłem, kiedy usłyszałem, że znowu pana zobaczę. 'Ii~aper na próżno wpatrywał się badawczym wzrokiem w brodate oblicze mężczyzny. W koficu potrząsnął głową.

- Niech mnie pożą na miejscu, jeśli wiem, gdzieśmy się spot-kali. Pan jest ojcem Palomy?

- 'Pdk.

- Czy mógłbym z nią rozmawiać?

- Właściwie to już pan z nią rozmawiał. Spotkało pana dwóch Indian. Niższym z nich była moja córka.

- Wielkie nieba! Myślałem, że mam dobre oczy, a... no cóż, od razu wydał mi się trochę dziwny! Te małe dłonie i ten głos! Byłem przekonany, że już gdzieś słyszałem ten głos.

- I miał pan rację, sir.

- Coś mi świta. Słyszałem, że Paloma ma właściwie na imię Almy; nie znam żadnej Almy poza... hm!

- Kim jest ta Almy?

- Córką pewnego plantatora mieszkającego niedaleko Van Buren.

- Ma pan na myśli Wilkinsa?

- 'Pak, na Boga! Zna go pan?

- Znam go i ta dama też go zna - powiedział brodacz i otworzywszy jedno z małych drzwi, zawołał Almy. Dziewczyna natychmiast zjawiała się w pokoju. Była ubrana w prosty, indiański strój. Wszystkie jego części zostały uszyte z najdeli-katniejszej, garbowanej na białą skóry ozdobionej skomplikowa-nym, wyszytym nicią z jelenich ścięgien haftem. We wspaniałych, długich i gęstych włosach nie miała żadnych ozdób poza podwójną 45 szpilką, w której znajdowały się dwa nuggety wielkości gołębic jaj. Niegdyś tak różowa twarzyczka była teraz blada. Przesycał ją wyraz głębokiego smutku, którego nie zdołał złagodzić nawet przyjazny uśmiech, jakim dziewczyna powitała trapera.

- Witam pana, mister Hawkens! Nie poznał mnie pan przedtem?

- Nie wiem, czy to prawda czy złudzenie? Miss Wilkins!

- 'Pak, to ja.

- A więc pan jest naprawdę mister Wilkinsem z Wilkinsfield?

Jakim cudem, na Boga, znaleźliście się nad Niebieską Wodą, pomię-dzy Komanczami i Apaczami?

- 'Ib długa i smutna historia, którą z pewnością jeszcze panu opowiem - odparł Wilkins. - 'Ib moja wina, że popełniłem swego czasu tak ciężki błąd i nie posłuchałem pafiskiej rady.

- 'Pdk, tak. Obawiał się pan wtedy tego Leflora.

- Nie podziękowałem nawet panu za pomoc, ale teraz postaram się to nadrobić. Będę szczęśliwy, jeśli tym razem będę mógł wyświadczyć panu w rewanżu jakąś przysługę.

- Może pan, i to bardzo.

- Proszę mi tylko powiedzieć, czego pan sobie życzy.

- Życzę sobie, aby Krwawy Jack następnym razem dostał na-prawdę za swoje.

- Ach! Ja też bym tego chciał. Jeżeli tylko ten typ wpadnie jeszcze raz w moje ręce.

- Wpadnie, sir! Chce bowiem złożyć panu wizytę.

- Czy jest w naszej okolicy?

- Razem z całą swoją bandą, jeśli się nie mylę. Jest już chyba w drodze i myśli, że posiadacie wielkie skarby.

- A jak pan się dowiedział o tym jego zamiarze?

- Zaraz panu o tym opowiem - i Sam pokrótce streścił całą historię.

- 1b dziwne! - stwierdził Wilkins wciąż potrząsając głową.

- Dwukrotnie ten sam człowiek chce mnie obrabować i dwukrotnie

46 pan właśnie przyjeżdża do mnie, by mnie ostrzec! Jestem panu naprawdę zobowiązany.

- Jeśli tak, to zapewne spełni pan jedną moją prośbę. Czy mógłbym panu pomóc w tej sprawie?

-Jeśli to panu sprawi przyjemność, tak; aczkolwiek niejestem tym razem bezbronny.

-Do tej pory zauważyłem tylko jedną starą Indiankę i jednego młodzieńca. Czy to wszyscy pańscy obrońcy?

- Och, nie! Przede wszystkim ten dom jest doskonałym schronieniem przed całą zgrają wrogów. A poza tym, najlepszą ochroną są Indianie, którzy szanują moją córkę niemal jak istotę boską.

- Czy ci Indianie są blisko, jeśli pan ich potrzebuje?

- lhk, a przynajmniej jestem w stanie bronić się tak długo, dopóki nie przybędą.

- Musi ich pan więc najpierw zawiadomić?

- Pdk.

- Wysyłając na przykład gońca? 1b bardzo kłopotliwe i nie-bezpieczne.

- Och, ten posłaniec jest szybszy od najszybszego jeźdźcy.

- Kim jest ten wspaniały człowiek?

- Tb woda.

Sam zaskoczony otworzył usta.

- Woda? Co pan ma na myśli?

- To jezioro miało dawniej mały, boczny odpływ. Zamknęliśmy go. Z tego domu prowadzi do tamy drut. Wystarczy, że pociągnę za niego i otwieram w ten sposób wolną drogę dla wody; spływa w dół jako mały strumyczek. Kiedy tylko pojawi się na równinie, ludzie tam wiedzą już, że znajdują się w niebezpieczeństwie i przybywają na pomoc.

- Całkiem niezły pomysł! Świetnie pomyślane! Myślę, że jednak, nie będziemy musieli się do niego odwołać. Jest nas

47 wystarczająco dużo, aby samym dać sobie rady z tymi typami. Gdy przyjadą, zastrzelimy ich.

- Wolałbym raczej schwytać ich żywcem.

- 1b byłoby jeszcze lepiej. Ale jak pan ma zamiar tego dokończyć?

- 1b nie będzie trudna sprawa. Nie sądzi pan chyba, że ruszą do szturmowania na te mury?

- Z pewnością nie zrobią tego.

- Zapewne wyślą najpierw jednego ze swoich, który poprosi mnie o gościnę, a potem w nocy otworzy im bramę.

-1b bardzo prawdopodobne. A my ich przyjmniemyw odpowiedni sposób!

- Naturalnie. Mamy jednak czas, aby dobrze się do tego przygotować i pomyśleć o wszystkim. 'Tl;raz zejđę z panem na dół aby powitać resztę pańskiego towarzystwa. Kazaliśmy im już zbyt d~go czekać.

Po krótkim czasie wszyscy siedzieli w wielkiej sali dawnej misji przy posiłku składającym się z placka kukurydzianego i olbrzymiej pieczeni z bizona.

Uld Firehand

Idąc brzegiem 'Iitlish-to, można było po około piętnastu mi-nutach dojść do miejsca, w którym rzeczka znowu wypływała z jeziora. Przebijając się przez skały, tworzyła w kilku miejscach małe wo-dospady. Wzdłuż rzeczki było tylko tyle miejsca, że mogło obok siebie jechać swobodnie dwóch jeźdźców.

Jednym z nich był wysoki, barczysty, lekko siwiejący już brodac. Ubrany był w strój uszyty z niegarbowanej, grubej skóry jelenia wapiti. Za szerokim pasem zatknięty miał tomahawk, szeroki, myśliwski nóż i dwa rewolwery. Z łęku siodła zwisało zwinięte łąso; . na kolanach jeźdźca leżała stara rusznica z Kentucky. Jego wierzchowiec był wielkim, mocno żbudowanym koniem, sprawiają-cym jednak wrażenie nieco flegmatycznego. Jego uszy zwisały po-dobnie jak ogon, co nadawało mu smutnego wyrazu. Kiedy jednak jeden z sępów siedzących na pobliskich skałach poderwał się nagle do lotu z ostrym krzykiem, kofi gwałtownie rzucił głową, a jego oczy zalśniły. Dopiero, gdy ujrział sępa zataczającego kręgi w powietrzu, znowu opuścił głowę; przekonał się, że okrzyk ptaka nie oznaczał zbliżania się jakiegoś niebezpieczefistwa.

Drugi z jeźdźców był jeszcze młody i sprawiał wrażenie, jakby nie pasował do tej okolicy. Jego uszyte z delikatnego materiału ubra-nie było już cokolwiek podniszczone.

49

Poza tym wyposażony był całkiem podobnie, jak jego towarzysz, z tym że brakowało mu zatkniętego za pasem tomahawka. Obaj zagłębieni byli w ożywionej rozmowie, co nie wpływało na sposób, w jaki starszy z jeźdźcbw lustrował okolicę. Pochylony na siodle, sprawiał wrażenie podobnie zmęczonego, jak jego kofi, ale jego oczy pod krzaczastymi brwiami bez przerwy wędrowały z prawa na lewo, nie pomijając najmniejszego dro-biazgu.

- Sądzi pan więc, - odezwał się właśnie młodszy z jeźdźców - że u Palomy Nakany dowiem się o miejscu pobytu mego brata?

- Jestem o tym przekonany. Ślad zaginionego Wilkinsa pro-wadzi bez wątpienia do Niebieskiej Wody. Może pan wierzyć staremu westmanowi.

- '1'dk, to było niesłychane szczęście, że spotkałem pana w Santa Fe, mister Firehand. Bez przerwy dziękuję za to losowi, pomijając fakt, że także i panu jestem osobiście zobowiązany - dodał spoglądając na swego towarzysza.

- Niech mi pan wierzy, drogi baronie, że moja radość jest równie wielka. Nawiasem mówiąc, nie ma mi pan za co dziękować. Gdyby nie był pan tak bardzo podobny do swego ojca, w ogóle nie zwróciłbym na pana uwagi!

- Mówi to pan tylko ze skromności!

- Jeden Bóg wie, że dla każdego Adlerhorsta zrobiłbym o wiele więcej, gdyby to było w mojej mocy.

- Nadal nie opowiedział mi pan jeszcze, w jaki sposób dawny nadleśniczy rodziny Adlerhorst znalazł się na Dzikim Zachodzie.

W jasnych oczach Old Firehanda pojawił się na moment cień smutku.

- Po co odgrzebywać stare sprawy? Przywracać do życia czasy, które już dawno minęły?

- A jeśli bardzo o to pana poproszę?

- Dobrze, niech będzie tak, jak pan sobie życzy. Dowie się pan więc, w jaki sposób nadleśniczy pańskiego ojca zamienił się w Old Firehanda. Zaraz to panu opowiem.

Brwi młodego mężczyzny uniosły się wyczekująco.

- A więc?

- To całkiem zwykła historia. Bóg mi świadkiem, że byłem szczęśliwy wykonując swój zawód i nie życzyłem sobie niczego więcej, jak tylko do końca mych dni chodzić po moim ulubionym lesie. Do tego miałem jeszcze tak dobrego pracodawcę, jak pański ojciec; czegoż można było więcej żądać? Wtedy zdarzyło się nieszczęście. Bruno von Adlerhorst przeniósł się na Bliski Wschód i sprzedał swoją posiadłość. Och, gdybyż tego nie zrobił! Lepiej by na tym wyszedł, a ja być może, również.

- Dlaczego?

- No coż, opowiedział mi pan całą historię nieszczęść, jakie spotkały pańską rodzinę. Muszę przyznać, że bardzo mnie ona wzruszyła. Gdyby pański ojciec pozostał w domu, losy potoczyłyby się inaczej, zarówno pańskiej rodziny, jak i moje.

- Dlaczego pańskie?

- Posiadłość pańskiego ojca przeszła w obce ręce. Czułem się na mojej posiadłości zupełnie dobrze, ale nadeszły czasy ~ader niespokoj-ne pod względem politycznym. Wplątałem się w pewną historię i musiałem uciekać z kraju.

- A potem?

- Potem? Potem wyjechałem naturalnie do Ameryki, jak większość z tych, którzy byli wplątani w tę historię.

- A pańska rodzina? Czy był pan żonaty?

- Miałem żonę i dziecko - odparł Old Firehand ponuro. - Żona umarła podczas przeprawy przez ocean, a dziecko umieściłem u pewnej bogatej rodziny, która potraktowała je jak własne. Ja zaś wyjechałem dalej na zachód i stałem się tym, kim jestem teraz.

- Nigdy więcej nie spotkał pan szczęścia na swej drodze.

Old Firehand spojrzął przed siebie smutnym wzrokiem.

- Spotkałem i wynagrodziło mi ono mą utraconą ojczyznę.

Założyłem drugi dom i wtedy los uderzył po raz drugi, i to w sposób, w jaki nie mógłby mnie dotknąć w mojej dawnej ojczyźnie.

- Dlaczego?

- Nie mówmy o tym! Nie ma sensu rozdrapywać starych ran.

- Ale dlaczego nie wraca pan do Niemiec? O ile wiem, jest pan bogaty, a pańskie ówczesne przestępstwo polityczne zostało już dawno zapomniane i przedawnione. Mogłby pan żyć tam w spokoju. Pełnym zmęczenia gestem Old Firehand otarł czoło, jak gdyby chciał odpędzić złe myśli i wspomnienia.

- Dlaczego nie wracam? Ponieważ nie mam już do czego. Jest pan tu zbyt krótko, w przeciwnym razie wiedziałbym pan, jak bardzo preria przywiązuje do siebie swe dzieci. Dziki Zachód stał się już moją diugą ojczyzną, którą kocham, mimo niebezpieczeństw, jakie czyhają tu na człowieka. Nie potrafię jej opuścić, gdyż przeżyłem tu lata wielkiego szczęścia. A kiedy się ono rozpadło, celem mego życia stało się poszukiwanie człowieka, który je zniszczył. Odnalazłem go po wielu latach i zakosztowałem rozkoszy, która nazywa się zemsta.

Old Firehand wypowiedział ostatnie słowa cicho, niemal szep-cem. Ale właśnie dlatego wywarły one wielkie wrażenie na słuchaczu, którego przebiegł po plecach dreszcz lęku.

Prawdziwy syn prerii nie zna bowiem najwyższej zasady chrześcijaństwa: miłości do wroga. Opiera się on na innych, prastarych popędach, a słowo wybaczenia nie ma miejsca w jego słowniku. Hermann von Adlerhorst milczał. 'Idźże i w jego duszy odzywał się duch zemsty, kiedy myślał o ludziach, którzy sprowadzili nieszczęście na niego i jego rodzinę. W jego wspomnieniach pojawiły się znowu wydarzenia z niedawnej przeszłości.

Po uratowaniu swojej siostry Czity-Lizy z rąk Ibrahima Beja popłynął jachtem swego stryja, sir Dawida Lindsaya, z 'Imisu do 52 Niemiec. Stamtąd napisał do swego brata do Wilkinsfield, by przybył do Europy, aby świętować ponowne spotkanie ze swym rodzeństwem i wesele Czity z Paulem Normannem. Dziwnym trafem list powrócił do Niemiec jako niedoręczony. Po długim zastanowieniu przesunięto wesele do czasu, gdy Martin zostanie odnaleziony. Lindsay nie mógł sobie odmówić przyjemności, aby przewieźć Hermanna swoim jachtem do Nowego Orleanu. 'Idźmy się rozdzielić i Hermann popłynął w górę Missisipi, a potem Arkansas do Van Buren. Ku swemu bezgranicznemu zaskoczeniu dowiedział się w Wilkinsfield, że posiadłość ta przeszła już w inne ręce, a Martin Adler wyprowadził się, aby szukać śladów bratanka swego dotychczasowego pracodawcy. 'Idźmy prowadził do Santa Fe. 'Idźmy jednak nikt nie słyszał nic o Martinie. Hermann był bliski rozpaczy, kiedy pewnego dnia został na ulicy zaczepiony przez jakiegoś mężczyznę. Był to właśnie Old Firehand, któremu rzuciło się w oczy dziwne podobieństwo młodego człowieka do starego Adlerhorsta. Old Firehand przyrzekł pomóc Hermannowi.

Zawiadomiony przez siostrzeńca Dawid Lindsay postanowił nie czekać na niego w Nowym Orleanie, ale dotrzeć do zachodnich

wybrzeży Ameryki, opływając Przylądek Horn. Ustalił z Hermannem miejsca, w których ten miał zostawiać dla niego wiadomości, a potem odpłynął. Old Firehand natomiast zabrał się natychmiast do realizacji swego trudnego zadania.

Ponieważ Hermann, ze względu na brak doświadczenia, nie mógł mu pomóc, zawiózł go do zaprzyjaźnionego wodza Mocnej Ręki z plemienia Apaczów Chiricahua. Szczęśliwy los sprawił, że w tym samym czasie pojawił się tam Winnetou, wódz Apaczów z plemienia Mescalero. Winnetou objeżdżał właśnie wszystkie obozowiska Apaczów, przerwał jednak swą podróż, aby pomóc swemu przyjacielowi, Old Firehandowi.

- Winnetou kocha plemię, do którego należą jego biali bracia Old Firehand i Old Shatterhand - powiedział wprost. - Winnetou 53 pojedzie więc razem z Old Firehandem.

Podczas gdy Hermann pozostał w gościnie u Mocnej Ręki, Winnetou i Old Firehand, prowadząc swe poszukiwania, doszli do zaskakującego odkrycia, mianowicie, że zaginionym Wilkinsem jest ojciec Palomy Nakany.

Podczas powrotu natknęli się na ślad Krwawego Jacka i jego bandy, przy okazji dowiadując się o jego planach napadu na misję. W taki oto sposób wyjaśniła się tajemnica kartki, która w takie zdziwienie wprawiła Sama Hawkensa i jego towarzyszy. Podczas gdy Sam jechał tropem wozów, aby oddać je w ręce prawowitych właścicieli, Old Firehand wrócił do Apaczów, a potem wraz z Hermannem pojechał nad 'Iitlish-to, aby ostrzec Palomę przed napadem, ale także i po to, by od Wilkinsa dowiedzieć się czegoś bliższego o zaginionym Martinie Adlerze. Dotarli do Niebieskiej Wody niewiele później po Liściu Koniczyny i emigrantach. W tym czasie Winnetou samotnie szedł tropem Krwawego Jacka.

W pobliżu misji wyjechał im naprzeciw młody Indianin, towarzysz Almy.

Zobaczywszy go Old Firehand przerwał milczenie.

- Poznał pan zaraz Indianina, który mimo swego młodego wieku jest już znany z powodu swej dzielności i szybkości; owe cechy przyniosły mu imię Zwinnego Jelenia.

- Czy to Apacz?
- 'Ihk, jest na dodatek synem Mocnej Ręci. Został przydzielony Palomie jako ochrona.

Zwinny Jełefi zatrzymał się pełen szacunku, aby przepuścić słynnego białego wojownika i jego towarzysza. Potem jednak, gdy stało się to możliwe, wyprzedził ich, by zameldować Wilkinsowi i jego córce o ich przybyciu.

Powitanie w misji było barwną sceną. Członkowie Liścia Koni-czyny otoczyli Old Firelianda zarzucając go ulewą pytań tak długo, 54 aż Wilkins stracił cierpliwość i wykorzystał swe prawa jako pan domu. Także i on cieszył się z całego serca z wizyty wielkiego westmana, tym bardziej że zawdzięczał mu ostrzeżenie o zamierzonym napadzie.

Old Firehand i Hermann von Adlerhorst zostali zaprowadzeni do starego refektarza misji, gdzie w towarzystwie pozostałych osób zjedli posiłek.

- Jedzcie i pijcie, panowie, i nie zwracajcie na nas uwagi! - oświadczył Wilkins. - Mam nadzieję, że nie potraktujecie jako zbyt natrętnych pytafi, jakie wam potem będę chciał zadać. Old Firehand spojrzął na niego.

- Od dawna wie pan już wszystko, czego miał się pan od nas dowiedzieć. Reszta wyjaśni się sama z siebie, kiedy przybędzie tu banda Krwawego Jacka.

- Ale muszę się przecież...

- Mogę panu jeszcze zdradzić, że nie przybyłem tu tylko z pańskiego powodu.

- Nie tylko?

- Nie, również z powodu tego mężczyzny, którego widzi pan u mego boku. Szuka on pewnego zaginionego człowieka.

- 'Iiitaj, na prerii? Wśród Indian?

- l~k.

- Znam wszystkich białych w okolicy. Czy mogę zapytać o nazwisko zaginionego?

- Martin Adler. Był zatrudniony jako nadzorca na pewnej plantacji w Arkansas. Co się panu stało, mister Wilkins?

- Jestem w najwyższym stopniu poruszony! Martin Adler był zatrudniony bowiem w mojej posiadłości! Mieszkałem wtedy w Arkansas.

Westman skinął głową uśmiechając się.

- W Wilkinsfield?

- Co? Pan zna to miejsce? =

55

- Byłem tam przecież.

- Cóż za spotkanie! Szukacie tego samego człowieka, którego i ja szukałem, tyle że bezskutecznie. 'Ib mój przybrany syn; bardzo go ceniłem. Był mi tak bardzo oddany, że w koficu się dla mnie poświęcił. Znając wydarzenia, muszę przypuszczać, że spotkała go z tego powodu śmierć.

- Sądzi pan więc, że nie żyje?

- Niestety, mimo iż długi czas miałem nadzieję, że tak nie jest.

- Jak to się stało?

- Nie dowiedział się pan o tym?

- Nie; w Wilkinsfield znalazłem dwie Murzynki, które pracowały jeszcze u pana. Zdaje się, że miały na imię My i Ty. Od nich to...

- Wielkie nieba! 'Ib one jeszcze tam są? - wykrzyknął Wilkins.

- 'Ink. Opowiedziały mi o wielu sprawach, naturalnie na swój murzyński sposób; człowiek musi sam dopowiedzieć sobie resztę. Dlatego też wiele spraw pozostało dla mnie niezrozumiałych.

- Czyżby nie spotkał pan tam Leflora?

- Wcale się do niego nawet nie zwracałem. Wprowadziłby mnie tylko w błąd. Musiały się tam wydarzyć straszne sprawy. Dlatego też, aby dokładniej sprawdzić to wszystko, postanowiłem poroz-mawiać z panem osobiście.

- Pan mnie szukał? - zapytał Wilkins nie mogąc nadal otrząs-nąć się z zaskoczenia. - Przecież pan nie wiedział, gdzie mnie znaleźć!

- Pshaw! - uśmiechnął się westman. - Jestem Old Firehand. A poza tym był ze mną Winnetou.

- Na Boga! Winnetou! Mister Hawkens opowiadał nam już coś o tym. Ale gdzie go pan zostawił?

- Ti~opi Krwawego Jacka i jego bandę; w odpowiednim czasie dołączy jednak do nas.

- Proszę mi pozwolić na jeszcze jedno pytanie: co pana wiąże 56 z Martinem Adlerem, którego pan szuka?

- Oto powinien pan zapytać nie mnie, ale tego gentlemana.

Zna pan historię rodziny Adlerów?

- I'ak, przynajmniej na tyle, na ile znał ją sam Martin, który był jeszcze małym dzieckiem, kiedy mój zmarły brat przywiózł go z jednej z podróży na Wschód. Stąd wiem na przykład, a to dzięki naszemu własnemu śledztwu, że w rzeczywistości pochodził z arystokratycznej rodziny i nazywał się Adlerhorst.

- W-ell! A ten młody człowiek jest jego bratem.

Wilkins rzucił zaskoczone spojrzenie na Hermanna.

- To niemożliwe!

- Dlaczego?

- Bo o ile wiem, wszyscy członkowie rodziny Adlerhorstów zostali sprzedani w niewolę, z wyjątkiem Martina. Znalazł się on na statku przewożącym niewolników, który został zdobyty przez An-glików.

- Mimo to, powiedziałem prawdę, jako że ten gentleman, HeTmann Adlerhst, przyjechał właśnie prosto z Bliskiego Wscho-du. I nie tylko to; przywiózł także ze sobą swoją siostrę, którą uwolnił z rąk 'Iarków.

- Wielkie nieba! Tyle dzisiaj radosnych nowin!

- Jeszcze nie skoficzyłem - roześmiał się Old Firehand. -Zna-my poza tym miejsce pobytu Gottfrieda, trzeciego z braci Adlerhor-stów, który zostanie niebawem sprowadzony z Rosji, kiedy tylko spotkamy się z Martinem.

- Słyszysz, Almy? - Wilkins zwrócił się do swojej córki, która przysłuchiwała się całej rozmowie w milczeniu. - Rodzeństwo Martina jest wolne! A on przyrzekł sobie, że celem jego życia będzie ich odnalezienie! Jak bardzo mu tego życzyłem! Niestety, obawiam się jednak, że nigdy się już o tym nie dowie.

- A ja nie tracę nadal nadziei - stwierdził pewnie Old Fire-hand. - Nie u wierzę w to, dopóki nie zobaczę na własne oczy

57 świadectwa jego zgonu. A potem i tak dokładnie sprawdzę wiarygod-ność tego dokumentu, bo może się okazać faiszwym. Ale może również i o tej kwestii porozmawiać później. 'I~raz musimy podjąć konieczne przygotowania do czekającej nas wizyty.

- Co pan ma na myśli?

- Jak znam Krwawego Jacka, zabierze się do całej sprawy bardzo ostrożnie. 'I~udno przypuszczać, aby zdecydował się zdobyć budynek misji szturmem. Wyśle raczej któregoś z członków swojej bandy, aby zbadał panujące tu obyczaje.

- Nasze przypuszczenia są dokładnie takie same.

- Well. Dlatego uważam za konieczne, aby wysłał pan Zwinnego Jelenia na zwiady. Byłoby dobrze, abyśmy się dowiedzieli o przyby-ciu ewentualnego wysłannika bandy, zanim tu się pojawi. Sądzę, że nie przyjedzie tu przed wieczorem.

- Natychmiast postaram się oto.

Wilkins podniósł się, by wydać odpowiednie rozkazy. Kiedy wrócił po chwili Old Firehand poprosił go, aby opowiedział, jak doszło do tego, że musiał opuścić swoją posiadłość.

- Tych trzech przyjaciół również odegrało w tym pewną rolę - zakoficzył swą opowieść były plantator. - Niestety, nie posłuchałem ich rady. Wiarygodność dokumentów, które Leflor kupił od Walkera była bezsporna. Musiałem oddać za darmo tę piękną plantację, którą zbudowałem za cenę pracy całego życia, a na dodatek musiałem jeszcze zapłacić rzekome długi. Niestety, nie byłem w stanie tego uczynić. Ponieważ groziło mi w tej sytuacji więzienie, uciekłem; przedtem jednak miałem jeszcze zajście z Leflorem, który nasał na mnie policję.

- Czy przyjechał pan od razu tu, nad Niebieską Wodę?

- O nie! Musiałem najpierw poszukać mojego bratanka. Jego ślad wiódł do Santa Fe, gdzie sprzedał Walkerowi dokumenty...

-Ib było oszustwo!

- Myli się pan. On to naprawdę zrobił. Ja też początkowo nie

5g

chciałem w to wierzyć; wydawało mi się niemożliwe, aby postąpił tak podle. Leflor jednak przedstawił władzom odpowiednie do-kumenty. Tb wszystko prawda.

- A mimo to, mam wątpliwości. Dokąd on potem wyjechał?

- 'I~go nikt nie wie. Jego ślad skoficzył się w Santa Fe. Ale jak panu już opowiadałem, mój nadzorca wyjechał zaraz po wydarze-niach w Wilkinsfield do Santa Fe, aby tam dalej prowadzić śledz-two. Nigdy stamtąd nie wrócił. Znalazłem jego trop w Santa Fe; prowadził dalej na południe, do Meksyku.

Natychmiast tam pojechałem, ale całe moje poszukiwanie skoficzyło się fiaskiem. Zginął albo na Llano Estacado, albo na Bolson de Mapimi.

- Czy mimo to nie ma żadnej nadziei?

- Nie. Podczas mej wędrówki natknąłem się na Mocną Rękę, wodza Apaczów Chiricahua. Oddałem mu wtedy pewną przysługę. Dowiedziawszy się, że nie mam zamiaru wracać na Wschód, za-proponował mi z wdzięczności to miejsce jako schronienie. Przy-jąłem jego propozycję. Budynek dawnej misji leży dokładnie pośrodku prerii i daje mi możliwość prowadzenia dalszych poszu-kiwań we wszystkich kierunkach. Poza tym, to miejsce spodobało mi się, gdyż stanowiło doskonałą kryjówkę. Czenwonoskórzy nie zapytali mnie nawet jak się nazywam, ani skąd przybyłem i dokąd się udawałem. Zostałem więc przyjacielem i doradcą Apaczów i Komanczów. Często łagodziłem spory między nimi; są za to wdzięczni i pomagali w zamian za to prowadzić dalsze poszukiwania. Ale na próżno. Gdyby Adler, albo mój bratanek żyli jeszcze, z pewnością bym się o tym dowiedział.

Old Firehand potrzęsnał głową.

- Z przyzwyczajenia żywię nadzieję tak długo, dopóki nie znajdą się w moich rękach ostateczne dowody. Ponieważ szedłem tropem Adlera i znalazłem u pana dalsze jego ślady, będę kontynuował moje poszukiwania.

59

- Obawiam się, drogi mister Firehand, że ślad Adlera tutaj się kończy.

- W takich sprawach nie należy zwracać uwagi tylko na poszukiwaną przez nas osobę. Bardzo ważni mogą być też świadkowie. Jak się nazywał człowiek, od którego Leflor dostał tytuł własności Wilkinsfield?

- Walker.

- Czy on też wtedy zniknął?

- 'Pdk. Niestety, to moja wina. Mister Hawkens radził mi wówczas, abym się upewnił co do jego osoby, ale ja tego nie uczyniłem.

- Należy więc ustalić, gdzie on się teraz znajduje!

- Dlaczego? Jest panu może potrzebny? - zapytał Sam.

- 'Ink, nawet bardzo. Twierdził, że odkupił od młodego Wilkinsa tę posiadłość i za nią zapłacił. Uważam to twierdzenie za kłamstwo. 'Ink Walker to zwykły awnaturnik; nie mógł posiadać tak dużej sumy. Musiało się wtedy wydarzyć coś dziwnego. Zmuszę tego człowieka, aby mi o tym opowiedział. A gdyby ta transakcja odbyła się wtedy w uczciwy, zgodny z prawem sposób, to Walker musi wiedzieć, dokąd wyjechał potem Artur Wilkins. Je-li bowiem ja kupiłbym od kogoś plantację, to z pewnością poświęciłbym te-mu człowiekowi tyle zainteresowania, że zapytałbym go, dokąd ma zamiar wyjechać i co począć z tak wielką sumą pieniędzy.

- To prawda - zgodził się Wilkins.

- Oczywiście. Walker będzie mi więc mógł powiedzieć, dokąd wyjechał z Santa Fe pana bratanek. Być może, że sam pojechał potem jego tropem. Mamy tu więc do czynienia z zagadką, do której musimy znaleźć klucz. Jak jednak znaleźć tego Walkera?

- Mogę panu w tej kwestii służyć pomocą - zameldował się Sam.

- Pan? Czyżby znał pan miejsce jego pobytu?

- Szczęśliwym trafem, tak. Damy mu do zgryzienia orzech, na którym połamie sobie żęby, jeśli się nie mylę. Ów wielce szanowny

60

Walker nazywa się bowiem w rzeczywistości Hopkins.

- Do stu diabłów! Hopkins? Chyba nie ma pa~ na myśli tego...

- 'Ink jest, to ten sam człowiek, który ma na sumieniu naszego Drolla. Jak wiecie, nie było mnie wtedy przy tym, ale Dick i Will rozpoznali go i mogą przysiąc na wszystko, że to ta sama osoba!

- Musimy go więc tym bardziej dopaść! Gdzie teraz mieszka?

- W Prescott.

- Ach, to stolica Aroziny! To nawet niedaleko stąd!

- 'Pak jest, sir!

- Wystarczy pojechać wzdłuż Rio Gila, u którego źródła się teraz znajdujemy. Za kilka dni możemy być w Prescott.

- Ib wspaniale! Old Firehand i Liść Koniczyny rozłożą całe Prescott na kawałki, jeśli się nie mylę.

- Jest pan bardzo pewny siebie, Sam! Skąd pan wie tak dokładnie, że on tam jest?

- Hm... Przysiąc bym na to nie mógł!

- Skąd pan więc o tym wie?

- Dowiedzieliśmy się tego przy okazji, którą też mamy panu do zawdzięczenia.

- Mnie? A to dlaczego?

- Przecież napisał pan do mnie list, który zostawił mi pan na prerii, hihihhi! W ten sposób dopadliśmy kilku żartownisiów. Podsluchaliśmy ich najpierw i usłyszeliśmy przy tej okazji, że chcą udać się potem do Prescott, do wielce sznownego pana Walkera. W każdym razie on ich oczekuje, bo chce razem z nimi dokonać jakiegoś niecnego czynu.

Sam Hawkens opowiedział teraz szczegółowo o wydarzeniach ostatnich dni. Na tych opowieściach czas mijał jak z bicza strzelił. W kulminacyjnym jechnakże momencie Zwinny Jełefi zameldował, że na horyzoncie pojawił się jakiś jeździec.

Natychmiast cała uwaga mężczyzn skierowała się na rzeczy najważniejsze. Old Firehand poprosił Rothe'go i jego rodzinę, aby 61 się ukryli, na wypadek, gdyby jeździec miał być rzeczywiście zwiadowcą Krwawego Jacka.

Nie musieli długo czekać. Już po krótkim czasie rozległ się dźwięk dzwonu, a po chwili pojawiła się stara Indianka z wiadomością, że jakiś biały prosi o pozwolenie wejścia do misji.

- Czy zapytałaś go o nazwisko? - chciał się dowiedzieć Wil-kins.

- 'Idk. Nazywa się Bill Newton, jest myśliwym, który zgubił drogę i pyta, czy może tu odpocząć przez jeden dzień.

- Wpuść go więc! Ale zamknij za nim dobrze bramę!

Mężczyźni podeszli do okna, aby przyrzeć się wjeżdżającemu na dziedziniec nowoprzybytemu. Zwinny Jełefi w milczeniu ponow-nie opuścił refektarz. Newton wjechał na dziedziniec i zsiadł z konia. Zaledwie Hermann ujrzał jego twarz, drgnął zaskoczony.

- Na Boga! Czy to możliwe?!

- Co? - zapytał Old Firehand, przyglądając się uważniej jeźdźcowi. - Wielkie nieba! Czy ja dobrze widzę, czy też myślą mnie moje stare oczy? Znam tego człowieka! 'I~ same rysy miał dawny kamerdyner pańskiego ojca. Minęło już co prawda od tamtego czasu ~wier~ wieku, ale nigdy nie zapomnę tej twarzy!

- Ma pan rację! - odparł cicho Hermann. - Ió Florin, później był derwiszem. Nie myślę się. Ale skąd on się tu wziął? I w jaki sposób udało mu się ująć z więzienia beja Timisu?

- Dowiemy się tego niebawem. Ale on nie może zobaczyć pana pod żadnym warunkiem. Niech pan pozostawi całą sprawę w moich rękach. A pan? - Old Firehand zwrócił się teraz do Rothe'go. - Zna pan tego mężczyznę?

Rothe potrzęsła głową.

- Nie. Nie należy do bandy Krwawego Jacka. Jestem tego całkowicie pewny.

- Jego banda może być liczniejsza niż pan sądzi. W każdym razie może pan tu pozostać ze swoją rodziną - Old Firehand zwrócił się

62 doHermann:-Apan niech stąd teraz znikaj! Słyszysz już jego kroki na korytarzu!

Hermann zniknął za jednymi z bocznych drzwi. Zaraz potem do środka wszedł Bill Newton. Nie zauważył zrazu Old Firehanda, ponieważ ten wycofał się w róg refektarza. Newtona powitał Wil-kins, zanim jednak skoficzył zdanie, westman wysunął się przed niego i zawołał tonem najwyższego zdumienia:

- Wielkie nieba! Czy ja dobrze widzę? Pan tutaj, Florin?

Przybysz spojrział na niego zaskoczony. Przez kilka sekund zda-wał się szukać w pamięci, potem jednak przyszło oświecenie.

- Winter? 'Ib pan? Naprawdę pan? Cóż za cud!

- 'I~k, ale mniejszy od tego, że i pan znalazł się w Ameryce.

Przybysz nagle poblądł. Zirytowała go własna nieostrożność. Ale co się stało, to się nie odstanie. Nie mógł już wyprzeć się znajomości z dawnym nadleśniczym swego pana.

- W każdym razie to nieprawdopodobny przypadek - stwierdził odzyskawszy panowanie nad sobą.

- Przyjechał pan tu z'Ihrcji!

- A pan z Niemiec!

- Dlaczego używa pan nazwiska Newton?

-rMa to swój powód, jak wiele rzeczy w Ameryce, które nie mają znaczenia po tamtej stronie oceanu.

- A więc, jak mam się do pana zwracać? Newton czy Florin, jak dawniej?

- Niech pan mówi Newton! Postanowiłem kiedyś, że tak się będę teraz nazywał.

- Doskonale! Pozwoli pan, że przedstawię go pozostałym!

Newton słyszał już nazwiska Sama Hawkensa, Dicka Stone'a i Willa Parkera; ich obecność musiała mu sprawić przykrość, zakłócając, że rzeczywiście był wysłannikiem Krwawego Jacka. Jeśli było tak naprawdę, to doskonale potrafił panować nad sobą. Był bardzo szczęśliwy, że może zawrzeć znajomość z tak sławnymi 63 westmanami. Jedyne, gdy usłyszał nazwisko Rothege, drgnął lekko. Old Firehand natychmiast zauważył zaskoczenie na jego twarzy, ale nie dał tego po sobie poznać. Szepnął tylko niezauważenie kilka słów Wilkinsowi na ucho.

- Witam pana serdecznie, mister - powtórzył Wilkins. - Czy mogę wskazać panu pański pokój? Potem dostanie pan coś do jedzenia i picia - dodał i wyprowadził przybysza. Wrócił jednak szybko, aby dowiedzieć się o dalszym postępowaniu. I'akże i Hermann znalazł się ponownie wśród towarzystwa.

-Jak pan sądzi, mister Firehand, czy ten człowiek należy do bandy Krwawego Jacka? - zapytał Sam Hawkens.

- Jestem o tym przekonany, aczkolwiek nie mogę tego jeszcze teraz dowieść. Poczekajmy, aż zje; wtedy będę wiedział, jak postąpić. W każdym razie, to niebezpieczny człowiek, jak można się było dowiedzieć z pańskiej opowieści.

- Czy on naprawdę był służącym pańskiego dawnego pracodawcy?

- Sam pan słyszał.

- Wielkie nieba! Niech mnie zjedzą żywcem, jeśli to nie jest najdziwniejsze spotkanie, jakie sobie mogłem wymyśleć! I co pan na to, mister Vogelnest czy też Habichtsbau, albo Geierhorst... do diabła, nie mogę zapamiętać pańskiego nazwiska!

- Adlerhorst - przypomniał mu Hermann. - Aż płonę z ciekawości, by się dowiedzieć, w jaki sposób ten człowiek, uciekł z więzienia w 'Iimisie. Mam przeczucie, że jego pojawienie się ma coś wspólnego z moją rodziną. 'Pdk było w Konstantynopolu i będzie byC może tutaj.

- Będziemy mu więc patrzeć uważnie na ręce - stwierdził Old Firehand. - Przyjdzie nam to tym łatwiej, że on nie ma pojęcia o pańskiej obecności tutaj. W każdym razie, niewolno się panu pojawić na wspólnej kolacji.

Kiedy Bill Newton wrócił, Hermanna już nie było. Pozostali zachowywali się za przykładem Old Firehanda z pozorną 64 swobodą. Newton był przekonany, że nikt tu nie ma pojęcia, jaki los czeka mieszkańców starej misji. Podczas ogólnej rozmowy Old Firehand zapytał przybysza, czy nie zechciałby obejrzeć jeziora i okolicy.

- Nie, dzisiaj nie. Jestem zmęczony długą jazdą i wolałbym raczej odpocząć. Jutro też będzie na to czas.

Po zjedzeniu posiłku Newton-Florin opuścił towarzystwo i po-szedł do swego pokoju.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nim, Will Parker zapytał nie-cierpliwie:

- Powiedział pan, że po kolacji będzie pan już wiedział, co robić dalej. Wie pan to już?
- Yes - skinął głową z zadowoleniem Old Firehand.
- Wielkie nieba! Uważałem na każde słowo, ale nie usłyszałem ani jednej sylaby, z której mogłoby wynikać, że ten typ zna Krwawego Jacka i przyjechał tu w złych zamiarach. Powiedział tylko, że jedzie z Santa Fe i ma zamiar dotrzeć do Teksasu. 'Ib jedyne, co zdradził ze swych zamiarów.
- Jego słowa powiedziały mi jednak więcej - uśmiechnął się Old Firehand. - Czy przyjrzał się pan dokładniej temu człowiekowi? Jego ubraniu, broni? Nic panu nie wpadło w oko?
- Nie.
- Jak pan sądzi, ile czasu potrzebował Krwawy Jack by dotrzeć tu z Santa Fe?
- Myślę, że około jedenastu dni.
- A jak długo, pańskim zdaniem był w drodze ten Newton?
- Czy pan to wie?
- 'Ihk. Czy widział pan jego nóż, gdy jadł? Był nowy, czysty, bez jednej plamki rdzy. Widać było, że jego właściciel używał go najwyżej kilka razy. Jego woreczek z tytoniem był tak wypchany, że nie mógł wypalić więcej niż dwie, trzy fajki.
- Może tak mało pali.

3 -- Dolina śmierci 65

- Wręcz przeciwny, to nałogowy palacz. Stara fajka, która wisiała u jego pasa była tak nadgryziona, jak to bywa tylko u namiętnych palaczy. A czy przyjrzał się pan jego brodzie?
- Chce pan zapytać, czy policzyłem w niej włosy?
- Nie. Newton ma dużą, gęstą brodę, a niektóre z jej włosów rosną mu na górnej części policzka. Właśnie te włosy są krótko przycięte; obciął je najwyżej przed trzema dniami.
- Wielkie nieba! Można się wiele od pana nauczyć.
- Myślę, że ten Newton jeszcze przed trzema dniami był w jakimś miasteczku. Tb mogło być tylko Silver City. A ponieważ Silver City leży na drodze do Prescott, więc sądzę, że ten Newton został wysłany tu przez Walkera, aby spotkać się z Kiwawym Jackiem w lub niedaleko Silver City, by przekazać mu jakąś wiadomość. Co pan o tym sądzi, Samie Hawkens?
- Mały traper siedział przy stole uśmiechając się pod nosem; najwyraźniej ucieszyły go pouczenia udzielone Willowi, temu green-hornowi, jak go nazywał.
- Jest całkowicie pańskiego zdania, mister. Najważniejsze, abyśmy teraz dokładnie obserwowali Newtona, by wiedzieć, eo ma zamiar począć dzisiejszego wieczora.
- Zapytałem go przecież, czy ma zamiar obejrzeć okolicę.
- Odpowiedział, że nie, bo chce odpocząć - przypomniał sobie Will.
- Wiemy więc już wystarczająco dużo.
- Tb znaczy co? Że nie dojdzie dzisiaj do napadu? Jeśli te typy miałyby zamiar przyjechać tu dzisiaj, Newton, o ile do nich należy, z pewnością przeszukałby okolicę, a potem dał im jakiś znak. Nie należy więc się dziś niczego spodziewać.
- Jestem innego zdania, niż pan. Macie jakieś rzemienie czy pęta?
- Old Firehand zwrócił się do Wilkina.
- 'Ihk, wiszą w stajni.
- A siano?

66

- Niezbyt dużo; nie rośnie tu wiele trawy.
- A woda? Przecież nie nosicie jej tu z jeziora.

- Mamy tu w piwnicy studnię. Mnisi, którzy zbudowali tę misję nie zaniedbali niczego, jeśli idzie o ich bezpieczeństwo. No, ale dzieje zbliża się już ku końcowi. Chciałbym, aby gość, na którego czekamy, już przyjechał.

- Gdzie mieszka Newton?

- W piątej celi, licząc od refektarza.

- `Ib drugie okno w bocznej ścianie budynku, nieprawdaż?

- Tak. Dlaczego pan pyta?

- Och, tylko żeby się zorientować!

- Czy nie zechciałby pan, abym i panu wskazał jego pokój?

- Mamy jeszcze na to czas. Pójdziemy dzisiaj trochę później spać niż zazwyczaj. Mamy sobie dużo do powiedzenia. Czy Newton też będzie zawołany na kolację?

- Naturalnie.

- Przypuszczam, że oddali się potem na krótki czas. Wtedy cofniecie wskazówki zegara o tyle minut, ile wam powiem. Kiedy wróci, musicie go uwikłać w rozmowę tak długo, aby przez pewien czas nie pomyślał o tym, aby spojrzeć na zegar.

- Czy mógłbym się dowiedzieć, jaki jest cel tego wszystkiego-go?

- Well, dowie się pan, kiedy dokładnie rozejrzę się po okolicy.

Z tymi słowami Old Firehand wyszedł z refektarza i zszedł do bramy, aby dokładnie zbadać jej zamek. Składał się on z dwóch mocnych poprzecznych rygli, które tylko z trudem można byłoby wyłamać. Potem wyszedł na zewnątrz i ruszył wzdłuż ściany budynku. Ostrożnie wyjrzał zza rogu i zauważył, że Newton wygląda z okna swego pokoju. Dokładnie pod jego oknem rosły gęste krzewy, doskonale nadające się na kryjówkę.

Old Firehand doszedł do wniosku, że widział już wystarczająco dużo i wrócił do budynku misji.

‘I~raz zwiedził wszystkie jego skrzydła, 67 aby dokładnie poznać ich wyposażenie.

Kiedy w koficu znowu wszedł do refektarza, oczy wszystkich obecnych patrzyły na niego w napięciu.

- Czy byłby pan tak dobry i zajął posterunek na korytarzu, aby Newt~n nas nie zaskoczył? - zwrócił się najpierw do młodego Rothe.

Syn leśniczego podniósł się zza stołu i wykonał polecenie trape-ra.

- Well-zaczął Old Firehand. -Posłuchajcie teraz mojej opinii, panowie! Nie potrafię co prawda powiedzieć dokładnie, jak to wszystko ma się odbyć, ale rozejrzałem się na zewnątrz i zauważyłem, że sytuacja jest nad wyraz sprzyjająca zamiarom Newtona. Aby dać znak swym zleceniodawcom, wcale nie musi opuszczać budynku, tylko może to załatwić ze swego okna. Gdyby chciał, mógłby nawet wpuścić do domu całą bandę, nie używając do tego bramy.

- Ma pan na myśli okno? - zapytał Wilkins.

- Oczywiście. Jeśli jest sprytny, to wybierze właśnie tę drogę.

Mnie też byłoby to na rękę, bo w ten sposób moglibyśmy go najłatwiej schwytać na gorącym uczynku. Ale nie ma sensu mówić teraz o tym. Musimy najpierw poczekać, aż Newton nawiąże kontakt z Krwa-wym Jackiem.

- Kiedy może do tego dojść?

- W każdym razie nie przed zapadnięciem zmroku. Do tego czasu będę go podsłuchiwał.

- Podsłuchiwał? W jaki sposób? Gdzie?

- Na zewnątrz, pod jego oknem. Jest tam dużo krzaków nadających się doskonale na kryjówkę.

- A co pan miał na myśli, mówiąc przedtem o zegarze? - przypomniał sobie Sam.

- 'Ib tylko taki mój pomysł. Doszedłem do wniosku, że Newton mógł ustalić z szefem bandy dokładną godzinę napadu; chcę go wtedy przyjąć, podczas gdy Newton nie zrobi tego, zmylony 68 przestawionymi wskazówkami.

- 'Ihk też sobie myślałem. Ib jest naprawdę sprytny pomysł, jakby wyszedł z głowy Sama Hawkensa, hihihhi! Ale kto miałby stanowić komitet powitalny?

- Pan i ja, i może jeszcze co najwyżej Zwinny Jeleń. Pozostali muszą rozmawiać z Newtonem, aby nie zaczął czegoś podejrze-wać.

Przed takim podziałem zadań zaczęli się teraz bronić pozostali, a szczególnie Dick Stone i Will Parker. Old Firehand potrafił jednak przemówić im do rozsądku.

W tym czasie zapadł już zmierzch. W refektarzu zapalono światła, a potem wniesiono na stół wielkie porcje pieczonego mięsa. Old Firehand poczekał do chwili pojawienia się Newtona, a potem oddalił się pod pozorem jakiejś wymówki. Udał się przed budynek misji, a potem poszedł aż pod okno wywiadowcy Ktwa-wego Jacka. W rosnących pod nim krzakach wyciął kilka gałęzi, tworząc w ten sposób kryjówkę dla siebie. Obcięte gałęzie ukrył, aby nie zauważyło ich żadne niepowołane oko.

Potem wrócił do budynku i dołączył do reszty towarzystwa. Wszyscy byli w wesołym nastroju, aczkolwiek dało się wyczuć pewne skrepowanie.

Świeże powietrze wpływało do refektarza przez otwarte okna i słychać też było wszystkie odgłosy nocnej przyrody. Bardzo szybko Old Firehand zauważył wzrastający, z trudem tylko sktywany niepokój Newtona. Był to pewny znak, że czeka na kogoś i niebawem będzie starał się oddalić od reszty towarzystwa. Zanim jednak do tego dojdzie, westman musiał się ukryć w swojej kryjówce, w przeciwnym bowiem przypadku Newton mógłby go zauważyć ze swego okna. Old Firehand wyszedł z refektarza.

Teraz, gdy zapadł już wieczór, a wróg znajdował się gdzieś bardzo blisko, nie można było zostawiać otwartej bramy. Old Firehand zabrał więc ze sobą starą Indiankę i lcazał zamknąć za sobą bramę;

69 miała przy niej czekać do chwili, gdy zapuka, aby mu znowu otworzyć. Potem skradając się, poszedł za róg, wsunął się w zarośla i usiadł pod murem.

Zrobił to w odpowiedniej chwili. Niebawem usłyszał bowiem głośnie kumkanie żaby. WyGwiczone ucho Old Firehanda natychmiast odróżniło, że głos ten wyszedł z ludzkiego gardła. Zaciekawiony, jak odpowie na to Newton, spojrział w górę. Zwiadowca nie mógł odpowiedzieć ludzkim głosem, gdyż natychmiast zwróci-łoby to uwagę.

Old Firehand miał rację. Gdy kumkanie rozległo się po raz drugi, w oknie rozbłysł na moment ogienek.

W ten sposób Newton pokazał, gdzie się znajduje. Po kilku sekundach pod mur podeszła, skradając się, jakaś ciem-na postać.

Mężczyzna stał tak blisko Old Firehanda, że westman mógł go niemal dotknąć.

- Psst! - syknął mężczyzna.

- Kto tam? - zapytał Newton.

- 'Ib ja, Jack we własnej osobie. Jak wyglądają sprawy?

- Dobrze i niedobrze, zależy jak na to patrzeć.

- Dlaczego?

- Dobrze, bo nie musimy obawiać się Indian, a niedobrze, ponieważ do misji przybyli biali myśliwi.

- Ilu ich jest?

- Sześciu i dwie kobiety.
- Jakież znane nazwiska?
- 'I-k; Sam Hawkens ze swoimi przyjaciółmi.
- To doskonale! Jest mi to bardzo na rękę! Będę się mógł wreszcie porachować z tym typem! Kto jeszcze?
- Jakiś obcy, który jednak zna mnie z dawnych czasów, no i jeszcze ta czwórka, której by pan się tu nawet nie spodziewał, Rothe z synem, żoną i szwagierką.
- Do diabła! Jak to możliwe?
- Spotkał ich Sam Hawkens i pxyzprowadził tutaj. Nie wiem jednak, d~acie~o.
- Musi się za tym ukrywać jakieś łotrstwo.
- Chyba nie, inaczej bym to zauważył. Nikt z nich nie ma pojęcia o tym, co zamierzamy.
- Miejmy nadzieję. I kto jeszcze?
- Paloma, jej ojciec i stara Indianka, jako odźwierna.
- Doskonale. Damy sobie z nimi radę. Dobrze zrobiłem, że to ciebie wysłałem na zwiady! Gdybym posłał kogoś innego, ten prze-klęty Niemiec by go rozpoznał. Czy możesz otworzyć bramę?
- Nie. Rzuciłoby się to natychmiast w oczy. Lepiej będzie, jeśli wejdziecie wszyscy przez to okno. Gdy znajdziecie się już w moim pokoju, wyjdę i stanę tak, aby tamci nie mogli złapać za broń.
- Zgoda. Już się cieszę na myśl o spotkaniu z małym Samem i tymi dwoma chudzielcami. Zb właśnie oni chcieli nas wtedy posłać na szubienicę. Kiedy więc zaczynamy?
- Jakie jest pańskie zdanie?
- Byle nie za późno. W pzzeciwnym razie może nas wypzdedzić tych trzystu Marikopasów, z powodu których Walker wysłał cię do mnie. Chcą napaść na misję, zaprowadzić wszystkich mieszkań-ców pod pal męczarni i zabrać nagromadzone w misji skarby Ko-manczów i Apaczów. Jeśli się pośpieszą, dotrą tu j už jutro w południe. Do tego czasu musimy załatwić całą robotę. Czy mówiono coś o skarbach, które się tu znajdują?
- Ani słowa.
- Nie chcieli się zdradzić. Ale będę obcinał każdemu po kawał-ku palca, aż powiedzą, gdzie one są. Nie możemy więc czekać dłużej niż do północy.
- Dobrze! Będę przy oknie dokładniej o dwunastej.
- Musisz spróbować cały czas być z nimi, aby się przed-wcześnie nie rozeszli. Gdyby jednak ktoś poszedł do swego pokoju i zabrał ze sobą brofi, robota będzie trudniejsza. Naturalnie, siedząc z nimi, nie będziesz mógł wyjść, by po gwiazdach sprawdzić, która godzina.
- 'Ib wcale nie jest konieczne. 'Idm, gdzie siedzimy, jest piękny, stary zegar. Tiwdno go nie zauważyć.
- No, to byłoby wszystko. Chyba że masz mi jeszcze coś do powiedzenia?
- Nie; chociaż może jednak... tak, to chyba ważne. Czy wie pan, kim jest ojciec Palomy? Może miał już pan z nim do czynienia. Nazywa się Wilkins.
- Do stu diabłów! Z Wilkinsfield?
- Tego nie wiem. Dowiedziałem się tylko podsłuchując, że musiał uciekać z Wilkinsfield z powodu jakiejś zemsty i szukał przez długi czas kogoś po całym Dzikim Zachodzie.
- Wielkie nieba! Ib on! Doskonale! A więc nasza zdobycz tutaj będzie cenniejsza, aniżeli się spodziewałem. Dla pewności zosta-niesz jeszcze chwilę przy oknie i będziesz uważał, czy nic się tu nie dzieje. Za dziesięć minut zakumkam znowu, a ty odpowiesz mi og-niem, jeśli wszystko będzie w porządku; jeśli nie będzie odpowiedzi, znaczy, że grozi nam jakieś niebezpieczefstwo. Powiedziawszy to, Knwawy Jack odszedł.

Old Firehand musiał się pośpieszyć, aby zdążyć do refektarza przed Newtonem. Był wystarczająco zwinny, aby nie spowodować przy tym żadnego szmeru. Poczołgał się więc wzdłuż muru i podniósł się dopiero za rogiem budynku.

Przy bramie stała jakaś wysoka postać.

- Mój biały brat był na zwiadach - szepnęła postać. - Czy słyszał słowa tego łotra?

-1' ak.

- Winnetou śledził go aż do tego miejsca i wejdzie do misji razem z Old Firehandem. Niech biały brat mnie prowadzi!

- Dobrze, zaprowadzę cię do pokoju, w którym jest zwinny

72

Jeleń. Newtón nie może cię zobaczyć.

Wódz przechylił nieco głowę. Był to

którego imię znano wszędzie, przv c

salonach, w domach biedaków i pałacach bogaczy. Na pukanie Old Firehanda, stara Indianka otworzyła oczy zalśniły, kiedy zobaczyła wielkiego wojownika. 'Ii~aper zaprowadził Winnetou do celi, w której Zwinny Jeleń, a sam poszedł potem do refektarza.

bramę; jej

przebywał

- Cofnąć zegar o godzinę! - nakazał wchodząc Wilkinsowi.

- Jak wyglądają sprawy? - zapytał w napięciu Sam.

- Wszystko w najlepszym porządku..

- Kiedy nastąpi napad?

- O północy.

- Pozostajemy przy naszych ustaleniach?

- 'Pdk. Pan pójdzie ze mną, aby powitać te typy. Wszystko rozegra się bardzo szybko, jako że przybył tutaj i Winnetou!

- Winnetou?

Tb imię znalazło się na ustach wszystkich.

- Cisz! - rozkazał Old Firehand. - W każdej chwili może powrócić Newton.

Zaledwie wypowiedział to zdanie, na zewnątrz rozległo się kum-kanie żaby, a w kilkanaście sekund później Newton wszedł do refe-ktarza.

Rozpoczęła się wieczorna rozmowa, jedna z tych, jakie zwykli prowadzić ze sobą traperzy przy ognisku czy farmerzy mieszkający w bezludnej okolicy. Ludzie prerii są milczący na skutek jedno-stajności swego życia; tym bardziej jednak lubią rozmawiać, kiedy los zetknie ich ze sobą przy ognisku, albo przy stole. Wtedy opowieści ciągną się bez końca, a mężczyźni, którzy zazwyczaj o zachodzie słońca zawijają się w swoje derki i zasypiają, snują opowieści o swych i cudzych przygodach aż do świtu.

'Pdkże i tutaj opowiadano sobie o przygodach przeżytych

Winnetou, wódz Apaczów,

iniskach na prerii, jak i w

73

podczas polowafi. Kiedy wskazówki zegara pokazały za pięć jede-nastą, w rzeczywistości zaś była za pięć dwunasta, Old Firehand rzucił krótkie spojrzenie na Sama i wyszedł z sali. Mały traper poszedł jego śladem po kilku chwilach; Newton nie zwrócił uwagi na jego odejście. Obaj traperzy zeszli na dziedziniec, gdzie czekali już na nich Winnetou i Zwinny Jelefi. Apacz w milczeniu podał dłofi Samowi.

- 'Pdk więc bandyci dostaną się do środka przez okno - powiedział Sam. - Jak podzielimy się robotą?

Winnetou milczał. Jego szlachetna, niczym odlana w brązie twarz ani drgnęła.

- Zwinny Jelefi zatroszczył się o rzemienie i kneble - odpowiedział zamiast niego młody Indianin.

- Wszystko pójdzie bar-ł 7 dzo szybko. Mój wielki brat, Firehand, stanie przy oknie~ Winnetou będzie chwycił każdego kto przez nie we dzie Sam Hawkens i

, 1 ,

Zwinny Jelefi będą ich wiązać i natychmiast wynosić do sąsiedniej izby.

- Well! - zaczął naciskać Old Firehand. - Nie mamy czasu do stracenia!

a, h.,',

Winnetou

Bezszelestnie wśliznęli się do izby Newtona. Znajdujące się na-przeciwko drzwi zostały już teraz na wszelki wypadek otwarte.

Nastąpiło pełne napięcia oczekiwanie:

Po krótkiej chwili Winnetou uniósł głowę.

- Psst! - syknął ktoś cicho na zewnątrz.

Old Firehand dyskretnie wyjrzał przez okno. Na dole stał jakiś mężczyzna.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

-`lak.

Rozległo się kolejne syknięcie, tym razem skierowane do tyłu i pod ścianą pojawiła się bezszelestnie grupa cieni.

- Zrzućcie lasso! - rozkazał Krwawy Jack.

Old Firehand zrzucił linę, po czym wyciągnął ją za chwilę wraz z trzema innymi i umocował je na haku wbitym w ścianę pokoju. Cztery związane ze sobą lassa były wystarczająco mocne, aby można się było po nich wspiąć.

Pierwszy zaczął się wspinać Jack; po chwili sprawnie przesko-czył parapet okna.

- A więc pierwszy krok ku złotu i zemście mamy za sobą! - pawiedział z zadowoleniem wchodząc do wnętrza pogrążonej w ciemnościach izby. Old Firehand zacisnął ręce na szyi nic nie spodziewającemu się, zanim ten zdążył się odwrócić. Zrobił to tak mocno, że przerażony śmiertelnie bandyta co prawda otworzył szeroko usta, ale nie był w stanie wydać z siebie dźwięku. Wsuniecie knebla do ust i związanie rzemieniem rąk i nóg trvwało w wykonaniu naszej czwórki tylko kilka sekund.

W ten sam sposób zostali powitani wszyscy pozostali, z wyjąt-kiem jednego, ostatniego bandyty. Żaden z nich nie zabrał ze sobą swej strzelby.

Dopiero po chwili ostatni z rabusiów zawołał z dołu zduszonym głosem:

- A teraz strzelby! Zwiążę je wszystkie lassem.

Brofi została wciągnięta, a za moment, jej śladem, znalazł się na górze ostatni z bandytów, którego spotkał ten sam los, co pozosta-łych.

Dopiero teraz Zwinny Jelefi wniósł do pokoju lampę, aby można było obejrzeć jeficów.

Krwawy Jack patrzył na czterech traperów wzrokiem pełnym wściekłości.

- Jestem Old Firehand - odezwał się spokojnie myśliwy - a tu, obok mnie, widzicie Winnetou i Sama Hawkensa. Zostaniecie potra-ktowani dokładnie tak samo, jak chcieliście potraktować miesz-

kaficów tego domu. Wasz los jest przypieczętowany. Nie zabijemy was wprawdzie, ale oddamy za to w ręce zbliżających się do misji Marikopasów.

Krwawy Jack drgnął; zamknął oczy, jak gdyby nie chciał widzieć tego, co go czeka.

Old Firehand pozostawił jeńców pod strażą swych towarzyszy i wyszedł z izby. Kiedy wrócił na dół do reszty towarzystwa, było tuż po wpół do dwunastej; na pojmanie bandytów traperzy potrzebowali więc zaledwie pół godziny.

W czasie nieobecności Old Firehanda, Newton był wypytywany o swoje przeżycia w Irirji. Odpowiadał na pytania plotąc, co mu tylko 76 ślina przyniosła na język. Kiedy Old Firehand wszedł do refektarza, opowiadał właśnie o najdziwniejszych znajomościach, jakie zawarł na Bliskim Wschodzie.

- Czy poznał pan tam także i obcokrajowców? - wpadł mu w słowo traper.

- Nawet wielu.

- Czy poznał pan może również sir Dawida Lindsaya?

- Lindsaya? - zakrztusił się Newton. - Nnie!

- A Normanna i Wallerta?

- Iż nie.

- A czy zna pan Ibrahima Beja?

- Słyszałem to nazwisko.

Bładość twarzy Newtona ustąpiła płonącej czeni.

- A czy zna pan niejaką Cykimę i Czitę?

- Wymienia pan wiele nazwisk, - usiłował się opanować Newton

- których nigdy w życiu nie słyszałem.

- Muszę panu powiedzieć, że skok od derwisza do trapera jest tak wielką zmianą, z jaką się jeszcze nigdy nie spotkałem!

- Derwisza?!

- Wystarczy już, przyjacielu! Wie pan równie dobrze, jak ja, że był pan poprzednio derwiszem.

Znam pańskie postęпки i nie mogę sobie wyobrazić, w jaki sposób udało się panu ująć z Tlinisu, gdzie był pan przecież oskarżony o próbę zabójstwa Mohammeda es Sadoka! Newton stwierdził, że jedynym jego ratunkiem jest bezczelność. Uderzył więc pięścią w stół.

- Do diabła! - ryknął wściekle. - Dość tego! Ja miałbym być derwiszem i do tego mordercą? Jeśli pan to jeszcze raz powtórzy, mister Winter, będzie pan miał ze mną do czynienia!

- Już mam z panem do czynienia i na dodatek, szybko się z panem zaraz załatwię! Czy byłby pan tak uprzejmy, mister Wilkins, i sprowadził tu naszego drugiego gościa? Wie pan, o kogo mi idzie. Hermann oczywiście czekał gotów na wezwanie i natychmiast wszedł do refektarza. Oczy byłego kamerdynera i derwisza zniechęciły i zaokrągliły się ze zdumienia. Wyciągnął przed siebie ręce w obronnym geście.

- Do diabła! To przecież efendi Wallert!

Hermannowi nie drgnęła nawet powieka, kiedy mierzył opryszka zimnym spojrzeniem.

- Ty łotrze! - powiedział tylko, a potem przysiadł się do pozostałych.

- No i co pan teraz powie? - roześmiał się Old Firehand. - Ma pan zamiar nadal się wypierać?

Przemilczmy jednak na razie pańskie dawne zasługi i porozmawiajmy o tym, co pan zrobił tutaj, w Ame-ryce!

- Jestem bardzo ciekaw! - wykrzyknął ironicznie Newton. - Nie mam pojęcia o jakich zasługach pan mówi - jego wzrok powędrował w kierunku starego, drewnianego zegara.

- Nie? Wobec tego przeżyjemy coś nader ciekawego. I to dokładnie o północy! Brakuje jeszcze tylko dziesięciu minut. Najwyższy więc czas, aby udał się pan do swojej izby i pomógł dostać się do środka misji Krwawemu Jackowi i jego ludziom.

- Ib kłamstwo! - wykrzyknął Newton orientując się, że znika jego ostatnia nadzieja na ratunek. Jedyna szansa leżała teraz w ucieczce, której próbę musiał podjąć, nawet gdyby trzeba było torować sobie drogę nożem.

Old Firehand chciał mu odciąć drogę ucieczki, zauważył jednak, że drzwi do refektarza uchyliły się odrobinę, a w szparze pojawiło się czyjeś oko. Newton-Florin nie miał szansy na ucieczkę.

- On nazywa to kłamstwem! - odezwał się Will Parker. - Niech mu pan dowiedzie, że to prawda, mister Firehand!

- Czy nie wyglądał pan przedtem przez okno i nie omawiał całego planu z Krwawym Jackiem? Siedziałem tuż obok na dole i wszystko słyszałem...

W tym momencie traper musiał przerwać. Newton nie wiedział

że człowiek, którego znał pod nazwiskiem Winter, na Dzikim Zachodzie używa imienia Old Firehanda. O człowieku noszącym to nazwisko słyszał już bowiem zbyt dużo, by nie obawiać się z jego strony najgorszego. Dlatego też wykonał nagły skok, aby dotrzeć do wyjścia. Natychmiast jednak zatrzymał się jak wryty. W tej bowiem sekundzie w refektarzu pojawił się niespodziewanie Winnetou. Równocześnie Old Firehand złapał nadgarstek Newtona z taką siłą, że ten aż krzyknął z bólu i wypuścił trzymany w rękę nóż.

- Chcesz jeszcze kłamać, ty łotrze? - wykrzyknął do niego.

- Jestem niewinny! - zawołał Newton. Jego wymówka opierała się na tym; że nie było go w oknie i z tego powodu bandyci nie mogli się dostać do wnętrza misji; w związku z czym nic nie będzie mu można udowodnić.

- Zaraz sprawdzimy, jak to jest z tą twoją niewinnością. Niech pan będzie tak dobry, mister Stone, i zwiąże go lassem tak, aby nie mógł poruszać rękoma.

- Z przyjemnością, sir!

‘i:

Newton na próżno sprzeciwiał się temu poleceniu.

- ‘I~raz weźcie go między siebie i idźcie za Winnetou - polecił pozostałym mężczyznom Old Firehand. - Zaprowadzi on was tam, gdzie naocznie będziecie mogli stwierdzić winę tego łotra.

- Winnetou! - zawołał zaskoczony Wilkins. Także i niemie emigranci patrzyli zaskoczeni na le endarne o Indianina. g g

- ‘Idk jest, panowie. Macie oto wielkie szczęście poznać naj-słynniejszego na całym Dzikim Zachodzie wodza indiafiskiego.

Są ludzie, którzy już w pierwszej chwili potrafią wyrzeć na innych głębokie, niezamierzone wrażenie. ‘Pdkim człowiekiem był właśnie ‘

p

Winnetou.

i~

Miał na sobie, doskonale wygarbowaną myśliwską bluzę z białej skóry wyszywaną czerwonym, indiafiskim haftem. Jego legginsy były uszyte z tego samego materiału co bluza i ozdobione grubymi frędzlami. Jego stopy tkwiły w wyszywanych perłami mokasynach, ozdobionych na dodatek szczecina jeżozwierza. Na szyi nosił ko-sztowną fajkę pokoju i potrójny naszyjnik

pazurów niedźwiedzia grizzly. Biodra miał obwiązane szerokim pasem, zza którego wystawały rękojeści dwóch rewolwerów i myśliwskiego noża. Nie nosił żadnego nakrycia głowy. Jego długie, gęste, niebieskawo połyskujące czarne włosy związane były wyprawioną skórką grzechotnika w kok w kształcie hełmu. Mimo iż w jego włosach nie było zatknięte żadne orle pióro, od razu, na pierwszy rzut oka, widać było, że ten Indianin jest wodzem i to bardzo znacznym. Lewą ręką trzymał lufę swej strzelby, której drewniane części nabijane były srebrnymi gwoździami. Była to owa słynna srebrna rusznica, temat rozmów przy wielu ogniskach na prerii.

Kiedy Winnetou zauważył skierowane na siebie spojrzenia obcych, podał każdemu rękę, uprzejmie, ale w milczeniu. Dopiero kiedy witał się z Dickiem i Willem, po jego pełnej powagi twarzy przemknął się nieznaczny uśmiech.

- Ułynęło już wiele księżyców, kiedy Winnetou ostatni raz widział obu itseh. Winnetou bardzo się cieszy, że ich drogi znowu się skrzyżowały.

Obaj wysocy westmani byli nader uszczęśliwieni słysząc te słowa.

Nie znali jednak narzecza Apaczy na tyle, by zrozumieć słowo itseh. Dlatego też Will Parker zwrócił się o jego przetłumaczenie do Old Firehanda.

-Itseh? Nie znamy tego słowa. Co ono oznacza?
Traper roześmiał się.

-Itseh znaczy tyle co drwal. Zaraz się pan dowie, mister Parker, dlaczego tutejsi Apacze tak was nazywają.

- Na Boga! Wcale o tym nie wiedzieliśmy, że tak nas zwa. Co na to powiesz, Dick?
80

- Jeśli tak nas nazywają - odparł z pewną siebie miną Stone ~ to musimy być chyba bardzo znanymi westmanami!

- Jeśli mam być szczery - wtrącił się Old Firehand - to jesteście bardziej znani, niż myślicie.

- Hihihhi! - rozległ się spod drzwi piskliwy śmiech Sama Hawkensa. - Drwale! A niech mnie poźre borsuk, jeśli to nie jest najśmieszniejsze imię, jakie kiedykolwiek słyszałem, jeśli się nie mylę!

- Milcz, stara sowo! - skarcił go Will. - I nie denerwuj nas! My mamy przynajmniej jakieś wojenne imię. Drwale czy maczugi, lub też tomahawki! Czy możesz powiedzieć to samo o sobie?

- Przestańcie z tymi wojennymi imionami! Jeśli je słyszę i widzę na dodatek wasze postaci, to chce mi się płakać z żalu i tęsknoty.

- No, no, mister Hawkens! - pomógł obu chudzielcom Old Firehand. - Niech pan nie będzie dla nich tak niesprawiedliwy, w przeciwnym razie to ja będę niedelikatny i zdradzę, jakie piękne przezwisko nadali panu Indianie Chiricahua.

- Co? 'Ib Sam też ma przezwisko? - zawołał Wili Parker. - Niech je nam pan powie!

- 'Idk! Musimy się go dowiedzieć - zawtórował mu Dick. - Niech pan je nam zdradzi, bo nazwę pana tchórzem, który obawia się powiedzieć nam, jak brzmi wojenne zawołanie Sama Hawkensa!

- Skoco ~an mi gozi - uśmiechnął się Old Firehand - to muszę podporządkować się waszej woli.

- A więc? - zapytał w napięciu Will.

- Jak nazywają Sama Indianie? - przyłączył się do niego Dick.

- Czy to godne imię? - chcieli się dowiedzieć inni.

- Nie. Wasz przyjaciel jest nazywany przez Chiricahua cziko-F nem.

-Czikonem? - powtórzył potrząsając głową Will. - W życiu nie słyszałem tego słowa.

- Wierzę panu. Tb słowo należy również do narzecza Apaczy.

81

- A co oznacza?
- Tyle co świecący nos.

Obaj chudzielcy roześmieli się głośno pełni złośliwej satysfakcji. Sam gwałtownie dotknął palcami nosa, jak gdyby chciał sprawdzić, czy zasłużył na to przezwisko. 'I-n mimowolny ruch wywołał jednak ogólną wesołość także i u pozostałych.

Wśród ludzi dobrze wychowanych niestosownym jest naśmiewać się z ułomności innych; jednakże mieszkańcy Dzikiego Zachodu są ludźmi rubasznymi, którzy słuchając wytwornego dowcipu nawet nie skrzywiliby ust w uśmiechu. Nikt nikomu nie bierze za złe takich kpin czy żartów, pod warunkiem oczywiście, że nie padną one z ust człowieka nielubianego. Każdy na Dzikim Zachodzie chętnie śmieje się z siebie samego.

Podobnie było i w tym przypadku. Ukryte w gęstwie włosów usta małego trapera otwarły się w szerokim uśmiechu.

- Ci Apacze to piekielne draby! - mruknął wesoło. - Mówiąc między nami, to dobry nos jest na Dzikim Zachodzie rzeczą naj-ważniejszą. Nie macie się więc czego śmiać. - A wy, greenhorny!
- zwrócił się do Rothego i jego syna: - Macie chyba do tego najmniej powodów, bowiem nigdy nie zdobędziecie tu sławy, czy to z powodu waszych nosów, czy też waszej zręczności w gubieniu koców i dolarów! Zapytajcie wasze damy, czy Sam Hawkens nie ma racji!

Jego słowa wzmogły tylko ogólną wesołość. Śmiejąc się, wszyscy ruszyli za Winnetou w kierunku izby strzeżonej przez Zwinnego Jelenia.

Krwawy Jack i jego towarzysze znajdowali się w godnej pożałowania sytuacji. Zgodnie z prawem prerii nie mogli oczekiwać niczego innego, jak tylko śmierci.

- 'I- łotry są teraz w pafskim domu - powiedział Sam Hawkens do Wilkinsa. - Chcieli napaść na pana. 'Pdk więc to pan ma pierwszy prawo decyzji, co ma się z nimi stać. ,

82

Wilkins spojrzał na Old Firehanda.

- Co pan o tym sądzi, sir?
- Moim zdaniem, nie powinien się pan spieszyć z decyzją. Czy nie ma tu jakiegoś pomieszczenia, w którym moglibyśmy zamknąć tych drabów?
- Jest nawet wiele takich pomieszczeń! Budowniczy tej misji mieli za wrogów wszystkich okolicznych Indian, stąd też musieli być przygotowani na walkę i obronę. Zatrzaszczyli się więc też o pomieszczenia dla jeficów, które i dzisiaj są w dobrym stanie; wszystkie znajdują się w piwnicach.
- Tb dobrze. 'lak więc zapewnimy temu szanownemu towarzy-stwu schronienie w pafiskich piwnicach: Jednego z nich jednakże zabierzemy ze sobą; chcę, aby należał do mnie.
- Ma pan na myśli Newtona?
- 'Pdk. Ma pan dla niego jakieś specjalne pomieszczenie?
- Jakie tylko pan sobie życzy: małe, duże, wysokie, niskie, suche lub wilgotne.
- Nie bądźmy znowu tacy mili dla tych gentlemanów - wtrącił się Sam. - Przeznaczmy dla nich najniższą i najbardziej wilgotną celę. Chcieli, aby było nam gorąco, więc dostarczymy im trochę chłodu. A jeśli idzie o wyżywienie, proponuję, by dostali ostrygi, trutle i szampana, ile tylko dusza zapagnie, hihihhi! Przedtem jednak chciałbym zamienić słówko z Jackiem.

Sam Hawkens pochylił się i wyjął knebel z ust bandyty.

- Poznajesz mnie?

Krwawy Jack milczał.

- Jestem przyzwyczajony, że się odpowiada, gdy pytam! Jeśli mi więc nie odpowiesz, pomogę ci odnaleźć język. A więc odpowiadaj! Poznajesz mnie? - zapytał jeszcze raz, a potem odwiązał od biodra lasso i złożył je kilkakrotnie.

- 'l'dk - odparł pośpiesznie Jack.

- Doskonale. Kim więc jestem?

83

- Sam Hawkens - wycedził przez zęby bandyta.

- 'Pdk, a tych dwóch gentlemanów to Dick Stone i Will Parker, twoi starzy znajomi z Wilkinsfield, nieprawdaż? Przyjechali-ście tu, aby zdobyć skarby?

- Nie. Jesteśmy teraz uczciwymi ludźmi i chcieliśmy tylko prosić o nocleg.

- I dlatego weszliście do wewnątrz przez okno? Tb szlachetny sposób proszenia o nocleg! Mówisz więc, że jesteście teraz uczciwy-mi ludźmi? Doskonale! Ciekawe, co powie na to mister Rothe!

- To był tylko żart.

- Oho, tylko żart! - wykrzyknął gniewnie Rothe. - Czy to dla żartu wystawia się ludzi na śmierć głodową? Czy dla żartu zabiera się im ich pieniądze i cały majątek? Jeśli tak, to także i karę, której nie unikniecie, powinniście potraktować tylko jako żart! Nawiasem mó-wiać, nie sądźcie, że znalazłem się tutaj przypadkowo. Old Firehand znał waszą kryjówkę i zdradził ją nam. Byliśmy w wąwozie przy wozach i spalili~my je. Znaleźliśmy także pieniądze zakopane przy tylnym, lewym kole pierwszego z wozów.

- Do diabła! - wyrwało się Krwawemu Jackowi.

- A obaj strażnicy, których tam pozostawiliście, zostali już uka- ' rani. Potem przyjechaliśmy tutaj, aby świętować ponowne spotkanie z wami. Mam nadzieję, że bardzo się z tego powodu cieszyacie.

- Ztroszczę się oto, aby byli zadowoleni z tego powodu - wtrącił się Sam. - Jak to jest właściwie, mister Jack: czy nie zna pan przypadkiem gentlemana, który zwie się Walker? Podobno mieszka w Prescott?

- Nie znam tego człowieka.

- Nie zna go pan, a mimo to przyjmuje przysłanego przezefi umyślnego? Ió bardzo dziwne!

- Nie wiem nic o żadnym umyślnym.

- 'Ib znaczy, że ten oto mister Newton nie został przez niego wysłany dó pana?

84

- Nie.

- Wiem coś innego na ten temat. Tymi kłamstwami pogorszacie tylko swoją sytuację. Jak pan sądzi, mister Wilkins, chyba zamknie-my ich na razie, aby się zastanowili, czy nie powinni być bardziej rozmowni?

- 'Ihk jest - odparł zamiast Wilkinsa Old Firehand. - Przed-tem jednak chciałbym obejrzeć ich cele.

Wilkins przyniósł światło i klucze, a potem poprowadził trapera do piwnic. W podziemiach, za mocnymi drzwiami, znajdowało się wiele różnych co do wielkości i wysokości pomieszczeń, których ściany zbudowane zostały z wielkich głazów. Ich obite żelazem drzwi z góry uniemożliwały jakąkolwiek próbę ucieczki. Najniższe pomieszczenie przypominało loch, w którym po-jedynczy człowiek mógł tylko siedzieć.

- 'l'd cela przeznaczona będzie dla Newtona - zdecydował Old Firehand. - Zalecam panu zachowanie wobec niego szczególnej ostrożności i surowości. Nie może za żadną cenę zbiec. Chodźmy jednak dalej i zobaczymy cele dla innych.

Wilkins otworzył kilkoro drzwi, a traper sprawdził za każdym

razem sklepienia pomieszczeń. Wznosiły się one wszędzie wysoko i były zbudowane wyłącznie z litego kamienia. W chybliwym świetle lampy traper zauważył pośrodku jednego ze sklepień mały otwór,

- Czy służy on do wentylacji?

- 'Pdk; ma jednak jeszcze inny cel. 'I~n kanał prowadzi do małego pomieszczenia na parterze misji. Jest tam przykryty kamieniem. Gdy go podnieść i przyłożyć ucho, słychać wtedy każde słowo, jakie zostanie tutaj wypowiedziane.

- 'Ib doskonale. Łatwo będziemy mogli się więc dowiedzieć to, czego nam nie powiedzą otwarcie. Właściwie chciałem, aby Newtona zamknięto osobno; teraz jednak chcę się przede wszystkim dowiedzieć, gdzie mogą znaleźć Walkera, który go wysłał do

85

Krwawego Jacka. Jeśli więc zamknijemy Newtona razem z pozostałymi, będą z pewnością o tym rozmawiać. Aby nie dowiedzieli się, gdzie zostaną zamknięci, przyprowadzimy ich tu z zawiązanymi oczyma. Któryś z nas będzie musiał jednak już ich w tym momencie podsłuchiwać. Każę zrobić to długiemu Dickowi.

Obejrzawszy piwnice Old Firehand i Wilkins ponownie wyszli na górę. Sam Hawkens ciągle jeszcze wypytywał jeficów. Chciał się właśnie dowiedzieć, gdzie pozostawili swoje konie; oni jednakże milczeli uparcie.

Winnetou, który do tej chwili nie wypowiedział ani jednego słowa, położył teraz rękę na ramieniu Sama Hawkensa.

- Niech mój biały brat oszczędzi swego głosu - powiedział z ledwie dostrzegalnym uśmiechem. - Winnetou śledził ich i wie wszystko. Zostawili swe konie pod opieką jednego człowieka przy czterech cedrach rosnących po tamtej stronie skalnej krawędzi... Dick Stone został wysłany na swe stanowisko, by podsłuchiwać więźniów. Odsunął kamień, położył się na podłodze i przytknął ucho do otworu. W tym momencie bandyci zostali wprowadzeni do celi i zamknięci.

Po niedługim czasie Will Parker przyprowadził konie bandytów, razem z człowiekiem, który miał ich pilnować. Zamknięto go razem z pozostałymi.

Wilkins sądził, że po uwięzieniu Krwawego Jacka i jego bandy, całe niebezpieczeństwo grożące mieszkańcom misji już minęło. Przeraził się więc nie na żarty, kiedy usłyszał od Old Firehanda o zbliżaniu się trzystu wojowników z plemienia Marikopasów.

- Czego oni od nas chcą? - zapytał Sam Hawkens.

- Dwóch rzeczy - odparł Old Firehand. - Po pierwsze planują napad na Leśną Gołębicę, po drugie zaś mają zamiar zdobyć skarby znajdujące się nad Błękitną Wodą... - po chwili zapytał: - Nawiasem mówiąc, mister Wilkins, ludzie dużo mówią o tych skarbach. Ile w tym jest prawdy?

86

- Niewiele - odpowiedział wymijająco Wilkins. - Niech więc nasi czerwoni bracia przyjeżdżają i zabiorą to, czego nie ma. Winnetou uniósł głowę.

- Marikopasowie wyszli jak szczury ze swych dziur, ale Winnetou bez trudu ich odpędzi. Wyjedzie im naprzeciw, by dowiedzieć się, gdzie jest ich obóz. Łatwo będzie obliczyć, skąd przyjadą wrogowie, którzy mieszkają na północnym brzegu Rio Gila. My tutaj znajdujemy się na wschód od głównego nurtu rzeki i sądzę, że Marikopasi trzymać się będą północnego brzegu Rio Gila. Ale na tej drodze leży Silver City, w którym nie mogą się pokazać.

-Jeśli tak, to musieliby przejeżdżać przez Fort West, gdzie gorąco by ich przywitano - wpadł mu w słowo Sam Hawkens.

- Tego oczywiście nie zrobią. Zostawią fort po lewej ręce i przejadą środkiem, między fortem a miastem.

- Jednak sam słyszałem z ust Krwawego Jacka, że Marikopaso-wie mają zamiar pojawić się tu już jutro w południe - zauważył Old Firehand. - Nie są więc oddaleni od nas więcej, jak o jeden dzieńni marszu. Czy ich obóz znajduje się wobec tego gdzieś w pobliżu, mister Sam?

- Na pewno nie.

- A może gdzieś niedaleko Silver City i Fort West?

- Póki nie. Obozuja gdzieś dalej.

- A kiedy przejadą między tymi miejscowościami?

- Dzisiaj, kiedy się ściemni. Mówię dzisiaj, bowiem minęła już północ.

- Jestem całkowicie pafiskiego zdania. Czyli aż do zmierzchu pozostaną za linią łączącą Fort West i Silver City. Czy zna pan tę okolicę, mister Sam?

- Dość niezłe, jeśli się nie mylę.

- Czy za Silver City Rio Gila nie skręca bardzo szerokim łukiem w kierunku na zachód? Rzeka jest w tym miejscu bardzo płytka i wąska i można ją łatwo pokonać w bród. Woda sięga koniom zaledwie po brzuch, a oba brzegi rzeki porośnięte są gęstym lasem. Pełno tam trzciny i zarośli, a do tego trawy wystarczającej dla wielu koni. 'Ib tam z pewnością czerwonoskórzy rozbili swój obóz.

- Nie ma lepszej kryjówki od tego miejsca! Pośrodku puszczy, chronieni z przodu przez rzekę, czują się tam z pewnością tak pewnie, jak na łonie Abrahama. 'I'dm i nigdzie indziej będziemy ich szukać. I zapewne znajdziemy. Jeden z nas musi tam pojechać, by to sprawdzić. Kto?

- Winnetou - odparł spokojnym tonem wódz Apaczy. '

- Ja też - dodał Sam.

- Winnetou pojedzie sam. Jeśli Sam Hawkens chce się wybrać na zwiady, niech to uczyni. Powinien mu towarzyszyć Old Fire-hand.

- A ja? - wtrącił się Will Parker. - Czy mam tu zostać?

- 'Ink - zdecydował Sam. - Nie musi jechać z nami połowa ludzkości. Zatrósz się trochę o siebie, chudzielcu! Poza tym, twoim zadaniem będzie ochrona misji i Leśnej Gołębic. W tym momencie niespodziewany opór stawiał młody Indianin.

- Palomy będzie strzegł Zwinny Jełefi. Nie potrzebuje do tego drugiego człowieka. Z jego słów biła pełna zazdrości duma.

- Do misji zbliża się wielu wrogów - powiedział swym dźwięcznym głosem Winnetou. - Do obrony potrzebne będzie każde silne, męskie ramię. Nasi biali przyjaciele powinni strzec tego domu. Winnetou wyjedza teraz i ruszy na północ, by minąwszy Fort West, znaleźć się za plecami Marikopasów.

- My zaś wyruszamy na południe - stwierdził Old Firehand. - Objedziemy Silver City i z drugiej strony dostaniemy się na tyły tych Indian. 'Pdm możemy spotkać się z Winnetou.

-Howgh!

Wypowiedziawszy to jedno tylko słowo Apacz zniknął z izby. Indiafiskie słowo howgh występuje niemal we wszystkich gg narzeczach i ma różne znaczenia. Przeważnie jednak oznacza mniej więcej tyle, co „zgoda!” czy „rzekłem! „,

- Kiedy wyruszamy? - Sam zwrócił się do Old Firehanda.

- Jeszcze nie teraz. Najpierw muszę zejść na dół do Dicka.

Nawiasem mówiąc sądzę, że mister Wilkins da panu jednego ze swych świeżych koni, boviem pafiski muł jest z pewnością zmęczony.

- Moja Mary ma być zmęczona? Tb źle ją pan zna. Mogłaby się teraz ścigać z pafiskim wierzchowcem, jeśli się nie mylę. W izbie na parterze Old Firehand zastał Dicka leżącego nadal na podłodze z uchem przyłożonym do otworu. Ujrawszy wchodzącego Old Firehanda traper wstał i przykrył otwór kamieniem.

- Co za diabelne zadanie! - szepnął. - Czy mam tu może siedzieć całą noc?

- Nie, mister Dick, tego od pana nie żądam. Jak wyglądają sprawy, czy te draby coś mówiły?

- Tylko bardzo cicho. Sądzieli, że ktoś ukrywał się za drzwiami, by ich podsłuchiwać. Dopiero, kiedy zamknięto ostatniego z nich i usłyszeli odchodzącego Wilkinsa, zaczęli mówić głośniej. Ale nie powiedzieli nic ważnego. W~taśnie jeden z nich, nazywający się Newton, zaczął coś mówić o'li~rcji.

- Muszę tego posłuchać.

Old Firehand położył się na podłodze i przytknął ucho do otworu. Rozmowa w piwnicy zesła już jednak na inny temat.

- Gdyby nie schwytali choć ciebie! - usłyszał głos Newtona-Florina. - Wtedy mógłbyś pojechać do Prescott i ściągnąć na pomoc Walkera!

- Nie jest wcale powiedziane, że bym go znalazł!

Mówiącym te słowa był zapewne strażnik pozostawiony przez bandytów przy koniach.

- Naturalne w Prescott on wcale nie ma na nazwisko Walker.

Nazywa się Zennort i mieszka na małej farmie w Sierra Prieta.

89

- 'Ib przecież wcale nie jest w Prescott!

- 'Ib prawda; od miasta farmę dzieli cztery godziny jazdy. Ale w tych okolicach nikt nie mierzy czasu tak dokładnie. Nawiasem mówiąc, drogę do farmy wskazałby ci właściciel każdej knajpy w mieście. 'I~raz opowiedzcie mi jednak, jak doszło do tego, że schwy-tano was wszystkich jak kwiczoły!

Jak do tego doszło, Old Firehand wiedział najlepiej; nie musiał więc tego słucha~. Dlatego podniósł się z podłogi, ale ta chwila, jaką spędził przy otworze sownie się opłaciła.

Zasunął kamiefi na otwór i wraz z Dickiem poszedł do Sama Hawkensa.

Mały traper siodłał właśnie swoją Mary.

W chwili, gdy mieli zamiar wyruszyć, na dziedzificu pojawił się Wilkins, aby się z nimi pożegnać i podziękować za to, co dla niego zrobili.

- Nie ma o czym mówić - stwierdził Sam. - Dopóki nie wrócimy, nic panu nie grozi, jeśli się nie mylę.

- Dziękuję, sir! Nawiasem mówiąc, nie będę polegał tylko na samym sobie. Kiedy odjedziecie, spuszczyć wodę z jeziora, a do połud-nia powinna się tu pojawić przynajmniej setka wojowników Chrica-hua.

- Niech pan ich jednak od razu ukryje wewnątrz misji! Mari-kopasowie nie są głupcami i z pewnością wyślą swoich zwiadow-ców!

U Marikopasów

Świtało. Kiedy jednak Old Firehand i Sam Hawkens wyjechali z wąwozu na równinę, nastał już dzień.

Poruszali się na południe zataczając szeroki łuk. Po dwóch godzinach pozostawili za sobą po prawej Silver City i skręcili najpierw na zachód; potem posuwali się coraz bardziej w kierunku na północ, aż dotarli do rzeki. Old Firehand wpędził swego wierzchowca do wody i zatrzymał się dopiero na przeciwległym brzegu. Sam Hawkens i Mary poszli jego śladem.

- Jeśli nie pomyliłem się w swoich obliczeniach - odezwał się Old Firehand - to Indianie nie powinni być już daleko. Zejdźmy więc z koni i zostawmy je gdzieś ukryte w zaroślach. I b mówiąc rozsunął gałęzie krzewów i wprowadził między nie swego konia, po czym przywiązał go do jednego z krzaków. Sam poszedł za jego przykładem. Kiedy zatarli już wszystkie ślady, Old Firehand ruszył przodem, posuwając się między zaroślami wzdłuż brzegów rzeki. Obaj starali się nie zostawiać za sobą żadnych śladów. Właśnie Old Firehand rozchylił gałęzie jednego z krzaków, by zaraz puścić je gwałtownie.

- Co się stało? - zapytał Sam.

- Indianie.

Ti-aperzy przykucnęli. Rzeka tworzyła w tym miejscu małą zatoczkę. Na tym samym brzegu, ale po drugiej stronie zatoczki siedziało przynajmniej tuzin czerwonoskórych. Zajęli miejscawzdłuż brzegu i zajmowali się łowieniem ryb na wędkę.

Ich twarze pomalowane były barwami wojennymi, po których Old Firehand zorientował się, że rzeczywiście chodziło w ich przypadku o Marikopasów. Należeli oni do plemienia Yuma i byli bardzo wojowniczym szczepem.

- Well, wiem już teraz, co się święci - szepnął Old Firehand do swego towarzysza. - Jak się wydaje Indianie rozbili swój obóz za tą zatoką. Jeśli chcemy ich podejść niezauważenie, musimy zataczyć łuk. Najlepiej będzie, jeśli wrócimy tam, gdzie zostawiliśmy nasze wierzchowce i podejdziemy Indian od tyłu.

- A jeśli zostaniemy zauważeni?

- Wtedy nie pozostanie nam nic innego, tylko jak najszybciej dotrzeć do naszych wierzchowców i zwiewać, gdzie pieprz rośnie. Jeśli Indianie zauważą zaś tylko jednego z nas, to musi on odejść, ale nie w kierunku naszych koni, bo wtedy odetnie drugiemu drogę ucieczki. Nawiasem mówiąc, powinniśmy się trzymać razem, albo tak blisko siebie, aby móc w razie niebezpieczeństwa powiedzieć sobie, jak się dalej zachowywać. Chodźmy więc!

Ukradkiem wrócili do miejsca, w którym stały ich wierzchowce i zataczyli spory łuk wokół zatoczki. Starali się przy tym zacierać za sobą najdrobniejszy nawet ślad.

Nad rzeką rósł niezbyt szeroki pas zarośli, które przecho-dziły potem w las. Rosnące w nim drzewa były wszystkie bez wyjątku bardzo wysokie i miały szerokie pnie. Ich gałęzie rosły już dwie stopy nad ziemią, a grube konary odchodziły pod kątem prostym od pnia, tak że łatwo było się po nich posuwać, niczym tancerze po linie. Listowie tych drzew przypominało orzechy; było jednak o wiele większe i gęściejsze. Tego gatunku drzewa rosną zawsze w pewnej odległości od siebie; jednakże ich konary osiagają sporą dłu-gość stykając się ze sobą. Stąd też las taki, ze swymi różnymi 92 poziomami konarów i gałęzi tworzy gęsty, zielony dach. I3wdno się pod nim co prawda poruszać, ze względu na nisko rosnące gałęzie, ale dają one wspaniałą ochronę przed deszczem i... zbyt ciekawskimi oczyma.

Wyćwiczony wspinacz, który dobrze potrafi utrzymać równowagę, może po konarach tych drzew przechodzić z jednego na drugie, nie będąc zauważonym przez człowieka stojącego na ziemi. Oczywiście musi uważać, by nie złamać którejs z gałęzek lub spowodować innego hałasu. W takim bowiem przypadku grozi mu niebezpieczeństwo ze strony znajdujących się na ziemi Indian. Old Firehand i Sam przeszli już pas zarośli i znaleźli się w lesie, w którym, jak im się zdawało, obozowali Indianie. Kiedy w pewnej chwili doszło ich parsknięcie konia, Old Firehand natychmiast pociągnął swego towarzysza z powrotem w zarośla.

- Uwaga! Prawdopodobnie, gdzieś niedaleko są konie tych czerwonoskórych. Sprawdźmy, jak są strzeżone, czy nie ma tu ich strażników!

Obaj traperzy poczołgali się w stronę, skąd dobiegło ich parsknięcie konia. W koficu, pod ochroną zarośli, dotarli do polany, na której pasła się duża liczba koni. Naliczyli ich około trzystu; wszystkie były spętane za przednie nogi, tak że nie mogły uciec.

- Nie widzę żadnych strażników - stwierdził Sam.

- Ja też nie. Ci Indianie czują się tu całkowicie pewni. Na Boga!

Widzi pan te dwa złociste kasztany?

- 'Ihk. Wspaniałe zwierzęta. Z pewnością nie jeżdżą na nich prości Indianie.

- Na pewno. Nie jestem złodziejem koni, ale gdybym nim był, zabrałbym je stąd. 'I~raz naprzód. Idziemy w las! Kiedy ukryci przed wzrokiem niepowołanych nisko rosnącymi gałęziami znaleźli się wśród wysokich drzew, Sam pociągnął nosem.

- Czy nic pan nie czuje, sir? - zapytał.

- O tak! Oni pieką ryby.

93

- 'Pdk. Jak widzę, ma pan tak samo dobry nos, jak ja. Pana również można by nazwać czikonem. Ale skąd dochodzi ten za-pach? Wśród tego listowia człowiek może się łatwo pomylić.

- Od strony rzeki.

- Mnie też się tak wydaje. Musimy więc tam pójść.

- 'Pak. Hm... Gdybyśmy tak... - mówiąc to Old Firehand skierował wzrok ku górze, a potem spojrzał na Sama.

- ~?

- Czy potrafi pan się wspinać?

- Jak wiewiórka, jeśli trzeba.

- Uważam mianowicie, że byłoby rozsądniej, gdybyśmy wspięli się na drzewa i ruszyli dalej przechodząc z konara na konar.

- Jestem gotów.

Sam uchwycił gałąź znajdującą się na wysokości jego głowy i w następnym momencie siedział już na niej. Kilka centymetrów wyżej wyrastał kolejny konar, a trzeci sięgał gałęzi wyrastających na następnym drzewie. Dwa kolejne skoki i Sam siedział już na trzecim piętrze lasu, tak że Old Firehand nie mógł go już widzieć. Ti~aper skinął zadowolony głową i za kilka sekund siedział już obok Sama, który od razu chciał się wspinać dalej. Old Firehand po-wstrzymał go jednak.

- Niech pan zaczeka! Zanim opuścimy tę kryjówkę, musimy się przekonać, czy jesteśmy bezpieczni. Ustalmy, że ja zawsze będę szedł przodem. Na następnym pniu rozejrzę się dokładnie. Jeśli nie zauważę nic podejrzanego, dam znak ręką, a pan pójdzie za mną. Na razie nie widzę stąd żadnych ludzi, możemy więc iść dalej. 'iiaper wyprostował się stojąc na grubym konarze i ruszył na-przód. Dotarłszy do konara tej samej grubości wyrastającego z kolejnego drzewa, przeskoczył nafi, a potem zbliżył się do pnia. Przykucnął za nim i dokładnie rozejrzał się po okolicy. Potem kiwnął ręką na Sama, który zbliżył się do niego, posuwając się po drzewie z taką samą pewnością.

94

W ten sposób pokonywali drzewo za drzewem. 'Ib czego dokonywało tych dwóch, było rzeczywiście sztuką; nie czynili przy tym najmniejszego szmeru. Nie pękła żadna gałązka, a na ziemię nie spadł ani jeden liść. Mimo przeszkody w postaci bronii, ich ruchy były tak ostrożne, że gałęzie niemal nie drgnęły. Nagle las się skończył. Któryś z owych gwałtownych wichrów, jakie przelatywały nad lasami, wyrrywając wielkie połacie drzew, przemknął kiedyś wzdłuż rzeki i na

jednym z brzegów położył po-kotem na sobie najgrubsze nawet drzewa. 'Ia gmatwanina pni sięgała rzeki, na której brzegu...

-l'dm się ukryli! - szepnął Old Firehand.

Ze swego punktu obserwacyjnego obaj traperzy ujrzeli, iż In-dianie obeszlą porozrzucane pnie drzew z jednej strony i w ten sposób dotarli do rzeki. Nad wodą siedziało teraz wiele nieruchomych postaci zajętych łowieniem ryb. Ci, którzy mieli szczęście coś złowić, powrócili do obozowiska i piekli swoją zdobycz. W tym celu zrobili tomahawkami dziury w ziemi, w których rozpalili ogień, a potem wsunęli w żarzący się popiół nieoczyszczone ryby. Ponieważ obaj myśliwi znaleźli się w bezpośredniej bliskości In-dian, musieli teraz zachować podwójną ostrożność. Nie mogli już iść wyprostowani po gałęziach; posuwali się teraz po drzewach na czworakach. Już po krótkiej chwili usłyszeli głosy Indian. Dwóch mężczyzn rozmawiało ze sobą ową mieszaniną hiszpańskiego i indiańskiego, jaką chętnie posługują się biali, którzy zadają się z czerwonoskórymi.

Old Firehand i Sam Hawkens siedzieli teraz na drzewie, pod który toczyła się rozmowa. Nie mogli co prawda widzieć rozmawiających, ale za to słyszeli dokładnie każde słowo.

-Jaki plan ma Żelazna Strzała? - zapytał jeden z mężczyzn, który sądząc po wymowie, musiał być białym. - Czy nie należałoby użyć podstępów?

- Jaki podstęp ma na myśli mój biały lirak, Sonataka?

95

Mężczyzna wypowiadający te słowa wydawał się być wodzem. Nazwał swego rozmówcę Sonataką, co oznaczało tyle co Srebrny Człowiek.

-Pojedziemy przodem i będziemy rozpowszechniać wiadomość, że chcemy złożyć dary szacunku u grobów naszych przodków. W misji przyjmą nas więc jak gości. Nocą zaś przyjadą nasi ludzie, a my otworzymy im bramę i drzwi misji.

- 1b niemożliwe. Ludzie znają Żelazną Strzałę. Natychmiast wezmą nas do niewoli, a ja zostanę przywiązany do pala męczarni. Nie, ten plan jest do niczego.

-`Ib wymyśl inny!

- Od dawna wiem, co mam robić. W misji mieszka niewielu ludzi, a ich obrońcy, Apacze Chiricahua, wyruszyli na polowanie. Nas jest dziesięć razy po dziesięciu ludzi trzy. Nocą dotrzemy do doliny Błękitnej Wody i otoczmy misję. Jej mieszkańcy ni-czego nie przeczuwają. Będą zaskoczeni i zanim przyjdzie im do głowy się bronić, zostaną przywiązani do pali i spaleni, tak jak my zostalibyśmy spaleni, gdybyśmy wpadli w ich ręce.

- A skarby misji?

- Są twoje, tak jak się umówiliśmy. Dostaniesz je jednak dopie-ro wtedy, gdy dasz nam proch i ołów, jak obiecałeś.

- A jeśli nie znajdziemy złota i srebra?

- Wtedy będę torturował Leśną Gołębicę tak długo, aż zdradzi nam, gdzie są ukryte.

- A potem ją zabijesz?

-Jeszcze niewiem, czy ją zabiję - odparł niechętnie Indianin.

- Jestem wodzem Marikopasów i robię to, co chcę.

- Zapominasz, że nie jestem twoim poddanym.

- A ty zapominasz, że wódz nie musi zdradzać wszystkich swoich myśli. Zjedz coś i połóż się spać, abyś dzisiejszej nocy nie był zmęczony!

Siedzący na drzewie traperzy usłyszeli ciche, stłumione 96 przekleństwo, a potem oddalające się kroki Srebrnego Człowieka. Podśledzający z napięciem patrzyli przez listowie. Kiedy biały wyszedł spod drzewa, ujrzeli go. Mężczyzna miał niewiele ponad trzydzieści lat.

- Kim jest ten czcigodny człowiek? - zapytał cicho Sam.

- Nie wiem. Ale słyszałem o Żelaznej Strzale. Możemy mówić o szczęściu, że natknęliśmy się akurat na tego wodza.

- Co pan wie o nim?

- Nie cieszy się zbyt dobrą sławą i w swoich działaniach ma być często nieobliczalny. Oczywiście w tym przypadku nie musi być on jedynym, a może nawet głównym winowajcą. Sam pan słyszał, że w tej sprawie macza swe palce znowu jeden z białych. Niestety, tak to zwykle bywa, gdy któryś z czetwonoskórych popełnia jakieś łajdactwo.

- Co teraz? Wódz, jak się wydaje, pozostał pod drzewem.

- Tb nawet pewne. Zejdę więc o jeden konar niżej, aby mu się przyjrzeć. Niech pan poczeka!

- Ani mi się śni. 'I-ż chciałbym zobaczyć tego czerwono-skórego.

Obaj traperzy zeszli więc o jedno piętro lasu niżej. Zauważyli, że dla wodza zbudowano z gałęzi coś w rodzaju małego szałasu, w którego dachu tkwiła dzida; zwisał z niej skalp. Żelazna Strzała siedział przed wejściem do szałasu mając przed sobą dwa małe garnuszki z farbą, w których na zmianę zanurzał pędzelek, aby pomalować sobie twarz.

- Czenwona i czarna - szepnął Sam. - Tb barwy wojenne; oznaczają krew i śmierć! 'I-n typ ma więc zupełnie poważne zamia-ry. Ale, ale, a któż to się zbliża?

Wzdłuż leżących pokotem pni nadchodziło pośpiesznie dwóch młodych Indian, po których widać było, że są braćmi. Obaj mogli mieć po siedemnaście czy osiemnaście lat. Kiedy ujrzeni wodza zajętego malowaniem twarzy, zatrzymali się w pełnej szacunku 4 - Dolina śmierci 97 odległości. Malowanie twarzy barwami wojennymi było u Indian zawsze świętym obyczajem; nikomu nie wolno było w tym przeszkadzać.

Wódz jednakże przywołał ich do siebie skinieniem ręki.

- Czego chcą ode mnie Palce? - zapytał.

Starszy z braci zbliżył się do wodza.

- Prawy Palec i Lewy Palec przychodzą, aby przedłożyć wo-dzowi swą prośbę.

- Mów!

- Dlaczego mamy pozostać tu, pod drzewami, kiedy nasi wojownicy wyruszyli na wojenną ścieżkę? Czyż nie mamy dwóch najlepszych koni w całym szczepie? Czyż nasze złociste kasztany nie są świeże i dzielne? Znamy cel naszej wyprawy. Chcemy zostać wojownikami i poddać się próbie dzielności. Młodzi, którzy chcą zdobyć wojenne imię, są zawsze używani jako zwiadowcy. Dlaczego nasz ojciec nie wysyła żadnych zwiadowców? Dlaczego nie pozwoli nam zdobyć sławy i powrócić do obozu ze skalpami naszych wrogów? Obaj młodzi Indianie nie mieli jeszcze stałych imion, dlatego nazywano ich tylko Prawym i Lewym Palcem. Imię, które prawdziwy wojownik nosi później przez całe życie, otrzymuje on dopiero wtedy, kiedy pomyślnie przejdzie przez próbę odwagi i dzielności.

Stary wódz uśmiechnął się z zadowoleniem, co nadało jego na wpół pomalowanej twarzy odpychającego wyrazu. Był bardzo zadowolony z wojowniczego nastroju swych latorośli.

- Czy Palce chcą wydawać rozkazy swemu ojcu? - zapytał w odpowiedzi. - Co wy wiecie o wojnie, którą teraz prowadzimy? Po co mi zwiadowcy? Znam doskonale miejsce, do którego się udaje-my. Dzięki zwiadowcom możemy tylko zdradzić swoją obecność. ' O świecie otrzymacie sposobność, by zdobyć skalpy białych. Będziecie pierwszymi, którzy wejdą do środka misji.

- Jest nas tak wielu, a bladych twarzy tak mało. Nie

98 zdobędziemy żadnych skalpów, jeśli będziemy czekać. Pojedzie-my przodem.

- Zostaniecie tutaj! - rozkazał wódz.

- Żelazna Strzała jest bardzo surowy dla swych synów. Mamy ze sobą swoje noże, kołczany, strzały i łuki. Czyż mamy nimi strzelać tylko do motyli?

Ze względu na swój nieregularny lot, motyla trudno jest trafić; dlatego mali Indianie często ćwiczą się w strzelaniu w łuku, polując małymi strzałkami na wielkie motyle. Później jednak, gdy zostaną wojownikami, bardzo się tego wstydzą.

- Będziecie tak długo strzelać do motyli, aż nauczycie się słuchać swego wodza!

Obaj młodzi Indianie spojrzeli na siebie pytająco i po chwili gwałtownie odwrócili się. Z minami pełnymi uporczywości weszli do lasu. Widać było po nich, że chcą koniecznie dokonać czegoś, co przyniosłoby im chwałę i szacunek.

Stary wódz myślał zapewne tak samo, gdyż z zadowoleniem mruknął coś pod nosem; obaj traperzy zrozumieli wyraźnie słowa okmek nososs, co oznaczało tyle, co młode lwy.

- Tych dwóch z pewnością zrobi coś głupiego - szepnął Sam.

- A my to wykorzystamy. Niech pan idzie za mną i odwiąże swoje łąso!

- Po co?

- Zaraz pan się dowie.

Old Firehand przesłakiwał z konara na konar, z drzewa na drzewo, posuwając się szybko w kierunku, w którym udali się dwaj młodzi Indianie. Niebawem dogonił ich. Położył się na galezi i opuścił głowę, by dokładnie się rozejrzeć. W okolicy nie było widać żadnego człowieka.

Szybko zeskoczył na ziemię i jednym skokiem znalazł się za plecami Indian. Schwycił obu za szyję i zacisnął swe stalowe palce. Obaj chłopcy natychmiast stracili przytomność nie wydając z siebie 99 ' żadnego dźwięku.

- Do diabła! - wykrzyknął z góry stłumionym głosem Sam. - Mistrzowska sztuczka, mister! Ale ja też myślałem o czymś podobnym.

- W każdej chwili może ktoś nadejść. Szybko, niech pan bierze jednego z nich na górę!

Z tymi słowami Old Firehand podniósł jednego z czerwonoskórych do góry: Sam szybko wciągnął go na gałąź, a zaraz potem drugiego. Old Firehand zabrał jeszcze strzały i łuki Indian, które mogły zdradzić ich obecność, a później szybko wspiął się znowu na drzewo. Związał obu jeńców i zaczął wciągać ich do góry.

- Wspaniała sprawa, jeśli się nie mylę! - zachichotał Sam.

- Miejmy nadzieję, że jeszcze żyją. Byłoby szkoda, gdyby zrobił pan krzywdę tym słodkim chłopczkom.

- Nie ma obawy: są żywi. Posłużą mi do tego, aby bezkrwawo zakoficzyć całą tę historię.

- Ach! Są więc naszymi zakładnikami?

- 'I'dk. A teraz do koni! Weźmiemy ze sobą te dwa złociste kasztany. Żelazna Strzała pomyśli, że dwaj jego synowie wyruszyli na nich jako zwiadowcy, by się odznaczyć. I niech tak myśli! Naprzód!

Każdy z westmanów zarzucił jednego z jeńców przez lewe ramię, aby mieć wolną prawą rękę do wspinaczki.

Na ziemię zeszli dopiero w dużej odległości od obozowiska wrogów.

Old Firehand poruszał się lekko pochylony do przodu. Wcale nie czuł ciężaru spoczywającego na ramieniu; za to mały Sam miał sporo kłopotu z dźwiganiem swego Indianina.

W ten sposób dotarli na skraj lasu, w miejscu, gdzie pasły się konie.

-Teraz szybko założmy im kneble! Niech pan przyniesie trawy, master Hawkens; nie mamy nic innego!

“ ‘I~raz zanieśli jeficów do ich wierzchowców; oba były ~,.., f osiodłane, co bardzo sprzyjało zamiarom traperów. Dwa lassa wy-starczyły, aby przywiązać młodzieńców do koni.

W tym czasie zaczęta powracać im przytomność i na widok obu traperów, na ich twarzach pojawił się wyraz przerażenia. Zaczęli rzeźić, ale bez oporu poddali się swemu losowi.

- Poprowadzę teraz przez chwilę konie wzdłuż brzegu w górę rzeki - powiedział Old Firehand. - A pan pójdzie w tym czasie ; . do naszych koni, wejdzie z nimi do wody i także popłynie w górę rzeki, aby nie znaleziono naszych śladów. ‘ Kiedy Old Firehand dotarł do Rio Gila, nie musiał zbyt długo czekać na pojawienie się Sama.

- Czy zatarł pan ślady w zaroślach?

- Naprawdę sądzi pan, że Sam Hawkens jest tak głupi, aby o tym zapomnieć?

- Doskonale. Marikopasowie znajdują ślady tych dwóch koni i pójda za nimi. Nie mogą się jednak natknąć na trop dwóch pozostałych, w przeciwnym razie będziemy zdradzeni. Rozdzie-limy się więc teraz. Pan weźmie jednego z jeficów i przejedzie na

4 drugi brzeg. Ja zabiorę drugiego, popłynę z nim jeszcze kawałek w górę rzeki, wjadę w płytką wodę, a potem dopiero przeprawię się na r drugą stronę. Zatoczę jak największy łuk. aby utrzymać jak najwię-kszą odległość między nami.

- A gdzie się spotkamy?

a

- Przy ostatnim wzgórzu, obok którego przejeżdżaliśmy dziś rano. Jeśli pan pamięta, u jego podnóża było łożysko wyschnię-tego potoku.

- Doskonale pamiętam to miejsce.

-‘I~m więc się spotkamy. ‘Il;n, który przyjedzie pierwszy, zache-ka na drugiego.

- Well - skinął głową Sam. - Stary powiedział synom, że będą pierwszymi, którzy wejdą na teren misji. Powinien być zadowo-lony, że jego słowa się sprawdzą, choć o wiele szybciej, niż

101 przypuszczał. No dobrze niech mi an oda mo e o entlemana , P P 1 g g !

Sam tego nie mogę uczynić, bo Indianie mogliby znaleźć ślady trzech koni na brzegu.

Old Firehand wprowadził oba indiańskie konie do wody, podał cugle jednego z nich Samowi, a potem wskoczył na siodło swego wierzchowca. W ten sposób cała czwórka znalazła się w rzece, pod-czas gdy na brzegu widać było ślady tylko dwóch koni.

- Teraz wszystko jest w najlepszym porządku, mister! - stwier-dził Sam. - Możemy wyruszać, jeśli się nie mylę. Powodzenia, sir! Skrecił konia i prowadząc za sobą drugiego ruszył w stronę przeciwległego brzegu. Dotarł nafi bez przeszkód i galopem po-mknął w ustalonym kierunku.

Kiedy Old Firehand zbliżył się do umówionego miejsca, Sam Hawkens czekał już na niego. Po chwili wspólnie ruszyli w stronę doliny Błękitnej Wody.

Im wyżej się znajdowali, tym częściej napotykali na pojedyfi- . cze grupki Apaczów, posuwających się w tym samym kierunku. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni, ale na piechotę. Wszyscy też zauważyli znak dany im przez Wilkinsa: mieli bro-nić misji przed napadem, a do tego konie nie były im potrzebne. Kiedy nasi jeźdźcy mijali ich, ustępowali im drogi w milczeniu.

Jedynie na widok jeficów wrywało im się pełne zdziwienia „uff!”. Nad jeziorem nie spotkali nikogo, za to gdy wjechali na dzie-dziniec misji, ujrzeli ponad setkę Apaczów, którzy w milczeniu siedzieli na ziemi gotowi bronić Leśnej Gołębiczy przed wrogami.

Bój o star~ misję

Widok jeficów wywołał w misji wielkie zdziwienie, a obaj tra-perzy zebrali mnóstwo pochwał. Wśród przybyłych Apaczów-Chiricahua znajdował się także wódz Mocna Ręka, wysoki, do-brze zbudowany wojownik. Podeszedł do traperów i przywitał się z nimi z godnością.

Zaraz potem odbyto naradę wojenną. Old Firehand zapropono-wał, aby przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, poczekać na powrót Winnetou. Wilkins zgodził się na to, tak samo jak wódz Indian Chiricahua.

- Czy słyszeliście o białym, nazywanym przez Indian Sonata-ką, czyli Srebrnym Człowiekiem, mister Wilkins? - zapytał Old Firehand.

- Owszem, słyszałem, ale jeszcze nigdy go nie widziałem. W tych słabo zaludnionych okolicach wieści o białym, który się tu osiedlił, rozchodzą się szybko.

- Co to za człowiek?

- Właściciel kopalni rtęci w...

- Ach i stąd to przezwisko Srebrny Człowiek. Czy zna pan jego prawdziwe nazwisko?

- Naprawdę nazywa się Roulin.

- Francuz, jak się zdaje.

103

- Możliwe; dokładnie tego nie wiem. Mieszka po tamtej stronie rzeki Kolorado w dolinie, którą Indianie nazywają Doliną Śmierci. Nie jest to jednak owa osławiona Dolina Śmierci, zwana przez Amerykanów Death Ualley, ale inna, leżąca bardziej na południe i znacznie mniejsza. Nawiasem mbwiąc, o tym człowieku nie mówi się zbyt dobrze. Wydobywa wielkie ilości rtęci, nie wiadomo natomiast, w jaki sposób. Ludzie znają kopalnię, ale nikt nie widział w niej żadnego robotnika. Zabobonni mieszkaficy tej okolicy twierdzą, że jej właściciel zawarł pakt z diabłem, a złe duchy pomagają mu wydobywać trujący metal z ziemi. Dlaczego pan o niego pyta?

- Ponieważ jest łajdakiem. Bierze mianowicie udział w wypia-wie wojennej Marikopasów; wydaje się nawet, że to on jest jej pomy-słodawcą.

- Czy nie myli się pan przypadkiem?

- Nie. Sam i ja widzieliśmy go na własne oczy; zakładając oczywi-ście, że pafiski Roulin i nasz Sonata jest tą samą osobą.

- Niech ten zdrajca się strzeże! Jeśli dostanę go na muszkę mej rusznicy, ma pewną kulkę!

Przygotowania do przyjęcia Marikopasów polegały początkowo na zgromadzeniu pochodni, które złożono na dachu budynku misji, by zapalić je w chwili nadejścia wroga. Zgromadzono też wystarczająco dużo nafty, smoły i pakuł, aby rozpalie ognisko zdolne oświetlić „, ‘, całą dolinę jeziora.

Kiedy zapadły ciemności, wewnątrz misji znajdowało się ponad stu pięćdziesięciu uzbrojonych Indian, gotowych odeprze~ atak. Win-netou jeszcze nie wrócił. Wilkins zaczął się już o niego martwić, ale Old Firehand uspokajał go.

-Spokojnie; sir! Na ile znam Winnetou, to przybędzie tuż przed samym pojawieniem się wrogów, aby nas o tym powiadomić. Nie obawiam się o niego w najmniejszym nawet stopniu. Dochodziła północ. Na zewnątrz było ciemno choć oko wykol. Budynek misji stał pogrążony w ciszy. Żadne z okien wychodzących 104 na zewnątrz nie było oświetlone. W pewnym momencie rozległo się ciche pukanie do bramy. Stara Indianka odsunęła zasuwkę juda-sza.

- Kto tam?

- Winnetou.

Kiedy go wpuściła, minął ją w milczeniu. Swego konia zostawił zapewne w bezpiecznym miejscu, aby lepiej obserwować przeciwnika.

Na dziedzińcu płonęło niewielkie ognisko, którego odbłask małowniczo oświetlał postacie czernonoskórych wojowników. Winnetou podszedł do Mocnej Ręki i rozmawiał z nim przez krótką chwilę. Potem Mocna Ręka wydał swym wojownikom kilka rozkazów; Indianie natychmiast rozeszli się do tych pomieszczeń misji, których okna wychodziły na zewnętrzną stronę. Kilkunastu z nich zajęło stanowiska na dachu.

- Marikopasowie już przybyli - oświadczył lakonicznie Winnetou wchodząc do izby, w której zebrali się biali.

- Nareszcie - odetchnął Sam. - A więc teatr może się zacząć.

Czy zaatakują zaraz?

- Byli tuż za mną. Najpierw otoczą misję. Czy moi biali bracia zatroszczyli się o to, by w każdej chwili móc zapalić wielkie ognisko?

- Pdk.

Każdy udał się teraz na swój posterunek. Sam wybrał sobie stanowisko przy bramie; miał nadzieję, że w tym miejscu najszybciej dojdzie do strzelaniny.

Na zewnątrz misji panowała absolutna cisza. Sam stał przy judaszu; niestety, nic nie mógł wypatrzeć w ciemnościach. Mimo to wiedział, że napastnicy byli oddaleni od niego tylko kilka kroków; mówił mu to jego szósty zmysł.

Ze zdziwieniem usłyszał odgłos kopyt wolno nadjeżdżającego konia, który po chwili zatrzymał się przed bramą. Za moment rozległo się pukanie. Chcąc sprawić wrażenie, że wszyscy leżą już pogrążeni we śnie, Sam czekał przez chwilę i odsunął rygiel dopiero po powtórnym pukaniu.

- Kto tam?

- Posłaniec do Leśnej Gołębicy.

- Od kogo?

- Od Mocnej Ręki.

- Gdzie jest teraz wódz, który cię posyła?

- Poluje na bawoły nad brzegami Rio Gila.

Po tych słowach Sam usłyszał, jak ktoś cicho skrada się; wiedział, że za bramą znajdowało się wielu napastników: Ich plan polegał na tym, aby doprowadzić do otwarcia bramy, a potem wedrzeć się do środka wraz z tym, który podał się za posłańca.

- Poluje? - roześmiał się Sam tak głośno, że słyhać go było na dachu misji. - Mój czerwony brat się myli. Mocna Ręka jest teraz w tym domu.

- Uff! - rozległ się za bramą okrzyk przerażenia.

- 'I' dk, ty czerwonoskóry oszuście! Jeśli ktoś chce oszukać drugiego, musi też być od niego sprytniejszy. A wy, Marikopasowie, jesteście najgłupszymi ludźmi jakich znam, jeśli się nie mylę. Byłem dzisiaj w waszym obozie i sprowadziłem tutaj, jako mych jeńców, synów Żelaznej Strzały. 'I' raz wiecie, jak się rzeczy mają. Tbbie zaś, za twe kłamstwa, chcę coś dać na pamiątkę - mówiąc to, Sam wysunął przez dziurę w bramie lufę rusznicy i wystrzelił. W błysku wystrzału zobaczyć było można spadającego z konia Indianina. Odpowiedzią na strzał był ryk wściekłości. Potem zapanowała cisza. W tym momencie na dachu budynku misji zapłonęło olbrzymie ognisko oświetlając jasno całą okolicę. Oblężeni zobaczyli teraz, że Marikopasowie otoczyli szczelnym pierścieniem cały budynek.

Po chwili z dachu rozległ się dźwięczny głos:

- 'I' stoi Winnetou, wódz Apaczów, który chce powitać Żelazną Strzałę. Niech moi czerwoni bracia w spokoju powrócą do swych wiosek, zanim pożrą ich nasze kule!

Odpowiedział mu szyderczy śmiech. Potężny głos Apacza górował jednak nad hałasem.

- Niech Marikopasowie otworzą swoje uszy! Nie jest rzeczą dobrą, gdy czerwonoskórzy wojownicy zabijają się między sobą! W tym domu leżą związani obaj synowie Żelaznej Strzały; powrócą wolni, jeśli Marikopasowie przyrzekną, iż nigdy więcej nie wykopią wojennego topora przeciwko Palomie Nakanie! Rzekłem. Howgh!

- 'Ij~ przekłety kłamco! - zawołał ochryply głos Żelaznej Strzały. - Masz za to pamiątkę ode mnie!

Rozległ się kolejny wystrzał; jednakże Winnetou błyskawicznie rzucił się na podłogę tarasu.

Po chwili stał znowu z podniesioną ręką.

- Winnetou jest przyjacielem swych czerwonoskórych braci, ale zniszczy wszystkie parszywe kojoty! Niech przemówią nasze strzelby! W tym samym momencie ze wszystkich okien i z dachu huknęły wystrzały. Kule trafiły w swe cele, co było dokładnie widać w świetle płomieni. Marikopasowie podnieśli pełen wściekłości krzyk i cofnęli się poza zasięg kul obrońców.

Zostali powitani tak, że przeszła im ochota na dalsze szturmowanie misji. Wielkie ognisko na dachu utrzymywane było aż do świtu. Kiedy zrobiło się jasno, można było policzyć zabitych: wokół misji leżało ich ponad czterdziestu.

Marikopasowie rozbili swój obóz poza zasięgiem kul, nieopodal brzegu jeziora. Zachowywali się teraz spokojnie; można było przypuszczać, że podjęli jakąś ważną decyzję.

Old Firehand siedział na dachu i obserwował napastników przez lunetę. Po chwili pojawił się obok niego Wilkins i także spojrzał przez nią uważnie na obóz wroga. Nagle z jego ust wyrwał się cichy okrzyk.

- Co się stało? - zapytał Old Firehand.

- Cóż za dziwna niespodzianka! Artur jest z nimi!

- Artur? Czy to nie imię pafiskiego zaginionego bratanka?

- 'Pdk.

- Czy to o nim pan mówi?

- Widzę go wyraźnie siedzącego obok wodza.

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale to właśnie jest ten łotr Sonata, o którym opowiadałem.

- Aż trudno mi w to uwierzyć. Tb musi być Artur!

- Czy napewno się pan nie myli?

- Na pewno. 'Ib on!

- Proszę pamiętać, że ten mężczyzna nie jest więźniem Mari-kopasów! Porusza się po ich obozie całkiem swobodnie; jest panem swoich kroków. Gdyby rzeczywiście był tym, za kogo pan go uważa, dawno już powróciłby do swojej ojczyzny.

- 'I~go należałoby oczekiwać. Ale któż może wiedzieć, co mogło mu w tym przeszkodzić? W tym kraju dzieją się rzeczy niepojęte. Artur sprzedał plantację i nie znamy powodu, dla którego to uczynił. 'I~raz obawia się wrócić, wstydy się pokazać mi na oczy.

- Nie potrafię przyzwyczaić się do myśli, że właścicielem kopalni rtęci w Dolinie Śmierci jest pafiski krewny. Może niebawem sprawa się wyjaśni. Niech pan patrzy, oto zbliża się jeden z czerwonoścórnych!

Rzeczywiście, do bramy misji podszedł jeden z Marikopasów. 'I~zymał w dłoni kawałek wygarbowanej, białej skóry, machając nią na znak, że przybywa w pokojowych zamiarach.

- 'Ib parlamentariusz - odezwał się Wilkins. - Zaraz się dowiemy, czego od nas chce.

Leżący na dachu obok Old Firehanda Winnetou podniósł się.

- Ió wysłannik Żelaznej Strzały. Niech mój biały brat, Old Firehand, zejdzie do niego! Uczyni i powie to, co uważa za najle-psze.

Old Firehand ruszył na dziedziniec. Wilkins potrząsnął głową zdziwiony.

- Właściwie to ja powinienem rozmawiać z parlamentariuszem.

108

- To prawda, ale mój brat nie wie, czego on chce; jeśli zażąda natychmiastowej odpowiedzi, trzeba się będzie szybko zdecydować i w takiej sytuacji łatwo można popełnić błąd.

W tym czasie Old Firehand kazał otworzyć bramę i wyszedł na zewnątrz, ponieważ Marikopas dał ręką do zrozumienia, że boi się podejść bliżej.

- Zostałem wysłany przez Żelazną Strzałę. Czerwoni wojownicy chcą zabrać swoich zabitych. Niech biali wojownicy pozwolą im na to.

- Nie, nie pozwolimy. Skalpy Marikopasów należą do Apaczów.

- Jak to się stało, że w misji znalazło się tylu wojowników Chiri-cahua?

- Chcieli was powitać.

- Nikt nie wiedział, że tu przybędziemy.

- Wszyscy o tym wiedzieli; będąc w waszym obozie, osobiście słyszałem, o czym Żelazna Strzała rozmawiał ze Srebrnym Czło-wiekiem, a potem wziąłem do niewoli obu jego synów.

- Oni odjechali na swych koniach.

- Związałem ich i przywiązałem do ich wierzchołków. Mari-kopasowie są dziećmi, które się niebezpiecznie bawią. Podczas wyprawy wojennej nawet nie wystawiają straży przy swoich koniach.

- Czy biały brat zabije synów wodza?

- 'Pak.

Indianin przeraził się słysząc te słowa.

- Dlaczego? Żaden dzielny wojownik nie zabija człowieka, którego nie zwyciężył w walce.

- Wziąłem synów wodza do niewoli i ich życie należy do mnie; mogę z nimi zrobić, co mi się podoba. Jeśli masz mi jeszcze coś do powiedzenia, zrób to szybko!

- Wódz Marikopasów żąda rozmowy z Winnetou, wodzem Apaczów.

- Gdzie ma się ona odbyć?

109

- 'Iii, w międzyczasie, w którym stoimy.

- Dobrze. B zie rozmawiał z Winnetou. Niech zabierze ze sobą Sonatakę i jeszcze jednego wojownika.

- Czy wódz Apaczów też weźmie ze sobą swych ludzi?

- 'Ihk, dwóch. Przekaż wodzowi, to co powiedziałem! - rzekłszy to Old Firehand odwrócił się i wszedł na dziedziniec misji. Kiedy opowiadał o spotkaniu z parlamentariuszem, Wilkins zapytał:

- Więc oni przyjdą we trzech? Kto z nas będzie towarzyszył Winnetou?

- Pan i ja. Proszę jednak, abym to ja prowadził rozmowę. Pafiskim zadaniem będzie dokładnie przyjrzeć się temu Roulinowi i w sposób możliwie jak najbardziej dyskretny dać mi znać, czy rzeczywiście rozpoznaje pan w nim swego bratanka. Resztę proszę pozostawić mnie!

Minęła dobra godzina, zanim oblężeni ujrzeli zbliżającego się ' Żelazną Strzałę i jego towarzyszy.

'a' Indianie wcale nie są dzikimi ludźmi, za jakich się ich po-wszechnie uważa. Przede wszystkim są dobrymi mówcami i nie zosta-wią niewykorzystanej żadnej okazji do wygłoszenia mowy. 'Idka okazja nadarzała się właśnie teraz i wódz zrobiłwszystko, aby wygłosić uroczyste przemówienie. Żelazna Strzała odziany był w sposób zaskakująco bogaty nawet jak na indiafiskie obyczaje. W jego kunsztownie splecioną fryzurę wetknięte były dwadzieścia cztery orle pióra. Za płaszcz służyła mu skóra jaguara ozdobiona licznymi ogonami bizonów i skórek grzechotników. Uzbrojony był we wszelką możliwą broń, tak że należało się właściwie dziwić, jak to wszystko udźwignął: rusznicę, nóż, tomahawk, kołczan, łuk i woreczek z kuiami. Przez pierś i plecy przerzucone miał wielo-krotnie zwinięte lassa. Główną część uzbrojenia dźwigał jednakże r przyboczny wodza, ten sam Indianin, który poprzednio rozmawiał z „ Old Firehandem. Składała się ona z długiej dzidy, z której ostrza zwisały trzy woreczki z lekami. Poza tym broń owa wyposażona była w wiele poprzeczek, do których przymocowanych było około trzy-dziesiętu skalpów białych twarzy i Indian. Jako, iż także strój wodza uzdobiony był włosami ze skalpów, można więc było mniej więcej policzyć ludzi, którzy padli z ręki Żelaznej Strzały. U boku wodza, ale o pół kroku za nim, siedł Roulin. Doszedłszy do określonego miejsca, przyboczny wodza wbił dzidę w ziemię, zdjął z Żelaznej Strzały płaszcz ze skóry jaguara i rozpostarł go na ziemi. Żelazna Strzała usiadł na nim z godnością. Zaraz potem usiedli na ziemi obaj jego towarzysze, jednakże znowu w ~ewc~e~ odległości, ~ak to nakazywał ~orzą,dek starszeń-stwa.

Dopiero po dłuższym czasie otwarła się brama misji i wyszli z niej Wilkins, Old Firehand i Winnetou.

Apacz wyraźnie odbiegał swoim wyglądem od Żelaznej Strzały. W jego włosach nie było ani jednego pióra, a z broni miał przy sobie tylko zatknięty za pasem nóż. Również Wilkins i Old Firehand byli uzbrojeni tylko w rewolwery. Cała trójka usiadła w milczeniu naprzeciwko Marikopasów i Roulina.

Przez dobry kwadrans wszyscy siedzieli w milczeniu, wypro-stowani niczym greckie kolumny.

Czas ten w końcu wydał się chyba wodzowi Marikopasów za długi. Podniósł się z ziemi i zaczął wyliczać bohaterskie czyny swego szczepu, dokładnie informując przy tym oczywiście o swym własnym bohaterstwie. 'I~n potok napuszonych słów trwał dobre pół godziny. Teraz głos musiał zabrac' wódz Apaczów. Wstał z ziemi, położył dłoń na rękojeści swego noża i stwierdził po prostu:

- Jestem Winnetou. Znacie mnie wszyscy. Jeśli nie, to mnie poznacie. Mówię tylko swymi czynami. Niech mój biały brat zabie-rze głos w moim imieniu! - powiedział wskazując przy tym palcem na Old Firehanda, a potem ponownie usiadł.

Wódz Marikopasów z pogardą spojrział na trapera.

111

-Jestem wodzem. Czyż mam rozmawiać z człowiekiem stojącym ode mnie niżej?

- S d wiesz że sto niżej od ciebie - za ał s oko nie
:i, . ką , ję l ? p~ p j

myśliwy. - Old Firehand jest większym wodzem niż

- Uff! Uff! Inshava Nonton, Biały Wódz! - zawołał Żelazna Strzała tracąc panowanie.

- Inshava Nonton! Uff! -wykrzyknął również jego towarzysz.

Podczas gdy cała trójka wymieniając uwagi patrzyła na niego, Old Firehand zwrócił się do Wilkinsa:

- I co? Czy to on?

Wilkins pochylił się ku niemu.

- Podobieństwo jest zaskakujące, ale to nie mój bratanek. Wi-dzę to teraz, gdy mu się dokładnie przyjrzałem. 'Id króciutka wymiana poglądów nie zwróciła uwagi Marikopasów.

W napięciu ciągle spoglądali na trapera.

- Czy Żelazna Strzała będzie teraz ze mną rozmawiał? - przerwał w koficu ciszę Old Firehand.

- Jeśli to ty jesteś Białym Wodzem, to odpowiem na twoje pytania.

- Powiedz mi więc, czy blada twarz, która siedzi obok ciebie jest twoim przyjacielem?

- 'l'dk, to mój przyjaciel i brat.

Wtedy Old Firehand zwrócił się zniemacka do białego i zapytał go po angielsku.

- Pan się nazywa Roulin?

- 'T~k.

- Jest pan Francuzem?

- Z urodzenia, ale dorastałem w Ameryce.

- Jak długo mieszka pan już na Zachodzie Stanów Zjed-noczonych?

- Dlaczego pan pyta?

Roulin stał się niespokojny. Spojrzenie Old Firehanda było tak plzezi~k~,we, że Fzancvz poczu~, iż groi~ m~ jak~eś ~i~bezpieczeń-stwo.

- Ponieważ mam do tego powody. A więc, od kiedy jest pan na Dzikim Zachodzie?

- Od wielu już lat.

- Czy jest panu znany człowiek nazwiskiem Walker?

Roulin pobrał.

- Nie - odparł po chwili.

- Ale tego gentlemana pan zna? - Old Firehand wskazał na Wilkinsa.

- Prawdopodobnie jest to ojciec Leśnej Gołębiczy.

- Zgadza się. Zna pan jego nazwisko?

- Nie.

- Nazywa się Wilkins i przybył tu z Wilkinsfield.

Roulin zakrzuszył się i miał kłopoty z wydobyciem z siebie głosu.

- Nie znam tego nazwiska! - wydusił z siebie w koficu.

- Więc pomogę panu trochę: czy ma pan może jeszcze w swym posiadaniu dokumenty Artura Wilkinsa?

Bladość twarzy Roulina ustąpiła teraz trupiej szarości. Zaczął kaszleć i z największym trudem starał się odzyskać panowanie nad sobą.

- Nie rozumiem pana; naprawdę nie wiem, kogo i co pan ma na myśli.

- Czy nie będzie mnie pan również rozumiał, jeśli zapytam, gdzie zniknął nadzorca Martin Adler z Wilkinsfield?

- Nie rozumiem ani słowa z tego, co pan do mnie mówi!

- Nadejdzie jeszcze czas, abym nieco odświeżył pańską pa-mięć. 'I~raz jednak mamy kilka innych spraw do omówienia. - zwrócił się ponownie ku Marikopasom.

- Dlaczego Żelazna Strzała chciał tej rozmowy?

- Żelazna Strzała chce dostać ciała poległych!

- Niech tak się stanie, oczywiście po tym, gdy dzielni Apacze 113 zdejmą im skalpy.

- Biały Wódz nie mówi, jak człowiek chcący pokoju. Czyż nie wie, że czerwony wojownik, któremu brakuje skalpu, nie dostanie się do Krainy Wiecznych Łowów? Jeśli oskalpujecie naszych zabitych, wtedy my również zabierzemy za karę wasze skalpy.

- Spróbujcie. O ile nie masz nic więcej do powiedzenia, nie musisz już z nami dłużej rozmawiać. Zakoficzyliśmy nasze spotkanie.

- Jeszcze nie. Mam jeszcze jedną sprawę. Porwałś moich synów i powiedziałeś temu posłańcowi, że będą musieli umrzeć. Czy to prawda?

- Tak.

- Co oni ci zrobili, że chcesz ich zabić?

- A co uczynili ci mieszkańcy tego domu, że chciałeś na nich napaść?

- Oni są moimi wrogami, ponieważ są przyjaciółmi Apaczów.

- Ja więc muszę traktować twoich synów również jako moich wrogów, których należy zniszczyć.

- Bierzesz na siebie wielką winę. Zabijemy co najmniej tylu Apaczów, ilu wy zabiliście naszych wojowników. A było ich więcej niż cztery razy po dziesięć.

- Apacze są dzielnymi wojownikami; potrafią się bronić.

Jedynym słabym punktem Żelaznej Strzały była jego ojcowska miłość. Kiedy więc uznał Old Firehanda za nieubłagane, sięgnął po ostatni argument, jaki mu pozostał.

- Dam ci za nich okup. Dostaniesz konie wszystkich moich wojowników, którzy padli podczas dzisiejszej nocy.

- Nie jestem handlarzem koni. Jest tylko jedna cena, za którą mogę ci zwrócić twoich synów.

- Jaka?

- Dasz mi za nich kogoś innego.

- Kogo masz na myśli?

114

- 'I-go białego człowieka, który nazywa się Roulin.

Francuz zerwał się przerażony z ziemi, ale Marikopas uspokoił go od razu.

- Nie obawiaj się! Jesteś pod moją ochroną. Nie poświęcę cię.

- A więc nie zgadzasz się? - zapytał Old Firehand.

- Nie. Lepiej zabij moich synów. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, iż Żelazna Strzała poświęcił przyjaciela, aby ratować swoje dzieci.

- Ale ten, którego nazywasz swoim przyjacielem, jest oszustem.

- Coś podobnego! - wykrzyknął Roulin i sięgnął do pasa. Żelazna Strzała rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Według waszych praw mógł on, być może, postąpić nie-słusznie, jednak według naszych obyczajów jestem jego obrońcą i muszę dotrzymać mego słowa.

- A więc twoi synowie muszą umrzeć.

Przekorny uśmiech przemknął po twarzy Marikopasa.

- Nie tak szybko. Będziesz się musiał dobrze zastanowić, zanim ich zabijesz. Dowiodę ci tego.

- Jestem bardzo ciekaw. Słucham cię, wodzu.

- Dowiodę ci tego nie słowami, ale czynami.

- Pshaw! Rozmieszasz nas!

- Przybyliśmy do ciebie jako przyjaciele.

- Old Firehand nie jest dzieckiem. Kiedy wczoraj byłem w waszym obozie, siedziałem na drzewie, pod którym rozmawiałeś ze Srebrnym Człowiekiem. 'I-m też dowiedziałem się wszystkiego, czego nie możesz mi teraz powiedzieć.

- Uff! Uff!

- Dlatego też wziąłem do niewoli obu twoich synów. Gdybyście wysłali posłańca, aby uczciwie uprzedzić nas o swych wojennych planach, żaden z twoich wojowników by nie zginął, a my siedzielibyśmy teraz, paląc fajkę pokoju. Wy jednak chcieliście inaczej.

115

- Oddaj nam obu moich synów, a wojownicy Marikopasów wycofają się i nie będą więcej napastować Leśnej Gołębiczy!

- Czyżbyś uważał Old Firehanda za dziecko? 'Ib nie ty będziesz stawiał nam warunki, lecz my tobie. A ja już wymieniłem ci nasze żądania.

- Oswobodzimy więc jeficów siłą.

- Jak chciałbyś tego dokonać?

- Marikopasowie ruszą do szturmów na misję.

- Spójrz tylko na okna i na dach budynku! Czyżbyś nie zauważył tych łuf wycelowanych w wasze głowy? Skończyliśmy nasze rozmowy; ty zresztą nie chcesz rozmawiać z nami przy pomocy słów, lecz czynów. Jesteśmy ich bardzo ciekawi.

Powiedziawszy to Old Firehand wstał i wolno, z godnością, ruszył w stronę misji. Winnetou i Wilkins natychmiast poszli za jego przykładem, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa.

Nie obejrżeli się też ani razu na Marikopasów, którzy nie byli przygotowani na tak szybkie przerwanie rokowań.

- Mister Firehand - odezwał się Wilkins stojąc już przy broni. - Pytania, jakie pan zadał Roulinowi, bardzo mnie zdziwiły. Odniosłem wrażenie, że widzi pan jakiś związek między nim a moim bratankiem. Skąd panu to przyszło do głowy?

- Ma pan rację. Wpadłem na ten pomysł nagle. Czy zauważył pan przerażenie Roulina, gdy usłyszał pańskie nazwisko, a potem nazwisko pańskiego bratanka?

- Rzeczywiście, zauważyłem to.

- Mój tok myślenia był następujący: Walker, który odkupił plantację od pańskiego bratanka, wiedział o planowanym napadzie Marikopasów. Skąd? Albo od samych Marikopasów, albo od Roulina. Wynika z tego, że obaj panowie się znają. Kiedy potem, dzięki panu, dowiedziałem się o zaskakującym podobieństwie Srebrnego Człowieka do pańskiego bratanka, moje przypuszczenia poszły dalej. A jeśli Roulin usunął pańskiego bratanka, a potem

116 wszedł w posiadanie jego dokumentów? Ze względu na swe podobieństwo, nie miałyby większych kłopotów uchodzić za Artura Wilkinsa.

- Wielkie Nieba! Sądzi pan więc, że Roulin przedstawił się jako Artur i jako on sprzedał plantację Walkerowi?

- Dokładnie tak myślę.

- Ależ to bardzo śmiały pomysł!

- Ma pan rację. Nie miałem początkowo zamiaru zrobić nic innego, jak tylko wysondować sprawę. Rezultat był bardzo zaskakujący. Zdenerwował się już, kiedy wymieniłem nazwisko Walkera, a pańskie całkowicie zmieniło kolor jego twarzy. Niech mi pan wierzy, mister Wilkins, nici, które zaprowadzą nas do pańskiego bratanka, wiodą wszystkie do Roulina! Jestem o tym całkowicie przekonany.

- Dałby Bóg, aby miał pan rację. Ale wtedy musimy sprawić, by Roulin znalazł się w naszych rękach.

- I tak też zrobimy.

- Ale wódz nie wyda go nam.

- Musimy więc zacząć całą sprawę z innego końca. 13-zeba dostać Roulina za wszelką cenę.

- Co zrobi teraz wódz Żelazna Strzała?
- Myślę, że nie będziemy musieli długo czekać na następny krok wrogów.

Tym razem jednak Old Firehand się pomylił. Przedpołudnie minęło, a czerwnoskórzy wojownicy, którzy rozbili obóz na brzegu 'Irtlish-to nie ruszyli się z miejsca. Sprawiali wrażenie, jakby mieli zamiar rozpocząć dłuższe oblężenie i nie chcieli rozpoczynać ataku przed zapadnięciem nocy.

'Pdkże i pierwsza połowa popołud-nia minęła spokojnie. W pewnej chwili Old Firehand, który od czasu do czasu obserwował Marikopasów przez lunetę, zauważył niepokój w szeregach napastników. Ujrzał, jak kilku podnieco-nych Indian przebiegło pomiędzy wigwamami, a potem zobaczył większą liczbę wojownikbw odjeżdżających wąwozem, którym tu przybyli. Co się stało?

Od tych niewyjaśnionych wydarzeń minęła może godzina, gdy jakiś Indianin zaczął zbliżać się do misji. W ręce trzymał kawałek białej skóry; był to więc kolejny parlamentarzysta, który tym razem podjechał pod samą bramę misji.

Po kilku minutach brama została otwarta. Stał w niej Sam Hawkens, który od północy opuszczał swój posterunek tylko na kilka chwil.

- Czego chce czerwony wojownik? - mruknął ponuro Sam.
- Prowadź mnie do Białego Wodza!
- Czego chcesz od niego?
- Ostra Siekiera powie to tylko mężczyźnie, którego wy nazy-wacie Old Firehandem. Ostra Siekiera został wysłany do niego, a nie do ciebie.

- Jeśli nie chcesz mówić, to wynoś się stąd! Nawiasem mó-wiąc, twój wódz zapewniał nas wyraźnie, że nie chce już z nami rozmawiać przy pomocy słów. A więc znikaj stąd, albo ci w tym pomogę, jeśli się nie mylę!

Brwi Indianina ściągnęły się ponuro. Widać było po nim wielki wysiłek, jaki włożył w to, aby nad sobą zapanować. Ale został wysłany przez swego wodza, więc musiał wykonać jego polecenie.

- Czy wszystkie blade twarze są tak ciekawskie jak ty?
- Ciekawskie? Wielkie Nieba! Chłopcze, nie bądź tak bez-czelny!
- Czy blada twarz zaprowadzi mnie w końcu do Białego Wodza, czy nie?
- Nie.

W oczach Indianina pojawił się błysk gniewu.

- Dobrze! Ostra Siekiera odejdzie, ale niech blada twarz się strzeże, by nigdy więcej go nie spotkać, bowiem wtedy straci swój skalp.

118

Brodąta twarz trapera drgnęła w wesołym uśmiechu.

- Na Boga! Chcesz mieć mój skalp, ezerwonoskóry? A więc go sobie weź! - z tymi słowy traper zdjął lewą ręką swój bezkształtny kapelusz, a prawą ściągnął z głowy perukę. A potem podsunął ją zachęcającym gestem Indianinowi pod nos.

W tym momencie Ostra Siekiera stracił w koficu panowanie nad sobą. Jego oczy rozszerzyły się, a pełen przerażenia wzrok wędrował od peruki do pozbawionej włosów, czenwonej jak krew czaszki tra-pera i z powrotem do „skalpu”. W całym swoim życiu Indianin nie widział jeszcze nigdy peruki, stąd też całe to wydarzenie musiał uznać za niemożliwe do wyjaśnienia czary. Biały traper, który sam się oskalpował i chciał mu na dodatek podarować własny skalp - to były czary, największe czary, jakie mógł sobie wyobrazić...

- No co, chcesz mój skalp? Weź go sobie w koficu! - powtGrzył Sam Hawkens patrząc na ciągle jeszcze zamarłego w bezruchu Marikopasa.

Tylko to jedno słowo udało się wydusić z siebie Indianinowi, a potem parlamentariusz wykonał ku otwartej bramie sus, który przy-niósłby chwałę panterze i długimi skokami pobiegł ku swoim współ-plemieńcom. Jego lęk wywołany został nie tyle wyglądem krwawo-ezerwonej ezaszki, co niesamowitością całego wydarzenia. Uciekającego Marikopasa gonił przeraźliwie piskliwy śmiech Sama, do ktbrego dołączyli się niebawem i inni obrofcicy misji, mimo iż nie wszyscy znali przygode, za którą traper zapłacił swym skalpem.

- Well - stwierdził Sam zauważywszy zdziwione spojrzenia Rotheego i jego syna. - Od dzieciństwa nosiłem uczciwie swe włosy, tam gdzie ich miejsce i żaden sądowy krętacz nie mógłby temu zaprzeczyć. Było tak do chwili, gdy jeden czy dwa tuziny Paunisbw napadło na mnie i wyrwało mi włosy razem ze skórą. Było to piekielnie nieprzyjemne uczucie, ale udało mi się je szczęśliwie znieść, hihihih! Udałem się potem do 'I~kama i kupiłem sobie nowy skalp,

119 zwany peruką, jeśli się nie mylę. Kosztowała mnie ona trzy grube wiązki bobrowych skórek. Myślę, że kilku czerwonoskórych też mu-siało za nią zapłacić własną skórą, hihihih!

Old Firehand zauważył z dachu przybycie wojownika Marikopa-sów i natychmiast zszedł na parter, by dowiedzieć się o jego żąda-nia. Dotarł na dół jednak za późno; wysłuchawszy opowieści o wydarzeniu stwierdził krótko:

- Nie powinien pan go odsyłać z niczym.

- A dlaczego? Jeżeli chce czegoś od nas, to wróci, on Czy ktOŚ inny; jeśli jednak miał zamiar stawiać nam tylko nowe żądania, to lepiej, że go stąd wypędziłem, jeśli się nie mylę. Okazało się, że Sam miał rację. Po pół godzinie pod bramą misji pojawił się drugi Marikopas, który zatrzymał się jednak w odpowied-niej odległości i tylko gestem dał do zrozumienia, że przynosi wieści od swego wodza.

- Jak pan sądzi, mister Firehand? Czy znowu mam wyjść do niego? - zapytał gotów do działania Sam.

- Niech mu pan da spokój! - roześmiał się traper. - Oba-wiam się, że sam pański widok spowoduje ucieczkę tego dobrego człowieka, któremu najwyraźniej leży na sercu jakiś problem. Jego poprzednik z pewnością opowiedział o swoim przeżyciu; może pan być pewny, że od dzisiaj wszyscy Marikopasowie będą czuli do pana piekielny szacunek!

- Radziłbym im to, jeśli się nie mylę! A więc sam pan do niego wyjdzie?

- 'I~k. Otwórzcie bramę!

Wynik rozmowy z wysłannikiem Marikopasów był następujący:

przyniósł on wiadomość, iż jego wbdz, Żelazna Strzała, jest gotów spełnić żądania Old Firehanda i prosi o drugie spotkanie. Old Firehand zgodził się i zażądał dodatkowo, aby odbyło się ono w budynku misji. Zapewnił wodzowi bezpieczny powrót do swe-go obozu, nie dowiedział się jednakże, co spowodowało zmianę 120 nastawienia wodza. Czerwonoskóry odparł, że nie jest upoważniony do mówienia o tyrn, jako iż Żelazna Strzała mu tego zakazał. Już po krótkim czasie obrońcy ujrzeli nadjeżdżającego wodza Marikopa-sów w towarzystwie tylko jednego wojownika. Tym razem wódz zre-zygnował ze swego odświętnego, stroju i zostawił w obozie całe swe uzbrojenie. W bramie misji powitał go Sam Hawkens i zaprowadził wraz z towarzyszem do jednej z izb na parterze. Minęli przy tym grupę białych, w której znajdował się między innymi Hermann von Adlerhorst. Zaledwie spojrzenie Żelaznej Strzały padło na niego, wódz zatrzymał się na moment zaskoczony. Potem potrząsnął głową, jakby dziwiąc się czemuś i zaraz ruszył dalej za swym przewodnikiem. W rokowaniach brali tym razem udział nie tylko Winnetou i Old Firehand, ale także Mocna Ręka i Wilkins. Żelazna Strzała zachowywał się całkiem inaczej niż poprzednio. Nie milczał na początku rozmów, ale od razu zwrócił się do Old Firehanda.

- Niech Biały Wodz powie, czy jego warunek dotyczący wydania moich synów jest nadal taki sam?

- Tak. Wydaj nam Srebrnego Człowieka, a my natychmiast odda-my ci obu twoich synów!

- Niech się spełni wola Białego Wodza. Żelazna Strzała jest gotów spełnić ten warunek.

- A więc przyprowadź Sonatakę!

- Nie mogę tego uczynić dzisiaj - odparł z kamienną miną wódz nie ruszając się z miejsca.

- Dlaczego to?

- Bowiem on uciekł przed kilkoma godzinami,

'Pd wiadomość zaskoczyła Old Firehanda, aczkolwiek zupełnie nie dał tego po sobie poznać.

'Idkże i Winnetou pozostał spokojny w przeciwieństwie do Mocnej Ręki.

- Czy Żelazna Strzała chce z nas kpić? -wykrzygnął. - A może uważa nas za dzieci, które jeszcze nie nauczyły się rozumieć sensu słów? Mamy ci oddać twych synów, a ty dasz nam tylko przyrzeczenie, 121 którego nie potrafisz spełnić?

- Wódz Marikopasów wypełni to, co przyrzeknie i będzie tak długo ścigał Srebrnego Człowieka, aż go dogoni, a potem przypro-wadzi go nad Błękitną Wodę. Dapiero wtedy odbierze swoich synów od wojowników Apaczów. Do tej chwili niech pozostaną u nich jako zakładnicy.

- Dlaczego Sonataka uciekł? - zapytał Old Firehand.

Wódz wzruszył ramionami.

- Srebrny Człowiek jest niczym poranna mgła. Kiedy nadchodzi słofice pokoju, rozplywa się. Z powodu wzięcia do niewoli obu moich synów uznał naszą wyprawę wojenną za zakoficzoną i obawiał się, że będziemy się na nim, jako podżegaczu, mścić. Dlatego też pota-jemnie odjechał z naszego obozu.

- Stąd ten niepokb j w obozie Marikopasów! 'Pdk więc Sonataka nie jest już pod twoją ochroną?

- Nie. Był moim towarzyszem; ale nigdy już nim więcej nie będzie.

- Hm... - Old Firehand spoglądał przez chwilę w milczeniu na wodza, zastanawiając się. Potem, rzucił pytające spojrzenie na Win-netou, który odpowiedział skinieniem głowy.

Po chwili Winnetou wstał i wyszedł z izby. Kiedy wrócił, byli z nim obaj synowie Żelaznej Strzały. Nie byli już związani i mieli przy sobie całą swą brofi.

- Wódz Marikopasów nie powinien dłużej czekać na uwolnienie swych synów - powiedział Winnetou. - Wierzmy jego słowom i pomożemy mu schwytać Srebrnego Człowieka.

Żelazna Strzała był wzruszony słowami Winnetou i niespo-dziewanym pojawieniem się swoich synów. Był jednak za bardzo Indianinem, aby to okazać; pozostał pozornie obojętny i gestem nakazał synom, aby usiedli obok niego. Jednakże w jego oczach załśnił trudny od ukrycia blask, a jego głos drżał lekko, gdy zapytał:

- Czy uwolnicie moich synów?

122

- Mogą odejść, kiedy będą chcieli.

Żelazna Strzała patrzył długą chwilę w milczeniu przed siebie. Nikt nie przeszkadzał mu w jego rozważaniach. W końcu uniósł oczy, a jego wzrok powędrował ku Winnetou, potem ku Old Firehandowi, by za moment powrócić znowu do Winnetou.

- Tb prawda, co opowiada się o Winnetou i Inshava Nonton - oświadczył w koficu ochryple. - Żelazna Strzała chce zostać waszym przyjacielem.

- A coż ci w tym przeszkadza?

Żelazna Strzała spojrział ponuro na Mocną Rękę.

- Ostatniej nocy kule Apaczów Chiricahua zabiły wielu moich wojowników, a Winnetou i pozostali pomogli im w tym. Są ich przyjaciółmi i dlatego nie mogą zostać moimi. Żelazna Strzała wypali z nimi fajkę pokoju tylko wtedy, jeśli Apacze dadzą mu w zmian tylu wojowników, ilu zginęło Marikopasów.

- Czego oczywiście nie zrobią - u~miechnął się Old Fire-hand. - Za to ja dam ci za twoich wojowników kilka bladych twarzy.

Wódz Marikopasów spojrział oszołomiony na Old Firehanda. I'd propozycja była właściwie czymś niesamowitym i po raz wtóry wy-prowadziła go z równowagi. Co~ podobnego nie zdarzyło się jeszcze w jego życiu wojownika. Biały jeńiec uważany jest poza tym przez Indian za bardziej wartościowego od dziesięciu czerwonoskórych wojowników.

- Moje uszy są dobre - odparł więc po krótkiej chwili milcze-nia - ale tym razem myślę, że usłyszały źle.

- Dobrze słyszałeś. Mamy wielu białych jeńców w piwnicach misji. Chcę ci ich oddać zamiast Apaczów, których żądasz.

- Ilu ich jest?
17~aper podał liczbę.

- I oddasz mi ich wszystkich, abym ich oskalpował?! - wy-krzyknął zaskoczony.
123

- Nie, nie powinieneś tego czynić. Weź ich ze sobą do wigwa-mów twego szczepu, aby mogli ci tam służyć i wypełniać twoje rozka-zy. Jeśli nie będą ci posłuszni, zrobisz z nim to, co zechcesz.

- Czy nie są to twoi przyjaciele?

- Nie. 'Ib rabusie i mordercy. Gdyby nimi nie byli, to udałaby się i twoja wyprawa wojenna.

- Czy mógłbyś mi to wyjaśnić?

- Są winni temu, że dowiedzieliśmy się o twojej wyprawie. Jeden z ich sprzymierzenców wysłał im wiadomo~ć, że przybędziesz nad Błękitną Wodę, a my dowiedzieliśmy się o tym właśnie od nich. Oczy Marikopasa zaślniły ponuro.

- Chcesz więc oddać mi tych mężczyzn?

- Wszystkich, z wyjątkiem jednego.

- Zostaną więc moim sługami, tak, sługami i nie będzie im niczego brakowało. Absolutnie niczego.

Oznaczało to naturalnie, że zostaną jego niewolnikami i będzie im brakowało wszystkiego.

-Jestemgotówwypalićzwami fajkę pokoju - oświadczyłwódz Marikopasów.

W krótki czas potem trzech wodzowie usiedli wraz z Wilkinsem, Liśćmi Koniczyny i Old Firehandom wokół ogniska i zaczęli oma-wiać warunki trwałego pokoju pomiędzy wojownikami Apaczów i Marikopasów. Po długiej przemowie Żelaznej Strzały pokój został zawarty i przypieczętowany wypaleniem fajki pokoju. W trakcie rokowań wielokrotnie padało nazwisko Roulina. Old Firehand zapytał wodza, jak doszło do tego, że ten człowiek został jego przyjacielem.

- To jedyna blada twarz mieszkająca w naszej okolicy. Mari-kopasowie kupują od niego strzelby, proch, kule, noże i wiele innych rzeczy. Stąd go znamy i dlatego z nim przestajemy. Czy chcesz się na nim zemścić?

- 'Ikk.

124

- A więc uważaj! Jest sprytny i okrutny. Znałem wielu męż-cyżn, którzy chcieli się z nim porachować. Przyjechali do niego do Doliny Śmierci, ale nigdy z niej nie wyjechali.

- Czy znasz ich nazwiska?

- Słyszałem je, ale imiona bladych twarzy są dla ucha czer-wonoskórego wojownika tym, czym jest ziarno piasku dla oka: sprawiają mu ból. Widziałem dwóch z nich. Najpierw przyjechał do niego młody mężczyzna. Gdyby był starszy, jego twarz podobna byłaby do oblicza twego przyjaciela, do którego należy ten dom. Słyszac ten słowa siedzący obok Old Firehanda Wilkins po-bladł. Sam Old Firehand omal nie zerwał się na równe nogi, ale zdołał się opanować, nie tracąc swej godności jak przystało na Inshava Nontona.

- Czy tego drugiego też widziałeś?
- Kilka razy i pamiętam do kogo był podobny.
- Do kogo?
- Do tej młodej bladej twarzy, które przedtem minęła wodza Marikopasów.

Tb była rzeczywiście dziwna wiadomość. 'Pą bladą twarzą mógł być tylko Hermann, którego widok tak zaskoczył Żelazną Strzałę.

- Gdzie spotkałeś tych mężczyzn?
- Srebrny Człowiek przywiózł ich jako swoich gości do obozu Marikopasów.
- Kiedy?
- Od chwili, gdy moje oczy ujrzały pierwszego z nich, minęło już jedno lato i jedna zima.
- A drugiego?
- Widziałem go kilka miesięcy później.

Tb mogłoby się mniej więcej zgadzać. Od czasu wydarzeń na plantacji Wilkinsa minął ponad rok. Jeśli podejrzenia Old Firehan-da były zgodne z prawdą i Roulin wystąpił wtedy jako Artur Wilkins, to do oszusfwa musiało dojść właśnie w owym czasie, jako że 125 wszystkie dokumenty, jakie pokazał Walker, nosiły ówczesną datę. Więcej nic się nie dało dowiedzieć od wodza. Było to jednak wystarczająco dużo, zarówno dla Wilkinsa, jak i dla Old Firehan-da, który był całkowicie zdecydowany doprowadzić do końca sprawę swego podopiecznego.

W konsekwencji tych pokojowych rokowań Mocna Ręka musiał zrezygnować ze zdjęcia skalpów poległym Marikopasom. Początkowo wódz Apaczów nie był skłonny podporządkować się temu warunkowi, ale Winnetou udało się go przekonać. Apacze nie ponieśli żadnych strat, a poza tym pakt z Marikopasami przynosił im duże korzyści. Stąd też, chcąc nie chcąc, Mocna Ręka musiał się zgodzi~.

Po pewnym czasie z misji wyruszyła grupa czerwnoskórych i białych wojowników, aby zanieść obozujących nad jeziorem Mari-' kopasom wieść o zgodzie. Została ona przyjęta przez nich z wyraźną ulgą; z okazji zawarcia pokoju urządzono też wielką ucztę, która trwała przez całą noc.

W tym czasie w misji odbywała się narada, podczas której zapadły ważne decyzje. Od chwili, gdy Wilkins dowiedział się, dokąd prowadzą ślady obu zaginionych, jego bratanka Artura i Martina Adlera, nie był w stanie dłużej wytrzymać nad Błękitną Wodą. 'Pdkże i on chciał ruszyć tropem Roulina. Old Firehand miał już gotowy plan pościgu, zaś członkowie Liścia Koniczyny postanowili się do niego przyłączyć, już choćby dlatego, że mieli nadzieję spot-kać się przy tej okazji z Walkerem-Hopkinsem, mordercą Ciotki Droll.

Na takich gorączkowych rozmowach minęła noc. Rano Mariko-pasowie dostali obiecanych bandytów Krwawego Jacka. Nawet ci nieczuli na nic mordercy przerazili się nie na żarty, ř gdy dowiedzieli się o swym losie. Najbliższym i najbardziej ordy-~ narnym przekleństwom nie było końca; wkrótcejednak zamieniły się one w ogólny lament, który też im jednak nie pomógł. Marikopasowie 126 wyruszyli w drogę do domu już przed południem. Od tej pory nikt nie usłyszał już ani słowa o bandzie Krwawego Jacka... Około południa wrócili do misji Marikopasowie wysłani w pogofi za Roulinem. Zameldowali, ~e szli jego tropem aż do Fort Grand. W tym momencie nic już nie było w stanie powstrzymać mieszkaficów misji, także i Almy, jako że chodziło przecież również o zaginionego Adlera. Uzgodniono więc, że dziewczyna zostanie

zawieziona do Deming, skąd dyliżans pocztowy miał ją zawieźć do Granite Station, aby tam, pod opieką ojca, oczekiwać na powrót pozostałych.

Z jeficów pozostał w misji tylko Newton-Florin, dawny derwisz, którego zatrzymał dla siebie Old Firehand. Miał być strzeżony przez Rotheego, który wraz ze swoimi krewnymi miał oczekiwać nad Błękitną Wodą na powrót Wilkinsa. Do pomocy zostało mu kilkunastu Apaczów. Nawiasem mówiąc, nie było już żadnego powodu, aby obawiać się teraz jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Grupa pościgowa wyruszyła z misji wczesnym ranem. Za nią pozostało znowu ciche i spokojne 'Iitlish-to, nad którego brzegami w ostatnim czasie było tak gorąco.

Spokój ten został jednakże zakłócony już po południu. Przez wą-wóz prowadzący od północy dotarło do misji trzech jeźdźców. Jednym z nich był Leflor, który przed mniej więcej rokiem zmusił starego Wilkinsa do opuszczenia plantacji koło Uan Buren. Dwóch pozostałych jeźdźców było jego przewodnikami. Jeden z nich wskazał na 'Iitlish-to.

- Oto Błękitna Woda, sir, obok której, jak mówiłem, musimy przejechać. Czy bardzo się panu śpieszy?

- Dlaczego pan pyta?

- Bo wydaje mi się, że niebawem spadnie deszcz. W takiej sytuacji wolałbym raczej spędzić noc w suchej izbie, niż pod gołym niebem.

- Czy w tej okolicy jest jakieś osiedle albo zamieszkały dom?

- Naturalnie; to stara, słynna misja nad Błękitną Wodą.

127

- Mnisi? Niezbyt lubię ich towarzystwo.

- Byli tu dawniej, potem jednak przenieśli się w inne miejsce.

'I-n, kogo pan tu spotka, wcale nie przypomina mnicha, a nawet pobożnej zakonnicy.

- Chyba nie mówi pan o jakiejś młodej damie?

- Właśnie, że tak. I to jeszcze jakiej!

- Kim ona jest? A przede wszystkim, jak się nazywa?

- Na jedno pytanie mogę panu odpowiedzieć, zaś na drugie nie.

Nazywana jest powszechnie Leśną Gołębicą i mieszka w tej starej misji wraz z ojcem pod opieką Apaczów.

- Czy jest bogata?

- Może pan to sobie wyobrazić. Jak mówią, nad jeziorem zako-pano wiele skarbów.

- Czy daleko stąd do tej misji?

- Wcale nie. Skręcimy za tą skałą i już ją zobaczymy! Jeśli chce pan posłuchać dobrej rady, to zostanmy tutaj na noc.

- Czy nas tam przyjmą?

- A czemóżby nie? W tej okolicy ludzie są szczęśliwi, jeśli uda im się spotkać białego.

- Spróbujmy więc.

Nad jeziorem, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego człowieka. Okienko w bramie misji otwarło się również dopiero po długim pukaniu.

- Kim jesteście? - zapytała stara Indianka.

- Podróżnymi. Prosimy o nocleg.

- Przenocujcie pod drzewami!

- Dzisiejszej nocy będzie padać.

- Zapytam o zgodę - stara znowu zamknęła judasza.

- Do diabła! - roześmiał się Leflor. - Czyżby to miała być ta wasza Leśna Gołębica?

- Niech pan nie kpi! Gołębica jest tak samo piękna, jak brzydka jest ta stara baba. 128

- Oby była tylko bardziej gościnna!
- Bez obawy! Z pewnością zostaniemy przyjęci.
Już po krótkiej chwili stara otwarła przed nim bramę misji.

- Wjedźcie na dziedziniec!

Jeźdźcy spełnili jej polecenie. Na dziedzińcu jeden z Indian przytrzymał ich konie. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle go nie obchodziła ich obecność, ukradkiem zaś dokładnie zlustrował przybyszy. Kiedy zsiadli z koni, przy schodach wyszedł im na spotkanie jakiś mężczyzna. Był to Rothe, który powitał ich łamaną angielszczyzną.

- Chcecie tu przenocować, gentlemani? Well! Nie chciałbym pozostawić u tych progów bez pomocy żadnego gentlemana w potrzebie. Powtarzam: gentlemana. Jak to wygląda w waszym przy-padku?

Leflor roześmiał się.

- Myśli pan o naszym wyglądzie? Niech pan weźmie uprzejmie pod uwagę, że podróż przez dziką prerię...

- Nie, nie... - przerwał mu Rothe. - Muszę być po prostu pewny. Nie jestem tu panem.

- Tylko?

- Honorowym zarządcą! Tb miejsce należy do gentlemana nazwiskiem Wilkins.

- Wilkins?

- Czy to nazwisko jest panu może znane?

- Hm... Słyszałem o plantacji Wilkinsfield... w Arkansas... badał ostrożnie Leflor gotów na wszelki wypadek do wycofania się.

Ze zrozumiałych względów obawiał się spotkania z Wilkinsem, mimo iż z drugiej strony, od dawna bezskutecznie go szukał.

- Ió prawda! To prawda! - wykrzyknął nie podejrzewający niczego Rothe. - Właśnie stamtąd pochodzi nasz mister Wil-kins!

Leflor już miał zamiar zakląć. Jego wzburzenie przeniosło się na 5 --- Dolina śmierci 129 konia, który zaczął taficzyć. Szukał przy tym okazji, aby jak najszybciej stąd się oddalić.

- Nie chciałbym być uciążliwy temu panu - wydusił z siebie w koficu. Ale uśmiech Rothego rozwiął jego obawy.

- Jest pan nader delikatnym gentlemanem! Kto mówi o czymś takim? Mister Wilkinsa nie ma wcale w domu. Nie będziecie mu więc wcale przeszkadzać. Witam więc w jego imieniu pana i pafiskich towarzyszy. Wejdźcie do środka. Pafiscy słudzy niech zwrócą się do tamtego Indianina! On się o nich zatroszczy.

Leflor początkowo mocno przestraszony, teraz ucieszył się. Od-krył kryjówkę dawno poszukiwanego Wilkinsa i był zdecydowa-ny wykorzystać tę sytuację. Należało tylko nie zdradzić swej toż-samości i stwierdzić, czy nie ma tu kogoś, kto znałby jego stosunki z Wilkinsem. Wydał więc półgłosem polecenia swoim przewodnikom, f' mrugając przy tym znacząco.

- Chcę zachować ostrożność w tym miejscu i nie zdradzić swego nazwiska. Nie ufam tym ludziom. 'I3rzynajcie buzie na kłód-kę! - dodał, a potem wszedł za Rothem do izby, w której sledziła jego żona wraz siostrą i synem.

- Sprowadzam wam gościa - oświadczył leśniczy.

- Litton! - przedstawił się Leflor. - Phil Litton!

- Nazywam się Rothe. Byłem w Niemczech leśniczym. Oto moja żona i mój syn, a to jej siostra! Pozostali mieszkaficy tego domu odfrunęli. Wielka szkoda! W przeciwnym razie znalazłby się pan w wyborowym towarzystwie, bowiem byli poza panem tego domu i jego córką, członkowie

słynnego Liścia Koniczyny: Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker, a także kilku innych gentlemanów. Przerazenie na moment znowu sparaliżowało wszystkie członki Leflora. Cóż by to było za spotkanie - pomyślał. - Akurat z Samem Hawkensem! Starał się ukryć swe zmieszanie i udał zainteresowa-nie tą tak ważną nowiną.

- Dużo słyshałem o tych gentlemanach - wyjąkał. - Szkoda!

130

Wielka szkoda, że ich nie spotkałem!

Potem ogarnęła go radość, że nie musi obawiać się dekon-spiracji. Jednocześnie obudziła się w nim ponownie chęć działania. Chciał wiedzieć, w jakim celu te tak znane osobistości wyjechały z misji.

- Dokąd oni wyjechali? - zapytał z opanowaniem.

- Trudno powiedzieć - wyjaśnił Rothe. - Wydarzyły się tu dziwne rzeczy. Opowiem panu tylko tyle, ile sam wiem, a w tym czasie kobiety przygotowują posiłek.

W ten sposób Leflor dowiedział się od leśniczego wszystkiego, co chciał wiedzieć. Rothe nie zapomniał na koniec zdradzić zamiarów swych przyjaciół.

- Młoda dama pojechała pod opieką ojca dyliżansem pocztowym do Granite Station - papłał. - 'Ihm zaczekają na pozostałych, którzy ruszyli tropem monsieur Roulina. O tym wszystkim dowiedziałem się zupełnie przypadkowo, więc nie wiem nic więcej. Pew-nym jest tylko, że szukają młodego Wilkinsa i człowieka nazwi-skiem Adler.

W tym momencie przyniesiono jedzenie i rozmowa została przerwana. Spożywając kolację Leflor zauważył, że żona leśnicze-go napełniła jedzeniem małą miskę i wyniosła ją z izby.

- 'Ib zapewne dla moich towarzyszy? - zapytał leśniczego.

- Nie.

- Macie jeszcze innych gości?

Tym razem Rothe zawahał się z odpowiedzią. Po chwili jednak wyjaśnił wylewnie:

- Chcę panu zaufać i powiedzieć całą prawdę. 'Ib jedzenie jest przeznaczone dla więźnia. Leflor nadstawił uszu.

- Macie tu więźnia? Czyżby Indianina?

- Nie, nie, białego. 'I~n opryszek chciał się tu włamać i został schwytany wraz z innymi. 131

- Czyż nie powiedział pan uprzednio, że wszyscy bandyci zo-stali wydani Marikopasom?

- I tak też było; z wyjątkiem jednego. Wobec niego Old Fire-hand zdawał się mieć inne zamiary; może dlatego, że był wysłanni-kiem niejakiego Walkera.

Leflor mimowolnie sięgnął ku kieszeni na piersi, w której znaj-dował się list od Walkera o następującej treści:

Niech pan natychmiast przyjeżdża! Mam panu coś ważnego do przekazania. Nazywam się teraz Zennort i mieszkam ko~o Prescott

,'
w Arizonie, w górach Prieta. Każdy w tej okolicy wskaże panu drogę do mnie.

Wzburzenie Leflora było tak wielkie, że omal nie udławił się kawałkiem mięsa. Cóż to za spotkanie! I jakie ważne nowiny! O co też mogło chodzić teraz temu Walkerowi? I kim mógłby być jego posłaniec, którego schwytano?

Tylko z dużym trudem Leflorowi udało się zachować spokój.

Opanował się w końcu jednak i z udawaną ciekawością zapytał:

- Walker? Kim jest ten Walker?

Rothe ciągle jeszcze niczego nie zauważył i opowiedział wszystko, co wiedział o Walkerze. Leflor natychmiast podjął decyzję uwolnienia więźnia i nawiązania z nim bliższych stosunków. Pomógł mu w tym nieopatrznie sam Rothe, pokazując podczas rozmowy na klucz od piwnicy wiszący na gwoździu obok kredensu, a potem dokładnie opisując, w której celi zamknięty jest więzień. Leflor musiał się jeszcze tylko dowiedzieć, kiedy znajdzie okazję, by niepostrzeżenie uwolnić wysłannika Walkera. W tym celu, z troską w głosie, zapytał o bezpieczeństwo misji.

Leśniczy uspokoił go mówiąc, iż nocą dwóch Indian trzyma wartę na dziedzińcu.

- A wewnątrz domu? - zapytał Leflor.

- Nie jest to potrzebne. Na zewnątrz, naprzeciwko bramy, strzeże misji trzech Indian, a domu pilnują ja i mój syn - dodał z powagą.

132

Leflor wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Niebawem zaczął narzekać na zmęczenie i poprosił, aby wskazano mu jego izbę.

- Wskazać panu pokój? - roześmiał się leśniczy. - Mówi pan tak, jakby pan był w jakimś zajeździe! Mogę panu zaproponować tylko pustą izbę. Dlatego też zrobi pan najlepiej, pozostając tutaj. Może pan spać na tej sofie; to rzadka okazja na Dzikim Zachodzie.

- Och, nie chciałbym panu zabierać miejsca!

- O czym pan mówi? My zresztą nie śpimy tutaj, tylko w dwóch izbach położonych na końcu korytarza.

Po niedługim czasie rodzina leśniczego pożegnała się i Leflor pozostał sam. Wiedział już, że nikt nie przeszkodzi mu w przeprowadzeniu swego planu. Nie mogło być lepiej; leśniczy zdawał się robić wszystko, aby tylko ułatwić mu zadanie.

Gdy zaczęła się zbliżać północ, a na zewnątrz padał gwałtowny deszcz tłumiący wszelkie odgłosy wewnątrz domu, Leflor zdjął klucz z gwoźdźca i ukradkiem zszedł do piwnicy. Nie musiał się obawiać Indian trzymających straż na dziedzińcu. Znalazł odpowiednie drzwi, za którymi przebywał więzień, i otworzył je bezszelestnie.

- Kim pan jest? - zapytał zdumiony Newton-Florin, kiedy Leflor bez słowa podszedł do niego i oswobodził go z więzów.

- Niech pan wychodzi i milczy! Chodźmy do mojego pokoju!

Niebawem odzyska pan wolność.

Bez kłopotów dotarli do pokoju Leflora.

- Czy wysłał pana Walker? - zapytał Newton.

- Nie! Ratuję pana z własnej woli.

- Przecież ja pana nie znam!

- Ja pana też nie! A mimo to chętnie panu pomogę. Poznałem Walkera dawno temu; zrobił ze mną dobry interes. Teraz chciałem go właśnie odwiedzić. Przypadkowo zajechałem do misji i usłyszałem, że został pan zamknięty w piwnicy, tylko z tego powodu, że był pan wysłannikiem Walkera. Dlatego też postanowiłem pana uwolnić.

133

- I rzeczywiście uwalnia mnie pan z nader rozpaczliwej sytuacji. Moja wdzięczność pozostanie przy panu na zawsze. Wydaje się pan być człowiekiem majątnym, ja natomiast jestem biedny, ale mimo to zapewniam pana, że nie należy pogardzać moją pomocą.

- Wierzę panu i chętnie ją przyjmę.

- W każdym razie należy koniecznie ostrzec Walkera przed Old Firehandem. Muszę natychmiast stąd wyjechać, aby go zawiać.

- Nie tak szybko! Jak pan chce się dostać do Prescott?
- Do wszystkich diabłów! Rzeczywiście, nie mam konia!
- A ja nie potrafię panu w tym pomóc, przynajmniej nie tutaj.

Pojedziemy stąd przez Silver City do San Carlos i Phoenix...

- I chce się pan w ten sposób dostać do Prescott?
- Oczywiście. Mam przecież dwóch przewodników.
- Sympatyczne typy! Oszukają pana przynajmniej o trzy dni jazdy. A może rzeczywiście nie znają drogi przez góry? Kiedy pan wyjeżdża?

- Wkrótce po wchodzie słońca.

- Ja oczywiście zniknę stąd wcześniej. Zauważą to dopiero późnym popołudniem. Ruszę w stronę Silver City, a pan mnie dogoni. W dwie godziny po wyjeździe dotrze pan do godnego uwagi urwiska. Idź zsiądź pan z konia, aby je obejrzeć; podobnie uczynią pafiscy przewodnicy. Ja się ukryję i w odpowiednim momencie ucieknę z kofimi obu pafiskich przewodników. Pan naturalnie, na tychmiast wskoczy na swoją szkapę, aby mnie rzekomo ścigać. Ci dzielni chłopcy będą oczywiście na pana czekać; my w tym czasie spokojnie pojedziemy do Prescott, do Walkera. Jak się panu podoba ten plan?

- Doskonały. Jak jednak chce się pan wydostać z budynku?
- Na pewno nie przez bramę.
- I tak jest zamknięta, a dwóch Indian trzyma straż na dziedzińcu. 134
- Muszę więc wydostać się stąd przez okno.
- Dobrze; dam panu w tym celu swoje łąso. Ale niech pan uważa na zewnątrz, żeby pana nie schwytano! Naprzeciwko bramy jest posterunek indiański.

- Brama jest za rogiem: Jeśli będę już na zewnątrz, nie dopadną mnie tak łatwo! Il;raz przywiążemy łąso do nogi stołu, aby się pan niepotrzebnie nie męczył. Doskonale! A teraz otworzymy okno! Bill Newton spuścił się po linie na ziemię. Leflor wciągnął łąso z powrotem i zamknął okno.

Następnego dnia rano Leflor wcześniej opuścił gościnną misję. Przy bramie uścił jeszcze dłofi Rothemu, dziękując mu serdecznie za gościnę. Po pożegnaniu leśniczy, niczego nie podejrzewając, spokojnie powrócił do domu.

W dwie godziny potem miały miejsce dwa wydarzenia: kiedy leśniczy zszedł do piwnicy, stwierdził, że więzień zniknął, zaś u podnóża urwiska stało dwóch przewodników Lellora czekających bezskutecznie na konie, które miał on ze sobą sprowadzić.

Seniorita Miranda

W owym czasie Prescott, stolica hrabstwa Yavapai leżącego w stanie Arizona, było jeszcze siedzibą władz terytorialnych. W pobliżu miasta odkryto bogate pokłady złota i srebra, dzięki czemu, jak to zazwyczaj bywało, pojawiło się w nim mnóstwo włóczęgów i innych typów podejrzanego autoramentu.

Miasto to leży nad Hassayampa River, wpadającej do Rio Gila. Jadąc drogą prowadzącą z miasta na północny zachód, dotrzemy obok osiedla chat zbudowanych przez poszukiwaczy złota do lasu. Potem droga prowadzi w górę, kryjąc się niekiedy w głębokich wąwozach. Giągnie się tak ona od doliny do doliny, kończąc na placu przed wielką buddwą, która dawniej, sądząc po jej wyglądzie, służyła za schronienie przed Indianami.

Jej podobne do strzelnic otwory okienne zostały dzisiaj poszerzone i wstawiono w nie szyby. Wejście do środka prowadziło przez przestromą bramę. Po ścianach wspinało się aż na dach dzikie wino i chmiel, zaś przed jedną z narożnych izb rósł olbrzymi dąb sprawiający wrażenie, jakby chciał objąć swymi potężnymi konarami całą budowlę.

Biorąc pod uwagę ponury wygląd zewnętrzny budynku można było sądzić, że leżące wewnątrz pomieszczenia są równie ponure i ciemne. Tymczasem mieszkańcy domu rozebrali częściowo 136 wewnętrzne mury, zastępując je tarasem, dzięki czemu światło miało swobodny dostęp do wielu pomieszczeń.

Na tarasie siedziała młoda dama licząca około dwudziestu czterech lat. Była ubrana modnie, całkiem na białą, jak gdyby przebywała teraz w którymś z wielkich miast, a nie w odległym, położonym pośród puszczyny zakątków Arizony. Jej nadzwyczajna uroda była typu bardzo wyzywającej piękności.

Wzrostem i wyrazistymi rysami twarzy była jednak cieniem aroganckiej pewności siebie; wrażenie to być może, miało swoją przyczynę w wyrazie oczu lub też pogardliwie opuszczonych kącikach ust.

Damą tą, zajęętą pozornie haftowaniem, była seniorita Miranda, pani tego domu. Znała wprawdzie przymkniętymi oczyma zdawała się marzyć o czymś.

Na taras weszła młoda Murzynka i zatrzymała się wyczekując w pobliżu.

Miranda otworzyła oczy i rzuciła jej złe spojrzenie.

- Czego chcesz? - zapytała ostrym tonem.

- Niech missus będzie dobra dla Milly - powiedziała z łękiem Murzynka. - Milly rozbiła talerz. 'Tę są skorupy. Służąca trzymała do tej pory ręce za plecami; teraz wyciągnęła je i pokazała trzy kawałki, na jakie rozbił się talerz. 'Tę Mirandy poczerwieniała.

- Co robiłaś z tym talerzem?

- Milly położyła na nim chleb dla missus i wtedy talerz wypadł jej z ręki.

- Czy nie możesz uważać, głupia dziewczyno?! Gdzie masz oczy i rozum? Dawaj tu te kawałki! Murzynka z wahaniem spełniła rozkaz Mirandy.

- Och, niech missus nie bije biednej Milly!

- Nie bić?! Czy nie widzisz, że był to jeden z tych cennych talerzy?

Nauczę cię uważać! Masz te skorupy! - i Miranda zamachnęła się, a potem rzuciła skorupy Murzynce w twarz.

Milly krzyknęła przeraźliwie i dotknęła palcami oka. Jedna ze skorup zraniła ją w policzek, szpic drugiej wbił się jej w oko.

- Och, och, moje oko! - jęczała. - Milly już nie widzieć! Milly jest teraz ślepa! Missus nie jest dobra dla biednej Milly!

- Co?! Nie jestem dobra?! I ty masz czelność to mówić, głupia kwoko?! Masz jeszcze na koniec!

I szybko uderzyła biedaczkę obitymi na kantach srebrną blachą krosienkami do haftowania, tak że Murzynka krzyknęła przeraźliwie z bólu po raz wtóry.

W tym momencie otwarły się jedne z drzwi prowadzących na taras. Pojawił się w nich młody Murzyn, który szybko podszedł do płaczącej Milly.

- Co się stało dobrej Milly? - zapytał.

- Missus rzuciła mi talerz w oczy i uderzyła krosienkami w twarz!

Milly nic teraz nie widzi!

- Niech Milly pokaże!

Murzyn odciągnął jej ręce od twarzy i przyjrzał się zranieniu, a potem odwrócił do Mirandy.

- Missus nie powinna bić, Milly być może oślepnęła na jedno oko!

Jeśli Milly rozbiła talerz, powinna zapłacić, ale nie wolno jej bić i rzucać w nią skorupami!

'i-go było już za dużo szlachetnej Mirandzie. Sięgnęła po dzwonek leżący na niskim stolczku i zadzwoniła kilkakrotnie.

- Senior Zennort! - zawołała kilka razy przenikliwym, chwilaми piskliwym głosem. Na parterze pojawiły się cienie wielu służących, którzy jednak na widok rozwścieczonej pani natychmiast znowu zniknęły. Na tarasie pojawił się wywołany ze swego pokoju senior Zennort.

- Co się stało, Mirando?

(†

- Błagam cię, abys obronił mnie przed tymi bestiami! 'I~ baba rozbiła całą moją zastawę. Jeśli tak dalej pójdzie, to niebawem

138 będziemy pili z pantofli i jedli ze sztybletów! A kiedy ją ukarałam, przybiegł tu ten bezczelny czarnuch, zaczął wypytywać, a nawet odważył się grozić!

- Co? Grozić?!

- Nie, Zeus nie grozić, tylko prosić - wyjaśnił Murzyn.

- 'Ijr kłamco! - wykrzyknęła jego pani. - Czyż nie groziłeś mi zemstą, jeśli jeszcze raz ukarzę tę babę?!

- Nie, Zeus nie mówić o zemście!

Jeśliby ktoś spojrział na oblicze Murzyna, mógł być pewny, że mówi prawdę. Zennort nie zadał sobie jednak tego trudu.

- Graził ci?! - wykrzyknął. - 'I~go jeszcze brakowało! Ty czarny bydlaku! Zaraz ci pokaże, jak się odpowiada na takie groźby! Z tymi słowy Zennort dwukrotnie uderzył Murzyna pięścią w twarz; Murzyn upadł na ziemię, a z ust i nosa popłynęła mu krew. Murzynka rzuciła się na leżącego; Zeus odsunął ją jednak, wstał i wyszedł nie powiedziawszy ani słowa. Milly ruszyła jego śladem. Dopiero na dole, w izbie dla służby, Zeus zacisnęła pięści.

- 'Ib mi wystarczyć! Nie chcę już więcej cierpieć takiego tra-ktowania! 'Ii;raz chcę się mścić! Czy pan jest jeszcze na zewnątrz przy missus?

- 'Pdk - zaszlochała dziewczyna.

- 'I~raz odejdę i zabiorę pieniądze, dużo pieniędzy.

- O Jezu! Tylko nie kradnij, Zeusie!

- Nie, Zeus nie ukraść, tylko oddać biednemu człowiekowi, do którego one należą. Missus nie pójdzie teraz do swego pokoju, więc nie złapie Zeusa.

Wszystkie pokoje w budynku były połączone przez drzwi z tarasem; z drugiej strony, miały one oddzielne wyjścia na parter. Stąd też Zeusowi udało się dostać do pokoju, który zamieszkiwała Miranda i nie być przy tym widzianym przez oboje państwa siedzących na tarasie.

W pokoju stała mała toaletka, w której leżały pieniądze, jakie 139 miał na myśli Murzyn. Zeus doskonale znał tę szufladę; jednakże ku swemu rozczarowaniu, szybko stwierdził, że w jej zamku nie było kluczyka.

- Zeus musi poczekać, aż klucz znowu być w zamku! - szepnął pod nosem.

Chciał się cicho wycofać, gdy jedno ze słów, jakie dotarło do jego uszu przez otwarte drzwi na taras, kazało mu się gwałtownie zatrzymać. .

- On musi umrzeć!

- Kto? - szepnął do siebie Murzyn. - 'Ii~zeba podsłuchać!

I niczym kot, skradając się podszedł aż do samych drzwi. Zen-nort i Miranda znajdowali się zaledwie metr od niego, tak że dosko-nale słyszał każde wypowiedziane przez nich słowo.

- Szkoda go właściwie - odparła seniorita Miranda na słowa Zennorta. - Młody Wilkins był bardzo pięknym mężczyzną.

- Pięknym! - parsknął z pogardą Zennort. - Dla ciebie to chyba najważniejsze, jeśli idzie o mężczyzn?

- Naturalnie! A cóżbyjeszcze?

- A więc bogactwo wcale nie jest dla ciebie ważne?

- Oczywiście, że tak, aczkolwiek muszę przyznać, iż wolę biednego, ale pięknego mężczyznę od bogatego i brzydkiego. Dlatego jest mi przykro, że musiał umrzeć.

- Był chyba bardzo czuły wobec ciebie?

-Niestety, nie, chociaż zadałam sobie wiele trudu! On byłjednak zimnyjak gład. Odniosłam wrażenie, że jego serce było już zajęte. Ale nie mówmy o tym! Minęło, a on już nie żyje... od roku. Niestety. Chciałam... Słuchaj!

Dzwonek u bramy hacjendy rozdźwięczał się gwałtownie. Dla Zeusa był to najwyższy czas, aby zniknąć; pośpiesznie wrócił do Milly.

- Masz pieniądze?

- Nie. Nie ma klucza.

- Dzięki niech będą Jezusowi! Nie zostałeś więc złodziejem.

140

- Nie. Za to mister i missus być mordercami.

- Och, co ty mówisz!

- 'Pdk. Zamordowali dobrego mister Artura, który dał tak dobry napiwek Zeusowi.

- Chyba ci się to śniło.

- Nie, Zeus nie śnił, Zeus podsłuchiwał! Zeus słyszał jeszcze więcej. Zeus nie zostanie dłużej u pafistwa, którzy być mordercami. Zeus znowu będzie podsłuchiwał.

Z dziedzińca dobiegły odgłosy końskich kopyt. Do hacjendy przybyło dwóch jeźdźców, Leflor z Wilkinsfield i dawny derwisz, Bill Newton.

Zennort-Walker wydał z siebie okrzyk zaskoczenia.

- Tb pan, mister Leflsr? - zawołał z tarasu. - Tb świetnie, że pan tu przyjechał!

Konie przybyszy były bardzo zmęczone; także po obu jeźdźcach widać było trudy jazdy. Kazali służbie dać koniom obroku i wody, a sami weszli schodami na taras. Zennort wyciągnął dłofi do Leflora.

- Pst! - ostrzegł go plantator. - Cicho! Chodźmy natych-miast do pokoju, gdzie nikt nie będzie mógł nas podsłuchiwać. Sprawa, z powodu której poprosiłem panów do siebie jest co prawda ważna i tajna, ale nie ma aż takiego pośpiechu.

- Są jeszcze inne sprawy, które należy pilnie omówić. Niech pan więc prowadzi nas do pokoju, mister Zennort!

- Proszę za mną! - odparł i poprowadził gości do swego gabinetu.

Miranda poszła za nimi. Obaj przybysze opadli wyczerpani na fotele.

- Czy w ostatnich dniach przydarzyło się panu coś nieprzy-jemnego? - zapytał Leflor.

- Nie.

- A więc nie było ich tu jeszcze. Przybyliśmy w porę, aby pana ostrzec. 141

- Ostrzec? Tb brzmi zastanawiająco!

- I taka jest też cała sprawa. Przybywamy tu prosto znad Błękit-nej Wody.

- Ach tak! A więc to tam spotkał się pan z Billem Newtonem!

-l'dk. Był tam więziony, a mnie udało się go uwolnić podstępem.

- Więziony? Do diabła! Jak do tego doszło, Bill?

Newton wzruszył ramionami.

- Tb wina tego przekłętego Krwawego Jacka. Cały napad kompletnie się nie udał.
- Czy pan oszalał?
- Wszyscy chłopcy zostali schwytani; żaden z nich zapewne już nie żyje. Zabili ich Marikopasowie.
- Przecież ci czerwonoskórzy byli naszymi sprzymierzeńcami!
- Ale już przestali nimi być. Zawarli pokój z Apaczami.
- Tb niewiarygodne!
- Ale jest jeszcze coś gorszego! Mają na pana napaść!
- Kto?
- Wilkins.
- Którego Wilkinsa ma pan na myśli?
- No, tego z Wilkinsfield.
- Do diabła! Czyżby ten człowiek znowu się pojawił?
- Pak, to ojciec owej sławnej Leśnej Gołębicy.
- Czy ja dobrze słyszę? A niech to wszyscy diabli! I to on chce na mnie napaść?
- Ikk, razem z Winnetou, wodzem Apaczów i Old Firehandem~

dalej mają wziąć w tym udział Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker...

Zennort zerwał się z fotela i zaczął nerwowo spacerować po gabinecie. Jego twarz była trupioblada. Przerazenie ogarnęło także i Mirandę.

- Oni wszyscy tu przyjadą. Wszyscy! - powtarzał Newton
142 z dziwną satysfakcją. - Przybędzie tu prawdopodobnie również i Roulin.

- Czy pan oszalał?
- Nie, ale sądzę, że Roulin będzie na tyle głupi. Oni go ścigają i należy oczekiwać, że w swojej głupocie postanowi tu się schronić.

- Będzie odpowiednio powitany, jeśli tu przyjedzie! - za-zgrzytał zębami Zennort-Walker. - I któżby to pomyślał? Nasza sprawa stała tak dobrze, a teraz wszystko wali się za jednym zamachem! Czy można dowiedzieć się czegoś bardziej konkretnego? Role sprawozdawcy przejął Leflor, który dowiedział się wszy-stkiego od gadatliwego Rotheho.

Pod koniec tej opowieści Zennort nadal spacerował głęboko zamyślony po gabinecie. Nagle zatrzymał się.

- I~n atak da się odeprzeć.

- Chciałbym wiedzieć, jak!

- Po prostu chwilowo pozostawię swą jaskinię napastnikom, a sam zaatakuję ich siedzibę. Strona atakująca zawsze ma przewagę~

- I~n pomysł nie jest wcale taki zły. A więc chce pan wyruszyć nad Błękitną Wodę?

- Ani mi to w głowie! Czyż nie powiedział pan, że Almy Wilkins jest w drodze do Granite Station?

- Pak.

- A więc my również tam pojedziemy.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął zachwycony Leflor. - Czyżby pan chciał schwycić tę dziewczynę?

- Tak.

- I co pan z nią zrobi?

- I~go jeszcze nie wiem; to się okaże później. Mam przeczu-cie, że zostaniemy panami sytuacji, jeśli dziewczyna znajdzie się w naszych rękach.

- Przypomina pan sobie, Walker, że kiedyś oświadczyłem się o

143 rękę Alniy, ale ona odrzuciła me oświadczyzny. 'I~raz wreszcie będę miał okazję, aby się na niej za to zemścić.

- Pojedzie pan więc z nami?

- W każdym przypadku!

- Bardzo mi to na rękę. Im więcej pomocnych rąk przy takim przedsięwzięciu, tym większa szansa, że się ono uda. Obawiam się jednak, że odrzuci pan mój plan.

- Dlaczego?

- Poprosiłem was tu, aby powiedzieć coś, co się wam chyba nie spodoba.

- Czy ma to związek z Wilkinsem z Wilkinsfield?

- 'Idk.

- Posłuchajmy więc!

Walker podszedł do okna, jako iż jego uszu doszedł odgłos kopyt kolejnego konia.

- 'Ib wrócił Alfonso, jeden z moich. Przywiózł ze sobą jednego z ludzi, o których właśnie rozmawialiśmy: Roulina. Zabrzmiął dzwonek, a zaraz potem rozległ się zgrzyt otwie-ranej bramy.

- Czy pan widział już kiedy Roulina, mister Leflor? - zapytał Zennort-Walker.

- Jeszcze nigdy!

- A więc zaraz się pan zdziwi! Niech pan uważa!

Po kilku chwilach do gabinetu weszli dwaj nowoprzybyli. Stało się tak, jak to przepowiedział Walker. Leflor zerwał się z fotela i z przerażeniem zasłonił się rękami.

- Wielkie nieba! Czy zmarli zmartwychwstają? Czy to ty, Ar-turze Wilkins?!

- Nie miałem przyjemności poznać pana jeszcze - uśmiechnął się ironicznie Roulin, kłaniając się przy tym z przesadą.

- Nie? Przecież musisz mnie znać!

- Jest mi pan całkowicie obcy człowiekiem!

144

- Wobec tego mamy do czynienia z nieprawdopodobnym przypadkiem podobieństwa!

- Owo podobieństwo - roześmiał się Walker - pomogło panu wejść w posiadanie Wilkinsfield.

- Dlaczego?

- O tym później. 'I~raz wracajmy do mister Roulina!

Mina i ton głosu Walkera zmieniły się; nabrały surowości, takiej jaką przybiera przełożony pokazując podwładnemu na drzwi.

-Niech mi pan powie, mister Roulin, dlaczego postępuje pan tak głupio? Jak słyszałem, wraz z Marikopasami udał się . pan nad Błę-kitną Wodę?

- 'Pdk. Czy to był błąd?

- Absolutnie.

- Pan popełnił taki sam błąd wysyłając tam Krwawego Jacka ze swymi ludźmi. Jesteśmy więc kwita i nie może mi pan teraz nic zarzucić.

- Pańskie przedsięwzięcie nie udało się.

- Pańskie także. Jesteśmy więc kwita po raz wtóry. Żaden z nas nie ma prawa pouczać drugiego.

- 'Idk pan sądzi? A więc myli się pan i to bardzo, mój przyja-cielu! Tb ja jestem człowiekiem, któremu pan wszystko zawdzięcza.

- Bardzo słusznie. Pan ma mi też wszystko do zawdzięczenia!

Jesteśmy więc znowu kwita! Ale, jak mi się wydaje, jest pan dzisiaj w złym humorze. Dlatego odejdę. Nie jestem przyzwyczajony, by traktowano mnie z góry! Good bye, panowie!

Roulin grał swoją rolę tak dobrze, że Walker był zmuszony go powstrzymać. Złapał go za ramię i zawołał:

- 'Ib nonsens! Chce pan stąd wyjechać? Tego by jeszcze bra-kowało! Spada na mnie dziś tyle niemiłych wiadomości, że nic dziwnego, iż na chwilę straciłem dobry humor. Niech pan siada i porozmawia z nami!

- No, dobrze. Czy ja też będę mógł otworzyć usta?

145

- Dlaczego nie?

- Miałem na my~li, czy wszyscy tu obecni mogą słysze~ o naszej sprawie?

- Wszyscy - odparł Walker, rzucając przy tym wiele mówiące spojrzenie na Billa Newtona. Nie chciał go urazić, wykluczając z udziału w dalszej rozmowie. Roulin zrozumiał znak,

- Najpierw proszę pana, aby rozesłał pan zwiadowców po okolicy. Niech nas natychmiast powiadomią o zbliżaniu się wro-gów.

- Czy przyjadą jeszcze dzisiaj?

- Myślę, że są bardzo blisko. Usiłowałem co prawda za wszelką cenę wprowadzić ich w błąd zataczając koło, ale bardzo wątpię, czy udało mi się w ten sposób zwieść ludzi takich jak Winnetou czy Old ' Firehand. Mogą tu się pojawić w każdej chwili.

- Jak pan sądzi, mister Newton? Czy mógłby pan wraz z Alfonso przejąć rolę zwiadowcy?

- 'Idk!

- A więc muszę pana prosić, abyście natychmiast wyruszyli w drogę. Nasze życie zależy od waszego pośpiechu i sprawności!

- Pxszę w to nie wątpić!

Przybyli natychmiast zapomnieli o całym swym zmęczeniu. W kilka chwil potem Newton i Alfonso wyruszyli w drogę.

- Odjechali - odetchnął z ulgą Zennort - a my możemy dalej swobodnie rozmawia~ o naszych sprawach. Seniorita Miranda jest osobą, której ufam; może słyszeć o wszystkim. A więc, mister Roulin, niech pan opowie najpierw o pafiskiej ucieczce i po~cigu za pa-nem, a potem o sprawie Wilkinsfielda.

Roulin opowiedział o swojej wyprawie w góry i nieudanych zamiarach.

- Wszystkiemu jest winien ten Old Firehand! - zakoficzył. - Dlaczego, do diabła, ten typ miesza się w nie swoje sprawy?!

- Ma równie mało prawa do tega, co pan i my - roześmiał się

146

Walker. - Nawiasem mówiąc, na pafiskim miejscu nie opuszczał bym tak szybko Błękitnej Wody.

- O nie! Widziałem, jak się sprawy mają. Byłem niemal cał-kowicie pewien, że zaraz mnie schwytyją. Dlatego uciekłem. Nie sądziłem jednak, że tak szybko za mną wyruszą. Naturalnie, już następnego rana, zorientowałem się, że jestem ścigany. Zrobiłem wszystko, aby zmylić pogoti.

-Moim zdaniem, w tej kwestii nie okrył się pan zbyt wielką sławą.

Największym jednak pafiskim błędem było przybycie tutaj. W ten sposób sprowadził pan swoich prześladowców na nasze karki. Mógł pan pojechać w każdym kierunku, tylko nie tutaj!

- Jak rozsądnie pan mówi sir! Po pierwsze; te psy nigdy nie tracą tropu, a po drugie oni wiedzą, kim jestem, zaś od Marikopasów z pewnością dowiedzieli się, gdzie mieszkam. Wystarczyło więc pojechać tylko do Doliny Śmierci i tam na mnie czekać.

- A cóż oni mogliby panu zrobić? Nic!

- Niech pan pamięta, że jest z nimi Wilkins!

-Pshaw! Czyżby pan się go obawiał?

- Naturalnie! A może pan już o wszystkim zapomniał, mister Walker?

- Och, moja pamięć jest bardzo dobra i nie bardzo wiem, o czym miałbym zapominać w związku z Wilkinsem! Ale wiadomość, jaką przesłał mi pan przed kilkoma tygodniami była tak dziwna, że natychmiast poprosiłem mister Lellora, aby jak najszybciej tu przyjechał. Czy może nam pan teraz wyjaśnić, co oznaczał pafiski list? Był napisany w tak tajemniczy sposób?

- Mógł wpaść w niepowołane ręce; dlatego nie mogłem w nim wyrazić się jaśniej. Przecież mister Leflor wie dobrze, w jaki sposób stał się właścicielem plantacji w Wilkinsfield.

- Wszedł w jej posiadanie w sposób całkowicie zgodny z prawem, kupując ją.

-Ale w jaki sposób! Zapłacił połowę jej wartości; musiał więc 147 zdawać sobie sprawę, że cała transakcja jest co najmniej podejrzana - zawołał wzburzony Roulin, a rzucając znaczące spojrzenie na zaskoczonego Leilora, dodał: - Czy on wie, w jaki sposób pan wszedł w posiadanie tej plantacji?

- Nie. Wystrzegam się mówienia ludziom o takich sprawach.

‘I~raz jednak chyba będzie musiał dowiedzieć się prawdy. T~k, jest to nawet konieczne.

- Ale dla mnie nader nieprzyjemne - sprzeciwił się Walker.

Nawiasem mówiąc, nie widzę powodu, aby o tym mówić. Cała sprawa została kiedyś załatwiona tylko między nami dwoma, mister Roulin i nie bardzo wiem, dlaczego nie miałyby między nami pozostać.

- A co będzie, jeśli Artur Wilkins pojawi się teraz w Wilkinsfield?

- Czy pana bies opętał? - zawołał wzburzony Walker.

- Razem z nadzorcą Adlerem?

- 7ó niemożliwe! Przecież obaj nie żyją.

- Niekiedy zmarli mają zwyczaj zmartwychwstania. A co, jeśli oni jednak jeszcze żyją?

Walker zacisnął pięści i zatrzymał się przed Roulinem zaskoczony w najwyższym stopniu. ‘Idkże i Leflor był bardzo ponury, aczkolwiek nie przeczuwał, co się stało i co się jeszcze może stać.

- Właściwie, to wszystko powinno mi być całkowicie obojętne - odezwał się - czy oni żyją, czy nie, bowiem...

- Tylko powoli! -wpadł mu w słowo Walker. - Jeszcze nie wie pan wszystkiego! Jeżeli Artur Wilkins naprawdę żyje, wtedy będzie pan musiał zwrócić mu Wilkinsfield!

- Dlaczego? Przecież zapłaciłem za plantację!

- Ale nie jemu, tylko mnie!

- I co to zmienia?

- Niewiele, sir; on po prostu wcale nie sprzedał mi tej plantacji!

- Niech pan nie robi sobie głupich dowcipów!

148

- Mówię to z całkowitą powagą! Spotkałem tego Wilkinsa w Santa Fe i byłem zaskoczony jego podobieństwem do mego drogiego przyjaciela, Roulina. Przyłączyłem się do niego i powoli dowiedziałem się o całej sprawie. Pokazał mi nawet posiadane dokumenty. Pomyślałem sobie, że to mógł być dobry połów. Zwaбіłem go na wycieczkę do Doliny Śmierci, gdzie przed kilkoma miesiącami Roulin zaczął na nowo eksploatować starą kopalnię rtęci. Przed-tem jednak

przedstawiłem Roulinowi mój pian. On się z nim zgodził. Roulin strzelił Wilkinsowi w głowę, usunął zwłoki i zabrał wszystkie dokumenty. Potem pojechaliśmy do Santa Fe, gdzie Roulin zaczął, ze względu na podobieństwo, występować jako Wilkins. Sprzedał mi Wilkinsfield, a także zadłużenie swego stryja. Pojechałem później do Wilkinsfield i z kolei ja sprzedałem panu swe prawa do plantacji. W ten właśnie sposób, mister Letlor, stał się pan właścicielem plantacji! - zakochał się ze złośliwym uśmiechem. 'I~kże i Miranda, siedząca obok w milczeniu, uśmiechnęła się.

Leflor za to zrobił minę, jakby został obudzony z głębokiego snu.

- Czy rzeczywiście mam w to wszystko uwierzyć? - zapytał jakby nieobecny duchem.

- Bardzo pana o to proszę!

- A więc we dwójkę zamordowaliście Artura Wilkinsa?

- Jeśli tak pan to nazywa, to owszem - roześmiał się Walkex.

- I oszukaliście mnie?

- Ió również. Ale niech się pan nie obawia, drogi panie! Na ile znam pańskie sumienie, to nie jest ono tak delikatne, aby miał pan zaraz paść zemdłony.

- Jestem więc właściwie waszym... współnikiem?

- Jak na razie, jeszcze nie. Ale niebawem pan będzie!

- Nie mam na to zbyt wielkiej ochoty!

- A więc straci pan Wilkinsfield.

- Wtedy byłbym skończony! Musicie wiedzieć, panowie, no cóż nie będę tego ukrywał przed wami, że żyłem trochę ponad stan.

149

Moją dawną plantację diabli wzięli. 'I~raz posiadam już tylko Wilkin-s~eld.

- Będzie pan więc żebrakiem, kiedy okaże się, że ta umowa kupna nie posiada mocy prawnej.

- Do diabła!

- I jeszcze coś panu powiem, mister Leflor: albo pan będzie razem z nami, albo porozmawiamy nieco jnnym, ostrzejszym to-nem!

- Dlaczego?

- Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nie możemy tolerować człowieka, który wie o wszystkim, a nie jest naszym współni-kiem!

Leflor opadł bezsilnie na fotel. Mimo iż był człowiekiem całko-wicie pozbawionym sumienia, to jednak fakt morderstwa przeraził go.

- Co i cóż? - roześmiał się złowrogo Walker. - Nie sądzę, aby duchowy ból kazał panu rzucić się w odmęty rzeki! Jak do tej pory nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Zb tylko oznaki zbliżają-cej się burzy. Nie bardzo wiem, co Roulin miał zamiar osiągnąć swymi słowami! Artur Wilkins nie żyje i Adler też. Musi pan wiedzieć, że ten Adler przybył na Zachód, by szukać Artura Wilkinsa. Znalazł jego ślad i w ten sposób dotarł do Doliny Śmierci. 'I~m jednak wpadł w ręce Roulina, który nie bawił się z nim wiele.

- Nie bawił się z nim?

- 'Pdk.

- I go... zamordował?

- Czemu ciągle powtarza pan to niesympatyczne słowo - mor-derstwo? Adler został po prostu usunięty, ponieważ był naszym wrogiem. Ió wszystko. 'Ib była zwykła walka, nic więcej. Wygrał ją sprytniejszy i basta!

Zastrzeżenia, jakie przed chwilą odczuwał Letlor, nie miały chyba zbyt wielkiej wagi, bowiem jego przygnębienie szybko minęło.

- Skoro Artur Wilkins nie żyje - powiedział - to i ja nie mam się czego obawiać!

- Może się pan obawiać i to w większym stopniu niż pan sądzi
- przerwał mu Roulin. - Jak panu przedtem powiedziałem:

Wilkins i Adler jeszcze żyją!

- Jeszcze żyją? - Leflor zerwał się z fotela.

- A więc ich pan nie zabił? - zawołał równie zaskoczony Walker.

- Nie.

-Hell and damnation! Czy pan oszalał?

- Raczej nie. Miałem dwa waine powody, aby pozostawić obu przy życiu.

Walker aż zbladł ze wzburzenia. Schwycił Roulina za ramiona.

- Ty przekłety szaleńcze! Powinienem ci teraz poderżnąć gard-ło! Czy zdajesz sobie sprawę, że sprowadzasz niebezpieczeństwo nie tylko na mnie i tego gentlemana, ale również i na siebie?

- Niech pan zabierze ode mnie ręce! - odparł ze spokojem Roulin. - Nie jestem głupim dzieckiem, z którym można robić, co się komu podoba! Mam zwyczaj zdawać sobie sprawę z tego, co robię.

- Kiedy zostawił pan tamtych dwóch przy życiu, najwyraźniej nie wiedział pan, co czyni.

- Nawet bardzo dobrze wiedziałem! Powtarzam, miałem do tego powody!

-Ib może je nam pan łaskawie wymieni, drogi panie Roulin! - warknął ponuro Walker. Roulin uśmiechnął się ironicznie.

- Wiecie panowie o tym ~ rozpoczął chłodnym i rzeczowym tonem - że klimat w kopalni rtęci nie jest zdrowy. Opary rtęci zżerają ludzkie wnętrzości, stąd bardzo ciężko jest znaleźć robot-ników. A jeśli znajdzie się już jakiegoś, to trzeba mu zapłacić tak ogromnie wysoką pensję, że...

151

- Nic mnie to nie obchodzi. '1'd kwestia nie należy wcale do rzeczy!

- O należy i to bardzo. Nie mogłem więc znaleźć żadnych robotników. Wtedy sprowadził mi pan tego Artura Wilkinsa, któ-rego miałem zabić. Nie byłem na tyle głupi, by go zastrzelić, tylko wsadziłem go do mojej kopalni, by w niej pracował.

- Do wszystkich diabłów. A gdyby panu uciekł?

-Pshaw! Jest w niej uwięziony i nie może się stamtąd wydo-stać. Pracuje teraz dla mnie, a jeśli się leni, dostaje baty i mniejsze porcje jedzenia.

- A Adler?

- Spotkało go to samo szczęście.

- Jest pan prawdziwym diabłem, Roulin! Ja zabijam ludzi, którzy stają mi na drodze, ale nie mógłbym pozwolić im ginąć tak powolną, przerażającą śmiercią!

- Każdy robi to, co mu się podoba. A mnie właśnie podoba się taki sposób usuwania ludzi z mej drogi. Mam u siebie więcej takich robotników, którzy nigdy już nie ujrzą światła dziennego. Ale nadzieja na ucieczkę i wolność w jakimś stopniu utrzymuje ich jednak przy życiu - słowom Roulina towarzyszył diabelski uśmie-szek.

- Jest pan dzielnym człowiekiem, mister - wtrąciła się z płoną-cymi oczyma Miranda. - Człowiek musi być albo dobry albo zły. Nie można być przeciętnym. Muszę przyznać, że pan mi się podoba!

- Zbyt wiele zaszczytu dla mnie! Miałem jeszcze drugi powód, seniorita. Gdy go pani pozna, przekona się pani, że jestem nie tylko szczerym, ale również pozbawionym lęku człowiekiem. Oszuści nie powinni nigdy sobie ufać. 'Ib doskonała zasada. Ja również nie do kofica ufam wielce szacownemu mister Walkerowi. Nie zabijając Wilkinsa i Adlera mam w ręce dwa dobre atuty przeciwko niemu. Dlatego zostawiłem ich przy życiu.

Miranda spojrzała na swe ozdobione wieloma pierścionkami 152 palce i roześmiała się głośno.

- Ty przeklęty draniu! - wykrzyknął Walker.

-Pshaw! Byłem po prostu ostrożny i tyle!

~ Jest pan obrzydliwym łajdakiem!

- Panowie, bardzo proszę o spokój! - powiedziała ciągle jeszcze uśmiechając się Miranda. - Moim zdaniem, pan Roulin jest prawdziwym mężczyzną!

- Bzdura! Dzięki przypadkowi tych dwóch może odzyskać wolność i sprowadzić na nas całą masę nieszczęść! -wściekał się dalej Walekr.

- Tb niemożliwe! - sprzeciwił się Roulin.

- Czy rozmawiał pan od czasu do czasu z tymi dwoma?

- Nie chciałbym teraz nic mówić na ten temat; to moja prywatna sprawa. Poza tym chciałem panu przypomnieć, że pogoń w każdej chwili może się tu pojawić. Nie mamy czasu nawyjawianie naszych uczuć!

- Niestety! Gdyby nie to, inaczej bym z panem porozmawiał. A co będzie, jeśli pańscy prześladowcy pojadą do Doliny Śmierci, hę?

- Jestem nawet przekonany, że Apacze i Marikopasowie tam przybędą! I to jest właśnie powód, dla którego tu przyjechałem. Musicie mi pomóc!

- Ach, tak! Robi pan głupstwa, a my mamy panu pomóc z nich wYJść!

Z dziedzińca dobiegły ich po raz kolejny odgłosy końskich kopyt. Bill Newton i Alfonso wrócili ze zwiadu i zameldowali, że dostrzegli w oddali sześciu jeźdźców, którzy pojawią się w hacjendzie w ciągu najbliższej godziny.

- Co zrobimy teraz? - zapytał Roulin.

- Nie pozostaje nam na razie nic innego, jak tylko wycofać się

- doradził Walker.

- Nonsens! Zaraz ich unieszkodlimy!

153

- 'Idk się panu tylko wydaje! Nie jestem złym westmanem, ale lękałbym się nawiązać walkę choćby z jednym z nich. Nie, mamy tylko jedno wyjście, trzeba zejść im z drogi. Ja w każdym razie, nie mogę dać im się złapać!

-Podobnie jakja-zauważył Newton. - Naturalnie panu będzie przykro zostawić bez opieki tak piękne gospodarstwo.

- Pshaw! Wcale go nie mam zamiaru zostawiać. Kiedyś Old Firehand i jego kumple będą musieli stąd wyjechać. Co mi się może potem stać? Gdzie nie ma oskarżyciela, nie ma i sędziego. Między nami mówiąc, wcale mi nie żal, że zniknę stąd na jakiś czas. I tak mieliśmy zamiar pojechać do Granite Station, aby schwytać dziew-czynę, a stamtąd wyruszyć do Doliny Śmierci.

- Oni pojadą za nami.

- Na pewno! Ale nie schwytają mnie ani pana.

- Och, ci ludzie potrafią dobrze czytać ślady! - wtrącił Letlor.

- Na wodzie nie widać żadnych śladów.

- Na wodzie?

- Ze względu na sytuację zrezygnuję z jazdy konnej; to byłoby zbyt niebezpieczne. 'I~ typy odnalazłyby nasze ślady i nie pozostawi-łyby już nas w spokoju. Nie, pojedziemy konno tylko do Prescott i tam zostawimy nasze konie. Potem popłyniemy w dół rzeki. Moja łódź jest szybsza od najszybszego wierzchowca.

- Na Boga! Pan ma łódź?

- No jasne! Popłyniemy po Hassayampa, a potem Rio Gila aż do okolic Gila Bend. Stamtąd dyliżansem pocztowym dostaniemy się do Granite Station.

- A jeśli się o tym dowiedzą?

- A któż miałby im o tym powiedzieć? Nawiasem mówiąc, przecież nie mają pojęcia, że wyjechaliśmy do Granite Station, a w Prescott jest do dyspozycji tylko jedna, jedyna łódź. 'Tak więc rzeką też nie będą nas mogli ścigać.

- A ja? - zapytała Miranda. - Co ze mną?

154

- Pojedziesz z riami!

- Czy nie mogłabym tu zostać? Przecież nic mi nie mogą zrobić!

- Ale mogą cię zmusić, abyś nas zdradziła.

Miranda zawahała się. Ucieczka i pozostawienie wszystkiego, co lubiła, nie wydawała się jej rzeczą zbyt miłą.

- Musisz pojechać z nami! - zdecydował Walker. - Alfonso zostanie tutaj, przyjmie ~cigające nas towarzystwo i podczas mojej nieobecności będzie pilnował hacjendy. A teraz musimy działać, jeśli chcemy się im wymknąć!

Po krótkim czasie Zennort-Walker opuścił wraz z innymi swój dom i ruszył w kierunku Prescott. Cała grupka nie trzymała się drogi, aby nie wpaść w ramiona pościgu, lecz poruszała się lasem. Wkrótce dotarli do łodzi, załadowali na nią konieczną żywność i odbili od brzegu. Wszystko to odbyło się w odpowiedniej chwili. Winnetou, Old Firehand i cały Liść Koniczyny wraz z Hermannem wyjechali znad 'Iitlish-to do Fortu Granta. 'Pam natrafili na trop Roulina, za którym pośpiesznie ruszyli dalej. Jego przewaga nad nimi był jednak tak duża, że nie udało im się go dogodzić. Podejrzenie wali co prawda, że uda się do Walkera-Hopkinsa, ale było to jednak tylko przypuszczenie. Gdyby byli tego pewni, pojechaliby prosto przez góry do Prescott, tak samo jak Leftor z Newtonem, i w ten sposób przyjechaliby na hacjendę przed Roulinem. Kiedy więc na podstawie śladów doszli do wniosku, że ścigany naprawdę kieruje się w stronę Prescott, przestali się trzymać tropu i pojechali tam bezpośrednio. Znali przecież dobrze cel, do którego dążył Roulin, dom Walkera. Przybyli jednak za późno. Przodem jechał jak zwykle poważny i małomówny Winnetou. Za nim Old Firehand, a u jego boku Sam Hawkens. W tyle zaś obaj chudzielcy prowadzący ożywioną rozmowę z Hermannem von Adlerhorstem. Jej tematem były zbliżające się wydarzenia.

- Cieszę się na widok miny, jaką robi Zennort czy Walker na nasz widok! - stwierdził Hermann. Will Parker wzruszył ramionami.

- Nie sądzę - odparł. - Jestem raczej zdanie, że nie zobaczymy czubka jego nosa, nie mówiąc już o całej twarzy!

- Dlaczego?

- Ponieważ go tam już nie będzie.

- Myśli pan, że Roulin przyjedzie tam przed nami i ostrzeże Walkera?

- Yes. Niestety, nie jechaliśmy tak szybko, jak mogliśmy sobie tego życzyć. Jestem pewien, że oba ptaszki już wyfrunęły z klatki. A może się mylę, Dick?

- Chyba masz rację, Will.

- Ale dlaczego mieliby przed nami uciekać? - upierał się Hermann. - Wystarczy, że się zamkną i wystawią przez okna lufy swoich strzelb; będą wtedy całkiem bezpieczni.

- 'Pdk pan myśli? - roześmiał się Will. - Niech mi pan pozwoli być innego zdania, mister! Nie chcę mówić o Samie Hawkensie i nas dwóch, mimo iż jesteśmy znani, ale czy sądzi pan, że Winnetou i Old Firehand będą się lękali tych kilku flint? Nie, nie, źle ich pan zna! Niech mi pan wierzy,

Walker nie mógł zrobić nic lepszego, jak tylko wziąć nogi za pas! Nawiasem mówiąc, zaraz będziemy wie-dzieli na czym stoimy, jako że zbliżamy się do celu. Na zakręcie drogi ukazał się między drzewami fragment mocnych murów budynku. Brama była otwarta, tak że można było zobaczyć dziedziniec. Nie było na nim widać ani śladu człowieka. Wszystko sprawiało bardzo niewinne, pełne spokoju wrażenie i właśnie dlate-go widok ten obudził podejrzenia przybyszów.

Old Firehand dał obu chudzielcom znak, aby pozostali przy bramie; w razie konieczności mieli zabezpieczać odwrót. Sam zaś, w towarzystwie Winnetou, Sama Hawkensa i Hermanna wolno wjechał na dziedziniec. W jednym z jego rogów zauważył mężczyznę zajętego kielźnaniem konia.

156

Był to Alfonso, który od Walkera otrzymał dokładne instrukcje, jak się zachowywać wobec nieproszonych gości.

- Czego panowie sobie życzą? - zapytał i uprzejmie uchylił kapelusza.

- Czy tu mieszka mister Zennort? - odezwał się Old Firehand.

- Pak.

- Czy jest w domu?

- Nie. Wyjechał dzisiaj w południe, ma jednak wrócić przed zapadnięciem zmroku. Czego pan życzy sobie od niego?

- Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

- Niestety, w tej chwili nie jest to możliwe.

- Czy miał jakiś gości?

- Nie.

- Naprawdę? Musi pan być w błędzie; prawdopodobnie gość, o którym mówię, przyjechał, gdy pana tu nie było.

- Nie jestem w błędzie, gdyż przez cały dzień byłem w domu.

Musiałbym więc wiedzie~ o przybyciu każdego gościa.

-Hm -uśmiechnął się traper.-Jestem pewien, że otrzymał pan od mister Zennorta dokładnie wskazówki.

- Jakie wskazówki??

- Jak nas przyjąć?

- Nie rozumiem pana. Jak mi się wydaje, mister Zennort nie miał pojęcia o waszym przybyciu.

- Ja wiem lepiej.

- Skąd miałby o tym wiedzieć?

- Właśnie od gościa, o którym przed chwilą mówiłem.

- Kiedy on miałby tu przybyć?

- Przed mniej więcej dwoma godzinami.

- Jestem więc teraz całkowicie pewny, że pan się myli. Jak już powiedziałem, mister Zennort wyjechał z domu około południa, a więc przed mniej więcej pięcioma godzinami; nie mógł więc przyjmować żadnego gościa przed dwoma godzinami.

- Niech pan nie udaje! Jak sędzę, mister Zennort powiedział panu nasze nazwiska. Wie pan więc, z kim ma do czynienia.

- Zapewniam pana, mister, iż nie mam pojęcia...

- Już dobrze! Jest pan sługą swego pana i musi pan słuchać jego rozkazów. Nie biorę więc szczególnie za złe pafiskich kłamstw. My jednak koniecznie musimy porozmawiać z mister Zennortem.

- Nie jestem w stanie dać panu innej odpowiedzi. Czy panowie zechcą może na niego zaczekać?

Alfonso chodziło naturalnie o to, aby jak najdłużej zatrzymać pościgw hacjendzie i w ten sposób pozwolić na zdobycie możliwie jak największej przewagi Zennortowi.

- 1b będzie trwało zbyt długo - odparł traper doskonale wyczuwając zamiary Alfonso.
- Ale panowie nie mogą wracać nocą do miasta przez las!
- W jęszcze mniejszym stopniu nie możemy nadużywać pańskiej gościny. Nawiasem mówiąc, wcale nie obawiamy się spędzenia nocy w lesie.
- Wierzę panu; nie wyglądacie na ludzi lękliwych. Ale mimo to powtarzam swoje zaproszenie. W domu jest wystarczająco dużo pokoi gościnnych.

Old Firehand wcale nie miał zamiaru natychmiast opuszczać hacjendy. Był co prawda przekonany, że Walker i Roulin uciekli, ale celu tej ucieczki można się było dowiedzieć tylko w domu Zennorta. Szybkie spojrzenie na Winnetou i lekkie skinienie głowy, którym odpowiedział wódz powiedziało mu, że Apacz jest tego samego zdania.

- Oczywiście, byłoby dla nas wygodniej poczekać tu na mister Zennorta.
- Proszę więc za mną; wskażę panom ich pokoje.
- A co z naszymi końmi?
- Zaprowadzimy je do stajni. Zatrąszczę się o to, aby zostały 158 oporządzone i nakarmione.
- Czy macie w hacjendzie korral?
- Oczywiście, tam, po lewej stronie.
- Wolelibyśmy więc, aby w nim umieścić nasze wierzchowce. Są przyzwyczajone do wolności.

Mówiąc to, Old Firehand miał w tym swój cel. Zawołał Dicka i Willa, a Alfonso otworzył bramę wybiegu. 'Ii-aper obejrzał go badawczo, a potem zwrócił się do Alfonsa:

- Dziękujemy panu, ale nie chcemy pana więcej obciążać opieką nad naszymi końmi. One nie pozwalają zbliżać się do siebie obcym. Ich nakarmieniem zajmie się Sam Hawkens.

Sam rzucił chytre spojrzenie na Old Firehanda; doskonale wiedział, dlaczego ma pozostać przy koniach. Old Firehand podejrzewał, że ktoś będzie chciał spłatać im jakiegoś figla i wołał tego uniknąć.

Z zadowoloną miną Alfonso zaprowadził gości do wnętrza budynku. Wskazał im dwie leżące obok siebie izby w lewym skrzydle domu; były to czyste, ale prosto urządzone pokoje: stół, materac jako łóżko z derką do przykrycia, dzban z wodą i miednica.

- Proszę się umyć i odpocząć. Zawiadomię panów o powrocie mister Zennorta - powiedziawszy to, Alfonso oddalił się pewny, że udało mu się zwieść prześladowców jego pana. Dick Stone spojrzał za nim potrząsając głową.
- Kiedy się tak tu rozglądam, jestem całkowicie przekonany, że byliśmy tu oczekiwani.
- Masz rację - zgodził się Will. - Oni nas oczekiwali.
- 'Pdk. Wszystko jest przygotowane; w dzbanach jest nawet świeża woda.
- Wielkie nieba! W koficu okaże się, że oni pojechali po pomoc, aby na nas tu napaść.
- 1ó bardzo możliwe.
- A więc wpadliśmy w pułapkę.

159

- Tb możliwe. Ciekawe, dlaczego poza tym człowiekiem, który nas przyjął, nikogo tu nie widać? 'Ilwdno przypuścić, aby w tak wielkim domu był tylko jeden służący. To nader podejrzane. Dick miał rację. Pozostała służba, składająca się z kilku Murzy-nów i Murzynek, otrzymała surowy zakaz pokazywania się na oczy nowoprzybyłym. Powód tego zakazu był jasny: Walker obawiał się,

że w swej gadatliwości Murzyni mogli coś zdradzić. Podczas gdy Dick i Will rozważali różne możliwości, a Old Fire-hand naradzał się z Winnetou, Sam Hawkens nie leniuchował. Na próżno rozglądał się wszędzie w poszukiwaniu obroku dla koni. W koficu ruszył przez dziedziniec w stronę stajni, podobnej do szopy przybudówki do prawego skrzydła hacjendy. W chwili gdy wchodził do stajni, otwarły się drzwi po drugiej jej stronie; ukazał się w nich mężczyzna, przykładający palec do ust.

Sam ostrożnie zamknął drzwi za sobą.

- Czego chcesz, gentlemanie o czarnej skórze?
- Jak się massa nazywać?
- Sam Hawkens, jeśli się nie mylę.
- Och! Ach! Tb dobrze, bardzo dobrze!
- Dlaczego?
- Najpierw massa powiedziec, czy massa Old Firehand i massa Winnetou też być tutaj?
- `Idk, mój dobry człowieku!
- Och, gdybym wiedział, że massa mnie nie zdradzić.
- Nigdy nie zdradzam uczciwych ludzi!
- Och, Zeus być uczciwy, bardzo uczciwy człowiek!
- A więc nazywasz się Zeus. Jak mi się wydaje, chcesz mi coś powiedzieć. Ale czy to coś ważnego? Wy, czarni, macie zwyczaj wszy-stko mieszać.
- Och, wiadomość od Zeusa jest bardzo ważna i niepomie-szana. Zeus podsłuchiwał, ponieważ massa Zennort zbił biednego Zeusa, a missus Miranda zbiła biedną Milly.

160

- Kto to jest Milly?
 - Milly być dobrą, piękną narzeczoną Zeusa.
 - No, no! A więc, co słyszałeś?
 - Najpierw przyjechał mister Leflor i...
 - Kto? - usta trapera otwarły się ze zdziwienia.
 - Massa Leflor.
 - Czy wiesz, skąd przyjechał ten mężczyzna?
 - Zeus wie: massa Leflor jest z Wilkinsfield.
 - A więc to on! Aż się nie chce wierzyć. No, czekaj tylko chłopie, aż wpadniesz w moje ręce. M6w dalej, dobry Zeusie!
 - Massa Leflor przyjechać z massa BiIII Newton...
 - Co? Chyba ci się śniło?
 - Zeus nie ~nił. Zeus znać Billa Newtona. Był tu już kiedyś. Oni przyjechali z okolicy, gdzie być Błękitna Woda.
 - Człowieku, złoty chłopie, to prawda! Właśnie przy Błękitnej Wodzie schwytailiśmy tego Billa Newtona.
 - Schwytaście! Bardzo dobrze! Ale on znowu być wolny!
- Lellor przyjechał i uwolnił massa Newtona.
- Wielkie nieba! 'Ib co mówisz, jest nadzwyczajne! Gzy wiesz coś więcej?
 - Zeus wiedzieć więcej, dużo więcej.
 - Więc opowiadaj dalej!
 - Potem przyjechać massa Roulin.
 - A więc jednak!
 - Massa Roulin' uciekał przed wielu słynnymi mężczyznami.
- Potern być wielka narada, co zrobić dalej. Massa Zennort powie-dzieE, że trzeba jechać do Granite Station i schwyta~ białą dziew-czynę.

- Do diabła! Jak to możliwe? Skąd te łotry wiedziały, że miss Wilkins zatrzymała się w Granite Station?

- Massa Leflor slyszeć to od głupiego mężczyzny, który pilno-wa~ massa Newtona. 6 Dolina Śmie~i 161

- Na Boga! 'Ib ten leśniczy Rothe, który jest chyba niespełna rozumu. I on odważył śmiać się z mojego przezwiska! Nad Błękit-ną Wodą musiało chyba wydarzyć się sporo ciekawych rzeczy, jeśli się nie mylę!

- Potem massa Zennort wyjechać razem z trzema mężczyznami i missus Miranda.

- Kto to jest Miranda? Jego żona?

- Nie. Nie żona, tylko gospodyni.

- 'Ib dziwne! Co ta kobieta robi w towarzystwie tego łotra?

- Zeus nie wiedzieć.

- 'I~raz najważniejsze: którą drogą pojechali? Czy to też pod-słuchałeś?

- Zeus podsłuchał - skinął głową Murzyn i uśmiechnął się szeroko ukazując swe piękne zęby. - Jedźcy pojechać do Prescott, a stamtą łodzią massa Zennorta po rzece Gila.

- Wielkie nieba! Ib się nazywają dobre wiadomości, jeśli się nie mylę! Znałem już wielu Murzynów, Zeusie, ale żaden z nich nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak ty.

Po minie Zeusa widać było, jak bardzo poczuł się dumny z pochwały takiego słynnego trapera. Z tego powodu uderzył się kilka-krotnie w piersi.

- Och, ach, och! 'Ihk, tak! Zeus być bardzo, bardzo sprytnym człowiekiem!

- Ale się tamci zdziwią, kiedy się o tym dowiedzą! Czy wiesz coś jeszcze, Zeusie?

-No. Zeus być teraz jak pusta beczka. Nic w nim więcej nie być.

- A powiedz mi, czy przypadkiem słyszałeś o człowieku nazwi-skiem Artur Wilkins? Czy nigdy nie widziałeś go razem ze swoim panem?

Murzyn omal nie podskoczył.

- Zeus widzieć, a nawet z nim rozmawiać! Massa Artur być prawdziwym, szlachetnym gentlemanem. 162

- Gdzie on jest teraz?

- Massa Artur być martwy... zamordowany... nie... nie zamor-dowany... on jeszcze żyć... musieć ciężko pracować w kopalni! Sam powoli wyciągnął z Zeusa wszystko, co ten wiedział o sprawie: o tym, że Walker i Miranda sądzili iż młody Wilkins został zamordowany i że Roulin powiedział im, iż zdecydował się, zamiast zabić, posłać go do pracy w swojej kopalni w Dolinie Śmierci, tak samo jak Martina Adlera.

Zapewniwszy jeszcze raz Murzyna o swoim szacunku i uroczyście oświadczywszy, że go nie zdradzi, Sam wrócił do swych towarzyszy. Wszyscy wysł~zchali raportu trapera w wielki napięciu. Najbardziej poruszony był PIERmann; dowiedział się, że jego brat, Martin, nie zginął i znajduje się w rękach Roulina, Spojrzał na Old Firehanda; w jego oczach odczytać można było życzenie natychmiastowego wyjazdu i pościgu za przestępcami. Ści-gający przebywali w hacjendzie niecałe pół godziny i już łatwo, niemal bez trudu, osiągnęli swój cel: wiedzieli, dokąd skierowali się ich wrogowie. Gdyby od razu wyruszyli w drogę, istniała możliwość ich dogonienia, zanim uciekający popłyną łodzią w dalszą drogą. Poza tym należało sądzić, że obecność Mirandy spowolni ucieczkę, nie mówiąc już o przygotowaniu łodzi do drogi.

Wyruszono więc natychmiast. Kiedy my~liwy wyprowadzali swe konie z korralu, z hacjendy wybiegł zaskoczony Alfonso.

- Dokąd to, panowie?

- Wyjeżdżamy na mały spacer - odparł Old Firehand.

- Ale czyż nie widzicie, że już się ściemnia?
- Dlatego chcemy wykorzystać każdą minutę.
- A jeśli mistrz Zennort wróci w tym czasie?
- Niech na nas zaczeka, tak jak my czekaliśmy na niego, niestety, na próżno.

Alfosno z trudem starał się ukryć swe rozczarowanie. Był przekonany, że ten konny spacer o późnej godzinie jest tylko wymówką, aby zniknąć z hacjendy na zawsze. Czyżby znaleźli jakiś ślad uciekających?

- Dokąd jedziecie?
- Tam, gdzie prawdopodobnie znajdziemy mister Zennorta.

Dziękujemy za gościnę i do zobaczenia!

Old Firehand dodał koniowi ostróg i ruszył za Winnetou. Re-szta poszła jego śladem.

Już po krótkim czasie zapadła noc. Z jej winy ścigający poruszyli się nie tak szybko, jakby sobie tego życzyli. Poza tym, droga była niedobra i kiedy w koficę ujrzeni przed sobą pierwsze domy Prescott, zbliżała się północ. Przejechali główną ulicą miasteczka w stronę brzegu Hassayampy. Jednakże, jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było widać żadnej łodzi.

W leżącym nad brzegiem zajezdzie widać było jeszcze światło. Weszli do środka przez otwarte drzwi. Wewnątrz, nad kieliszkiem wódki, siedział przy stole tylko jeden gość. Gospodarz zasnął za bufetem; obudził go dopiero hałas wchodzących do gospody.

- Czy pan jest tu gospodarzem? - zapytał Old Firehand.
- Idk jest, sir - odparł zaspanym głosem mężczyzna.
- Czy miał pan jeszcze gości późnym wieczorem?
- Pak, było ich tu kilku.
- Ilu?
- Pięć osób; dwóch obcych i trzech tutejszych.

Gospodarz ziewnął.

- Kim byli tutejsi goście?
- Seniorita Miranda, senior Newton i senior Zennort.
- Gdzie oni są teraz.
- Odpłynęli łodzią seniora Zennorta.
- ~y?
- Może z pół godziny temu, senior.
- Czy jest tu może druga łódź, którą można wynająć?
- Niestety nie. Łódź seniora Zennorta była jedyną w mieście.

164

- 16 niedobrze. Ale i tak wiemy wystarczająco dużo. Dziękuję panu. A to za pańską uprzejmość - dodał wciskając gospodarzowi monetę w dłoń.

- Co teraz? - zapytał Sam Hawkens, kiedy wyszli z gospody.

Walker szybciej dotrze do celu od nas. Musimy w jakiś sposób zawiadomić Wilkinsa.

- Jak?
- Ihlegrafem, jeśli się nie mylę.
- Zapomina pan, że stąd nie ma jeszcze żadnego połączenia telegraficznego ze światem.

- Musimy pojechać do następnej stacji pocztowej i stamtąd wysłać wiadomość do Granite Station, aby ostrzec naszych przyjaciół.

- Która stacja wchodzi w rachubę?
- Gila Bend. Dotrzemy do niej za dwa dni, jeśli się pośpieszymy.

- Sądzę, że nam się uda.

- 'liak, tylko proszę nie zapominać, że łódź jest szybsza od naszych koni. W tej chwili nie znam jednak żadnego innego wyjścia...!

Kolega szkolny

Jadący z 'Iiicon przez Gila Bend, sześciokonny dyliżans po-cztowy, wjechał do Granite Station i zatrzymał się przed długim, niskim budynkiem stacji pocztowej. Przed drzwiami urzędu telegraficznego pojawiło się dwóch młodych mężczyzn, telegrafista i syn poczmistrza, patrzących z ciekawością, czy z dyliżansu wysiądą jacyś podróżni.

W oknie dyliżansu ukazała się głowa mężczyzny. Był to Walker, który przyciskał do twarzy chusteczkę, jakby bolały go zęby. W rzeczywistości nie chciał, aby go przedwcześnie rozpoznano; sam natomiast dokładnie przyjrzał się obu młodym mężczyznom i otoczeniu.

Nie, wokół dyliżansu nie było nikogo znajomego. W następnej chwili Walker otworzył drzwi i zeskoczył na ziemię. W ślad za nim z dyliżansu wysiedli Roulin, Leflor, Bill Newton i Miranda. W modnej sukni podróżnej kupionej w Gila Bend wyglądała doskonale, widok jej wywołał poruszenie u młodych mężczyzn.

- Do wszystkich diabłów! - zaklął telegrafista. - Niech pan tylko spojrzy na tę Wenus, mister Hofter! 'Id sylwetka... gibkość... te oczy!

- 'Pd lady jest rzeczywiście skoficzoną pięknnością. Chciałbym wiedzie~, kim jest i dokąd... Wielkie nieba! A któż to taki?

166

- O kim pan mówi?

- O jednym z jej towarzyszy, tym z lewej strony. Jeśli się nie mylę,
!

to Roulin, z którym siedziałem w jednej ławce w Alabama College

!

'Ib najlepsza okazja, abym ją poznał

- Do diabła! - uśmiechnął się ponuro telegrafista. - Zale-dwie w tej dziurze pokaże się coś interesującego, a już zabiera mi pan to sprzed nosa!

- Niech pan nie bierze tego tak tragicznie, Grey! Good bye!

I Hofter ruszył w stronę grupki podróżnych, którzy zbliżali się ku drzwiom poczekalni.

- Czy ja dobrze widzę. - zawołał. - Czy to pan czy też nie...

,
ależ tak, to przecież ty, Roulin!

Roulin nie był akurat przyjemnie zaskoczony, kiedy nagle usły-xw szął swoje nazwisko. Kiedy jednak spojrział w dobroduszną twarz wołającego, jego mina natychmiast się zmieniła.

Rozpoznał swego kolegę ze szkoły; wiedział, że nie ma czego się z

''
jego strony obawiać.

- Czy to ty, Hofter?

?

^\$~ - 'Pak, jak tu stoje! Skąd ty się wziąłeś w Granite Station

- Całkiem przypadkowo, mój drogi. Ale jestem wdzięczny

,
przypadkowi, że dał mi okazję, by cię znowu spotkać. A co ciebie tu sprowadziło?

- Los.

- 'Ib znaczy?

- Mój ojciec pracuje na kierowniczym stanowisku w towarzystwie pocztowym. Aby poznać szczegóły pewnej sprawy wpadł na pomysł, by przenieść się na jakiś czas na prowincję i trafił jako poczmistrz do Granite Station. Ja musiałem pojechać z nim. I teraz siedzę tu, ja, talent zapomniany przez Boga i ludzi; tylko ci nędzni Indianie gapią się na mnie bez przerwy.

- Nudzisz się?

- I to jak! Sam twój widok jest dla mnie olbrzymią rozrywką.

167

W koficu jakaś odmiana w tej niekoficzącej się szarości powszedniego dnia. Mam nadzieję, że poświęcisz się dla mnie i zostaniesz tu trochę dłużej.

- 'Pak bardzo gotów do poświęceń to ja, niestety, nie jestem - roześmiał się Roulin. - Ale kilka dni, być może, będę ci mógł poświęcić.

- Niech cię więc przytulę do serca, przyjacielu! - Hofter rozłożył ramiona.

- Zostaw lepiej ręce w kieszeniach! - zaczął bronić się Roulin.

- Zamiast tego możesz mi udzielić kilku informacji.

- Chętnie. Co chcesz wiedzieć? Potrzebujesz księdza, adwokata czy lombardu? Przede wszystkim powiedz mi jednak, kim jest owa dama, która znajduje się w waszym towarzystwie?

- Podoba ci się?

- Cóż za pytanie! 'Id sylwetka, postawa, ten...

- Stop, stary przyjacielu! Jesteś zbyt podniecony! Będzie się śmiała, kiedy jej opowiem, że zaledwie przybyła do Granite Station, już podbiła pierwsze męskie serce!

- Nie zrobisz tego, Roulin! Jestem nią zachwycony, ale miłość od pierwszego wejrzenia trzeba zawsze sprawdzić. Roulin roześmiał się głośno.

-Po tych słowach znowu poznaję mego dawnego Hoftera! 'Pdkim samym marzycielem byłeś już w szkole!

- Wybacz, ale to co innego - zaczął bronić się Hofter. - Nigdy jeszcze nie widziałem kobiety, która...

- Już dobrze, mój chłopcze! Ale nie będę wystawiał twojej cierpliwości na próbę: to seniorita Miranda.

- Możesz mnie przedstawić?

Roulin udał, że się zastanawia.

- Tb trudna sprawa; poza tym, ona jest bardzo wybredna. Ale może ty jej się spodobaś.

- Spróbuję z całą przyjemnością! Tylko daj mi do tego okazję!

168

- A więc do dzieła! Czy jest tu jakiś zajazd?

- Oczywiście.

- Dużo w nim ludzi?

- 'I~raz nie; jedynymi gośćmi są niejaki mister Wilkins i jego córka.

- Doskonale. Bądź tak miły i dowiedz się, czy nie otrzymali ostatnio jakiejś wiadomości telegraficznej.

- 'Ib niemożliwe, złamałbym tajemnicę urzędową!

- 'Pą informacją jednakże zobowiązałyś senioritę Mirandę do wielkiej wdzięczności wobec ciebie.

Hofter zaczął z niezdecydowaniem przestępować z nogi na nogę.

- Dobrze, załatwię to - powiedział w koficu po krótkiej, wewnętrznej walce. - Grey, telegrafista, jest moim przyjacielem; powie mi o tym bez przeszkód - i Hoffer pobiegł do urzędu pocztowego. W tym czasie Routin podszedł do pozostałych, którzy stali przy wejściu do poczekalni.

- Przed chwilą spotkałem kolegę z młodości, lekkomyślnego chłopca, który bardzo może nam się tu przydać, jeśli seniorita Miran-da będzie dla niego trochę miła. On bardzo lubi ładne buzie, poza tym jest synem tutejszego pocztmistrza. Właśnie zapytałem go, czy Wilkins nie dostał ostatnio telegramu. Poszedł się więc dowiedzieć. To bardzo dla nas cenna informacja, jako iż musimy być przygotowani na to, że również Old Firehand będzie tu telegrafował, aby ostrzec Wilkinsa przed nami. Możemy sobie owinąć mego dawnego kolegę wokół palca, jeśli - tu Roulin znowu spojrzął na Mirandę - będziemy traktować go przyjaźnie. O, właśnie nadchodzi! Z drzwi urzędu wybiegł Hoffer machając małą kartką. Roulin wyszedł mu naprzeciw.

- Mam ją, mam! - zawołał Hoffer. - Spójrz tylko! 'Iiz jest odpis! Wiadomość brzmi: „Natychmiast wyjeżdżać do Dos Palmas. Jesteśmy tu. Winter!”. Czy to ci wystarczy?

- Całkowicie, Bardzo ci dziękuję!

169

- 'I~raz jednak proszę, abyś w nagrodę przedstawił mnie twojej senioricie Mirandzie.

- Przedtem jeszcze jedno! Kiedy nadszedł ten telegram?

- Przed pięcioma godzinami.

- Być może jeszcze dziś lub jutro rano nadejdzie następny. Czy mógłbym również poznać jego treść?

- Załatwię to dla ciebie.

- 'Ij~lko, że chcę ją przeczytać, zanim dojdzie do rąk adresata!

- Do diabła! 'Ib niemożliwe!

- Dlaczego?

- 'Ilrlegrafista zacznie mnie wypytywać o powód mej prośby!

- Nie znajdziesz żadnego wytłumaczenia?

- Tiudno będzie w tej sytuacji.

- Bardzo mi więc przykro, old bay. Dawniej nigdy nie miałeś problemów z wymówkami, szczególnie, gdy chodziło o ładną dziewczynę.

- 'Id sytuacja jest jednak całkiem inna.

- Mylisz się. Po pierwsze, wyświadczysz wielką przysługę senioricie Mirandzie, za co z pewnością ci się odwdzięczy, a po drugie... Ach, przyszedł mi do głowy pewien pomysł! Adresatem telegramu jest co prawda niejaki Wilkins, ale w jego towarzystwie znajduje się młoda, piękna dama. Czy telegrafista wie o tym?

- Widzieliśmy tylko jej szczipłą sylwetkę, jako że twarz miała zasłoniętą woalką.

- No to cała sprawa będzie nader łatwa. Sam udasz posłańca i zanieś im telegram do zajazdu.

- Tb wcale nie takie głupie. A ty chciałbyś, żebym pokazał telegram najpierw tobie?

- 'Pdk jest.

- Mógłbym tak zrobić, gdyby nie pewna przeszkoda.

- Jaka znowu przeszkoda?

- Telegramy są zapieczętowane.

- W papierowej kopercie. 'I~n problem zostaw już mnie.

- Do diabła! 'Ib sprawa karalna!

- Tb ciebie nie obchodzi.

- Ale będę twoim współnikiem.

- Nie obraż się, Hoffer, ale stałeś się chyba innym człowiekiem od czasów, jakie spędziliśmy w szkole. Dawniej, dla pięknej dziewczyny, zaryzykowałbyś wszystko.

- 'I~raz także!

- Skąd więc te skrupuły?
- Idzie o kwestie prawne, Roulin! Ja mogę przypuszczać, że idzie tu o głupi żart, ale mój ojciec jest tu poczmistrzem i muszę mieć to na względzie.
- Miej lepiej na względzie fakt, iż zdobędziesz wdzięczność~ seniority Mirandy!
- Nie jest pewne, czy ona będzie potem czuła się zobowiązana wobec mnie!
- Gwarantuję za to! A poza tym, zapewniam cię, że nie dowie się o tym żaden człowiek.
- Hm, gdybym mógł być tego pewny...
- Masz moje słowo honoru.
- Słowo honoru? Hm...
- No więc jak? Czy seniorita Miranda może na ciebie liczyć?
- Dobrze, zrobię to! Tylko dla niej! Musisz to jednak jej powiedzieć! Zniosę teraz telegram z powrotem i powiem Greyowi, że gdy przyjdzie drugi, też go sam dostarczę. Oczekuję jednak na twój rewanż.
- Miłość jest warta wszystkich wyrzeczeń.

Hofter wrócił do urzędu pocztowego, a Roulin wszedł do poczekalni.

- Kazałeś nam długo czekać - stwierdził Leflor.
- Za to widziałem telegram.
- Ach! Nasz telegram?
- 'Pdk, ten sam, który nadaliśmy w Gila Bend, aby Wilkins i jego córka jak najszybciej stąd wyjechali.
- Inny telegram jeszcze nie nadszedł?
- Nie. A jeśli przyjdzie, to mój przyjaciel Hofter przyniesie go najpierw nam. Żąda za to, abyś była dla niego trochę bardziej miła Mirando! Co o tym sądzisz, moja droga?
- Miła? Co pan pod tym rozumie?
- 'Ib samo co pani! Ten młody człowiek zakochał się w pani na zabój, a to, jak sądzę, jest dla nas bardzo korzystne!
- Wyświadczymy mu tę uprzejmość - odezwał się Walker takim tonem, jak gdyby Miranda była zobowiązana spełniać wszelkie jego życzenia.
- A jeśli tego nie zrobię? - zaczęła krygować się Miranda.
- Bzdura! Mamy wspólny cel i każde z nas musi zrobić wszystko, co w jego mocy, aby go osiągnąć~!

Walker powiedział te słowa nader szorstkim tonem i Miranda wołała z nim nie dyskutować.

Po chwili do ich stołu podszedł z nieco niepewną, trochę zażenowaną miną Hofter. Przy przedstawianiu ucałował dłoń Mirandy; zaczerwienił się przy tym po uszy. Miranda pozwoliła mu trzymać swe palce nie tylko kilka sekund dłużej niż to było konieczne; odpowiedziała mu także lekkim uściskiem i dodającym odwagi uśmiechem. Jeszcze przed chwilą opierała się żądaniu Walkera, teraz jednak doszła do wniosku, że Hofter jest przystojnym mężczyzną. Postanowiła wypełnić narzucone jej zadanie najlepiej, jak mogła. Jej uśmiech oczarował go do tego stopnia, że wypowiedział na głos słowa, jakie jeszcze przed chwilą uznałby za zbyt zuchwałe.

- Cóż to za wspaniały przypadek - odezwał się uprzejmie - że spotkałem mister Roulina. Studiowaliśmy razem i byliśmy zawsze najlepszymi przyjaciółmi. Chciałbym wykorzystać to ponowne spotkanie i mam nadzieję, że państwo nie odrzucą mej gościnności.
- Czyżbyś miał zamiar zająć się całym naszym towarzystwem? - zdziwił się Roulin.
- Z największą przyjemnością! Mamy tu wystarczająco dużo pokoi. Oczywiście, będziecie musieli państwo zrezygnować z wygod, do jakich byliście przyzwyczajeni na Wschodzie. Stół, krzesło,

hamak to wszystko, co tutejszym ludziom jest potrzebne w zajeździe, gdy idzie o umeblowanie. Jeśli nie macie państwo nic przeciwko temu, to zaprowadzę was do pokoi.

- Robimy ci tyle kłopotu.

- W najmniejszym stopniu. Budynek poczty jest bardzo obszerny i przygotowany dla przyszłych pasażerów. Pokoi jest mnóstwo. Możecie tu mieszkać i nikt nie zauważy nawet waszej obecności. A więc?

- Szczerze mówiąc, twoje zaproszenie jest nam bardzo na rękę.

Nie chcielibyśmy, aby Wilkins i jego córka zauważyli nas.

- 'Tb jeszcze jeden powód więcej, aby przyjąć moje zaproszenie.

- Wobec tego załatwione; będziemy mieszkać u ciebie.

- Jest pan prawdziwym gentlemanem - szepnęła Miranda. - Bardzo panu dziękuję! Hofter skłonił się uprzejmie. '

- Proszę więc, aby państwo poszli za mną! - odezwał się zmieszany.

Już mieli wyjść z poczekalni, gdy Walker przypadkowo spojrzął przez okno. Widok jaki ujrzał, wywołał w nim dreszcz.

1': =;.:,

- Chodźmy i to szybko! Właśnie nadchodzi Wilkins!

Były plantator zbliżał się do budynku stacji pocztowej.

- Na razie wejdźcie tutaj - powiedział Hofter otwierając jedne z drzwi. - Dowiem się, czego chce.

Wyszedł na zewnątrz i stanął przed drzwiami tak, że Wilkins musiał się przed nim zatrzymać.

Plantator pozdrowił go uprzejmie.

- Czy może mi pan powiedzieć, kiedy odjechał ostatni 173 dyliżans do Dos Palmas?

- Przed około pół godziny.

Był to dyliżans, którym przyjechał Walker i jego towarzystwo.

- Tb fatalnie! Dostałem telegram wzywający mnie do Dos Palmas; niestety, nie było mnie w zajeździe i otworzyłem go dopiero teraz. Kiedy odjeżdża następny dyliżans?

- Jutro, o tej samej porze.

- Dopiero? Czy nie ma żadnej innej możliwości? Może jakiś dyliżans specjalny?

- Nie. Jesteśmy tylko stacją pośrednią i nie mamy do dyspozycji specjalnych powozów pocztowych. Musiałbym w tym celu zatelegrafować najpierw do Gila City.

- A jak wygląda sprawa z rzeką?

- Po Rio Gila nie pływają żadne statki. Mam co prawda łódź, ale jest ona przeznaczona do prywatnych celów. Nie wypożyczam jej. Moja rada, to czekać do jutra.

- Nie pozostaje mi nic innego. Dziękuję panu - stwierdził Wilkins i odszedł. Hofter powrócił do swych gości i zdał im meldunek.

- Brawo, mister Hofter! - pochwaliła go seniorita Miranda słodko się uśmiechając.

- Doskonale to zrobiłeś - zgodził się z nią Roulin.

- Och, nie mógłbym zrobić nic innego, seniorita. Jediną możliwością podróży rzeką byłaby moja łódź; ale po pierwsze, nie pożyczam jej obcym, a po drugie, master Wilkins dopłynąłby nią tylko do Yumy, gdzie musiałby czekać na dyliżans, aby pokonać resztę drogi lądem. Ale chodźcie, proszę, ze mną! Walker chętnie posłuchałby jeszcze trochę o łodzi Hoftera, przyszła mu bowiem do głowy pewna myśl. Powiedział sobie jednak, że sprawa nie jest aż tak pilna i ruszył za resztą towarzystwa, którą Hofter umieścił w trzech sąsiednich pokojach, trochę lepiej umeblowanych, niż to opisał przedtem gorliwy gospodarz:

Najlepszy z nich przeznaczył dla seniority, dwa pozostałe miały być dla panów. Potem Hofter postarał się o wodę do mycia, a później o kolację, przy której towarzyszył swym gościom. Zaledwie jednak zaczęto jeść, Hofter został wezwany do telegrafisty. Zerwał się więc od stołu, skłonił damie i pobiegł, pozostawiając całe towarzystwo w najwyższym napięciu. Kiedy wrócił, ze zwycięską miną trzymał w dłoni zamkniętą kopertę z telegramem.

- Oto on, moi państwo!
- Wspaniale! Dawaj go! -wykrzyknął Roulin.
- Proszę! Ale bądź ostrożny!

Roulin nawilżał kopertę tak długo, aż woda rozpuściła klej i mógł ją otworzyć bez uszkodzenia. Nie zastanawiał się, że czytając treść telegramu na głos, mógłby zdradzić się przed Hofterem.

- „Gila Bend. Walker i jego towarzysze szukają was. Będą wcześniej od nas. Przygotujcie się na ich spotkanie! My przyje-dziemy dopiero jutro w południe. Winter”.

- Wielkie nieba! Tb przecież ten sam podpis! - stwierdził zaskoczony Hofter.

Dopiero teraz Roulin zorientował się, że za bardzo wtaje-mniczył w swoje sprawy kolegę ze studiów. Szybko jednak znalazł wymówkę.

- `Iak, Winter, mój zazdrosny konkurent! - roześmiał się.
- Zazdrosny konkurent? A więc idzie o jakąś damę? No to cała sprawa robi się coraz ciekawsza! Czy można wiedzieć, kim ona jest?

- Tó miss Wilkins. Kocha mnie, ale jej ojciec jest przeciwko mnie. Pojechałem za nimi, aby się z nią spotkać. Za mną z kolei, aby mi w tym przeszkodzić, wyruszył ten głupi Winter.

- Niech go diabli porwą! Będę szczęśliwy, jeśli uda mi się ci pomóc.

- Uda ci się z pewnością. A może i ja będę mógł ci się zrewanżować w jakiś sposób.

Hofter rzucił pełne zachwytu spojrzenie na Mirandę.

- Zawrzyjmy więc przymierze - powiedział. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Postaraj się, aby ten telegram nie doszedł do rąk Wilkinsa!
- Tb niemożliwe! Zostałbym za to surowo ukarany.
- Zgubisz go.
- Musiałbym o tym zameldować.
- Przynajmniej zatrzymaj go do jutra w południe!
- Na to też nie mogę się zgodzić. Bardzo, bardzo mi przykro!

W tym momencie Miranda położyła dłoń na ramieniu Hoftera i spojrzała mu głęboko w oczy.

- A czy nie zrobiłby pan tej przysługi dla mnie, mister? - poprosiła cichym głosem.

- Dla pani? - Hofter zamknął oczy i zamilkł.
- Widzisz, przyjacielu - szeptała mu dalej do ucha Miranda - idzie tu przecież o nieszczęśliwą miłość!

- `Pdk, seniorita, ale...

- Czy może być tu jeszcze jakieś „ale”? ‘Iiwój przyjaciel walczy o swoją ukochaną; jak mógłbyś mu nie pomóc? Nawet gdybyś mu-siał się dla niego trochę poświęcić! Ja, mój przyjacielu, byłabym gotowa na wszystko, gdyby chodziło o miłość - dodała i chwyciła go za rękę. - Czy to rzeczywiście takie trudne?

- Bardzo trudne, seniorita! Tdkże i dla pani zrobiłbym wszy-stko, co w ludzkiej mocy, ale to czego pani ode mnie żąda, jest łamaniem prawa i jako takie jest karalne.

- Nie śpieszmy się tak zbyt z osądem tej sprawy! Poroz-mawiamy o tym jeszcze raz po kolacji!

- 'I~k, tak - wpadł jej w słowo Walker. - Mam do pana jeszcze jedno, o wiele ważniejsze pytanie. Opowiadał pan przed-tem o swojej łodzi. Nazwał ją pan „Sprzedawcą dusz”. Co to za łódź?

- 'I~go samego typu, które na Mississipi nazywane są chic-kentief - złodziejem kur. 1b jednomasztowa łódź, bardzo zwinna, z zabudowaną kajutą.

176

- Skąd ta dziwna nazwa?

- Ponieważ tego rodzaju łodzi używa się do celów niezupełnie zgodnych z prawem. Jej szybkość łatwo pozwala właścicielowi ująć każdej pogoni.

- Jakim cudem wszedł pan w posiadanie takiej łodzi?

- Kilka mil powyżej naszej miejscowości był mały fort; wojsko stacjonowało tu ze względu na fakt, iż stykały się w tej okolicy ze sobą tereny Apaczów, Indian Yuma i Marikopasów. Dowódca oddziału kazał zbudować tę łódź, aby łatwiej ścigać indiańskie kanu. Kiedy fort zlikwidowano, nie potrzebował jej już i sprzedał mi za niewielką sumę.

- Jaka ma załogę?

- Pięciu ludzi. Czterech marynarzy i sternika, który jedno-cześnie jest szyprem. W kajucie może mieszkać swobodnie osiem osób. Jeśli sprawi to wam przyjemność, mogę ją wam pokazać.

- I nie pożyczą jej pan?

- Nie. `

- Szkoda! Zrobiłby pan nam wielką przysługę, a przy okazji zarobił ładną sumkę.

- Dlaczego? Chciałby pan sam z niej skorzystać?

- `lak.

- W jakim celu?

- Powinien się pan był natychmiast domyśleć, kiedy Roulin opowiedział o swojej nieszczęśliwej miłości.

- Do diabła! Tb jasne! Wilkins musi do jutra czekać na dyli-żans. Chciałby pan, aby użył mojej łodzi?

- Tak.

- Czy wy też chcielibyście popłynąć?

- Naturalnie; mister Roulin chce przecież być razem ze swą ukochaną. Kiedy ten łotr, Winter, przyjedzie tu jutro, nas już tu nie będzie. On w ogóle nie powinien się dowiedzieć, dokąd popłynęliśmy!

177

- Nie macie zamiaru pojechać do Dos Palmas?

- Ani nam to w głowie!

- Dokąd więc?

- 'R~ właściwie tajemnica. Zdradzimy ją panu dopiero wtedy, kiedy zdecyduje się pan pożyczyć nam łódź na tę wyprawę. Hofter zamyślił się; jego wzrok padł przy tym na Mirandę, która ciągle jeszcze trzymała jego dłoń.

- 'Ib chyba będzie możliwe - odparł powoli. - Kto z was popłynie łodzią?

- Wszyscy.

- Seniorita Miranda także?

- Również i ona.

- Zastanowię się.

- Niezbyt długo, mister! Bardzo nam się śpieszy!

- Musiałbym z wami popłynąć, jako właściciel łodzi.

- 'I~go właśnie oczekujemy.

- Zaraz więc dowiem się, na jak długo mogę wyjechać. - Hofter poczuł jeszcze wdzięczny uścisk ręki Mirandy; potem zerwał się z krzesła i pośpiesznie opuścił pokój.

- Miał pan wspaniały pomysł, mister Walker! - roześmiał się Roulin. - Miejmy nadzieję, że się zgodzi.

- Całkowicie w to wierzę. Z pewnością dojdzie do wniosku, że w ten sposób znajdzie możliwość spędzenia kilku dni z Mirandą. Jak daleko popłyniemy?

- Aż do Kolorado, a potem w okolice Aubrey. 'Pdm obozują Indianie Mohawe, pod których ochroną dostaniemy się z naszymi więźniami aż do Doliny Śmierci. Pytanie tylko, czy uda nam się zwabić do łodzi Wilkinsa.

- Bez wątpienia.

- W jaki sposób?

- To zadanie Mirandy. Musi załatwić tę sprawę w zajeździe.

Powiem jej co ma robić, kiedy poznamy już decyzję tego zakochanego w niej młodzieńca.

- Wszystko idzie jak po sznurku! Co za szczęście, że znałem dawne nazwisko Old Firehanda i podpisałem nim nasz telegram. Gdybym podpisał go „Old Firehand”, ten pocziwy Hofter mógłby zacząć podejrzewać, że idzie tu o całkiem inne sprawy! Hofter wrócił dopiero wtedy, kiedy całe towarzystwo skoficzyło jeść. Miranda w tym czasie poszła już do swego pokoju.

- Gdzie jest seniorita? - brzmiało jego pierwsze pytanie.

- W swoim pokoju.

- Przecież nie został jeszcze wcale uporządkowany! Nie byłem przygotowany na wizytę gości. Muszę zaraz zapytać o jej życzenia!

- dodał i wybiegł pośpiesznie.

Kiedy wszedł do jej pokoju, Miranda leżała w hamaku. Była całkowicie przekonana, że Hofter przyjdzie, ale doskonale udała przerażenie na jego widok.

- Mój Boże... Zb pan?!

Hofter podszedł bliżej z uprzejmym ukłonem.

- Chyba nie zakłócam pani spokoju swoją obecnością, seniorita?

- Och, nie... przestraszyłam się tylko, bo... - zająknęła się i opuściła powieki.

- Bo... - naciskał Hofter.

- Bo właśnie o panu myślałam - dopowiedziała szybko.

- O mnie? - ucieszył się młodzieniec.

Miranda wyprostowała się w hamaku i spojrzała mu badawczo w oczy.

- 'Pak. Może mi pan wierzyć, mister Hofter, że pańska męska postawa i zdecydowane działanie musi wywrzeć wrażenie na każdej kobiecie, która w głębi swego serca wierzy w ideał męskości!

- Seniorito!

- Proszę mnie źle nie zrozumieć! Chciałam przez to tylko powiedzieć, że jest pan jednym z tych niewielu mężczyzn, którym 179 mogę zaufać.

- Może mi pani ufać bezgranicznie, seniorito! Moje życie należy do pani!

Miranda powoli zsunęła się z hamaka i spojrzała mu prosto w oczy.

- A jeśli zaiądam od pana dowodów?

Hofter usiłował wziąć ją za rękę, ale dziewczyna uwolniła się i zrobiła krok do tyłu.

- Nie, nie przyjacielu; najpierw dowód!

- Co mam zrobić?

- Zniszczyć telegram!

Hofter drgnął, jakby został uderzony i potrząsnął głową.

- Mirando! - szepnął błagalnie.
- Dziękuję, mister Hofter - powiedziała z ironiczną miną. - Wiedziałam, że tak będzie. Omal nie uwierzyłam pafiskim faiszy-wym zaklęciom. Omal. Żegnam pana! - powiedziawszy to, odwróciła się.

- Mirando!

- Co jeszcze? Tam są drzwi, mister! Nie jestem kobietą, z którą można się bawić!

Hofter chciał ją przytrzymać, ale ona głośno śmiejąc wyrwała mu się.

- Puste słowa... nic poza słowami!

- Proszę cię, Mirando. Zrobię wszystko, ale zwolnij mnie z tego obowiązku!

- Nie! 'I~n albo żaden!

- Nie zmienisz swego zdania?

- W żadnym przypadku, tym bardziej, że wiem, iż spełnienie mego życzenia będzie bardzo łatwe dla pana, nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji, a przy okazji pomoże wyjść z opresji nie-szczęśliwej, zakochanej w sobie parze.

- Skąd pani może to wszystko wiedzieć?

- Wiem wystarczająco dużo. Teraz zaś poproszę pana, aby 180 opuścił mój pokój!

Hofter usiłował jeszcze raz uchwycić jej dłoń, ale Miranda cofnęła się ku drzwiom i położyła rękę na klamce.

- Proszę odejść! Niech pan opuści mój pokój, zanim ktoś pana tu zobaczy; musiałabym się wtedy wstydzić, że na chwilę oddałam moje serce tchórzowi! Niech pan stąd wyjdzie! - nacisnęła klamkę.

- Poczekaj!

- Proszę? - spojrzała nań dumnym, wyzywającym wzrokiem.

-Zrobię to! Oto telegram! - wyciągnąwszy z kieszeni kopertę rzucił ją na stół. - Jest pani teraz zadowolona? Jego oczy patrzyły na nią teraz niemal błagalnie. Na jej ustach pojawił się uśmiech; po chwili Miranda wyciągnęła ku niemu rękę.

- Jeszcze nie całkiem. Musi pan zrozumieć, że najpierw po-winnam odzyskać do pana utracone zaufanie.

- Mirando! - wykrzyknął Hofter wyciągając ramiona, jakby chciał ją objąć.

- O nie, mój przyjacielu. Najpierw wystawię pana na próbę. Do tej pory proszę nie nazywać Mirandą i nie mówić per ty.

- Mir...

- Pst! Moi towarzysze mogliby to zauważyć. Najpierw chcia-łabym pana uspokoi~, jeśli idzie o ten telegram. Jeśli zniknie, nie zaszkodzi to panu w najmniejszym stopniu. Jutro, kiedy przybędzie tu Winter, Wilkinsa i jego cbrki już tu nie będzie. Kto będzie się wtedy pytał o telegram? A teraz porozmawiajmy ze sobą jak dobrzy przyjaciele. Proszę tu podejść!

Miranda posadziła Hoftera obok siebie na ławce i położyła mu dłoń na ramieniu. W takiej pozie rozmawiali ze sobą jeszcze przez długą chwilę.

- Kiedy wyjeżdżamy? - zapytał.

- To jeszcze nie wiadomo. Najpierw musimy się dowiedzieć, czy naprawdę pożyczymy nam pan swojego „Sprzedawcę dusz”.

- Naturalnie, że pożyczę.

- Czy jest wyposażony?

- Na krótkie rejsy. Dokąd chcecie płynąć?

- Do Aubrey.

- I b daleko. Muszę się więc zatroszczyć o żywność.

- Czy załoga jest pod ręką?

- Bez przerwy. Jeśli nie potrzebuję ich na łodzi, mają inną pracę.

- Czy można im ufać?

- Tak; doskonale znają swój fach.
- Nie to miałam na myśli. Nie wszyscy muszą wiedzieć o naszej wyprawie!
- Och, potrafiały trzymać język za zębami, a poza Tym są mi całkowicie oddani!
- Jest rzeczą możliwą, że zażądamy od nich przysługi, która właściwie nie będzie należała do ich zawodu.
- Potrafiały spełnić każde życzenie.
- Ty jeszcze nie wszystko. Nasze życzenie, biorąc pod uwagę tę historię miłosną, może się wydać dziwne; trudno nam będzie im to wyjaśnić, aby udowodnić, że nasze działania są uczciwe.
- Ach, wiesz przecież, Mirando... wybaczyć... wie pani przecież, że mieszkańcy Południa nie są podejrzliwi.
- Chcemy spłatać figła temu Winterowi i Wilkinsowi, którzy byli wobec nas trochę niesympatyczni. Chcemy Wilkinsa zwabić na pokład i popłynąć z nim do Aubrey. Co, jeśli będzie się przed tym bronił?
- Wtedy będziemy musieli pozwolić zejść mu na ląd.
- Ty niemożliwe. Wilkins jest uciekinierem. Złamał prawo i jest poszukiwany przez policję. Do tej pory nie przeszkadzaliśmy mu, ale ponieważ jest tak surowy wobec swej córki, musimy postąpić wobec niego podobnie. Zwabimy go na pokład, dostarczymy do Aubrey i oddamy w ręce policji.
- Ale jak chcecie go zmusić, aby dobrowolnie wszedł do łodzi?

182

- Powiedziałam ci już, że zwabimy go na pokład pod jakimś pozorem. Kiedy już tam będzie i zauważy naszą obecność, wtedy prawdopodobnie będzie się bronił. Jestem ciekawa, jak ty postąpisz w tej sytuacji?
 - Ja? Och, Mirando, zrobię wszystko, co uznasz za słuszne!
 - A twoi ludzie?
 - I~go... tego nie wiem!
 - Może będziemy potrzebować ich pomocy!
 - Nie będą chcieli mieszać się w sprawy innych! Najlepiej będzie, jeśli wynajmiecie, oczywiście tylko dla pozorów, mnie, moją łódź i moich ludzi. Podpiszemy w tym celu umowę. W ten sposób będziecie mieli pełne prawa na pokładzie, a moi ludzie będą musieli być wam w pewnym stopniu posłuszni.
 - Czy to się da załatwić?
 - Oczywiście. Ty najlepsze wyjście, jakie przychodzi mi do głowy.
- Po rozmowie z Hofterem Wilkins powoli wrócił do zajazdu.
- A jednak Old Firehand zatelegrafował, abyśmy stąd jak najszybciej wyjechali - powiedziała zatroskana Almy po wysłuchaniu opowieści ojca. - Musi mieć ważny powód do tego, w przeciwnym razie nie wysyłałby telegramu. Co zrobimy?
 - Będziemy cierpliwie czekać!
 - Czy rzeczywiście nie ma innej możliwości, aby stąd jak najszybciej wyjechać?
 - Mister Hofter nie znał innej rady.
 - Dla niego najważniejszą rzeczą jest oczywiście to, aby poczta miała jak najwięcej klientów. Przecież tu w okolicy muszą gdzieś być konie do wynajęcia!
 - Jeszcze raz pójde i zapytam.
- Jednakże i tym razem Wilkins nic się nie dowiedział. Jedynym środkiem komunikacji pozostawała łódź zakotwiczona przy brzegu. Należała ona jednak do syna poczmistrza, który nie chciał jej wynająć.

Pod wieczór z pokoi wyniesiono krzesła na balkony ciągnące się wzdłuż frontowej ściany zajazdu. W ten sposób można było podziwiać piękny widok rzeki aż po Castle Dome Range, a przy okazji obserwować, czy do stacji nie zbliża się ktoś obcy. Na sąsiednim balkonie siedziała młoda, poważnie wyglądająca dama. Odwrócona prawie plecami do ojca i córki zdawała się wcale nie zwracać na nich uwagi. Nagle jednak podniosła się z krzesła i podeszła do obojga.

- Proszę mi wybaczyć - odezwała się uprzejmym tonem. - Niechcący usłyszałam kilka nazwisk, jakie pafistwo wymienili w swej rozmowie. Czy jest pan może mister Wilkinsem podróżującym ze swą córką, Almy?

Plantator skłonił się.

- Tak, nazywam się Wilkins.

- Czy przyjechaliście tu znad Błękitnej Wody?

- Tak - odparł Wilkins nieco zdziwiony.

- A więc to naprawdę wy! Cóż za przypadek! Jestem szczęśliwa, że mogę poznać osoby, których los tak bardzo mnie wzruszył.

- Co? Zna pani nasze losy?

- Nawet bardzo dokładnie. Ale proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Howk. Jadę na spotkanie z moim mężem. Moim miastem rodzinnym jest Baltimore.

Po wymianie typowych uprzejmości, dama zapytała:

- Czy państwo ścigają niejakiego Walkera?

- Tak.

- I Roulina?

- Także. Ale skąd pani o tym wie?

- Czy znacie mister Firehanda?

- Och, nawet bardzo dobrze!

- A Sama Hawkensa, Dicka Stone'a i Willa Parkera?

- Znamy cały Liść Koniczyny! Ale jak się wydaje, ci ludzie także i pani nie są obcy. 184

- Spotkaliście się niedawno w Prescott.

- W Prescott?

- Tak. Stamtąd właśnie przyjechałam. Mieszkałam z tymi ludźmi w tej samej gospodzie i miałam przyjemność z nimi porozmawiać, a przy okazji wyświadczyć drobną przysługę. Spotkałam mianowicie Billa Newtona:

Wilkins wyprostował się gwałtownie.

- Billa Newtona? Musi się pani mylić, pani Howk. On jest uwięziony nad Błękitną Wodą!

- Nie, uciekł stamtąd dzięki pomocy niejakiego Leflora, który przyjechał nad Ilztlish-to z Wilkinsfield.

- Leflora? Na miłość boską! Leflor był nad Błękitną Wodą?

- Tak. Słyszałam, że Old Firehand wysłał posłańca do Gila Bend, aby nadał stamtąd do was telegram.

- Co też rzeczywiście uczynił; nic jednak nie wspomniał o wydarzeniach w Prescott.

- Chce jechać do Dos Palmas.

- Tyle właśnie nam przekazał. I nic więcej. Dlaczego chce tam jechać? Oczekiwaliśmy go tutaj!

- Ponieważ Walker i reszta zdążyli już wyjechać z Prescott. Pojechali przez Mineral City do Dos Palmas. Pogofi jest tuż za nimi jadąc na dobrych, wypoczętych koniach. Przestępcy z pewnością zostaną niebawem schwytani. Jestem przekonana, że wasi przyjaciele są już z pewnością w Dos Palmas i czekają na was.

- Na Boga... a my siedzimy tutaj beczynninie. Musimy czekać do jutrzejszego popołudnia; wtedy dopiero przyjedzie następny dyliżans.

- Co? Chcecie tak długo czekać? To przecież nie jest konieczne!

- Nie ma żadnej innej możliwości dalszej podróży.

- A jednak! Mogę was ze sobą zabrać. Niebawem wypłynę łodzią do Gila City, a potem do Yumy. Stamtąd można resztę drogi pokonać konno.

185

- Ma pani tutaj statek?

- „Sprzedawcę dusz”; syn tutejszego poczmistrza oddał mi go do dyspozycji w drodze wyjątku. Dokładniej rzecz biorąc, sam właściciel musi popłynąć w górę rzeki i zabierze mnie ze sobą - wskazała w stronę brzegu. - Widzicie, tam jest łódź! Przyjechałam tu z Pre-scott, a teraz popłynę do Yumy, gdzie spotkam się z moim mężem. Co prawda miałam zamiar wyruszyć dalej dopiero jutro, ale jeśli zależy wam na natychmiastowym wyjeździe, jestem gotowa porozmawiać z mister Hofterem i poprosić go, aby zabrał was z nami.

- Pani łaskawość jest xównie wielka, co na czasie, madame!

- Proszę tak nie mówić! Bardzo wam współczuję i nawiasem mówiąc, ja też odniosę z tego korzyść: nie muszę dalej podróżować sama, a poza tym wcześniej spotkam się z mężem!

- Ile miejsc jest na łodzi?

- Poza załogą statek zabiera na pokład ośmiu pasażerów.

- Przyjmujemy pani wielkoduszną propozycję, pod warunkiem jednakże, że poniesiemy naszą częśćE kosztów.

- Zgoda.

- Dziękuję. Zdjęła nam pani z serca naprawdę wielki kłopot.

- Kiedy chcecie odpływać~?

- Najchętniej natychmiast!

- No, tak szybko się naturalnie nie da. Ale możemy byćE gotowi do odbicia za godzinę. Czy zejdziecie pafistwo na brzeg?

- Naturalnie. Czy pójdzie pani z nami?

Miranda odwróciła się spod drzwi.

- Nie, muszę jeszcze porozmawiać z mister Hofterem. Jest przekonany, że wypływamy dopiero jutro.

- Czy będziemy żeglować nocą? Zaczyna się już ściemniać!

- Nic nie szkodzi. Rzeka jest bezpieczna, jak mi powiedziano, a sternik zna ją doskonale. Zawsze będziemy mogli przybić do brzegu, gdyby podróż w ciemnościach była niemożliwa. A więc, good bye! Do zobaczenia za godzinę!

„Sprzedawca dusz”

Wilkins widział z balkonu miejsce, w którym zakotwiczona była łódź; mimo zapadających ciemności nie mógł więc do niej nie trafić. Okazja, aby jeszcze dzisiaj wyruszyć aż do Kolorado, była zbyt nęcąca, aby z niej nie skorzystać. Stąd też zaraz zaczął się przygotowywać z cbrką do podróży. Nie obciążali się nadmiernym bagażem i kiedy minęła godzina, oboje stali już na brzegu gotowi do podróży. Ich bagaże przyniósł im jeden ze służących.

Na brzegu powitała ich seniorita Miranda, czyli rzekoma pani Hawk.

- Serdecznie witam! Miejmy nadzieję, że będziemy mieli dobrą podróż. Chodźmy do kajutyl

- i~dzie jest załoga?

- Z przodu, na dziobie. Nie mamy z nimi nic wspólnego. Teraz, kiedy jesteście już na pokładzie, możemy natychmiast odbijać.

- A kapitan?

- Na takiej łodzi wystarczy sternik. Jest razem z załogą. Wejźmy do kajuty!

Pomieszczenie pod pokładem było właściwie ładownią podzieloną na kilka, dających się zamykać, przegród. Właściwa kajuta podzielona była lekką ścianką działową na dwie części: przednią dla załogi i tylną dla właściciela łodzi lub jego gości. Za nią znajdowały 187 się schodki prowadzące do ładowni.

Kajuta była naprawdę przytulnie urządzone pomieszczeniem. Na środku stał wąski stół, a pod ścianami ciągnęły się wygodne ławki. Nad stołem wisiała paląca się lampa.

Zaledwie nowoprzybyli pasażerowie zajęli miejsca i złożyli bagaże, na pokładzie rozległ się tubalny, rozkazujący głos sternika.

- Wciągnąć kotwicę! Odbijamy!

Łódź odbiła od brzegu i niebawem znalazła się w nurcie rzeki. Rio Gila jest rzeką nader podstępą, stąd też Wilkins nie mógł się pozbyć niemiłego, jakby przestrzegającego go przed czymś uczucia. Również i Almy odczuwała coś podobnego; przytuliła się do ojca tak mocno, że poczuł drżenie jej ciała.

- Czyżbyś się czegoś lękała, moje dziecko?

- Nie wiem, ojczu. Może to ta niesamowita ciemność i rzeka.

- Czy sądzicie, że zaufałam tej łodzi, gdybym nie wiedziała dokładnie, że jest całkowicie bezpieczna - uspokajała ich pani Howk.

- Gdyby to było na szerokich wodach Mississippi - odezwał się Wilkins - z dala od niebezpiecznych brzegów, wtedy nie obawiałbym się niczego. 'Itaj jednak nachodzą mnie wątpliwości. Wyjdę na pokład i rozejrzę się.

- Może pan przeszkadzać załodze w pracy, a jak pan wie, są to nader szorstcy ludzie.

- Będę na nich uważał - odparł Wilkins i wyszedł z kajuty.

W pierwszym momencie nie mógł zobaczyć nic poza świecącymi gwiazdami. Kiedy jednak jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył przed sobą wielki żagiel, groźny i ciemny. Wiatr wiał ze stałą siłą, pędząc łódź przez fale. „Sprzedawca dusz” płynął bezgłośnie; tylko od rufy dochodził cichy szum wody. Przy sterze stał w milczeniu sternik. Nieco bardziej z przodu widać było jakieś ciemne postaci.

Wilkins ruszył wolno w ich stronę. Kiedy minął maszt i dotarł na przedni pokład, natknął się na marynarzy. Zdziwiła go ich liczba; taka łódź jego zdaniem nie wymagała aż tak licznej załogi. Jedna z postaci stała oparta o reling i spoglądała w wodę. Był to Walker.

- Dobry wieczór - pozdrowił go Wilkins. Walker dotknął róna kapelusza nie odpowiadając.

- Należy pan do załogi?

- Naturalnie.

- Ile ona liczy osób?

- Niech pan sam policzy. Wszyscy stoją tam, przed panem!

- Jest ich aż tak wielu?

Walker w milczeniu wzruszył ramionami.

- I wszyscy są potrzebni?

- Jak widać, nie bardzo zna się pan na naszej robocie, sir. Jest pan z pewnością z Północy?

- To prawda.

- 'I-k też sobie pomyślałem. Wasze rzeki są spokojne; za to nasza Rio Gila jest bardzo gniewną dziewczyną. Aby ją poskromić, trzeba niekiedy wielu rąk. Pływałem już po Missisippi i Arkansas; to o wiele łatwiejsza robota.

- Pływał pan po Arkansas? Dokąd pan dotarł?
- Prawie do samych terytoriów indiańskich.
- To może zna pan Uan Buren?
- Nawet bardzo dobrze!
- Mieszkałem w tamtej okolicy. Byłem plantatorem.
- Co też pan nie powie! Przeżyłem tam kilka małych przygód.

Zgubił się nam na przykład jeden z naszych ludzi. Musieliśmy znaleźć drugiego na jego miejsce, który popłynął z nami aż do Nowego Orleanu. Dopiero gdy nas opuścił, dowiedzieliśmy się, że był to nader niebezpieczny człowiek. Oszukał między innymi pewnego plantatora nazwiskiem Wilkins.

- Jak się nazywał ten człowiek?
- Walker.

189

- Czy to możliwe? 'Ib ja jestem tym Wilkinsem, mister!
- Wielkie nieba! Na tym świecie można się wszystkiego spodziewać. Czy nie słyszał pan potem znowu o tym Walkerze?

- Przez długi czas, nie. 'I;raz jednak mam nadzieję, że uda mi się zamienić z nim kilka słów.

- Naprawdę?
- 'Pdk, podobno przebywa w tej okolicy.
- Więc należy go schwytać.
- I'ak też mam zamiar postąpić.
- Niech pan jednak uważa na siebie! Jak go znam, to możliwe, że on pana schwyta, a nie odwrotnie!

- Przyjdzie mu to z trudem!
- Mogę się z panem założyć.
- Proszę bardzo.

- A więc przegrał pan, gdyż jak pan widzi, znajduje się pan w jego rękach.

Przed chwilą Wilkins zauważył, że za jego plecami stanęło dwóch ludzi z załogi; doszedł jednak do wniosku, że nic mu z tego powodu nie grozi. W tym jednak momencie Walker schwytał go rękoma za szyję, zaś rzekomi marynarze przytrzymali go za ramiona. W pierwszej chwili Wilkins znieruchomiał z przerażenia, potem jednak zaczął się bronić z całych sił. Strach przed śmiercią podwoił jego siły; w koficcu udało mu się na sekundę uwolnić szyję z duszą-cego chwytu.

- Zcirada! Na pom... - wrzasnął.

Zaledwie jednak otworzył usta, ktoś wsunął mu knebel między zęby. W tym samym czasie związano go dokładnie, na twarz zarzucono zaś grubą chustkę, tak że niemal nie słychać było jego rżenia.

- Tb wystarczy - stwierdził Walker. - Zanieście go pod pokład, a ja w tym czasie złożę wizytę miss Wilkins. Siedząca w kajucie Almy usłyszała okrzyk ojca.

- Co to było? - zapytała przestraszona.

190

- Rozkaz wydany przez sternika - odparła pani Howk.
- Nie, to był głos mojego ojca. Brzmiał tak, jakby znalazł się w niebezpieczefistwie!
- Niebezpieczefistwie? 'iiuaj? Musielibyśmy zauważyć, gdyby łodzi groziło jakieś niebezpieczefistwo!

- Nie, nie, to był z pewnością głos mojego ojca. Wołał o pomoc.

Może wszczął bójkę z którymś z marynarzy... - Almy zerwała się z ławki, ale Miranda zastawiła jej drogę.

- Zostafi tu, albo będziesz zamknięta pod pokładem!

- Zamknięta? Ależ pani Howk, co tu się dzieje? -wykrzyk-

0 nęta Almy usiłując precyzyjnie się obok Mirandy. ' Jednakże Hiszpanka twardo broniła swej pozycji.

- Jeśli nie będzie pani siedziała spokojnie, to wydarzy się coś, co wcale się pani nie spodoba!

- Pomocy! Na pomoc!

Do kajuty wszedł Walker odsuwając na bok Mirandę.

- Kto tu woła o pomoc? Co się stało?

-Ja. Gdzie jest mój ojciec?

- Pod pokładem.

- Co mu się stało?

- Nic, zupełnie nic.

- Nie wierzę panu! Zaprowadźcie mnie do mego ojca! Chcę go zobaczyć!

- Zupełnie pani nie rozumiem. Robi pani tyle hałasu, że słychać panią daleko od brzegów. W ten sposób może pani spro-wadzić na nas niebezpieczeństwo. Niech pani będzie cicho!

- Zaprowadźcie mnie do ojca, albo sprowadźcie go tutaj.

- No cóż, sama pani tego chciała. Proszę za mną!

W tym czasie Wilkinsa zniesiono już pod pokład, do ładowni. 'Pakże i Walker sprowadził Almy na dół. Otworzył jedno z zamkniętych drzwi.

- Gdzie on jest? - zapytała nieufnie Almy.

191

- l'dm, niech pani wejdzie!

Popchnął Almy do wewnątrz, a potem szybko zaryglował drzwi. Wyszedłszy na pokład zamknął również bulaj. Z dołu usłyszał już tylko zduszony okrzyk.

Na pokładzie podszedł do niego Hofter i odciągnął na bok.

- Nie rozumiem tego. Mówił pan przedtem o romansie między tą dziewczyną a moim przyjacielem, Roulinem?

- 'Ib prawda.

- 'Ii~aktuje pan jednak tę miss i jej ojca w taki sposób, jakby byli przestępcami.

- 'Pdki jest nasz plan.

- Dlaczego? Nie pozwolę wykorzystywać mojej łodzi dla nie-cnych celów. Rozumie pan?

- Oczywiście, że rozumiem! - roześmiał się niewinnie Wal-ker, a potem uspokajająco poklepał Hoftera po ramieniu. - Niech się pan nie lęka! Musimy obchodzić się z tymi ludźmi trochę niedelikatnie; to konieczne, jeśli Roulin chce zdobyć swoją narzeczoną. Ma on bowiem odegrać rolę wybawiciela. Wtedy stary odda mu jej rękę z czystej wdzięczności. Czy pan tego nie rozumie?

- 'Ib bardzo awanturnicza przygoda. Co sobie też sobie myśli biedny mister Wilkins? Sądzi może, że wpadł w ręce rozbójników?

- Coś w tym rodzaju.

- Wielkie nieba! A więc ja też należę do tej bandy? To trochę za dużo, jak na mój gust!

- Nie widzę żadnego niebezpieczeństwa dla nas, a tym bar-dziej dla pana.

- Czyżby? Zamienił pan moją łódź w piracki statek!

- A kto wie, że to jest pafiska łódź?

- W tej okolicy, każdy.
- Ale nie nasi więźniowie.
- Bardzo się pan może mylić. W każdym razie Wilkins opowiadał wszystkim w zajeździe, że odpływa moją łodzią; poza tym

192 służący, który przyniósł jego bagaże na brzeg, doskonale zna „Sprzedawcę dusz”.

- Jest wobec tego jeszcze jedno wyjście, które całkowicie oczyści pana z wszelkich podejrzeń. Powiemy po prostu, że napadliśmy również i na pana.

- Nikt w to nie uwierzy! Jakim cudem bylibyście w stanie uwięzić mnie i moich pięciu ludzi?

- Niech pan wierzy w co chce! Nie chcemy, aby brano nas za rozbójników, tak samo jak pana! W tej chwili rzeczywiście gramy małą komedię, ale kiedy tylko mister Roulin dostanie swoją narzeczoną, wtedy wyjaśnimy wszystko. Daję panu słowo, że zostaniemy nawet zaproszeni na wesele!

- Niezbyt mi się podoba ta historia, sir!

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego. Jest pan przecież drugim szczęśliwcem, który dzięki niej zdobędzie narzeczoną.

- Mirandę? - twarz Hoftera rozjaśniło się natychmiast. - Jeśli używa pan takich argumentów, chętnie dam się przekonać!

- Nareszcie jest pan rozsądny! Miranda jest w kajucie i czeka na pana. Niech pan tam pójdzie, a ona rozwieje pańskie obawy. Na wpół uspokojony Hofter poszedł za radą Walkera.

- Gdzie ja jestem, na miłość boską? - jęknęła pełna lęku Almy, gdy Walker zaryglował za nią drzwi ładowni. - Ojczy?! Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Ojczy? `

Dopiero teraz Almy usłyszała dziwne sapanie i jednocześnie brzęk łańcucha.

- Ojczy, jesteś tu?!

Łańcuch zadzwieczał mocniej. Almy schyliła się i zaczęła obmacywać podłogę. Dopiero po wielu krokach dotarła do postaci przykutej do burty.

- O Boże! Zakneblowali cię! Ty się dusisz!

Drżącymi palcami rozwiązała chustkę i wyjęła kiibel z ust ojca.

7 - Dolina śmierci 193

Wilkins wciągnął głęboko powietrze.

- Niebiosom niech będą dzięki! - westchnął. - Omal się nie udusiłem!

- To ty, ojczy! O Boże!

- Bądź cicho, moje dziecko! Nie czas na lamenty; nic one nam zresztą nie pomogą! Teraz potrzebne jest opanowanie. Wydaje mi się, że wpadliśmy w ręce Walkera. Jak to się stało, tego oczywiście nie wiem.

- A więc pani Howk jest jego współniczką?

- Na pewno.

-`Ihk samo jak właściciel łodzi?

- ByE może. Czy jesteś związana?

- Nie.

Almy opowiedziała szeptem ojcu, w jaki sposób znalazła się w ładowni.

- Musimy być cierpliwi - pocieszał ją ojciec. - Myślę, że nie będziemy tu zbyt długo. Wtedy dowiemy się, jakie mają wobec nas zamiary.

- Myślę, że idzie im o nasze pieniądze.

- Już mi je zabrano.

- Może o świcie wysadzą nas na ląd; jak sądzisz?

- Tb możliwe.

Wilkins powiedział to tylko dlatego, aby jeszcze bardziej nie straszyc Almy. Wiedział doskonale, że bandytom wcale nie chodziło o jego pieniądze. Jeśli rzeczywiście znalazł się w rękach Walkera, to czekał go ten sam los, co jego bratanka, Artura i Martina Adlera, los o tyle straszniejszy, że miał on stać się udziałem również i jego córki.

- Co jednak pocniemy bez pieniędzy?

- Znajdziemy dobrych ludzi, moje dziecko. Wydaje mi się... ale pst! Ktoś chyba nadchodzi!

Na zewnątrz odsunięto rygiel przy drzwiach do środka wszedł 194 Walker trzymający w ręce lampę.

Wyczerpana Almy osunęła się na jedną z bel bawełny, których sporo leżało wzdłuż burt statku. Walker postawił lampę na podłodze i ze złośliwym uśmiechem przyglądał się ojcu i córce.

- Czy mnie poznajecie?

Odpowiedzią było milczenie.

- Jeśli nie będziecie chcieli ze mną rozmawiać, to was do tego zmuszę. Widzi pan ten nóż, mister Wilkins? Przy jego pomocy z pewnością uda mi się otworzyć pańskie usta. A więc: czy mnie poznajecie?

- Nie.

Mimo to Wilkins przeczuwał, kogo ma przed sobą.

- A więc muszę się wam przedstawić. Nazywam się Walker i mam nadzieję, że cieszyć się z naszego spotkania.

- Nawet bardzo.

- Doskonale! Mogę wam powiedzieć, oczywiście ku waszej radości, że będziemy ze sobą przebywać przez czas dłuższy.

- Jestem wręcz zachwycony.

- 'R~ świetnie, prawda? 'Idk, dobrzy- przyjaciele muszą się cieszyć, jeśli mogą być razem przez dłuższy czas. Nawiasem mówiąc, nasza znajomość wcale nie jest taka świeża. Czy pamięta pan, mister, kiedy ją zawarliśmy?

- Doskonale!

- Było to owego dnia, kiedy miano mnie wykurzyć ogniem z chaty czarnego bimbrownika. Owego dnia, wczesnie rano, wsiadłem do pańskiego ogrodu. 'Pa młoda miss dopiero wstała i siedziała na werandzie. Stałem pod drzewem i obserwowałem ją. Zrobiła wtedy na mnie tak wielkie wrażenie, że postanowiłem pojąć ją za żonę.

- Ty draniu! - syknął przez zęby Wilkins.

Almy obróciła się bokiem do Walkera.

- Ponieważ musiałem wtedy bardzo szybko wyjechać, nic nie wyszło z moich oświadczeń, zaręczyn i małżeństwa. Nigdy jednak nie zarzuciłem tego planu. Ponieważ niebiosa doprowadziły dzisiaj do naszego ponownego spotkania, pierwszą rzeczą, o którą pana poproszę, będzie ręka pańskiej córki, sir. Wilkins udął, że nie słyszał tych beczelnych słów.

- No, niech pan odpowie! - naciskał Walker.

- Wolałbym ją raczej oddać diabłu!

- 'Ib bardzo pochlebne z pańskiej strony! Boi się pan mnie bardziej niż diabła. Mam wobec tego nadzieję, że szybko dojdzie-my do porozumienia. A więc nie chce mi jej pan oddać?

- Ty podły draniu!

- A jeśli pozwolę sobie wziąć ją za żonę bez ojcowskiego bogosławieństwa?

- Będzie wolała raczej umrzeć.

- Och, człowiek wcale nie umiera tak łatwo! Nawiasem mówiąc, nie rozumie pan wcale moich dobrych intencji względem pana. Zaraz to panu wyjaśnię. Był wtedy jeszcze jeden człowiek, który

ją chciał pojąć za żonę: mister Leflor. Odrzucił pan jego oświadczenia. A jeśli powtórzy je dzisiaj znowu? Co odpowie pan Leflorowi?

Wilkins pogardliwie wyjął wargi. -

- Tb milczenie niewiele panu pomoże. Co prawda nie spotkałem go od tamtego czasu, ale sędzę, iż...

- Niech pan się nie wysila - przerwał mu Wilkins. - Dosko-nale wiem, że on jest tutaj razem z panem.

- Wielkie nieba! A skąd pan to wie?

- Od pani Howk.

- No cóż, takie już są te kobiety. Nigdy nie potrafią utrzymać języka za zębami. Tym razem zepsuła mi naprawdę wietką niespo-dziankę. Chciałem bowiem przedstawić panu dzisiaj oprócz Le-flora także i Billa Newtona. Nie muszę chyba mówić, że Leflor szczególnie ucieszył się z tej okazji. Jest to człowiek szczególnie wierny i nigdy nie zapori~niał miss Almy. Dostał wtedy co prawda

196 kosza, ale teraz znowu ma zamiar powtórzyć swe konkury. Może mu pan spokojnie dać kosza po raz drugi, w ten sposób da mi pan okazję, abym udowodnił, iż jestem pańskim najlepszym przyja-cielem. Jeśli Almy przyrzeknie zostać moją żoną, będą ją strzegł przed Leflorem. I co pan na to, sir?

'I~ „oświadczenia” i bezczelny sposób, w jaki zostały złożone, były rzeczą zbyt nieprawdopodobną, aby Wilkins czuł się w obowiązku na nie odpowiadać.

- Jako pański zięć, mister Wilkins - mówił dalej słodkim głosem Walker - zatroszczyć się również o pańską rodzinę. Jest w tej kwestii kilka spraw, które należy wyjaśnić. Chyba nie zapomniał pan swego bratanka?

- Artura? Co pan wie o nim?

- Och, bardzo dużo!

-Pshaw! 'Tb jedno wielkie kłamstwo! Pan nic nie wie! - odparł Wilkins chcąc swą niewiarą zmusić Walkera do mówienia. - Cóż może pan wiedzieć o człowieku, który nie żyje?

- Sądzi pan, że on nie żyje? A co, jeśli powiem panu; iż nadal jest wśród żywych?

- Jeśli to prawda, to żyłby również i Adler.

- Zgadza się.

- Tb kłamstwo! Przez tak długi czas musiałbym przecież dostać od nich jakąś wiadomość!

- Dobrze pomyślane! A co, jeśli nie byli jej w stanie przesłać?

- Któż mógłby im w tym przeszkodzić?

- Człowiek, u którego... do diabła, posuwam się za daleko! Za chwilę opowiem panu niemal wszystko. 'Idk, tak, mam zbyt miękkie serce. A więc powtarzam jeszcze raz moją propozycję: niech mi pan odda Almy, a ja przywrócę do życia obu zmarłych.

- Nie oszuka mnie pan; gdy Almy zostanie pańską żoną, pan natychmiast zapomni o tych dwóch.

Te słowa miały zwieść Walkera, że być może uda mu się zdobyć 197 rękę Almy. I Walker rzeczywiście dał się nabrać na ten podstęp.

- Przysięgam na Boga i wszystkich diabłów, że dotrzymam mego słowa! Może pan być tego całkowicie pewny!

- Jaką gwarancję może mi pan dać?

- Moje słowo!

- Pańskie słowo? Słowo kłamcy, oszusta i mordercy?

- Niech pan uważa na to, co mówi, master! A jakich gwarancji chce pan właściwie?

- Coś, co da się dotknąć, coś rzeczywistego.

- Dobrze, zgadzam się. Czy odda mi pan Almy za żonę, jeśli sprowadzę żywych, pafiskiego bratanka i dawnego nadzorcę w pafiskiej plantacji?

- Tb pytanie jest bez sensu. Obaj od dawna znajdują się pod ziemią. Walker gwizdnął gniewnie przez zęby.

- 'Ib prawda; obaj są pod ziemią, ale żyją!

Wilkins drgnął gwałtownie. Pod ziemią i jednocześnie żywi? Wnio-sek był prosty; poszukiwani od dawna Artur i Adler muszą być więzieni gdzieś pod ziemią.

- Sam pan sobie przeczy! - roześmiał się pogardliwie Wil-kins. - Niech mi pan oszczędzi swoich dzieciennych kłamstewek!

-Pshaw! Tym lepiej dla mnie, jeśli pan nie rozumie. I tak powie-działem już więcej, niż mogłem. Niech się pan zastanowi nad moją propozycją! Jeśli odda mi pan Almy, uratuję obu mężczyzn i... hm, jest rzeczą możliwą, że znowu powróci pan na swoją plantację. Zrozumiano?

- To nonsens!

- Niech pan sobie myśli, co chce; dałem panu możliwość wyboru. Niech się pan nad tym zastanowi, ale szybko!

- Nie ma się nad czym zastanawiać.

Almy milczała do tej pory; teraz jednak doszła do wniosku, iż nie potrafi już dłużej przysłuchiwać się twardym, pozbawionym wszelkich 198 szans, słownym zapasom ojca z obłudnym, kłamliwym przeciwni-kiem. Leflor albo Walker! Walker czy Leflor! Cóż to była dla niej za różnica? W równym stopniu pogardzała oboma. Zebrała w sobie całą odwagę i podeszła do Walkera.

- Ma pan rację - odezwała się, starając nadać swemu głosowi choćby pozór pewności. - Nie ma się nad czym zastanawiać.

- Czy ma to oznaczać, że przyjmuje pani moje oświadczenia, miss Almy? - uśmiechnął się ironicznie Walker. Po jego głosie widać było, że sam nie wierzy w tak nagłą zmianę na swoją korzyść. W rysach twarzy Almy odbijało się obrzydzenie. Uchyliła się przed ręką Walkera, który chciał ją objąć.

- Niech mnie pan nie dotyka! Jest pan obrzydliwy!

- Och, ty moja gołąbko!

Almy cofała się krok za krokiem. Walker szedł za nią, wolno, gotowy do skoku jak drapieżny kot.

W końcu Almy oparła się o ścianę burty. Przed jej oczyma znowu pojawiła się ręka Walkera. Śmiertelny strach sparaliżo-wał bezbronną dziewczynę.

- Na pomoc! - wykrzyknęła nagle. - Pomocy!

W tym momencie, ze swego kąta, ruszył do ataku stary Wilkins. W ścianach burt znajdowały się żelazne kółka, do których przytwier-dzano ładunek, aby nie przesunął się po ładowni w razie kołysania statku. Do jednego z takich kółek przywiązany był Wilkins. Lęk o Almy wprowadził ojca w stan najwyższego wzburzenia. Podczas gdy jego oczy wpatrywały się w Walkera, który zrobił minę, jakby chciał gwałtem posiąść dziewczynę, mięśnie starego plan-tatora pracowały niemal bez udziału jego świadomości. Stary szarpał więzaini, nie zwracając uwagi, że przeciera sobie przy tym skórę do krwi.

Nie wiadomo, czy kółko, do którego przywiązany był Wilkins wbite było w nieco zbutwiałe drewno, czy też wewnętrzne napięcie podwoiło siły starego, w każdym razie w pewnej chwili więzy 199 puściły. Wilkins nagle miał wolne ręce i mógł odejść od ściany. Wykonał więc gwałtowny skok do przodu i zderzył się z Walke-rem.

Bandyta przestraszył się potężnie; był przekonany, iż bez prze-szkód będzie się mógł znęcać nad bezbronnymi ofiarami, a teraz, nagle, zobaczył obok siebie rozwścieczonego przeciwnika.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął i nie zastanawiając się wiele, błyskawicznie wybiegł przez drzwi ładowni na zewnątrz. Nie zapomniał jednak ich potem zaryglować.

Wilkins nie próbował nawet ścigać swego dręczyciela; myślał tylko i wyłącznie o swym dziecku, które, jak na razie, zostało uchronione przed najgorszym.

- Spokojnie, Almy, spokojnie! - pocieszał ją, sam bez tchu. - 'Iir łotry nie mają nas jeszcze całkowicie w swojej władzy! Kiedy sprowadzono Wilkinsa i Almy do ładowni, postanowiono wytłumaczyć załodze te nieco dziwne wydarzenia, gdyż marynarze mogli łatwo dojść do wniosku, iż więźniowie są niewinni i chcieć ich uwolnić.

'Pdkże i Miranda wyszła z Hofterem z kajuty, aby wziąć udział w tej naradzie. Bez szczególnych trudności udało się oszustom przekonać zarówno Hoftera, jak i prawie wszystkich marynarzy, że wszystko jest w porządku i nastawić ich przeciwko więźniom. Tylko jeden z marynarzy nie dał się przekonać, ale zachował swe zastrzeżenia dla siebie.

- 'Pdka piękna miss! Czy rzeczywiście miała być aż tak złą kobietą, jak to twierdził Walker? - myślał marynarz. Nie wierzył w jego słowa; taka zła dziewczyna nie może mieć tak miłej twarzy i tak dobrych oczu.

Potem marynarz zobaczył Walkera schodzącego do więźniów. Czego on tam chciał? Prostodusznemu marynarzowi nie podobały się twarze Walkera i jego towarzyszy. Nieufność wzrastała w nim z minuty na minutę, im bardziej zastanawiał się nad tym, co się wydarzyło na pokładzie. W pewnej chwili sam postanowił przekonać się, jak jest naprawdę. Podkraść się do luku, zszedł na dół i zaczął podsłuchiwać. W ten sposób słyszał każde słowo, jakie zostało wypowiedziane w ładowni.

Kiedy Walker uciekł na pokład przed Wilkinsem i zaryglował drzwi, marynarz nie zdążył wycofać się na pokład odpowiednio szybko i zderzył się na bandytą na schodach.

- Kto tu? - zapytał rozwścieczony Walker.

- Marynarz Forner.

- Czego tu szukasz?

- Chciałem zejść do ładowni.

- Nie kłam! Podsłuchiwałeś!

- Do diabła! Kto się odważa powiedzieć, że jestem kłamcą? Kim pan jest?

- Podróżnym?

- Więc to raczej ja mógłbym zapytać, czego pan szuka pod pokładem. Zrozumiano? Jestem członkiem załogi i muszę sprawdzić, czy w ładowni nie ma wody. Niech pan stąd znikaj!

- Tylko nie próbuj, człowieku, pójść do więźniów!

- A co mnie obchodzą wasi więźniowie! Nawiasem mówiąc, pan nie może mi niczego zakazywać czy nakazywać. Właścicielem łodzi nadal jest mister Hofter i tylko jego, nie pana, rozkazów mam słuchać.

Z tymi słowami Forner zszedł do ładowni, by sprawdzić, czy nie ma w niej wody. Kiedy wrócił, Walker ciągle jeszcze stał na schodach i go obserwował.

- Co, pan jeszcze tutaj? - warknął marynarz. - Miejsce pasażerów jest w kajucie, a nie na schodach, gdzie przeszkadza ją załoda.

- Zastanów się nad swymi słowami, człowieku, albo każę twemu pracodawcy wyrzucić cię! - syknął Walker.

'Ilrgo było już marynarzowi za dużo.

- A niech pana diabli wezmą! Myśli pan, że marynarz Forner będzie się lękał pierwszego lepszego typka? Niech pan sobie idzie, do kogo pan chce i to szybko. W przeciwnym razie mogę pana pomylić ze szczurem, których sporo na statku!

Powiedziwszy to, Forner po prostu odsunął Walkera na bok i wyszedł na pokład. Jednakże to spotkanie wywarło na nim wraże-nie; wsunął do ust kolejną prymkę tytoniu, splunął przez reling i zaczął się zastanawiać.

- Coż za piekielna historia! - mrucał pod nosem. - Mister Hofter może łatwo przy tej okazji wypaść za burtę. No, ale John Forner nie weźmie w tym udziału. Co mam jednak zrobić? Sternik i reszta chłopców trzymają się razem, nie jestem w stanie nawet ruszyć palcem. Najlepiej będzie, jak ucieknę. Ale w jaki sposób? Jeśli odejdę w gniewie, to pomyślą, że zdradzę całą tę historię i zmienią swe plany. Nie mogą nic przeczuwać. Chyba się trochę upiję! Wszy-stkie swoje klamoty mam zawsze przy sobie. Ten typ, którego spot-kałem na schodach natychmiast poskarży się mister Hofterowi, a on każe mnie szukać, bo będzie chciał mnie skarcić. Znajdzie mnie na tylnym pokładzie. Najpierw zacznę się bronić wymówkami, potem trochę pomacham rękami i plums... wpadnę do wody. Utopię się i jutro rano będę już w Yumie. A tam okaże się, co należy dalej robić. Doskonały pomysł!

Forner nie był co prawda typowym marynarzem, ale tym niemniej niezamożnym człowiekiem. Całym jego majątkiem było ubranie, jakie miał na sobie, trochę pieniędzy, wypełniony w połowie wore-czek z tytoniem, nóż i fajka.

Wolno poszedł na tylny pokład, gdzie przy sterze stał sternik. Ponieważ „Sprzedawca dusz” był wąskim statkiem, nie było tam zbyt wiele miejsca; mogły tam przebywać razem najwyżej trzy osoby. Forner wymienił kilka słów ze sternikiem, cały czas z uwagą nad słuchując tego, co się dzieje z przodu. Jego podejrzenia szybko się sprawdziły i niebawem usłyszał głośno wołane swoje nazwisko.

202

Udał jednak, że nic nie słyszy.

- Marynarz Forner! - rozległ się jeszcze raz głos Hoftera.
- Jestem tu, na tylnym pokładzie! - wykrzyknął w końcu w odpowiedzi.
- Dlaczego kłóciłeś się z mister Walkerem?
- Walkerem? Nie znam takiego człowieka!
- Mam na myśli tego pana, którego potraktowałeś tak nie-grzecznie koło ładowni.
- Ja? Tb było odwrotnie!
- On powiedział, że podsłuchiwałeś!
- Do mnie też tak mówił. Ale gdzie i kogo miałem podślu-chiwać? Przypomniałem sobie, że od czasu ostatniego rejsu nie wylewaliśmy wody z ładowni i chciałem sprawdzić, ile jej jest. Scho-dziłem właśnie po schodach, gdy on wypadł z jednej z przegród ładowni, podbiegł do mnie i zaczął krzyczeć, że podsłuchiwałem. Chciałbym się dowiedzieć, co ja tam niby miałem podsłuchiwać!

Niech pan sobie tylko przypomni, jak wygląda ładownia, mister! ‘Iitaj są schody... - i Forner wskazał za siebie - a ten gentleman wyskoczył z tej zamkniętej przegrody, jakby go gonił sam diabeł... - i marynarz pokazał palcem przed siebie, chcąc bardziej uplasty-cznić swą opowieść. - ... ja schodziłem schodami, o, w tym miej-scu... nie, trochę bardziej z tyłu.

Mówiąc to, Forner cofnął się jeden, dwa kroki.

- Stój ! Zaraz wypadniesz za burtę! -wykrzyknął Hofter, ale było już za późno.

- Wielkie nieba! Na pomoc! Na pomoc!

Reling na tylnym pokładzie był bardzo niski; miał chroniE przed wypadnięciem za burtę nie tyle ludzi, co bagaż. Marynarz cofnął się za daleko i tyłem wpadł w ciemne odmęty rzeki.

- Człowiek za burta!

Natychmiast puszczono żagiel, aby odwrócić statek oraz 203 spuszczone szalupę ratunkową. Zapalono latarnie. Pozostali marynarze bez przerwy nawoływali swego towarzysza. Na próżno; nie było żadnej odpowiedzi. Było rzeczą niemal pewną, że Forner zginął w falach rzeki.

- Biedny Forner! - stwierdził ze smutkiem Hofter. - Utopił się.

Wszystko wydarzyło się za szybko! Był bardzo wzburzony... potem ten upadek do zimnej wody... bez wątpienia dostał ataku serca. W tym czasie John Forner wyszedł na brzeg, otrząsnął się z wody i mruzczał pod nosem zadowolony z siebie.

- Szukajcie mnie, szukajcie! Jak mi się będzie podobało, to się wam później sam pokażę. 'I-raz się trochę osuszę, a potem biegiem do Yumy, oczywiście ścinając łuk, jaki robi Rio Gila. Może będę w Yumie wcześniej od „Sprzedawcy dusz”.

Jednakże aby dotrzeć do Yumy Forner musiał się przebijać przez gęste zarośla; dlatego też o świcie był jeszcze daleko od swego celu

Traper Dawid Lindsay

Kiedy późnym popołudniem John Forner dotarł do Yumy, zdążył jeszcze zobaczyć „Sprzedawcę dusz” znikającego za zakrętem rzeki, na koficu miasta. Statek okazał się być szybszy, niż myślał.

- Do diabła! - mruknął pod nosem. - Przyszedłem za późno!

Co teraz? Na Boga! A cóż to za piękna łódź stoi tam, przy brzegu? Wspaniały jacht parowy, wyposażony również w maszt i bukszpryt, był z pewnością rzadkim i dziwnym zjawiskiem na Rio Gila. Jeszcze dziwniejsze było coś innego: olbrzymi obraz znajdujący się na dziobie. Przedstawiał on wysokiego mężczyznę w brązowym, szerokoskrzydłym kapeluszu. W jednej ręce trzymał dwulufową ruśnicę, w drugiej zaś myśliwski oszczep. Za pasem tkwiły dwa tomahawki, dwa noże, dwa pistolety i dwa rewolwery. Przez plecy miał przewieszoną indiańską tarczę. Mężczyzna ubrany był jak In-dianin - w mokasyny, legginy, skórzaną bluzę myśliwską i myśliwską kurtkę. Pod obrazem można było przeczytać wielkie, złote litery napisu:

Dawid Lindsay
The forestrunner

Gdyby jacht wpłynął do miasta dopiero przed chwilą, na brzegu z pewnością zebraliby się wszyscy jego mieszkańcy. Ponieważ jednak w okolicy nie było widać śladu człowieka, należało przyjąć, że stoi 205 on na kotwicy od dłuższego już czasu.

- Dziwne, dziwne! - mruzczał marynarz. - 'Idki piękny jacht i taką dziwną ma nazwę. Jego właściciel musi być dziwiakiem nie lada... John Forner powoli szedł dalej wzdłuż brzegu. W owych czasach Yuma była jeszcze małym miasteczkiem, ponieważ jednak leżała u ujścia Rio Gila do Kolorado, było pewne, że szybko będzie się rozrastać.

Minęła już być może godzina od zniknięcia „Sprzedawcy dusz”, a John Forner ciągle jeszcze nie mógł się zdecydować. Aby pomóc sobie w podjęciu decyzji, postanowił się nieco wzmocnić. Wszedł więc do jednego z barów, w którym zwykł był bywać, gdy przyjeżdżał do Yumy. Zaledwie jednak otworzył drzwi, musiał się zdziwiony zatrzymać. Przy jednym ze stołów siedział prototyp obrazu, jaki widział na dziobie małego parowca. Długi nos, wielki kapelusz; wszystko się zgadzało, z wyjątkiem wzbudającego lęk uzbrojenia; mężczyzna miał teraz za pasem tylko jeden nóż.

Parowy jacht był tym samym statkiem, który przywiózł sir Dawida Lindsaya do Konstantynopola i liznisu. Jedyną zmianą był nowy obraz na dziobie, kolejne dziwactwo sir Dawida. Anglik siedział przy osłodzonej łyżeczką cukru i nieco rozwodnionej szklaneczce brandy.

John Forner zarzucił kotwicę przy innym stole i również kazał podać sobie brandy. Gospodarz przyniósł szklaneczkę, a potem kontynuował rozmowę z dziwnym gościem.

- Oczywiście, że znam Rio Gila; moja gospoda od lat stoi nad jej brzegami. Co pan chce wiedzieć o tej rzece?

- Najpierw niech pan rzuci okiem na tę książkę! Zna ją pan? - zapytał wyciągając z kieszeni książkę, która nosiła tytuł: „'Ii~aper” i była autorstwa Gabriela Ferry'ego.

Gospodarz rzucił okiem na tytuł, a potem na Anglika.

- Naturalnie. 'Ii~ książka jest bardzo popularna. Jej historia roz-grywa się na terytoriach Apaczów i nad Rio Gila. 1b pełna napięcia 206 opowieść.

- Yes, bardzo interesująca. Przyjechałem tu aż z Anglii, aby prze-żyć podobne przygody.

Gospodarz jeszcze raz przyjrzał się Lindsayowi spojrzeniem, w którym wcale nie było widać podziwu.

- A więc jest pan myśliwym?

- Yes. Chcę popłynąć w górę Rio Gila. Jak daleko jest to możliwe?

- Z tym pytaniem niech pan się lepiej zwróci do tego gentle-mana! Nazywa się Forner i jest doświadczonym marynarzem, który udzielił panu lepszych informacji ode mnie. Sir Dawid przyjrzał się Fornerowi w sposób, w jaki patrzy się na obraz lub konia, którego chce się kupić. Czubek jego nosa kręcił się przy tym na wszystkie strony, jakby chciał wziąć udział w tym badaniu. Jego wynik zdawał się być zadawalający, bowiem po chwili czubek nosa wrócił na swoje miejsce.

- A więc pływa pan, jako marynarz, po Rio Gila. Jest pan teraz gdzieś zamustrowany, mister?

- Chwilowo nie.

- A czy nie miałby pan ochoty podjąć służbę u mnie? Zapłacę panu dobrze, nawet bardzo dobrze.

- Nie mam nic przeciwko temu, pod warunkiem, że nie będzie pan żądał ode mnie więcej, aniżeli będę w stanie zrobić.

- No. Chciałbym jedynie, aby został pan naszym pilotem i przewodnikiem i to na tyle, na ile zna pan rzekę i jej okolice.

- Wobec tego zgadzam się i jestem przekonany, że będzie pan zadowolony.

- Wedl. Nie wyznaczam panu żadnej pensji; zapłacę według pafiskich zasług. Oto zaliczka, dziesięć peso.

Dziesięć peso miało równowartość mniej więcej dziesięciu do-larów. John Forner nie oczekiwał tak wysokiej zaliczki. Na jego twarzy pojawił się wyraz zadowolenia.

207

- Za te pieniądze, sir - roześmiał się - gotów jestem nawet wczłgać się do zenzy!

- Miejmy nadzieję. Ale rzeczą ważniejszą od pływania jest dla mnie polowanie. Sądzi pan, że znajdziemy zwierzynę?

- Z pewnością.

- A Indian?

- Jeśli pan będzie sobie tego życzył.

- Życzę sobie. Nawet bardzo! Yes.

- Kiedy mam rozpocząć służbę?

- Dzisiaj. 'Il;raz. Natychmiast.

- Chętnie, tyle że przed tym chciałem jeszcze gdzieś pójść, mia-nowicie do sędziego, aby wnieść oskarżenie.

- Oskarżenie.

- 'Pak. Idzie o oszustwo, a dokładniej o uprowadzenie!

Lindsay aż podskoczył z ciekawości. Jego nos uniósł się wietząc przygodę.

- Na Jowisza! Oszustwo? Uprowadzenie?! Czyżby uprowadzono jakąś dziewczynę?

- 'Pak jest i to razem z ojcem.

- Doskonale! Świetnie! Pomożemy im więc. Uwolnimy.

Niepotrzebny jest mi pafiski sędzia.

- Co chce pan zrobić?

- Niech pan powie, dokąd zabrano tę dziewczynę?

- W okolicy Aubrey. 'I łotry przepływały tędy na swej łodzi przed około godziną.

- Doskonale. Natychmiast wyruszymy za nimi! Ruszymy w pościg! I dogonimy! Doskonała przygoda! Zapłacę panu dobrze

,
nawet bardzo dobrze!

- Przy pomocy pafiskiego jachtu szybko ich doścignemy i zdobędziemy ich łódź.

- Zdobędziemy ich łódź. Cudownie! Jest pan moim człowiekiem.

Jak oni się nazywają?

- Wilkinsowie.

- Skąd pochodzą?

- Na ile dowiedziałem się z rozmów na pokładzie, musieli dawniej mieszkać gdzieś w okolicach Van Buren.

- Van Buren?

'Id wiadomość zaskoczyła Anglika w najwyższym stopniu. Dawid Lindsay znał bowiem wcześniejsze miejsce pobytu młodego Martina Adlerhorsta: sam wysłał tam przecież Hermanna na poszukiwanie brata. Niestety, zakończyło się to fiaskiem: zarówno Martin jak i jego przybrany ojciec nazwiskiem Wilkins zniknęli bez śladu. A teraz, w tej dziurze, nieoczekiwanie natrafia na ślad Wilkinsa! Nieco zbyt pośpiesznie Lindsay doszedł do wniosku, że tam, gdzie jest Wilkins, powinien być niedaleko i Martin.

Marynarz opowiedział dokładnie, co wiedział i co podsłuchał na pokładzie. Za nimi stał z otwartymi ze zdumienia ustami gospodarz przysłuchując się tej awanturycznej opowieści.

- Wniesienie oskarżenia nic panu nie pomoże, albo bardzo mało - odezwał się w końcu. - Sędzia nie będzie się chciał zajmować tą sprawą. Panu również nie radzę wtykać w nią swoich palcy. Nie jesteście w stanie pomóc ani Wilkinsowi, ani jego córce.

- Dlaczegoż to?

- Jako iż prawo będzie przeciwko wam. Powinniście pamiętać, że granicę między Arizoną a Kalifornią stanowi rzeka Kolorado. Przestępstwo wydarzyło się w Arizonie. Jeśli tamta łódź przybije do brzegu Kalifornii, wtedy żaden z mieszkańców Arizony nie będzie miał prawa nawet dotknąć jej pasażerów.

- Nonsens! Niech diabli wezmą te wasze zwariowane granice!

Mam w nosie zarówno Kalifornię jak i Arizonę. Zrobię to, na co będę miał ochotę. Jestem sir Dawid Lindsay.

- Róbcie, co chcecie! Ale nie zdziwcie się, jeśli ktoś zacznie do was strzelać!

- Strzelać? Do nas? Doskonale! To będzie świetna przygoda.

209

Dam tym łotrom po ła...

Jego słowa przerwał trzask otwieranych drzwi. Do środka wszedł mężczyzna, na którego widok Anglik otworzył szeroko usta. Znał tę dziwną postać o krzywych nóżkach i dzikim obliczu. 'Pdk i

nie inaczej wyobrażał sobie człowieka, o którym dziesiątki razy opowiadał mu jego przyjaciel, Kara Ben Nemzi, kiedy siedzieli wspólnie przy ognisku na Pustyni Arabskiej. I właśnie opowieści o Dzikim Zachodzie i jego dziwacznych mieszkańcach wzbudziły w nim taką ochotę, by zamienić swój ulubiony garnitur w kratę na myśliwską kurtkę i skierować dziób swego jachtu w stronę Kolorado. Zmęczyła go nuda portów Oceanu Spokojnego i beczynne oczekiwanie na wiadomość od swego siostrzefica. Doszedł do wniosku, że musi poszukać przygody na własną rękę.

- Good mornin~ gentlemen! - powitał obecnych nowy gość. - Gospodarzu, szklaneczkę whisky!

- Good morning! - odparli wspólnie gospodarz i Forner.

Tylko sir Dawid nie odezwał się ani słowem. Jego usta były ze zdziwienia otwarte tak szeroko, jak gdyby chciał połknąć nowo-przybyłego w całości.

Przybysz podszedł do Lindsaya i poklepał go po ramieniu.

- Niech pan zarnknie usta, sir, w przeciwnym razie trzeba będzie panu założyć kaganiec, hihihih!

'I~ słowa sprowadziły Anglika na ziemię. Zamknął usta, wolno uniósł się z krzesła, prostując na całą wysokość i zdjął kapelusz na powitanie.

- Witam pana, Samie Hawkens!

Tym razem ze zdziwienia skamieniał mały traper; zeszywniał jak jego stara, myśliwska kurtka.

- Wielkie nieba! Pan mnie zna?

- Yes.

- Gdzie mnie pan widział?

- Nigdy pana do tej pory nie spotkałem.

210

- Well! Ja pana też nie, jeśli się nie mylę. Skąd więc pan mnie zna?

- Słyszałem o panu.

- Gdzie?

- U Haddedihnów, a poza tym jeszcze w kilku innych miejscach.

- Haddedihnowie? Nie słyszałem o takim indiańskim szczepie.

- W tamtych okolicach tych Indian nazywa się Arabami.

- Coś podobnego! Nie przypominam sobie jednak, aby kiedykolwiek postawił me ukochane nogi na tamtej ziemi.

- Nic nie szkodzi. Za to ja spotkałem tam człowieka, który doskonale pana znał.

- Kto to był?

- Kara Ben Nemzi.

- Robi pan ze mnie durnia? Kara Ben... Ben... Ben... niech pan posłucha, sir, to musiał być jakiś diabelny greenhorn, jeśli się nie mylę!

- Sam mu pan często powtarzał, że jest niepoprawnym greenhornem!

- Jeśli Sam Hawkens tak powiedział, musiała być to prawda, hihihih!

- Możliwe. Mój przyjaciel jest mianowicie nazywany w tych stronach Old Shatterhandem.

- Old Shatterhand? - zawołali równocześnie Forner i właściciel gospody.

- Old Shatterhand? Pan zna Old Shatterhanda? - ucieszył się Sam Hawkens.

- Yes.

- Czy wie pan, kogo teraz tropi?

- Nie.

- Ja też nie. A więc opowiadał o mnie?

- Yes.

211

- Często?

- Często i dużo.

- 'Idk, tak, wiem, że nie zapomni o swym starym nauczycielu, Samie - mówiąc to Hawkens usiłował zapanować nad ruchami swych rąk i nóg. - Przeżyliśmy wspólnie wiele przygód. I to jakich, panowie! Ale jak sądzę, opowiadał nie tylko o mnie.

-No.

- Zapewnie mówił też o Dicku Stone i Willu Parkerze, jeśli się nie mylę?

- Yes.

- I o Winnetou i Old Firehandzie?

- Yes.

- Niech mi pan powie - przerwał mu gospodarz - a w jakiej okolicy polują teraz ci słynni myśliwi?

- Zna ich pan?

- Wiele o nich słyszałem i postawiłbym tuzin butelek brandy, gdybym mógł ich choć raz zobaczyć.

- Tb niech pan wyciąga korki! Niebawem wszyscy tu przyjadą.

- Chyba pan żartuje!

- Powiedziałem panu, że wszyscy tu przyjadą; wyprzedziłem ich tylko. Umówiliśmy się, że spotkamy się tutaj, u źródła ognistej wody, jeśli się nie mylę!

-Jeśli to prawda, mister, to ten dziefi będzie należał do najpięk-niejszych w moim życiu. Jedna butelka brandy mniej czy więcej, to nieważne...

- Czy nie mówił pan przed chwilą o tuzinie butelek? No, ale zostawmy to; tacy ludzie jak my nie korzystają z darmowego poczę-stunku.

- Well - wmieszał się ponownie do rozmowy Lindsay - strasznie się cieszę. Indeed. Skąd pan przyjeżdża?

- Ostatnio, z Granite Station.

- Przypłynął pan rzeką?

212

- Nie, przyjechałem raczej konno, jeśli się nie mylę.

- A dokąd się pan wybiera?

- W okolice Aubrey.

- Well. Tb doskonale! Może pan popłynąć ze mną.

- Dziękuję. Musimy się śpieszyć.

- Ogiefi pod kotłem jest już rozpalony. Odbijamy za godzinę.

- Ogiefi? Kocioł? Chyba nie ma pan lokomotywy?

- Nie, tylko jacht parowy. Nie widział go pan przy brzegu?

- Nie, przyjechałem tu od strony łądu. A więc ma pan parowy jacht i chce nas zabrać ze sobą?

- Yes.

-'R~ co innego. Popłyniemy z panem, jeśli oczywiście, nie będzie przeszkadzał panu cel naszej podróży.

- Nie będzie.

- Idzie bowiem o polowanie.

- Cudownie! Zapoluję więc razem z wami!

- Tyle, że idzie tu o polowanie na ludzi.

- Na Indian?

- Nie, na białych!

- Świetnie!

- Znajdują się na łodzi żaglowej, która niedawno musiała tędy przepływa~, jeśli się nie mylę.

Lord spojrział najpierw na Hawkensa, a potem na Johna Fornera.

- Czy jest to może łódź z Granite Station?
- 'I~k.

- Czy jest na niej porwana dziewczyna?

Sam zerwał się z krzesła.

- Co pan wie o tej dziewczynie, sir?

- Że została porwana. Dowiedziałem się o tym od tego marynarza. Był na tej łodzi, ale udało mu się uciec, gdy zauważył, że idzie tam o wielkie łotrstwo.

- Co? Był pan marynarzem na tej łodzi? - Sam zwrócił się do

213

Fornera. - Jeśli to prawda, to musi pan znać uwięzionego na niej gentlemana i jego córkę, jeśli się nie mylę?

- Naturalnie!

- Wielkie nieba! Musi mi pan natychmiast opowiedzieć, co wy-darzyło się w Granite Station!

Kiedy Old Firehand i jego towarzysze dotarli do Gila Bend, Walker i reszta odjechali już ze stacji pocztowej. Natychmiastowy po-ścig nie był możliwy ze względu na wierzchowce, które od czasu wyjazdu znad Błękitnej Wody nie miały żadnego odpoczynku. Z tego powodu Old Firehand wysłał do Wilkinsa telegram, nie przypusz-czając oczywiście, że zostanie on po drodze przechwycony przez wrogów.

Na szczęście pobyt w Gila Bend udało się dość znacznie skró-cić. Miejscowość ta, składająca się w owym czasie tylko z jednego sklepu i kilku drewnianych bud, leżała w pobliżu małego fortu. Jego załogę stanowił tuzin żołnierzy pod dowództwem kapitana. Kiedy Old Firehand wyszedł ze sklepu, będącego jednocześnie urzę-dem pocztowym i telegraficznym, natknął się przy drzwiach na człowieka, którego widok zaskoczył go.

- Na Boga! Kapitan Wallace!

- Niech Bóg pobłogosławi moje oczy! Old Firehand!

Obaj mężczyźni, którzy poznali się przed laty na Wschodzie Ameryki, serdecznie uścisnęli sobie ręce. Naturalnie, to spotkanie musiało być uczczone szklaneczką whisky. Obaj powrócili więc do sklepu i kazali podać sobie po jednej.

Potem nastąpił czas opowieści. Kapitan opowiedział, w jaki spo-sób znalazł się na tym osamotnionym posterunku, zaś traper zrewan-żował się sprawozdaniem o wydarzeniach, jakie sprowadziły go do Gila Bend i o tym, że wraz z towarzyszami został zmuszony do dłuższego odpoczynku.

Kiedy skoficzył, kapitan zamyślił się na chwilę, a potem, jakby pod wpływem nagłej myśli, uniósł głowę.

214

- Przecież mbwił pan, że chce jak najszybciej wyruszyć za tymi łotrami?

- Naturalnie!

- Hm, być może, będę mógł panu pomóc. Na wyposażeniu fortu znajduje się mianowicie łódź, wystarczająco duża, aby zabrać na pokład was, wasze wierzchowce i do tego sześciu wioślarzy.

- Tb doskonale!

- Różnica wysokości między Gila Bend a Granite Station jest dość spora, wody też nie brakuje. Dam panu sześciu moich ludzi. Jeśli dobrze wezmą się do roboty, a pan wspomże ich gorliwość kilkoma dolarami to około północy możecie dotrzeć do Granite Station.

Old Firehand bardzo ucieszył się z tej propozycji. W ten sposób wierzchowce będą miały swój zasłużony odpoczynek, a pościg nie zostanie przerwany. L~aper natychmiast wrócił do swych towarzyszy obozujących nad brzegiem Rio Gila, zaś kapitan udał się do fortu, aby wydać konieczne rozkazy.

Nie minęła godzina, a długa łódź, poruszana siłą mięśni sześciu krzepkich wiosłarzy, mknęła już w dół rzeki. Podróż przebiegła bez przeszkód i tak szybko, że szybciej chyba już nie było można. Kiedy zapadła noc, na dziobie łodzi zapalono latarnię; nie minęła północ, kiedy z ciemności wyłoniły się pierwsze domy Granite Station. Do-tarli do niej wiele godzin wcześniej, aniżeli zapowiedział to w swoim telegramie Old Firehand.

Podczas gdy towarzysze trapera płacili żołnierzom i wypro-wadzali konie na brzeg, Old Firehand wspiął się na strome zbocze i ruszył w stronę podłużnego budynku, nad którego wejściem paliła się słaba, pojedyncza latarnia. Był to urząd pocztowy. Minęła dłuższa chwila, zanim na jego pukanie w domu zrobił się ruch.

Potem otwarto jedno z okien, w którym ukazała się głowa telegrafisty.

- Proszę mi wybaczyć, mister, że przeszkadzam panu we śnie!

215

Idzie jednak o ważną sprawę. Czy jest pan może tutejszym poczmi-strzem?

- Nie, telegrafistą.

- Czy może mi pan wobec tego powiedzieć, czy nadszedł dzisiaj telegram do mister Wilkinsa?

- Nawet dwa.

- Dwa? Chyba pan się myli!

- Wiem to dokładnie, gdyż to ja je przyjąłem. Oba zostały wysłane przez tego samego nadawcę.

- Na pewno się pan myli. Nadałem przecież tylko jeden.

- Pan? Jak się pan nazywa?

- Winter.

- I gdzie nadał pan swój telegram?

- W Gila Bend.

- Jaka była jego treść?

- Ostrzeżenie przed jakimś Walkerem.

- Zgadza się. Widzę więc, iż odpowiedź na pańskie pytanie nie będzie złamaniem urzędowej tajemnicy. Wręcz przeciwnie, wydaje mi się, że coś jest w tej sprawie nie w porządku, przedtem bowiem nadszedł telegram o innej treści, ale z tym samym podpisem.

- Musi to być więc jakieś oszustwo.

- 'Pdk pan myśli?

- Jestem tego pewien. Muszę panu wyjaśnić, że ścigamy grupę ludzi składającą się z przestępców; o ile wiem, znowu mają oni zamiar popełnić kolejne bezcefcstwo.

- Czy może mi pan opisać te osoby? Ile ich było?

~ - Czterech mężczyzn o nazwiskach Walker, Newton, Leflor i Roulin, z których dwóch znam jako szczególnie niebezpiecznych przestępców. Razem z nim podróżuje niejaka Miranda, również oszustka.

- Któżby to pomyślał! - zawołał zdziwiony telegrafista.

- Co?

216

- Że ta miss jest również oszustką! Biedny Hoffer!

- Kim jest Hoffer?

- Synem tutejszego poczmistrza. Bardzo... nie wiem jednak, czy wolno mi o tym mówić!
- Niech pan mimo to mówi.

! ę ~'y ~', j ę d p

- Chyba nie Prosz mi bac ć ale ako urz nik oczto muszę być ostrożny. Jeden z tych telegramów został nadany w złych

?

zamiarach. Kim jednak był jego nadawca

- 'I~n sam, który przywłaszczył sobie nazwisko Winter.
- To mógł być także i pan C ma an ze sobą jakiś doku-

! ~' p

l

ment?

- 'Iśik. Czy słyszał pan już nazwisko Old Firehand?
- Oczywiście! Ma pan na myśli tego słynnego trapera i aktu- alnego właściciela kopalni nad Srebrnym Jeziorem?

-l'ak.

- I co w związku z nim?

- To ja nim jestem.

- Pan... pan jest Old Firehandem?

- Może słyszał pan przypadkowo, że ten westmann naprawdę nazywa się Winter?

- Nie jestem pewien, ale chyba tak.

- A jeśli chce pan poznać Winnetou, wodza Apaczów, to wystarczy tylko spojrzeć tam - Old Firehand wyciągnął palec w kierunku swych towarzyszy, którzy prowadząc konie za cugle zbliżali się do budynku poczty.

- Winnetou! - wyszeptał Grey głosem pełnym nabożeństwa.

- 'I~k, to on, dokładnie tak go opisywano...

Old Firehand roześmiał się.

- Między tymi gentlemanami rozpozna pan także trzech, którzy również noszą niezłe nazwiska; to Liść Koniczyny.

- Wielkie nieba! 'I~n mały w długiej myśliwskiej kurtce to z pewnością Sam Hawkens? 217

- Zgadza się.

- A więc tych dwóch wysokich chudzielców to Dick Stone i Will Parker?

- Niezłe pan zna się na personaliach ludzi Dzikiego Zachodu. Czy wystarczająco udowodniłem już swoją tożsamość?

- Całkowicie. Nie muszę chyba panu mówić, jak bardzo...

- Czy mógłbym wobec tego zobaczyć te dwa telegramy?

- Naturalnie! Niech pan wejdzie do środka.

W pomieszczeniu telegrafu urzędnik przeczytał tekst obu tele-gramów.

- Ach! Zostali więc wysłani do Dos Palmas - stwierdził Old Firehand. - Aie z jakiego powodu? T~n telegram przyszedł tu wcześniej od mojego. Walker wiedział, że go ścigam i postarał się, aby Wilkins szybko opuścił to miejsce. W ten sposób straciłbym jego ślad. Czy Wilkins dostał mój telegram?

-,Pdk... to znaczy... oczywiście! - odparł niepewnie po sekun-dzie namysłu telegrafista.

- Czyżby pan w to wątpił?

- Syn poczmistrza, mój przyjaciel, poprosił mnie, abym po-zwolił mu go zanieść.

- Dlaczego?
 - Chciał... on myślał... sądził, że...
 - Gdzie mieszka mister Wilkins?
 - W zajeździe.
 - A ci nowoprzybyli?
 - Już wyjechali.
 - Dokąd?
 - 'I-go nie wiem.
 - Czy ktoś może zaprowadzić mnie do zajazdu?
 - Jestem gotów zrobić to dla pana.
- All right! Moi towarzysze poczekają tu na mnie - odparł Old Firehand, a następnie obaj mężczyźni udali się do zajazdu.

218

- Czy mogę rozmawiać z mister Wilkinsem? - zapytał właściciela zajazdu Old Firehand.
 - Niestety nie. Już wyjechał.
 - Och, to szkoda! A dokąd?
 - Wiem tylko, że mister Wilkins i jego córka odpłynęli pod wieczór na pokładzie łodzi Hoftera.
 - Dlaczego tak szybko?
 - Zapewne na skutek telegramu, w którym zażądano od mister Wilkinsa, aby jak najszybciej wyjechał do Dos Palmas. Potem przy-szła tu pewna młoda, przystojna dama i wynajęła pokój obok mister Wilkinsa. Później zobaczyłem ich, jak rozmawiali na balkonie. Nie-bawem owa dama odeszła i więcej już jej nie widziałem. Na koniec służący zaniósł bagaże mister Wilkinsa i jego córki do łodzi. Tb było wszystko, czego dowiedział się Old Firehand. Kiedy potem znalazł się w towarzystwie telegrafisty, jego twarz była bar-dzo poważna.
 - Mamy do czynienia ze złamaniem tajemnicy urzędowej - powiedział do urzędnika. - Nie powiedział mi pan wszystkie-go! Niech pan będzie szczery! W ten sposób może pan uratować wiele ludzkich istnień.
 - Nic nie przemilczałem. Mogę tylko jeszcze dodać, że człowiek, którego nazywa pan Walkerem, zatrzymał się u mojego przyjaciela, Hoftera.
 - Wraz z całym towarzystwem?
 - 'I-k. Potem ta młoda miss ich opuściła; to z pewnością ona była tą kobietą, która wynajęła pokój w hotelu.
 - Ach, z pewnością grała uwodzicielkę. Czy pana przyjaciel wy-szedł razem z nimi?
 - 'I-k, w tym samym czasie, ale niestety, nie wiem, dokąd.
 - Jakim człowiekiem jest ten pański przyjaciel?
 - Bardzo prostodusznym, uczciwym i wesołym. Nigdy by nie podał ręki przestępcy.
- 219
- Czy zna pan jego łódź żaglową?
 - Tak, często nią już pływałem.
 - Jaka ona ma załogę?
 - Sternika i czterech, czy pięciu marynarzy.
 - Czy sternik jest stąd?
 - 'Pak. Tb człowiek żonaty; mieszka w tamtym domku, w którym jest otwarte, oświetlone okno.
 - Zajrzyjmy więc do niego!
- Żona sternika jeszcze nie spała. Po krótkich wyjaśnieniach po-wiedziała im, iż tuż przed wyjazdem jej mąż stwierdził, że tym razem rejs poprowadzi aż w poblize Aubrey.
- Więcej nie dało się od niej dowiedzieć. Ale Old Firehand znalazł już trop i wiedział, że nie wolno mu tracić czasu, jako że łódź Hoftera ma nad nimi przewagę pięciu godzin.

- Przyjechaliśmy za późno i odjedziemy z kwitkiem -stwierdził zrezygnowany Hermann. - Zanim dotrzemy do Yumy, te łotry znikną za siódmymi górami.

- Nie należy się tak od razu poddawać - zaczął go pocieszać Old Firehand. - Szybko zaczniemy im znowu deptać po piętach. Jeśli wyruszymy natychmiast, to jutro w południe będziemy już w Yumie.

- Aż tak długo będziemy musieli jechać? Jak daleko jest wobec tego do Yumy?

- W linii prostej trzydzieści mil.

- Nie więcej? Tb dlaczego musimy jechać tak długo?

- Proszę pamiętać, że my nie możemy jechać w linii prostej!

Droga prowadzi przez Sierra de la Gila.

- W ten sposób jednak nie zmniejszymy przewagi, jaką tamci mają nad nami.

- A gdyby nawet! W każdym razie będziemy w południe w Yumie, a stamtąd, jak sądzę, znajdziemy jakiś sposób, by dotrzeć do Kolorado. Poza tym, ich przewaga, zanim nie dojadą do Yumy, raczej się nie zwiększy, gdyż Rio Gila płynie za Granite Station po równinie;

220 jest usiana wysepkami i kataraktami, co bardzo będzie przeszkadzać im w podróży.

- Obawiam się, że jednak mimo to przyjedziemy za późno.

Jestem przekonany, że Walker zwabił Wilkinsa i jego córkę na łódź tylko po to, aby ich zamordować.

- Proszę się nie martwić! Niepotrzebny smutek zbyt obciąża serce. Jestem zdania, że on ich nie zabije.

- 'Tb tylko nadzieja, nic więcej.

- Niezupełnie; oni nie zabijają dziewczyny. Mają zupełnie inny cel.

Hermann zacisnął zęby nie potrafił znaleźć odpowiedzi na te

ponure przewidywania.

- Nie dotkną, przynajmniej teraz, także i mister Wilkinsa - mówił dalej traper. - Myślę raczej, że zawiozą go do Doliny Śmierci, aby mógł zobaczyć, jak cierpią jego bratanek i dawny nadzorca plan-tacji.

- Czego oni wobec tego szukają w Dos Palmas?

- Niczego. Jestem przekonany, że wymienili tą miejscowość w telegramie tylko dlatego, że w ogóle musieli podać jakąś nazwę. ' Chciano po prostu wywabić Wilkinsa z Granite Station, żebyśmy go tu nie spotkali.

- A dlaczego pojechali do Aubrey?

k

- Oni wcale nie płyną do Aubrey, tylko w pobliże tej miejscowości. W okolicy znajdują się Indianie Mohawe, pod których opieką chcą się znaleźć. Pozostaną na wodzie tak dłużej, aż Indianie ich zauważą; potem wylądują i pojedą z nimi konno do Doliny Śmierci.

- W tamtym kierunku wyruszyli też zgodnie z umową Marikopa-sowie i Apacze, jako że Żelazna Strzała chce schwytać Srebrnego Człowieka.

- Podejrzewam, że spotkamy ich nad Kolorado...

Po krótkiej naradzie wyruszone w dalszą podróż. Na Dzikim Zachodzie nie ma dróg takich jak w Europie czy choćby na wschodzie Ameryki. Noc zaś była tak ciemna, że tylko wyczulone 221 zmysły traperów pozwalały utrzymać pożądany kierunek jazdy. W ciągu czterech godzin dotarło

do grzbietu pobliskiego łańcucha górskiego; jadący z przodu Old Firehand i Winnetou zatrzymali się, aby dać odpocząć koniom.

- Mam dla ciebie zadanie, drogi Samie - odezwał się do małego trapera Old Firehand. - Czy potrafisz sam znaleźć drogę do Yumy?

- Wielkie nieba! Czyżby pan nie wierzył w zdolność moich zmysłów? Co mam zrobić w Yumie?

- Mieć oczy otwarte i rozglądać się za łodzią żaglową Hoftera.

Może będziesz jui miał dla nas jakieś informacje, gdy tam dotrzemy.

- A gdzie się spotkamy?

- W gospodzie, która znajduje się najbliżej brzegu.

- A więc wiem już wszystko, jeśli się nie mylę. Go on, Mary! - po chwili Sam zniknął w ciemnościach.

Już przed południem Sam zobaczył w oddali wzgórze leżące po drugiej stronie rzeki Kolorado. U jego podnóża leżał Fort Yuma. Po dalszej pół godzinie przejeżdżał już między drewnianymi budami i barakami, z których wówczas składało się miasto. Skierował się w stronę rzeki. Po chwili odkrył gospodę, przywiązał przed nią swą mulicę i wszedł do środka, gdzie w tak dziwny sposób poznał Dawida Lindsaya.

Sam, który znał trochę historię Adlerhorsta, wiedział, że ten dziwny Anglik był stryjem Hermanna. Przemilczał jednak przed nim fakt, że jego siostrzeniec jest w pobliżu.

- A więc jest pan naprawdę zdecydowany ścigać tę łódź? - zapytał sir Dawida, kiedy Forner zakoficzył swą opowieść.

- Jestem Dawidem Lindsayem i zawsze robię to, co mbwię.

- Doskonale. A więc ich łódź nie zdąży uciec nam zbyt daleko, jeśli się nie mylę.

- Nie. Wkrótce ją dogonimy i... na Boga, a cóż to za dziwni ludzie?

Wszyscy odwrócili głowy ku drzwiom. Po chwili usłyszeli tupót 222 kofiskich kopyt. Za moment do gospody weszli Dick Stone i Will Parker.

- Tb moi towarzysze - przedstawił obu chudzielców Sam. - Nawiasem mówiąc, największe greehorny, jakich widziano na Dzi-kim Zachodzie, hihihhi!

- A ten? 'Ib może być tylko...

Jakaś niewidzialna siła zmusiła Anglika do powstania z krzesła i wyjścia naprzeciw człowiekowi, którego znał, aczkolwiek jeszcze nigdy do tej pory nie spotkał. Ale obraz tego człowieka żył w jego wyobraźni, zaś opowieści jego przyjaciela, Kara Ben Nemzi, zwiąkowały tylko tęsknotę, aby choć raz w życiu go spotkać. A teraz stał przed nim. Głębokie wzruszenie usunęło gdzieś na bok typową obojętność sir Dawida. Jego wielki nos zaczął prawdziwy taniec wo-jenny. Ale serce było silniejsze od chłodnego rozsądku. Może powodem była też odrobina zdrości o człowieka, na którym jego przyjacielowi zależało trochę więcej niż na Dawidzie Lindsayu i jego niezliczonych milionach. Po chwili nos Anglika uspokoił się.

- Winnetou, wódz Apaczów - mruknął bardziej do siebie niż do innych. - Cudownie! Wspaniale! - a potem wyciągnął do Apacza obie ręce. - Good day, sir. How do you do? Z nieruchomym obliczem Indianin obserwował grę twarzy Anglika. Choć minęło zaledwie kilka sekund, Winnetou doskonale wiedział, co się działo w tym czasie w duszy tego człowieka.

- Thanks! - odezwał się swym dźwięcznym głosem i uścisnął jego ręce. - Winnetou zna swego białego brata i wita go w swej ojczyźnie.

- Ogromnie się cieszę, sir. Indeed. Miejmy nadzieję, że wspólnie też zapolujemy na niedźwiedzia grizzly.

Usta Winnetou skrzywiły się w delikatnym uśmiechu, który jednak niemal natychmiast zniknął.

- Winnetou nie ma czasu na polowanie na niedźwiedzia z Gór Skalistych, jest ze swymi braćmi na tropie ludzi-zwierząt. Howgh!

223

W ten sposób małowówny Indianin załatwił kwestię powitania i nie brał już więcej udziału w ogólnej rozmowie. Za Winnetou weszli do środka Old Firehand z Hermannem. 'I~n ostatni przez chwilę patrzył z bezgranicznym zdumieniem na swego wuja. Choć sam fakt spotkania go w tym miejscu był jużwystarczająco zaskakujący, to jeszcze bardziej zdziwiła go zmiana stroju: z garnituru w szarą kratę na prawdziwy strój trapera.

- Wielkie nieba! Jakim cudem wuj się tu znalazł? - zapytał w koficu, kiedy otrząsnął się już ze zdziwienia.

- 'Ib całkiem proste! Znudziło mi się już to ciągle krążenie między San Francisco a Los Angeles i czekanie na wiadomość od ciebie.

- Czego jednak szukasz tu, nad brzegami Kolorado?

- Chcę zapolować na niedźwiedzie i bizona. Zostałem trape-rem.

- Jak wpadłeś na ten pomysł?

- Jak? Właściwie to nie twoja sprawa. 'I~raz jednak ścigam oszustów, którzy winni są porwania.

- Co? Ty też?

- Yes. Dawid Lindsay jest równie dzielny traperem co traper Ferry'ego. Dowiodę ci tego.

- A kto został uprowadzony?

- Mister Wilkins i jego córka.

- Co? 'Ij~ wiesz o tym?

- Yes. Dowiedziałem się tego od tego oto marynarza, który był z nimi na tej samej łodzi.

- Wielkie nieba! 'Ib rzeczywiście zaskakująca sprawa! A więc mamy ten sam cel.

- Tak myślę, bo w przeciwnym razie nie byłoby cię tutaj.

Chodźcie wszyscy na mój parowiec! Zaraz odbijemy... dogonimy tego Walkera... złapiemy go za kark... i uwolnimy Wilkinsów! Yes!

- Kiedy ich łódź przepływała tędy?

- Przed trzema godzinami - odparł Forner.

224

- A pan był na niej marynarzem? - zapytał Old Firehand.

- 'Pdk, ale uciekłem, bo zauważyłem, że ta sprawa brzydko pachnie.

I John Forner musiał po raz trzeci opowiedzieć całą historię.

- Czy nasze wierzchowce też zmieszczą się na pokładzie pań-skiego jachtu? - zapytał Old Firehand Lindsaya.

- Yes. Wszyscy się na nim zmieścimy.

Właściciel gospody był dumny ze swych gości, którzy przybyli dzisiaj do jego lokalu. Natychmiast skorzystał z pierwszej lepszej okazji, aby pochwalić się przed swoim sąsiadem. 'I~n zaniósł wieść dalej i niebawem przed gospodą stał spory tłum podziwiający naszych myśliwych.

W tym czasie z jachtu Lindsaya nadeszła wiadomość, że jest on już gotowy do rejsu. Całe towarzystwo udało się na brzeg. Po załadowaniu koni, parowiec odbił od brzegu. Miejsce na dziobie zajął John Forner, który najlepiej znał rzekę i z tego powo-du musiał stanąć na oku. Kiedy wpłynęli już na wody Kolorado, jacht popłynął w górę rzeki, na północ. Ponieważ żaglowa łódź Hoftera miała trzy godziny przewagi, można było obliczyć, że jacht Lindsaya doścignie ją za około pięć godzin.

8 -- Dolina śmierci

Na rzece Kolorado

Podczas nocy i rano „Sprzedawca dusz” tylko wolno poruszał się do przodu. Po wpłynięciu jednak na Kolorado, gdy skierował się na północ, łódź zaczęła znacznie lepiej wykorzystywać wiatr.

Przeptywając przez Yumę pasażerowie „Sprzedawcy dusz” mieli okazję podziwiać zakotwiczony przy brzegu jacht Lindsaya; takiego statku jeszcze nikt nigdy nie widział w tej okolicy. Jedynie dawnemu derwiszowi, Billowi Newtonowi-F;lorinowi sylwetka jachtu wydała się znajoma.

Głęboko wychylił się za reling, aby lepiej przyjrzeć się obrazowi na dziobie.

- Do diabła! - wyrwało mu się. - Czy to możliwe? Znam tego człowieka!

- Z pewnością pan się myli - stwierdził stojący obok Walker.

- Nie, jestem pewien tego, co mówię!

- Kto to jest?

- Pewien Anglik.

- Tb prawda; jedynie jakiś zwariowany Anglik mógłby wpaść na pomysł wpłynięcia jachtem na wody Kolorado. Cóż za szalefi-stwo!

- Szaleństwo, które jednak może przenieść nam fatalne skut-ki! Założę się, że ten jacht zakotwiczył tu z naszego powodu.

- Dlaczego? Przecież jego załoga i właściciel nie mogą mie-
226 pojęcia o tym, co wydarzyło się w Granite Station.

- Jednakże Old Firehand z pewnością pojawi się niebawem w Yumie i wykorzysta jacht do pościgu za nami!

- A jak się dowie, że jesteśmy na tej łodzi?

- On? Źle go pan zna! Jestem pewny, że w pięć minut po przybyciu do Granite Station wiedział już o wszystkim!

- Mimo to nie jest tak źle. Nie ma przecież żadnej możliwo-ści podróży do Yumy, my zaś posiadamy nad nim znaczną przewagę.

- Ja radziłbym jednak zachować dużą ostrożność; martwi mnie obecność tego jachtu.

- Mnie nie. Ale posłucham pańskiej rady.

-Ja zaś pożyczę sobie lunetę mister Hoftera i nie spuszczę oka z okolicy.

Od tej chwili Bill Newton uważnie obserwował rzekę za rufą łodzi.

W ten sposób mijała godzina za godziną. Łódź płynęła dobrze pod prąd. Było już późne popołudnie, gdy Bill Newton głośno zawołał Walkera.

- Co się stało?

- Jacht nas ściga.

f

- Nieeeh mi pan da lunetę!

Walker wziął ją do ręki i przyjrzał się rzece za łodzią.

- Jego samego pan jeszcze nie zobaczy, ale za to dym, jaki unosi się komina.

- ‘Pdk, teraz go widzę. Jak pan sądzi? Czy ten Anglik może naprawdę być dla nas niebezpieczny?

- Bez wątpienia.

- Co za przekłeta historia! Gdybym tylko wiedział, kto jest na jego pokładzie! Zapewne tylko ten zwariowany typ. A jego się nie boję.

- Założę się, że jest z nim także Old Firehand. Ten znu-dzony Anglik i Old Firehand podpisali chyba pakt z diabłem.

227

Przysięgłbym, że jacht czekał na trapera w Yumie.

- Do diabła! Zaczynam powoli przyznawać panu rację. Ale przecież nie jesteśmy w stanie zniknąć!
- Niech pan porozmawia z Hofterem i sternikiem, zanim nie będzie za późno.

Walker poszedł na pokład rufowy, gdzie stali zagłębieni w rozmowie Hofter i sternik.

- Hallo, mister Hofter! - zawołał Walker. - Za nami płynie parowiec!
- A co nas to obchodzi?
- On chyba ściga nie tylko mnie i moich więźniów, ale także senioritę Mirandę.
- Dlaczego?
- W końcu to jej się udało zwabić Wilkinsa na pańską łódź.
- Wielkie nieba! Myśli pan, że ten parowiec ma coś wspólnego z Wilkinsem? I że nas ściga? Musimy więc coś przedsięwziąć. Sternik, jaka jest pańska rada?

- Hm... Czy ten jacht widać już przez lornetę?
- Nie, tylko jego dym. A teraz w ogóle nic nie widać, bo rzeka zakręca w tym miejscu.
- Więc może nie zauważyli jeszcze naszego żagla. Przepuścimy go obok!
- Przecież nas zauważą!
- Tb będzie trochę trudne. Zabawimy się z nim w chowanego.

Kiedy nas minie, popłyniemy za nim, podczas gdy on będzie myślał, że jesteśmy przed nim. Po drugiej stronie jest mała zatoczka, a właściwie zalew, gdzie możemy się ukryć. Do lin, chłopcy! Zaraz tam wpłyniemy.

Dwóch marynarzy natychmiast rzuciło się do rei. Sternik obserwował brzeg uważnym spojrzeniem i nagle prze-rzucił ster ostro na bakburtę.

- Puścić żagiel! - zawołał jednocześnie.

228

Marynarze błyskawicznie zwolnili linę i żagiel załopotał, a potem ciężko zwisał z rei.

- Opuścić maszt!

W tym samym momencie maszt opadł na pokład wraz z reją, a łódź skierowała swój dziób w stronę brzegu. Jednakże w tym miejscu nie było widać żadnej zatoczki czy zalewu.

- Do diabła! Płynie pan prosto na brzeg! - zawołał Walker.
- Zaraz się przekonamy! - burknął sternik. - Połóżcie się lepiej, aby gałęzie nie zmiotły was z pokładu!

Brzeg był porośnięty gęsto kwitnącymi białymi drzewami, których gałęzie zwisały tuż nad wodą. Łódź wpłynęła właśnie między te gałęzie. Sternik miał rację: rzeczywiście w tym miejscu nie było stałego brzegu, tylko wcinająca się głęboko w ląd, wąska zatoczka. Gałęzie zamknęły się za rufą łodzi; przy pomocy wiosel wepchnięto ją głębiej w zatokę i umocowano do brzegu.

- No i co, panowie? Czyż nie jest to doskonała kryjówka? - zapytał sternik.
- Była nam bardzo potrzebna! - warknął Walker. - Nikt nie zobaczy nas tu z rzeki. Lepszej kryjówki nie można było znaleźć!
- I~raz przepuścimy ten piekielny parowiec obok siebie i po~płyniemy dalej za nim, gdy zniknie za najbliższym zakrętem. Zejdźcie teraz na ląd, panowie i ukryjcie się wśród drzew, wtedy będziecie mogli dokładnie przyjrzeć się, ludziom, którzy są na pokładzie tamtego statku.

Walker, Leflor, Roulin i Newton zeskoczyli na brzeg, pobiegli aż do ujścia zatoczki i usiedli w miejscu, z którego mogli doskonale obserwować parowiec, sami nie będąc widzianymi. Newton wycelował lunetę w dół rzeki i po pięciu minutach podniósł rękę.

- Już jest! Zaraz wypłynie z za zakrętu!
- Widzę go już gołym okiem - potwierdził Walker.
- Do diabła, ale szybko płynie! Pokład jest pełen ludzi, są tam 229 nawet konie! Na dziobie... do wszystkich diabłów! Czyżby umarli znowu znaleźli się wśród żywych?

- Co się stało?
- Całkiem na dziobie... tak, to prawda ... stoi nasz John Forner, który utopił się tej nocy!

- Bzdura!
- Niech pan sam zobaczy!

Walker wziął lunetę do ręki.

- 'I' dk, to on. 'I~ psy wyłowiły go z Rio Gila, a on z wdzięczności za to, zdradził nas! Niech go Bóg strzeże, jeśli wpadnie w nasze ręce.

Parowiec szybko zbliżał się. 'I~raz można już było rozpoznać twarze ludzi na jego pokładzie bez pomocy szkieł.

- Niech to diabli! - zaklął Walker. - Miał pan rację, mister Newton. Właśnie go widzę, tam, obok wejścia do kajuty.

- Kogo? Old Firehanda?

- 'Pdk. A obok niego Apacza i te przekłete psy, Liść Koniczy-ny. Niech ich diabli porwą!

- T'ak. Są wszyscy razem i mają nawet konie. Co za piekielna historia! O, właśnie przepływają przed nami. Chciałbym, aby teraz wpadli na jakąś mieliznę i wszyscy utonęli!

Życzenie to oczywiście się nie spełniło; jacht Lindsaya przepłynął obok, a potem zaczął znikać w oddali. Bandyci wrócili na pokład „Sprzedawcy dusz”. Tylko Walker pozostał jeszcze przez chwilę na brzegu, aby się upewnić, czy jacht Anglika rzeczywiście popłynął dalej. Nad rzeką unosił się już tylko rozwiewający powoli dym, jaki za sobą pozostawiał.

Jednak jeszcze jedna rzecz zwróciła uwagę Walkera: czarny punkt, który powoli zbliżał się ku niemu od przeciwległego brzegu. Pojawiał się co chwilę nad wodą, jak głowa pływaka. Niebawem Walker rozpoznał twarz Indianina, którego włosy związane były na sposób Apaczów.

230

- Tb Apacz! - wykrzyknął cicho w stronę łodzi. - Szybko do mnie! Jeśli go nie schwytamy, będziemy zdradzeni! Z pokładu natychmiast zeskoczyło kilku marynarzy i ukryło się obok Walkera wśród drzew. Czerwonoskóry pływał doskonale; niebawem okazało się, że również doskonale znał kryjówkę w zato-czce. Przepłynąwszy pod gałęziami, wyszedł po chwili na ląd. Jego odzież ze skóry natarta była niedźwiedzim tłuszczem, aby nie przemokła w wodzie. Indianin uzbrojony był tylko w nóż co znaczyło, że jest zwiadowcą. Otrząsnął się z wody i ruszył pod gałęziami skrajem zatoki. Nagle zatrzymał się gwałtownie, zobaczył łódź.

- Uff! - wyrwał się z jego ust cichy okrzyk.

Chciał się właśnie odwrócić, kiedy schwytało go osiem silnych ramion, pozbawiając wszelkich możliwości obrony. Mimo tego zaskoczenia nie drgnął ani jeden mięsień jego młodzieńczej twarzy. Indianina związano i zaniecono na pokład. Jego oczy bez prze-rwy ponuro przyglądały się przeciwnikom. Na jego twarzy odbijała się duma dzielnego wojownika, który zwyciężony został tylko dzięki przeważającym siłom i podstępowi. Nie zadał sobie trudu, aby odezwać się do swych

wrogów choćby jednym słowem. Na pokładzie zarzucono go pytaniami; nie odpowiedział na żadne z nich. Wtedy do akcji wkroczył Roulin.

- Jestem Sonata, Srebrny Człowiek! Odpowiadaj na moje pytania? Czego tu szukałeś, Apaczu?

- Apaczu? - odparł Indianin. - Dziki Niedźwiedź nie jest żadnym Apaczem. Roulin zdziwił się wyraźnie.

- Czerwony człowiek kłamie. 'Ib imię nosi wódz Indian Mohawów.

- Dziki Niedźwiedź jest wodzem Mohawów.

- Ale twoje włosy są związane na sposób Apaczy!

Indianin zrobił pogardliwy ruch głową.

- Przenikliwość bladej twarzy nie sięga dalej niż rzut kamieniem małego dziecka. Czy blada twarz nie widzi, że Dziki Niedźwiedź

231 jest na zwiadach; nie ma żadnej broni, ani nawet swego woreczka z lekami?

- Ach! Tb dlatego upodobniłeś się do Apacza! Ale od kiedy to wodzowie sami wyruszają na zwiady?

- Zawsze, gdy idzie o ważną sprawę.

- Czy chcesz wykopać topór wojenny przeciwko Apaczom?

- Dziki Niedźwiedź nie odpowie na to pytanie.

- A więc odpowiesz mi na nie później. Jestem przyjacielem Mohawów.

- Udowodnij to!

- Czy przyrzekniesz mi, że nie uciekniesz, jeśli cię rozwiążę?

- Dziki Niedźwiedź nie ucieknie, jeśli udowodnisz, że jesteś przyjacielem Mohawów.

- Zaraz dostarczę ci tego dowodu.

Roulin rozwiązał Indianina, który powoli wstał, rozprostował ramiona i nogi, a potem równie wolno usiadł.

- Przybyliśmy tu, aby wypalić fajkę pokoju z twoim plemieniem.

- Nasza fajka pokoju została zakopana. Dzielni wojownicy Mohawów są teraz na wojennej ścieżce.

- Czy również przeciwko bladym twarzom?

- Przeciwko wszystkim wrogom.

- Możemy więc być spokojni. Jesteśmy waszymi przyjaciółmi; przybywamy, aby wydać wam waszych wrogów.

Indianin zmierzył Sonatę uważnym spojrzeniem.

- Czy koń może oddać niedźwiedzia w ręce bizona?

- Nie wierzysz mi?

- Nie. Mohawowie będą walczyć z Apaczami i Marikopasami. Jak chcecie ich oddać w nasze ręce?

- Oddając ci ich wodzów. Jeśli miałbyś w pobliżu twych wojowników, to niebawem mógł wziąć do niewoli wodza Apaczów i Marikopasów.

232

Indianin wbił oczy w twarz Srebrnego Człowieka, a potem przyjrzał się również stojącym wokół mężczyznom. Po ich minach doszedł do wniosku, że w słowach Roulina musi być odrobina prawdy.

- Wojownicy Mohawów są niedaleko stąd - powiedział po krótkim namyśle.

- Wielkie nieba! Nie może być lepiej! Czy obserwowałeś parowiec, który niedawno tędy przepłynął? Na jego pokładzie znajdowali się przyjaciele Apaczów i Marikopasów; biorąc ich do niewoli zdobędziesz wielką sławę.

- Kim oni są?
- Najpierw Winnetou.

Indianin na moment zapomniał o swojej dumie i zerwał się na równe nogi.

- Winnetou?
- 'l'dk, a oprócz niego Old Firehand i Sam Hawkens.
- Old Firehand i Sam Hawkens? Czy mówisz prawdę?
- Ja nie kłamię. Poza tym, płynie z nimi jeszcze wielu innych sławnych, białych myśliwych.
- Czego oni tu szukają?
- Chcą mnie schwytać.

Indianin rozejrzał się wokół, a potem skinął głową.

- Powiedziałeś prawdę. Musiałeś się tu ukryć. Dziki Niedźwiedź wierzy ci. Ale co im uczyniłeś, skoro cię ścigają?

- Porwałem największy klejnot Apaczów, Leśną Gołębicę.
- Uff! Palomę Nakanę? - wyrzucił z siebie zaskoczony w największym stopniu Indianin. - Gdzie ona jest?
- 'Iitaj, na naszej łodzi.
- Uff!
- Chcesz ją zobaczyć?
- 'Ihk.
- Stanie się tak, gdy skończymy nasze rokowania.

233

Roulin opowiedział teraz Indianinowi o tym, że Marikopasowie wyruszyli nad Błękitną Wodę, aby uprowadzić Leśną Gołębicę. Wyprawa się jednak nie udała i zawarli pokój z Apaczami. Opowiedział Wędrującemu Niedźwiedziowi także o późniejszych wyda-rzeniach, jednak tylko na tyle, na ile uważał za stosowne.

- Apacze i Marikopasowie są już z pewnością w pobliżu, w drodze do Doliny Śmierci - zakoficzył swoje sprawozdanie. - Jeszcze dzi-siaj będziesz mógł schwytać Winnetou i słynnych, białych myśli-wych.

- Nie zrobię tego - odparł wódz.
- Dlaczego?
- Dziki Niedźwiedź nie chce tylko wodza Apaczów i białych ale wszystkich Apaczów i wszystkich Marikopasów. Pozwoli więc zostać na wolności tej małej grupce, aby jutro, w Dolinie Śmierci, znisz-czyć wszystkich.

- Bardzo sprytnie pomyślane. Zgadzam się z tobą.

Wódz zastanawiał się przez chwilę.

- A ty przybyłeś tu, aby poprosiE Mohawów o ochronę?
 - 'Pdk.
 - Otrzymasz ją, jeśli wszystko, co opowiedziałeś, jest prawdą.
- 'I~raz jednak pójdziesz ze mną do moich wojowników.

- Nie mogę opuścić łodzi. Jesteśmy ścigani; być może już za kwadrans będziemy zmuszeni się bronić przed naszymi wrogami.

- Wojownicy Mohawe są niedaleko. Przybędą tu za kilka minut.

- Czy mogę ci wierzyć?
- Nic ci się nie stanie. Jeśli nie kłamałeś, to Dziki Niedźwiedź jest twoim przyjacielem.
- Dobrze, pójdę z tobą.

'Ibwarzysze Roulina nie byli całkiem przekonani, ale on sam cieszył się, że tak szybko natknął się na Mohawów. Stwierdził, że ma pełne zaufanie u wodza, zszedł z pokładu i zniknął 234 wraz z riim wśród drzew.

Jeśli Indianin był naprawdę wodzem Mohawów, to pasażerowie łodzi Hoftera mogli mówić o szczęściu. Znaleźli poszukiwaną ochronę szybciej, aniżeli mogli oczekiwać. Nie musieli się już teraz obawiać jachtu Anglika.

Roulin wrócił już po krótkim czasie; wraz z nim przybył wódz i około dwudziestu jego wojowników. Wszyscy byli dobrze uzbrojeni. Indianie pozostali na brzegu, podczas gdy Roulin wszedł samotnie na pokład.

Na jego twarzy widać było ogromne zadowolenie.

- Wszystko poszło doskonale, o wiele lepiej, niż mogłbym się spodziewać. Wśród Mohawów jest trzech wodzów...

- Tóczek? - przerwał mu zaskoczony Walker. - A więc naprawdę są na ścieżce wojennej.

- Pdk. Dzik Niedźwiedź osobiście wyruszył na zwiady na drugi brzeg. Nie przyniósł jednak żadnych ciekawych informacji. Za to spotkanie z nami jest dla Mohawów bardzo szczęśliwym przypadkiem. Ich wodzowie wypalili ze mną fajkę pokoju. Niebawem wypalą ją także i z wami.

- Doskonale! Na jakie warunki się zgodziłeś?

- Żądają dla siebie wszystkich jeficów i chcą na naszych oczach zabić wszystkich ludzi, którym życzymy śmierci.

- Czy chcą także więźniów, którzy już znajdują się w naszych rękach?

- 'I'ak.

- Na to się nie zgadzam!

- Dlaczego?

- Mogą ostatecznie wziąć sobie Wilkinsa, ale dziewczyna pozostanie ze mną!

- Przecież od początku mówiłem - zdenerwował się Leflor - Almy Wilkins należy do mnie!

Oczy Hoftera wyrażały olbrzymie zdziwienie.

235

- Sądziłem - odezwał się zaskoczony - że miss Almy i mój przyjaciel Roulin są od dawna po słowie i tylko ten łotr Winter ściga ich, by...

- Uspokój się! - zareagował błyskawicznie Roulin. Nie chciał, by Hofter zaczął coś podejrzewać. - Ciczerwonoskórzywca nie chcą tej dziewczyny. Potrzebują jej jako coś w rodzaju zastawy, abyśmy ich nie oszukali.

- Rozumiem. Ale w jaki sposób wyprowadzimy oboje na pokład?

Wilkins będzie się bronił.

- Z tym nie ma żadnego problemu: wystarczy jedna kula. Ale jeśli dojdzie do zamieszania, w niebezpieczeństwie znaleźć się może również miss Almy. Zasłoni sobą starego i którąś z kul...

- Nie ma obawy! Dzik Niedźwiedź wpadł na sprytny pomysł.

Dokona pozornego napadu i uwolni więźniów.

- Doskonale, tylko żeby nie zrobił tego naprawdę!

- Co ci wpadło do głowy? Zapominasz, że wypalił ze mną fajkę pokoju.

- Ale nie z nami.

- Tb obojętne. 'Ij~ znajdujesz się pod moją ochroną.

- Jeśli tak bardzo mu wierzysz, zgoda. Nawiasem mówiąc i tak nie moglibyśmy nic zrobić, gdyby było inaczej. Niech więc na nas napada! Przygotuję broń na wszelki wypadek!

- Będzie na początku trochę krzyku; potem Indianie zejdą do ładowni i powiedzą więźniom, że są wolni. Wyjdą wtedy z własnej woli na pokład. Ponieważ są bezbroni, łatwo ich wtedy obezwładnimy.

- A co z moją łodzią? - zapytał Hoffer, którego wiara w całą historię mocno się zachwiała.

- Nie masz się czego obawiać. Tobie i twojej własności nic się nie stanie.

- A co z senioritą Miranda?

- Ona naturalnie pójdzie z nami.

236

- Dlaczego.

- Przecież należy do nas.

- Przrzekłeś mi, że zostanie ze mną.

- 'Idk długo, ile będzie trwała nasza podróż, a więc do Aubrey.

Ponieważ jednak nie musimy żeglować aż tak daleko, nasza umowa nie jest już ważna.

- Nie możesz przecież decydować o tym bez jej zgody! - wykrzyknął Hoffer i zauważywszy Mirandę stojącą przy relingu zapytał: - Co pani na to, seniorita?

Hoffer podobał się jej; była przekonana, iż zakochał się w niej tak bardzo, że mógłby ją pojąć za żonę. Nie zależało jej zbytnio na Walkerze. Miała nadzieję, że dzięki małżeństwu wydostanie się z jego domu i rozpoczęcie bezpieczne, zamożne życie. Wszystkie te myśli gwahownie przebiegły jej teraz przez głowę. Rozważała chłodno wszystkie za i przeciw; dlatego też nie włączyła się jeszcze do tej pory w kłótnię.

- 'Pdk, tak - powiedziała z dobrze udawanym oburzeniem. - Czyżby mnie nikt nie pytał o zdanie?

- Po co pytaE? - odparł Walker. - Ty należysz do nas.

- Nic nie zgubiłam w Dolinie Śmierci. Nie chcę też więcej oglądać tych ludzi, których musiałam zwabić na łódź. Róbcie z nimi, co chcecie. Nie mam ochoty nic o tym wiedzieć. Dla was też będzie lepiej, bo będziecie mieli mniej świadków.

- Pamiętaj, że nie pozostaniemy tam wiecznie, tylko niebawem powrócimy do domu.

- Wtedy przyjedziesz do Granite Station i zabierzesz mnie.

- Jesteś pewna, że mister Hoffer chce cię zabrać ze sobą?

- Naturalnie! - zawołał Hoffer. - Jak może pan w to wątpić? Chcę ją przedstawić memu ojcu!

- No cóż, nie będę wam stał na drodze. Mam jednak nadzieję, że zachowacie milczenie. Nikt nie może dowiedzieć się o tym, kto był na łodzi i co się tu wydarzło.

237

- Mamy milczeć? Ależ oczywiście! A może sądzi pan, że będę rozповідаła o rzeczach, które mogą w koficu i na mnie sprowadzić nieprzyjemności?

Walker spojrział na niego badawczo.

- Nieprzyjemności? - powtórzył. - Nie spotkają pana żadne nieprzyjemności. Pan wynajął nam tylko swą łódź. Moją sprawą jest, co robiłem na jej pokładzie. Pan nie ponosi za to żadnej odpowiedzialności. A może sądzi pan, że popełniłem jakieś przestępstwo? Oczywiście Walkera nabrały przy tym chytrego wyrazu.

- Kto tu mówi o przestępstwie? - zdenerwował się Hoffer. - Pomogłem tylko połączyć się nieszczęśliwie zakochanej parze. I b przecież nie jest karalne.

'Iwarz Walkera straciła swój groźny wyraz.

-Ib właśnie chciałem od pana usłyszeć. Dobrze, niech Miran-da pozostanie z panem do czasu, gdy przyjadę do Granite Station. Może będzie pan potrzebował świadka przy zawieraniu małżeństwa? Niech się pan nie gniewa. Od czasu do czasu trzeba żartować. W Granite Station zapłacę też panu za wynajęcie łodzi. A może chce pan, aby to zrobił od razu?

- Mamy czas. Zresztą, jak mógłby żądać zapłaty za rejs, który...

- Hofter chciał powiedzieć, że dzięki temu poznał swą narzeczoną, ale zauważywszy ironiczne spojrzenie Walkera dodał tylko: - ... w którym brała udział także i Miranda.

- Jest pan, jak widzę człowiekiem rozsądnym - odparł Walker z uśmiechem drapieżnika, który z powodu swego dobrego humoru pozwala ujść wolno swej ofierze. - I na dodatek chętnym do pomo-cy. Ani panu ani pańskim ludziom nie stanie się więc nic złego. 'I~raz czas, abyśmy porozmawiali z Indianami!

Od chwili, gdy Wilkins nadludzką siłą uwolnił się z więzów, jego sytuacja w niczym się nie zmieniła. Musiał wraz z córką spokojnie czekać na dalszy rozwój wypadków.

Wśród obaw i lęków upływały godziny. Mimo iż nie mogli tego 238 widzieć, zauważyli w pewnej chwili, że woda przestała już szumieć za burtą.

- Będą chcieli sprowadzić nas na ląd - odezwała się Almy.

- Niech tylko spróbują!

- Chcesz się bronić? Nie ma to większego sensu. Mają w ręce doskonały środek, aby nas zmusić do posłuszeństwa. Po prostu zosta-wią nas tutaj i poczekają aż głód i pragnienie zmusi nas do zmiany zachowania.

- Prędzej zginę! Jeśli na to liczą, będą musieli długo czekać.

- Wtedy z pewnością wymyślą coś innego. Ale może w tym czasie ktoś przyjdzie nam z pomocą. Old Firehand na pewno nas już szuka.

- Jestem tego pewien. Pewne jest także, że dowiedział się wszy-stkiego w Granite Station. Będzie ~cigał tę łódź.

- W jaki sposób? Przecież w okolicy nie ma drugiej.

- 'Idki człowiek jak on z pewnością znajdzie jakieś wyjście. Jestem absolutnie przekonany, że tu przybędzie: Jeśli oni zostaną tu dłużej, znajdzie ich. Już z tego choćby powodu nie będą nas chcieli zagło-dzić. Powinni raczej myśleć, jak nas sprowadzić na ląd. Ale posłu-chaj tylko!

- Zatrzeszczały schody.

-- Ktoś tu idzie.

- Co robimy?

- Jeśli wejdzie do środka, biada mu! Zatlukę go jak psa łaficu-chem!

Człowiekiem który zszedł do ładowni był Walker. Specjalnie przeszedł z hałasem obok drzwi, za którymi zamknięci byli Wilkin-sowie. Podszedł do drugiego przedziału, otworzył go i zaczął przesu-wać jakiś przedmiot. W tym momencie z pokładu zabrzmiał okrzyk Roulina.

- Mister Walker! Mister Walker!

- Co się stało?

239

- Niech pan szybko wyjdzie na pokład!

- Dlaczego?

- Zbliżają się Indianie! Tb Apacze!

- Bzdura!

- Tb żadna bzdura! Odkrył ich Leflor. Skradają się między drzewami!

- Niech to diabli! Odbijajcie szybko od brzegu! -wykrzyk-nał Walker i wybiegł na pokład. Zaledwie jednak wyszedł z luku, rozległ się okrzyk wydany z wielu gardeł, a potem pokład zadygotał pod stopami walczących.

- Jesteśmy uratowani! - wykrzyknał radośnie Wilkins. - 'Ib z pewnością Old Firehand i jego Apacze!

- Bogu niech będą dzięki! - powiedziała Almy.

Wilkins stał pośrodku ładowni i nadśluchiwał odgłosów toczącej się na górze walki.

- 'Ib dziwne, ale nie słycać strzałów! - powiedział zaskoczony.

Jako człowiek znający w końcu dość niezłe obyczaje Indian natychmiast to zauważył. Pozorny atak na łódź odbył się bez jednego wystrzału; mógł on bowiem zaalarmować załogę znajdującego się jeszcze w okolicy jachtu Anglika. 'Pdkże i zwyczajowy okrzyk wojenny Indian wypadł z tego samego powodu dość blado.

- Może Apacze mają inny sposób atakowania wroga - zamyśliła się Almy.

- Zapewne; podkradli się cicho i zaatakowali tylko uzbrojeni w noże i tomahawki. Za kilka chwil z pewnością będziemy wolni! Wszystko wskazywało na to, że ma rację. Walka na pokładzie ucichła. Ktoś pośpiesznie zbiegł po schodach do ładowni i zawołał:

- Czy są tu jeszcze jakieś blade twarze?

- 'Pak, tutaj - wykrzyknał w odpowiedzi Wilkins.

- Należycie do załogi?

- Nie, jesteśmy jeńcami!

240

Uff! Uff!

Drzwi otwały się z trzaskiem i w słabym świetle padającym z luku ukazała się postać uzbrojonego Indianina.

- Niech mój biały brat i siostra wyjdą na pokład. Są wolni! - oświadczył przyjaźnie.

Był to Dzik Niedźwiedź. Wilkins zawahał się; zadał sobie pytanie, dlaczego człowiekiem, który otworzył drzwi ich więzienia, nie był Old Firehand.

- Gdzie jest Old Firehand? - zapytał po chwili.

- Przeszukuje drugi brzeg. My szukaliśmy tutaj. Mieliśmy szczęście i pieiwni znaleźliśmy dobre blade twarze.

- Chodźmy więc!

Dzięki niespodziewanemu ratunkowi Wilkins popadł w stan tak radosny, że zapomniał dokładniej przyjrzeć się czekającemu India-ninowi. Fakt ten natychmiast się na nim zemścił. Zaledwie wyszedł na pokład, w powietrzu świsnęło lasso i lina owinęła się wokół jego szyi. Krótkie, mocne szarpnięcie i już leżał na pokładzie. Jednocześnie kilkanaście brunatnych dłoni schwytało Almy. Po chwili oboje leżeli znowu skrępowani na pokładzie, a kneble nie pozwalały im wydać z siebie nawet okrzyku. Walker roześmiał się szyderczo.

- I jak się to panu podoba? Czyż Apacze nie są dzielnymi wojownikami?

'Pdkże i Roulin stanął na szeroko rozstawionych nogach przed jeńcami.

- Bardzo pan tęsknił za mną nad Błękitną Wodą, mister Wilkins i koniecznie chciał mnie dostać w swoje ręce. Oto jestem! I zapewniam pana, że szybko mi się pan nie wymknie.

-Myślał pan, że jesteśmy już zgubieni, sąsiedzie? -wyszczere-rzył w uśmiechu zęby Leflor. - Pożarci przez Apaczów? Oczywiście nie da się tak tego szybko załatwić. Musimy jeszcze chwilę pozostać przy życiu, aby mógł pan być świadkiem moich zaręczyn 241 i ślubu z miss Almy. Zabrać ich!

Indianie podnieśli jeńców z pokładu i przetransportowali na ląd.

Za nimi ruszyło towarzystwo Walkera.

On sam wyciągnął na pożegnanie rękę do Hoftera.

- Żegnam pana! Ale niech pan pamięta, co panu powiedziałem, a przede wszystkim o tym, że nikt nie powinien dowiedzieć się, co wydarzyło się tu od wczoraj. Niech pan zapyta seniority Mirandy; potwierdzi panu, iż w tych sprawach nie znam się na żartach! Odbiorę ją od pana w Granite Station. Do zobaczenia!

Walker zeskoczył na brzeg i Iuszył za innymi.

Hofter patrzył zaskoczony za nim, gdyż po raz pierwszy ujrzał Walkera bez maski uprzejmości, którą zachowywał do tej pory.

- Jaką on miał przerażającą minę - powiedział do Mirandy. - Wyglądało na to, że na pożegnanie najchętniej pchnąłby mnie jeszcze nożem.

- Walker był zawsze człowiekiem bardzo gwałtownym i ka-pryśnym. 'Ib leży w jego naturze i nie powiniś mieć mu tego za złe. Hofter potrząsnął głową.

- Aczkolwiek wydaje mi się, że wszystko rozumiem, to i tak kilka rzeczy pozostaje dla mnie zagadką.

- Co, mianowicie?

- Że będąc tak delikatną kobietą potrafiłaś do dzisiaj przeby-wać w takim towarzystwie! Miranda udała zawstydzoną i opuściła powieki.

- Ach - powiedziała cicho - gdybyś ty wiedział do czego potrafić być zmuszana słaba dziewczyna, kiedy jest biedna! Hofter chciał ją objąć, ale szybko się opanował.

- Nie wierzę temu człowiekowi! -wykrzyknął. - Chciałbym też wiedzieE, co ma zamiar począć z tym plantatorem i jego córką! 'Ib naprawdę nie wygląda na historię miłosną!

Hofter zrobił ruch, jakby miał zamiar zejść na ląd. Miranda przytrzymała go.

242

- Nie rób tego! Zostafi ze mną! Jeśli zauważą, że idziesz za nimi, zastrzelą cię!

- Postaram się, aby mnie nie zauważyli!

W tym momencie podszedł do nich sternik.

- Niech mi pan wybaczy, sir. Wie pan, że zawsze jestem do pańskiej dyspozycji, ale tym razem wydaje mi się, że popełnili-śmy wielkie głupstwo. 'I'd historia o uprowadzeniu była kłamstwem.

- 'Pdk pan sądzi?

- Naturalnie! Każde dziecko by to zrozumiało. Stary mister Wilkins wydał mi się prawdziwym gentlemanem, a młoda miss ,, wcale nie sprawiała wrażenia, jakby cieszyła się z tego, że w pobliżu znajduje się jej ukochany. I co mają z tym wszystkim wspólnego Indianie?

- Nie wiem.

- Ja też nie. Wiem natomiast, że z powodu tego rejsu napy-taliśmy sobie sporo kłopotów. Czy wie pan, jakie wyjście uważam za najlepsze?

- Jakie? - zapytał Hofter patrząc z sternika ze ściśniętym ser-cem.

- Musimy unikać ludzi z tamtego parowca.

- Zgadzam się z panem.

- A co powiemy, jeśli mimo to nas schwytają?

- Prawdę.

- Doskonale. Kłamstwa mogą nam tylko zaszkodzić. Byłoby dla nas z pożytkiem, gdybyśmy im wtedy powiedzieli, co wiemy o jefi-cach. Dlatego proponuję, abyśmy poszli kilka kroków za Indiana-mi, by zobaczyć dokąd się udają.

- Ja też jestem tego zdania.

- Nie róbcie tego! - zaczęła błagać Miranda. - 'Ib zbyt nie-bezpieczne!

- Niebezpieczne? Jestem sternikiem, który często pływa po terytoriach czerwonoskórych i potrafi posługiwać się nożetką, droga

243 miss. Chciałbym poznać Indianina, który ze mną zacznie! Ruszamy w imię Boga, mister!

Miranda zrezygnowała z dalszego uporu. Obaj mężczyźni ruszyli wzdłużwód zatoczki. Potem brzegwnosił się stromo. Hofter i sternik nie byli doświadczonymi tropicielami i nie potrafili czytać śladów. 'I-taj jednak nie było to potrzebne; Indianie nie zadali sobie w ogóle trudu, aby zacierać za sobą ślady.

Prowadziły one od zatoczki prosto w stronę stromego zbocza, a potem ku polanie, której trawa zdeptana była przez liczne stado koni. Stąd trop wiódł dalej w tym samym kierunku przez las, który niebawem przeszedł w prerię.

W oddali obaj mężczyźni ujrzeli dużą grupę jeźdźców.

- To oni - powiedział sternik. - Czy potrafi pan dojrzeć jeficów?

- Nie.

- Mają ich naturalnie między sobą, w środku grupy. Niech Bóg zmiłuje się nad tymi biedakami! Jest tam około trzystu Indian. Czego oni tu szukają?

-Ib nas nic nie powinno obchodzić.

- Och powinno i to bardzo! Jeśli Mohawowie pojawili się nad Kolorado, to z pewnością mają jakieś złe zamiary. Zdaje mi się, że ich zwiadowca nie znalazł nic ciekawego, więc postanowili powrócić do swych wigwamów ze zdobyczą, którą podarował im Walker. Jakże chciałbym popsuć im tę przyjemność! Chodźmy, mister! Nie jesteśmy w stanie nic zmienić. Innym razem jednak dokładniej przyjrę się każdemu, z kim mam żeglować. Długo jeszcze będę pamiętał ten rejs.

Miranda była szczęśliwa ujrzawszy obu mężczyzn powracających i poprosiła, aby łódź natychmiast odpłynęła.

- Ja też chciałbym już zniknąć z tego przeklętego miejsca - stwierdził Hofter. = Musimy być jednak ostrożni. Nie chciałbym, aby ktoś zobaczył tutaj naszą łódź. Od ujścia Rio Gila nikt nas chyba

244 nie zauważył. Jeśli tak zostanie również w drodze do domu, wygra-liśmy. Najpierw więc podejźmy do wyjścia z zatoki, aby przekonać się, czy jesteśmy sami na rzece.

Sternik poczołgał się wraz z Hofter aż nad sam brzeg. 'I'dm obaj dokładnie rozejrzeli się po okolicy.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął sternik. - Jak to dobrze, że zostawiliśmy łódź jeszcze w zatoce. Niech pan spojrz w górę rzeki - dodał wyciągając palec. - Czy widzi pan ten mały, czarny punkt na horyzoncie?

-`Pdk. Wygląda jak dzika kaczka pływająca po wodzie.

-`Pak, kaczka! Jeśli ta kaczka nie jest parowym jachtem, to niech mnie przeciągną pod kilem!

- Ale musielibyśmy widzieć dym!

- A jeśli jacht wcale nie jest pod parą?

- Czyżby zarzucił kotwicę?

- Albo zarzucił kotwicę, albo dryfuje z prądem. I chyba tak jest, bo ten punkt zwiększa się z każdą minutą.

- Musimy więc poczekać, aż nas miną.

- Naturalnie. Może wrócą do Yumy. Wtedy, pod żaglem, przepłyniemy obok nich w ciemnościach.

- Dlaczego oni wracają?

- Kto to może wiedzieć...

- Z pewnością płyną za nami. Na pewno z-uważyli, że musieli nas zgubić.
 - Tb możliwe. Poczekajmy jednak, co się wydarzy dalej!
- Punkt stawał się coraz większy, aż zamienił się w sylwetkę jachtu. Maszyna nie pracowała; prąd znosił go powoli w pobliżu przeciw-ległego brzegu.
- Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie trzymają się bezpiecznego środka rzeki - zadumał się Hoffer.
 - Ja wiem, dlaczego.
 - A więc?

245

- Jeśli jakiś sternik płynie tak blisko niebezpiecznego brzegu, to musi mieć do tego ważny powód. Ludzie znajdujący się na pokładzie tego jachtu rzeczywiście musieli wpaść na nasz trop. Mogą płynąć szybciej pod parą, aniżeli my pod żaglami, a mimo to nie udało im się nas dogonić. Według ich wyliczeń jest na to tylko jedno wyjaśnienie: musieliśmy się ukryć gdzieś w okolicy.

- A więc jednak!
- Naturalnie; teraz szukają nas po drugiej stronie. Dlatego trzy-mają się tak blisko brzegu i dryfują z prądem. Starają się przy tym dokładnie obejrzeć każdy skrawek brzegu.
- Co za szczęście, że płyną po tamtej stronie...
- Nic by się nie stało, gdyby płynęli po tej. Chciałbym poznać człowieka, który znalazłby naszą zatoczkę, jeśli oczywiście jej nie zna. Wejście do niej jest tak przykryte gałęziami, że nikt nie przeczuwa jej istnienia w tym miejscu. Niech pan patrzy! Jacht jest teraz dokładnie naprzeciw nas. Czy widzi pan konie na pokładzie? I ludzi, którzy z napięciem wpatrują się w każdy metr łądu? Niech sobie szukają! I tak nas nie znajdą!

Sternik podszedł tuż nad skraj brzegu, tak że w wodzie poja-wiło się jego odbicie. Zdjął kapelusz i szyderczo pomachał w stronę jachtu. Zrobił to, ponieważ wiedział, że nie zauważy go nikt na pokładzie.

- Niech sobie szukają! I tak nas nie znajdą! - powtórzył z uśmiechem. Pływająca wyspa

Jacht Lindsaya płynął pełna parą w górę rzeki. Jak obliczali jej pasażerowie, powinien doścignąć łódź Hoffer'a po upływie około pięciu godzin, licząc od wyjścia z Yumy. Mimo, iż minęło więcej, na horyzoncie nie było ani śladu żadnej łodzi.

Old Firehand i sir Dawid bezskutecznie obserwowali okolicę przez lornetki. Minęło jeszcze pół godziny i kiedy nadal nie było widać ani śladu łodzi, Old Firehand kazał wezwać wszystkich na pokład.

- Dziwna historia! - denenwował się Anglik. - Już dawno powinniśmy byli ją dogonić!
 - I tak też się stało - skinał głową Old Firehand.
- Lindsay otworzył usta ze zdziwienia.

- Czyżby ją pan widział?
- Nie.
- Niech to diabli! I b skąd pan może wiedzieć, że ją dogoni-liśmy?

- 'Ib bardzo proste. Płyniemy szybciej od niej, a więc dawno już musieliśmy ją doścignąć.

- Ale przecież nie jesteśmy ślepi!
- Założmy, że oni nas zauważyli. Dostrzegli dym z naszego komina i natychmiast się ukryli. 247

- 'Pdk duża łódź nie może schować się na dnie rzeki, jak rak czy ryba!

- I nie było to konieczne. Czy słyszał pan już słowo bayou? Tó mała zatoczka, a właściwie zalew.

- Wielkie nieba! Bayou! - wykrzyknął Sam Hawkens. - 'I~raz wszystko rozumiem. Gdzieś za nami musi być jakieś bayou, ukryte tak doskonale, że nie widać jej z rzeki, jeśli się nie mylę.

- 'Pdk właśnie myślę, drogi Samie. Niech pan spojrzysz na brzeg!

Jest gęsto zarośnięty krzewami i drzewami dogwood, których gałęzie zwisają aż do samej wody, zasłaniając widok na łódź. Gałęzie te mogą więc z powodzeniem ukrywać wejście do takiego bayou. Zosta-liśmy zauważeni z pokładu tamtej łodzi. Jej załoga знаła jakieś bayou w okolicy i natychmiast się w nim ukryła, a my spokojnie przepłynę-liśmy tuż obok!

- Zawracać! - wykrzyknął zdecydowanym tonem Lindsay. - Sternik! Zawracamy!

- Zaraz, chwileczkę - powstrzymał go Old Firehand. - Nie tak szybko, sir! Zanim zawrócimy, powinniśmy się zastanowić, jakie mamy plany.

- Jakie plany? Well, mamy zawrócić i znaleźć bayou!

- Gdyby to było takie łatwe... Przecież płynąc w górę rzeki wcale go nie zauważyliśmy; jest po prostu tak ukryte, że trudno je znaleźć. Po której stronie rzeki szukałbyś tej zatoczki, Samie? Ti-aper przyjrzał się obu brzegom.

- Po prawej, jeśli się nie mylę.

- Jestem tego samego zdania. Z jakiego powodu?

- Z wielu. Po pierwsze, prawy brzeg jest gęściej zarośnięty, aniżeli lewy. Po drugie, leży on po zewnętrznej stronie zakola rzeki, stąd woda łatwiej mogła tam utworzyć takie bayou. Po trzecie, nie jest on tak skalisty, jak lewy. A po czwarte w koficu, uciekinierzy trzy-mali się raczej prawego brzegu, bowiem jest on granicą, którą chcieli przekroczyć. Czy pan się ze mną zgadza, misfer Firehand?

248

- ~k. Mógę się nawet założyć, że ich łódź ukryła się przy prawym brzegu.

- No dobrze, zawracajmy więc i płynijmy w górę rzeki przy prawym brzegu.

- Nie, Samie. Tb byłoby na odwrót. Musimy teraz popłynąć wzdłuż lewego brzegu.

Mały traper zamilkł na moment zaskoczony, po chwili roześmiał się jednak:

- Ma pan rację, sir. Omal nie popełniłem głupstwa.

- Nie rozumiem tego - pokręcił głową Will. - W jaki sposób mamy odkryć bayou, na którym ukryli się uciekinierzy?

- 'Tb bardzo łatwe - odezwał się znowu Old Firehand. - Jeśli popłyniemy z powrotem, a oni zobaczą nas blisko siebie, to co zrobią?

- Nic. Będą siedzieli cicho, jak myszy pod miotłą.

- Słusznie. A jeśli popłyniemy po drugiej stronie rzeki?

- Będą się cieszyć! Będą się z nas wyśmiewać - doszedł do wniosku Sam.

- A więc nie będą już tak cicho - kontynuował Old Firehand.

- Z pewnością - zgodził się z nim Will.

- 'I~raz więc chyba rozumiecie, co miałem na myśli.

Will rozejrzał się wokół bezradnie.

- Wiele się już od pana nauczyłem, mister Firehand, ale tym razem naprawdę nie wiem, o co panu chodzi.

- Przecież to takie proste.

- W dalszym ciągu jestem przekonany, że nie znajdziemy ich kryjówek po prawej stronie rzeki, jeśli będziemy się trzymać lewego brzegu. Musi pan pamiętać, że rzeka w tym miejscu jest bardzo szeroka; aby przepłynąć z jednego brzegu na drugi potrzeba niemal pół godziny.

- Zaraz pan zrozumie. Parowiec będzie dryfował w dół po lewej stronie, my dwaj zaś, ja i Sam, popłyniemy wzdłuż prawego brzegu. Will zrobił minę, jakby w tym momencie udało mu się rozwiązać 249 skomplikowane zadanie matematyczne.

- Wielkie nieba! 'Ib rzeczywi~cie najlepsza i najmądrzejsza rzecz, jaką możecie teraz zrobić.

- A więc my dwaj popłyniemy prawą stroną - powtórzył zadowolony Sam.

Winnetou w milczeniu przysłuchiwał się tej rozmowie.

- Nie dwaj, aIe trzech - odezwał się w pewnej chwili. - Winne-tou będzie sterem. Sam odwrócił się do wodza.

- Sterem? Dlaczego?

Apacz wzruszył tylko ramionami; Sam przypominał mu dziecko, które nie mogło pojąć, że dwa razy dwa jest cztery.

- Czy pan rozumie, o co mu idzie? - Sam zwrócił się do Old Firehanda.

- Doskonale.

- Wielkie nieba! Wystarczy, że jeden z was kichnie na Księ~życu, to drugi, siedzący na Słońcu, natychmiast zawoła „na zdro-wie!”. Hihihih!

- On ma na myśli tratwę.

- Tak? Po co? Przecież mamy szalupę.

- Jej też moglibyśmy użyć, aIe bez steru. Zamiast niego będzie Winnetou. Ludzie, którzy się przed nami ukryli, nie powinni nas zauważyć. Dlatego też zamaskujemy tratwę lub łódź, którą popły-niemy.

- Wielki Boże! Już rozumiem, mister Firehand! 'Ib doskonały pomysł! Weźmiemy szalupę i zamaskujemy ją trawą i trzcina. Po-winna wyglądać jak kawałek oderwanego brzegu. 'Pdkie kępy widać często na rzece. My będziemy w środku, a nasz Apacz popłyniesz tyłu, jako ster,!

- Coś takiego właśnie miałem na myśli. Od strony brzegu musimy być niemal całkowicie zamaskowani, z wyjątkiem dwóch otworów, przez które będziemy obserwować brzeg. Od strony rzeki

250 zaś odwrotnie - musimy mie~ wolną przestrzefi, aby dać znak ludziom na pokładzie jachtu. Przybijmy więc teraz do brzegu i przygotujmy szalupę!

Jacht przepłynął przez rzekę pod prawy brzeg. Mężczyźni ze-brali gałęzie, trzcinę, sitowie i mech, a następnie dokładnie za-maskowali szalupę.

W tym czasie jacht stał w głębokim cieniu rzucanym przez nadbrzeżne drzewa. Ich gałęzie niemal dokładnie zasłaniały go przed niepożądanymi obserwatorami.

Wszyscy zajęcie byli maskowaniem szalupy; na pokładzie był tylko mechanik; wyszedł z maszynowni, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdy przyglądał się okolicy, jego wzrok padł na przeciw-legły brzeg.

- A cóż to takiego? - zawołał nagle. - Czyżby wąż morski?

Oczy wszystkich skierowały się na lewy brzeg. Do rzeki, kierując się na drugi brzeg, wsuwał się wąski, ciemny wąż, składający się pojedynczych, wyraźnie widocznych członów. Głowa węża dotarła j uż do jednej czwartej szerokości rzeki.

- Czyżby to byli jeźdźcy? - zapytał Sam.

- Na to wygląda - odparł Old Firehand. - Zaraz to spraw-dzimy.

Dawid Lindsay patrzył przez chwilę z uwagą przez lornetkę.

- Nie bardzo wiem, co to jest - powiedział w koficu. - 'I~n wąż składa się z wielu części, które wyglądają jak pomalowane dynie.

- Tb Indianie! - wykrzyknął Sam.
- `Ik, to Indianie-potwierdził Old Firehand spojrzawszy przez lornetkę. Winnetou patrzył na drugą stronę gołym okiem.
- Uff! To Apacze i Marikopasowie!
- Co? - zdziwił się Sam. - Apacze już tu są? Przybywają w odpowiedniej chwili!
- Jesteśmy teraz niemal na wysokości Olive City, w miejscu, gdzie 251 oni mieli przejść~ na drugą stronę rzeki - wyjaśnił Old Firehand.

- Musieli więc jechać bardzo szybko.
W tym momencie rozległ się trzykrotny okrzyk mewy. Wąż natychmiast zatrzymał się. Po kolejnym trzykrotnym wołaniu mewy, głowa węża zaczęła zawracać.

- `Ib zwiadowca - powiedział Old Firehand. - Zauważył nas, ale nie wie, czy jesteśmy przyjaciółmi. Nie zna jachtu i postanowił ostrzec resztę. Niech Winnetou uspokoi tych ludzi! Zanim Indianie przepłyną się przez rzekę, zawsze wysyłają na zwiady jednego lub więcej zwiadowców. I'ak samo postąpili Apa-cze i Marikopasowie. Zwiadowca początkowo doszedł do wniosku, że można się bezpiecznie przepływać, potem jednak zauważył jacht ukryty pod zielonym dachem gałęzi i dał swoim współplemieni-com znak do odwrotu.

Winnetou przyłożył do ust dwa palce i zaczął naśladować okrzyk orła.

Głowa węża ponownie się zatrzymała. Jeszcze jeden okrzyk i ponownie ruszyła w dawnym kierunku. W tym samym momencie z lasu dobiegł głośny, przeraźliwy okrzyk „hi-hi! „,

- Hi-hi! - odpowiedział Winnetou.

W kilka sekund potem spomiędzy drzew wyszedł jeden z Apa-czów. Był to Rączy Jelefi, syn Mocnej Ręki, który początkowo chciał towarzyszyć Leśnej Gołębiczy w drodze do Granite Station, w koficu jednak przyłączył się do wojowników. Obaj, Rączy Jelefi i Winnetou, rozpoznali się po okrzyku wojennym Apaczy.

Młody Apacz jeszcze nigdy nie widział „ognistego statku”. Nie obdarzył go jednak ani jednym spojrzeniem; gdy podchodził bliżej, jego oczy wpatrzone były tylko w wodza. Potem podał dłoni także i pozostałym.

- Czy coś się wydarzyło? - zapytał Old Firehand:
- Nic.
- Zauważono was?

252

- Nie. Za to my widzieliśmy jednego ze zwiadowców ze szczepu Mohawe.

- Gdzie?

- Świtem, po drugiej stronie rzeki. Przejechał obok nas.

- Co to może oznaczać? Czyżby Mohawowie mieli zamiar na kogoś napaść? Ilu Apaczów przybyło z tobą?

- Dziesięć razy dziesięć po dwóch wojowników.

- A Marikopasów?

- Tyle samo.

- A więc razem mamy czterystu wojowników. `Ib wystarczy.

‘Ihras pokonują rzekę wpraw. Czy znalazłeś miejsce, w którym mogą się zebrać?

- `Ihk, niedaleko. Czy mam cię tam zaprowadzić?

- Tak.

Rączy Jelefi zaprowadził blade twarze i Winnetou na miejsce postoju. Widać było z niego rzekę. Sir Dawid spojrział w dół i potrząsnął głową obserwując Indian.

- Mocna rzecz - powiedział do Old Firehanda. - Rzeka jest w tym miejscu szeroka na milę, a ci chłopcy ją po prostu przepływają jak gdyby nigdy nic! Oczywiście na koniach by im się to nie udało.

- Na koniach? Sądzi pan, że przyszli tu pieszo?

- Pak. Przecież nie widać żadnych koni.

- Chyba stracił pan wzrok, sir! Każdy z nich ma przecież swego konia obok siebie.

- Niech pan nie żartuje! Chyba wiem, czy człowiek przepływa rzekę na koniu czy bez.

- Ach, pan myśli, że pokonując rzekę trzeba siedzieć na koniu?

- Yes.

- Wtedy naturalnie zwierzęta nie byłyby w stanie pokonać tak szerokiej rzeki. Nie, niech pan przypatrzy się dokładniej. Każdy z Indian trzyma ogon swego konia i płynie za nim. Lindsay podniósł do oczu lornetkę.

253

- Ma pan rację! Ci chłopcy trzymają swe konie za ogony. Ale co oni mają na głowach?

- Swoją brofi. Przywiązali ją do włosów, żeby nie zamokła.

Pierwszy z pływaków dotarł właśnie do brzegu. W następnym momencie siedział już na koniu i przemknął galopem obok pa-trzących. W taki sam sposób wylądowała reszta Indian. Po żadnym z nich nie było widać trudów przeprawy. Również i konie wyglądały na odświeżone wodą.

Za Apaczami na brzegu pojawili się Marikopasowie prowadzeni przez swego wodza, Żelazną Strzałę. 'I~n duży oddział składający się z czterystu wojowników sprawiał doskonałe wrażenie. Oczy sir Dawida zalsniły, kiedy pochylił się do ucha Sama Hawkensa.

- Nie chciałbym ich spotkać w lesie. Samemu!

- Tb nie byłoby nic strasznego - roześmiał się traper wzruszając ramionami.

- Co? Przecież nie byłoby mowy o ucieczce!

- Z pewnością! Oni po prostu zamęczyli by pana na śmierć i zabrali skalp, jeśli się nie mylę.

- I to pan nazywa „nic”?

- Coś takiego zdarza się tutaj codziennie.

- Piękne dzięki!

- I pan chce polować na bizona i niedźwiedzie? Przecież taka zwierzyna jest o wiele bardziej niebezpieczna od Indian.

- Nie rozumiem. Niech mi pan jednak powie, czego chcą tutaj ci wojownicy?

- Chcą się zemścić. Jadą na wyprawę wojenną do Doliny Śmierci.

- Zemścić? Dolina Śmierci? I b wszystko brzmi niesamowicie

ale mimo to wezmę w tym udział. Dlaczego ta dolina nosi tak groźną nazwę?

- Nie wiem tego dokładnie, ale myślę, że śmierć zginęła tam podczas podróży służbowej i od razu została pochowana na miejscu

254 wypadku. Zaraz potem nazwano ten wąwóz Dóliną Śmierci, hi-hihihi!

Przez moment Lindsay spoglądał zaskoczony w śmiejące się oczy trapera. Potem jego nos zaczął drgać, jak gdyby coś go rozgniewało. Po chwili Anglik odwrócił się zirytowany. Old Firehand wezwał starszą indiańską na naradę. Indianie do-wiedzieli się od niego, że Wilkins i Paloma wpadli w niewolę i znajdują się na łodzi żaglowej.

W wyniku narady zatwierdzono plan Old Firehanda, aby wytropić miejsce postoju łodzi. Indianie w tym czasie mieli posuwać się brzegiem tak blisko jachtu, jak to tylko było możliwe, aby w przy-

padku odkrycia łodzi wziąć udział w ukaraniu winnych. Podjąwszy tę decyzję wojownicy natychmiast odjechali. Po krótkim czasie szalupa była już tak dobrze zamaskowana, że do złudzenia przypominała jedną z pływających po rzece wysepek. Kawałek białej skóry miał posłużyć za znak dla załogi jachtu, że odkryto miejsce postoju poszukiwanej łodzi.

- Należy się tylko dziwić, że tamten sternik tak szybko znalazł jakieś bayou - stwierdził Hermann Adlerhorst. - Mister Forner, który należał do załogi tej łodzi, też powinien je znać.

- Tb nieprawda! - bronił się Forner. - Musicie pamiętać, że w naszych okolicach dobra kryjówka może się przydać każdemu. Stąd, jeśli ktoś znajdzie już takie bayou, nie powie drugiemu ani słowa o nim. Sam znam kilka takich, o których istnieniu nikt nie ma pojęcia i używam ich w pewnych sytuacjach; gdyby inni je znali, nie byłyby już kryjówkami. W każdym razie, gdy nas zauważono, w pobliżu musiało znajdować się jakieś bayou, które znał tamten sternik lub jeden z marynarzy. Wątpię, aby udało się nam je znaleźć.

- Zobaczymy - uśmiechnął się Sam. - Nie jestem ślepy i zawsze zobaczę ludzi, z którymi chcę zamienić słówko. Naprzód! Jak już wspominaliśmy, szalupa była od strony rzeki odkryta. Z tej właśnie strony wczołgał się do niej Old Firehand i Sam. Obaj rozłożyli 255 na jej dnie swe derki i wyciągnęli się na nich wygodnie. Nie mogli w niej siedzieć, bowiem „wyseпка” byłaby za duża. W związku z tym nie mogli prowadzić żadnych obserwacji w kierunku dziobu, a także używać steru.

Winnetou wszedł do wody, wczołgał się pod maskujący płaszcz roślinności i uchwycił rufy. W ten sposób, płynąc w ukryciu, mógł sterować szalupą w dowolnym kierunku. Nie należało się również obawiać, że Winnetou może się zmęczyć; był doskonałym pływakiem, a poza tym mógł dla odpoczynku dryfować razem z łodzią. Pozostali weszli na pokład jachtu.

- Uważajcie! - zawołał do nich Old Firehand ze swej kryjówki. - Musicie stanąć na pokładzie tak, aby wydawało się, iż cała wasza uwaga skierowana jest na tamten brzeg. Jeden z was niech położy się na pokładzie i przez lornetkę obserwuje naszą szalupę. Jeśli damy znak białą skórą, dryfujcie jeszcze przez chwilę, a potem podpłyfcie do miejsca, gdzie się zatrzymamy. A teraz na-przód!

Parowiec zawrócił i skierował się przez rzekę prosto w kierunku lewego brzegu. Za chwilę wypłynęła na środek rzeki także i szalupa.

‘I~udno jest odkryE bayou, którego ujście jest ukryte za gałęziami. ‘Iizeba zwracać uwagę na każdy drobiazg, co łatwo może zmęczyć nawet najbystrzejsze oko.

Old Firehand, Sam Hawkens i Winnetou nie odrywali oczu od brzegu. W ten sposób minęło sporo czasu. Wszystko jednak, co widzieli, to gałęzie i liście zwisające aż po lustro wody. Płynęli dalej i dalej. Nikt nie odzywał się ani słowem. Nagle Old Firehand przechylił się przez rufę.

- Bliżej do brzegu i wolniej, o wiele wolniej!

Apacz zastosował się do jego wskazówki; łódź stanęła niemal w miejscu. Naprawdę jednak, niemal niezauważalnie, kierowała się w stronę brzegu.

256

- Co się stało? - szepnął Sam.

- Zauważyłem kilka złamanych gałązek.

- Gdzie?

- Dwie stopy nad wodą jest złamana dość gruba gałąź.

- Widzę ją! Niech to diabli! Widzi pan ten but tuż nad wodą?

Mamy ich, jeśli się nie mylę!

Noga w bucie należała do sternika „Sprzedawcy dusz”. Został zauważony w chwili, gdy stojąc pod drzewami wśmiewał się z załogi jachtu Lindsaya.

Podsluchający usłyszeli jeszcze słowa Hoftera: „Cóż za szczęście, że oni płyną po tamtej stronie, a nie po naszej! Odpowiedź sternika była niezrozumiała. Wyraźne były tylko ostatnie słowa:

- Niech nas szukają! I tak nas nie znajdą!

Sam zachichotał cichutko pod nosem.

- Co za osły! Krzyczą tak, że można ich usłyszeć w Nowym Jorku. Nas uważają za głupców, a sami popełniają o wiele większe głupstwa, jeśli się nie mylę.

- Wcale nie zwracają uwagi na naszą pływającą wyspę - stwierdził z zadowoleniem Old Firehand. - Są widać bardzo pewni siebie. 'Ihraz trochę szybciej!' - zwrócił się do Winnetou. Apacz zaczął płynąć i łódź ruszyła żwawiej do przodu.

- ~ blade twarze nie mają oczu do patrzenia ani mózgu do myślenia. W przeciwnym razie musieliby nas już dawno zauważyć.

- 'Pdk - zgodził się Sam. - 'Idka wysepka nie płynie przecież nigdy zawsze prosto, tylko często kręci się wokół własnej osi. Fakt, że nasza tego nie robi, powinien rzucić im się w oczy. Dajmy znak naszym!

Old Firehand wysunął rękę z kawałkiem białej skóry i pomachał nią. 'Ihgo znaku nie można było zauważyć z prawego brzegu. Za-uważono go natomiast na jachcie, gdyż parowiec natychmiast 9 - Dolina śmierci 257 skierował się bardziej ku środkowi rzeki, ciągle jednak jeszcze dryfując, aby nie wzbudzić podejrzeń załogi „Sprzedawcy dusz”. Dopiero po dłuższej chwili, gdy zniknął z pola widzenia wprowadzających w błąd ludzi Hoftera, statek sir Dawida ruszył w stronę prawego brzegu.

Kilka minut wcześniej Winnetou dopchał szalupę do brzegu i przywiązał do jednego z drzew. 'I~raz wyszedł na ląd; Sam i Old Firehand poszli jego śladem.

- I co teraz? - zapytał mały traper.

- 'Itzeba pójść na zwiady! - zdecydował Apacz.

- Dobrze; ale który z nas?

- Szukamy bladych twarzy. Niech więc~ na zwiady pójda obaj moi biali bracia! Winnetou zostanie i poczeka na jacht. Old Firehand i Sam Hawkens zaczęli się czołgać pod gęstymi, nisko zwisającymi nad ziemią gałęziami. Wkrótce dotarli do bayou i zobaczyli łódź Hoftera.

- Dziefi dobry, panowie! - zachichotał pod nosem Sam. - Zaraz będziecie mieli nieproszonych gości~!

Na pokładzie leżało kilku marynarzy; poza nimi nikogo nie było widać w okolicy. Od strony rzeki dobiegały zduszone głosy Hoftera i sternika.

Zwiadowcy byli już tak blisko łodzi, że mogli ją dosięgnąć jednym skokiem.

- Ani śladu Wilkinsa - szepnął Sam.

~ - Z pewnością jest więziony wewnątrz.

- A gdzie jest Walker i jego banda? ^

- Być może śpią w kajucie.

- Doskonale! Sam Hawkens zaraz ukaże się im we śnie jako zjawia i tak ich przestraszy, że przejdzie im ochota na życie!

- Poczekajmy jeszcze! Może usłyszemy coś ciekawego. Tych dwóch, których podsluchaliśmy uprzednio, musi przecież kiedyś wrócić na pokład.

258

Przypuszczenia Old Firehanda okazały się słuszne; niebawem, od strony brzegu rzeki, pojawili się sternik i Hoffer.

- Ifim jest ten typ? - zapytał szeptem Sam.
- Nie wiem. Ale nie należy do bandy Walkera.
- Może to ten szanowny mister Hoftter, właściciel łodzi...
- Być może. 'I'~n drugi to sternik, wida~ to po jego ubiorze.
- Już nas minęli! - zawołał do marynarzy sternik. - Byli na tyle sprytni, że zorientowali się, iż nas minęli, ale za głupi, by nas znaleźć. Szukają nas teraz po tamtej stronie rzeki.

- Przeklęty drafi! - warknął Sam. - Pogłaszczę cię potem trochę pięścią pod żebrami i pod nosem, aż zrozumiesz, kto tu jest właściwie głupcem.

Za nimi rozległ się ledwie słyszalny szelest. Obejrzelisię i zobaczyli swoich towarzyszy z jachtu, którzy przyczołgali się tu wraz wodzem Apaczów.

- Doskonale! - stwierdził cicho Old Firehand. - Obez-władnimy ich tak szybko, że nawet nie zdążą pomyśle~ o obronie. Ale żadnego różlewu krwi! Jest nas wystarczająco dużo, aby zała-twić ich samymi pięściami.

Miał rację, bowiem wraz z traperami przyszło również kilku marynarzy z jachtu, a między nimi John Forner, który teraz leżał na ziemi obok Lindsaya szepcząc mu do ucha:

- W końcu mam jednak robotę dla swych rąk ~ stwierdził patrząc na swe olbrzymie pię~ci. - Długo za nią tęskniły.

- A teraz do dzieła! - powiedział Lindsay.

- ~cho tam! - rozkazał Old Firehand słysząc głośne słowa dobiegające z pokładu łodzi.

Hoftter stał obok sternika; jego twarz nadal była zamyślona.

- Oni mogą znowu zawróciE, a potem przeszukać również i ten brzeg - powiedział.

- Nic im to nie pomoże - odparł sternik. - Nikt nie znajdzie tej kryjówki. Chciałbym zobaczyć tu tego Wintera, czy jak on tam 259 się nazywa.

- On już tu jest! - rozległ się okrzyk.

W tym samym momencie Old Firehand rzucił się z brzegu na sternika i powalił go. W następnej chwili trzymał już za kark Hofttera. Marynarze z jego łodzi byli tak przerażeni, że nawet nie pomyśleli o obronie.

Old Firehand pobiegł do kajuty i gwałtownie otworzył drzwi. W jednym z foteli leżała blada jak trup Miranda. Ukryła się przedtem w kajucie i obserwowała całe wydarzenie przez okno.

- Ach, seniorita Miranda, jeśli się nie mylę! Pozwoli pani, że ją powitam. Ale przedtem, jeśli będzie pani tak łaskawa, proszę mi powiedzieć, gdzie jest mister Walker!

- Nie ma go tu.

- A mister Wilkins?

- 'I~ż go tu nie ma.

- Nic mi to nie mówi! Gdzie są pani towarzysze i ich jeficy?

- Odeszli już stąd. Wszyscy!

Miranda odzyskała panowanie nad sobą. W jej oczach nie było już lęku; spoglądała na Old Firehanda wzrokiem pełnym złośliwej satysfakcji. I'akże jej twarz znowu odzyskała kolory.

- Naprawdę? - zapytał traper. - Czy mówi pani prawdę?

- Przysięgam, że tak.

Old Firehand spojrział na nią ponuro.

- Kiedy stąd odeszli?

- Mniej więcej przed godziną.

- Dokąd i z kim?

- Z Indianami Mohawe, których tu przypadkowo spotkaliśmy.

- Nie życzę pani nic złego, seniorita, ale biada pani”” jeśli znajdę powód, aby się z panią porachować! - powiedział i wyszedł z kajuty. Przeszukał teraz ładownię, w której nie było już nikogo.

- Nie ma ich tutaj - powiedział znalazłszy się z powrotem na pokładzie, widząc skierowane na siebie pytające spojrzenia swych 260 towarzyszy.

- Nie ma? - wykrzyknął Hermann.

- 'Ii;k. Odeszli stąd razem z Indianami ze szczepu Mohawe.

- Wielki Boże! Są teraz jeficami Indian! Musimy natychmiast wyruszyć za nimi! Przedtem jednak załatwimy tych łotrów! Wszyscy byli gorzko rozczarowani. Ogarniała ich coraz większa złość. Ktoś wykrzyknął, że należy powiesić wszystkich marynarzy ze „Sprzedawcy dusz”, inny chciał zachłostać Mirandę na śmierć. Ktoś trzeci chciał nawet przywiązać wszystkich przeciwników do masztu „Sprzedawcy dusz”, a potem podpalić statek. Jedynymi, którzy zachowali całkowity spokój, byli Old Firehand i Winnetou.

- Spokojnie, tylko spokojnie - powtarzał Old Firehand. - Nie wolno nam działać ani zbyt pochopnie, ani niesprawiedliwie. Wódz Apaczów zejdzie na ląd, by poczekać na swych wojowników, my zaś tu, na pokładzie, dowiemy się od tych ludzi, co się wydarzyło. Dopiero wtedy postanowimy, co zrobić dalej.

Winnetou odszedł bez słowa.

- 'Idk, przesłuchać ich! - wykrzyknął John Forner. - Za-cznijmy od tej kobiety!

Z kajuty przyprawdzono Mirandę; Hermann rzucił na nią ponure spojrzenie.

- Jeśli pani okaże się winną, iż Almy Wilkins znowu zniknę-ła, to niech Bóg ma panią w swojej opiece!

Sternik doszedł już do siebie po ciosie Old Firehanda. Sam kiwnął mu głową szczerząc zęby w uśmiechu.

- No i jak ci się to podoba? - zapytał. - Śmiałeś się z jachtu, który szukał was po tamtej stronie. Ty głupcze! A my byliśmy j uż tutaj. Chciałeś zobaczyć mister Wintera, co? No to poczułeś jego pięść. Podziękuj mu za to! 'Pdm stoi, jeśli się nie mylę - Sam wskazał na Old Firehanda.

Jednakże traper nie miał teraz czasu dla Sama Hawkensa. Stał przed Mirandą, wskazując na Hoftera.

261

- Kim jest ten człowiek?

- Właścicielem łodzi; pozostali to sternik i marynarze. Poza nimi na pokładzie nie ma nikogo.

- A pani? Kim panijest?

Miranda spojrzała pytająco na Old Firehanda nie rozumiejąc go. Hofter za to błyskawicznie pojął, w jak niebezpiecznej sytuacji się znalazła.

- Tb moja narzeczona - powiedział szybko - a niebawem, moja żona.

- A więc proszę się przygotować, że wesele odbędzie się w więzieniu!

- Oho, mister! Proszę uważać; jestem uczciwym człowiekiem!

- 'IYudno to będzie panu dowieść. Old Firehand nie jest dziec-kiem, które łatwo zwieść.

- Old Firehand? Pan... pan jest Old Firehandem?

- Thk, a ten Indianin, który przed chwilą zszedł na ląd, to Winne-tou, wódz Apaczów.

- Winnetou!

Tb imię wykrzyknął nie tylko Hoffer; pozostali jego ludzie po-wtórzyli je za nim ze swojego rodzaju pełnym szacunku lękiem w głosie.

- A więc nie jest pan Winterem, który wysłał telegram do Wilkinsa?

- Który pan potem ukrył? Oczywiście, że nim jestem. Musi pan wiedzieć, że naprawdę nazywam się Winter. Ukrycie telegramu będzie pana drogo kosztowało.

- Od chwili, kiedy wiem, że jest pan Old Firehandem, nie mam się już czego bać - wyjaśnił odważnie Hoffer. - Jeśli popełniłem jakiś błąd, to nie w złych zamiarach. Ci ludzie zaś pracują dla mnie; musieli mnie słuchać. Są więc niewinni, tak samo jak marynarz For-ner, który stoi obok pana.

- Zobaczmy! Jak więc doszło do tego, że pomógł pan 262 przestępcom?

- Przestępcom? Nie wiem nic o żadnym przestępstwie. Wiem tylko, że mister Roulin i... i...

-I?

Hoffer zawahał się; nie chciał wymieniać imienia Mirandy w związku z tą sprawą, która, jak zaczął przypuszczać, wcale nie była tak uczciwa, jak przedtem myślał. Kochał Mirandę, albo przynajmniej tak mu się wydawało i chciał ją uchronić przed nieprzyjemnościami. Ale Old Firehand był uparty.

- I co dalej? - powtórzył swoje pytanie. - Żądam od pana całej prawdy. Tylko ona może pana uratować.

Przyciśnięty do muru Hoffer opowiedział dokładnie, pod jakim pozorem został zmuszony do wypożyczenia swej łodzi. Opowie-dział nawet przy tym o roli Mirandy, starając się jednak przedsta-wić sprawę tak, jakby postępowała ona w dobrej wierze. Potem opo-wiedział o wydarzeniach na łodzi podczas rejsu i pojawieniu się Indian Mohawe.

Wszyscy słuchali w napięciu jego opowieści. Kiedy skoficzył, Old Firehand przez długą chwilę patrzył przed siebie w milczeniu.

- Pafiskie opowiadanie brzmi wiarygodnie - zdecydował po chwili. - Wybaczam panu i pafiskim ludziom, to co zrobili. Ale tylko panu i pafiskiej załodze, bowiem to, co naopowiadał pan o senioricie Mirandziejest bajką. Znamy tę damę lepiej od pana i może pan mówić o szczęściu, że udało się nam uwolnić pana od tej zmiłi.

- A jakie popełniła przestępstwo? - zapytał Hoffer patrząc niepewnie na Mirandę.

- Jest współniczką człowieka, który nazywa się teraz Zennort i popełnił zaś szereg przestępstw pod nazwiskami Walker i Hop-kins.

- `Ib nieprawda! -wykrzyknęła Miranda. -Nie wiem o niczym!

- Jak to się więc stało, że Walker zabrał panią ze sobą w swoją podróż? A raczej ucieczkę. Najwyraźniej dlatego, iż bał się, ie może 263 go pani zdradzić.

- Nie muszę panu wcale odpowiadać. Nic mi pan nie może zrobić! Żądam, aby mnie uwolniono!

- Nic pani nie może żądać, a co najwyżej prosić. Nie ma zamiaru zrezygnować z argumentu, jakim było pani schwytnie. Jest pani naszą zakładniczką i jeśli miss Wilkins oraz jej ojcu coś się stanie, odpowie pani za to.

- Jestem damą i żądam, aby traktowano mnie w sposób przysługujący damom w tym kraju!

- Znowu pani czegoś żąda! Czy pamięta pani, że miss Wilkins też żądała podobnych względów. Czy tak ją potraktowano?

- Nie mam nic wspólnego z miss Wilkins.

- Czyżby? - zadrwił traper. - A kto zwabił tych dwoje w pułapkę? Czyż nie pani? Niech się pani nie trudzi; nie ma pani tu do czynienia z łatwymi dziećmi, tylko z mężczyznami. Od tej chwili jest pani naszym więźniem.

- Sprzeciwiam się!

- A w jaki sposób?

- Udaję się pod opiekę szanownego mister Hoftera i jego ludzi, którzy nie dopuszczą do tego, aby stała mi się krzywda.

- Mister Hoftera i jego ludzi? Oni sami potrzebują ochrony i będą szczęśliwi, jeśli odejdą cali i zdrowi. Czy masz kawałek dobrego sznura dla tej miss, Willu Parker?

- Nawet kilka metrów, jeśli pan tyle potrzebuje, sir!

- Co, chce mnie pan związać? - wykrzyknęła Miranda. - Mnie, damę?!

- Będzie pani przez nas potraktowana dokładnie tak samo jak miss Wilkins. Zostanie pani związana i basta!

Miranda musiała poddać się swemu losowi. Co prawda, Hofter usiłował temu przeszkodzić, został jednak natychmiast ostro skarcony przez Old Firehanda.

- Powinien pan być mi właściwie wdzięczny, że uwolniłem go od 264 tej bestii. Nie jest pan chyba głupcem, mister i nie da się zwieść pozorom! Niech pan będzie zadowolony, że pojawiliśmy się w odpowiednim momencie i uchroniliśmy pana od popełnienia czynów, za które musiałby pan ciężko odpokutować. Dla mnie ta sprawa jest załatwiona. Mam nadzieję, że swoim postępowaniem nie zmusi mnie pan do ostrzejszych kroków, niżbym tego chciał. Basta! Hofter nie odważył się już więcej sprzeciwić i zamilkł. Naturalnie, widać było po nim wyraźnie, że tylko z trudem znosi utratę Mirandy. Ale lękał się Old Firehanda i nie pozostało mu nic innego, jak pogodzić się ze swym losem.

‘Ibwarzysze Old Firehanda całkowicie zgadzali się z jego sposobem postępowania. Dalsze decyzje można było podjąć dopiero po powrocie Winnetou.

Wódz Apaczów niebawem znowu pojawił się na pokładzie.

- Wojownicy Apaczów i Marikopasów już przybyli. Co radzi dalej mój biały brat, Old Firehand?

- Nic, czego by wielki wódz Apaczów już nie zarządził.

- Winnetou wysłał trzydziestu wojowników, aby ruszyli tropem Mohawów i ich jeficbw.

Powiedział to tak spokojnie, jakby chodziło o rzecz całkowicie oczywistą. Old Firehand uśmiechnął się.

- Dlaczego?

- Wiemy już, że Mohawowie tu byli i zabrali ze sobą jeficów oraz wszystkich, którzy znajdowali się na pokładzie tej łodzi. Winnetou widział ich ślady. Było tu trzystu wojowników Mohawów. Niedługo jednak będą cieszyć się swą zdobyczą.

- Oni wiedzą, że ich ścigamy i będą chcieli zgotować nam odpowiednie przyjęcie w Dolinie Śmierci. Kiedy ma pan zamiar odpłynąć, mister Hofter?

Hofter rzucił pełne tęsknoty spojrzenie w stronę, w którą odprowadzono Mirandę. Szybko jednak opanował się.

- Kiedy tylko pan na to pozwoli! - odparł zdecydowanie.

265

- Doskonale! 'I~raz podoba mi się pan bardziej niż poprzednio.

Jest pan wolny i może odpłynąć, kiedy tylko zechce. Będę się cieszył, jeśli spotkam pana kiedyś w bardziej sprzyjających okolicznościach. Co powiedziawszy uwolnił Hoftera z więzów.

- Nie wolno dopuścić, aby Mohawowie zyskali nad nami zbyt dużą przewagę - zwrócił się do swoich towarzyszy. - Musimy więc natychmiast wyruszyć dalej, mimo iż niebawem zapadnie noc. Ja sam postaram się, wraz z panem von Adlerhorstem, dotrzeć do Doliny Śmierci przed Roulinem i jego ludźmi. A pan, sir Lindsay, czy popłynie pan dalej swoim jachtem w górę rzeki?

-No - oświadczył Lindsay. - Ja, naturalnie, pojedę z wami do Doliny Śmierci.

- Ma pan konia?

- Nie, ale będę miał. Apacze mają ze sobą konie juczne. Kupię jednego z nich.

- A pafiski statek?

- Nie potrzebuje mnie. Sternik zaprowadzi go do San Francisco.

- Mam więc do pana prośbę. Czy jacht może przewieźć mnie i pańskiego siostrzeńca przez pewien odcinek rzeki? Bardzo by nam to pomogło.

~ Płyćcie tak daleko, jak wam to potrzebne! Czy w drodze do Doliny Śmierci można spotkać niedźwiedzie?

- Od czasu do czasu.

- A bizona?

- Niekiedy.

- Doskonale! Jadę więc z wami. Oczywiście, nie tylko ze względu na bizona, ale przede wszystkim z powodu jeficów. Jeśli dopadniemy Mohawów, poproszę Winnetou o skalp wroga.

- Bardzo się pan rozczaruje, sir.

- Rozczaruję? Dlaczego?

- Ponieważ wódz Apaczów jest bardziej ludzki od niektórych

266 białych twarzy. Nie zabiera skalep swoim wrogom... ^ Rozkazy Old Firehanda były jasne i zostały dokładnie wykonane. Po upływie pół godziny płynął już wraz z Hermannem von Adlerhorstem na południe. W tym samym czasie Apacze, Mariko-pasowie wraz z sir Lindsayem, Liściem Koniczyny i związaną Mirandą w środku jechali pod wodzą Winnetou w stronę Doliny Śmierci.

.

Zwiastun grozy

Old Firehand znowu zabrał ze sobą Johna Fornera na pokład jachtu, gdyż marynarz dobrze znał bieg rzeki. Jak już powiedzieliśmy, „napad” Indian Mohawe miał miejsce w pobliżu Olive City. Plan trapera polegał na tym, aby popłynąć jachtem w dół Kolorado aż do ujścia Dry Creek, a potem tą rzeką tak daleko, jak to było tylko możliwe. Dry Creek, Suchy potok, był o tej porze całkiem sporą rzeką, przynajmniej w dolnym swym biegu, i był spławny na dość sporym odcinku. Od miejsca, w którym jacht musiałby się zatrzymać, Old Firehand chciał wraz z Hermannem jechać dalej konno do Dos Palmas, będącym końcową stacją znajdującej się jeszcze w owym czasie w budowie, kolejowej Linii Południowego Pacyfiku. Z Dos Palmas nie było już daleko do Doliny Śmierci leżącej w górach San Bernardino Range.

Podróż przebiegała zgodnie z planem. Jacht płynął przez całą noc, najpierw dół Kolorado, a potem w górę Dry Creek. Kiedy wczesnym rankiem Old Firehand opuścił parowiec wraz z Hermannem, mógł mieć nadzieję, że znacznie wyprzedził ściganych. Jacht, z Fornerem na pokładzie, zawrócił, podczas gdy Old Firehand z Hermannem ruszyli w dalszą podróż konno. Jako że konie były wypoczęte, już po południu jeźdźcy dotarli do celu. Dos Palmas było małą, nędzną osadą, składającą się z kilku 268 niskich domów, których białe, pokryte wapnem ściany ostro odbijały się w palącym słońcu. W kurzu drogi bawiły się nagie dzieci. O mury domów opierały się postacierównież w złańchmanionych ubraniach. W miasteczku nie było widać ani śladu studni czy zielonego drzewa. Jedyną oznaką życia były walczące ze sobą zdziczałe psy. Poza granicami osady, niemal na horyzoncie, zauważyć było można pojedyncze kojoty, wilki prerii, skradające się

po równinie. Ostry głód skłania nierzadko te dzikie zwierzęta do zbliżenia się do ludzkich siedzib. Niekiedy taki kojot dostaje wścieklizny z głodu, pragnienia i upału, stając się przyczyną strasznych nieszczęść wśród mieszkańców małych osad.

Obaj podróżni rozejrzeli się najpierw za jakimś sklepem. Zgodnie z rolą, jaką miał grać w Dolinie Śmierci, Old Fire-hand chciał zamienić swój strój trapera na inny. Na szczęście, znalazł w sklepie bogato zdobiony strój meksykański jakby zrobiony na jego miarę, a do tego również ubranie pasujące na Hermanna.

Potem zapytali o zajazd, w którym chcieli coś zjeść. Wskazano im go; jak na tutejsze stosunki podawane potrawy były wcale nie naj-gorsze. Zajazd posiadał korral dla koni, izbę gościnną i pozbawioną okien dziurę zwaną dumnie kuchnią. Z zajazdem stykał się ogród, w którym rosła duma całej osady - wysoka na pięć stóp wiśnia z trzema gałęziami całkowicie pozbawionymi liści. Zajazd nie miał gospodarza, tylko gospodynię, która przy-niosła obu podróżnym zamówione wino.

Na drewnianym krześle drzemał nieruchomo w rogu izby młody mężczyzna. Kiedy gospodyni zauważyła współczujące spojrzenia obu gości, odezwała się z dumą:

- To mój młodszy syn, seniores. Ma dar przepowiadania.
- Co ona ma na myśli? - zapytał cicho Old Firehanda Hermann.
- Że jest głupi albo szalony.

269

- Ach, czyli pewnego rodzaju przeniesienie indiańskich wie-rzeń.

- 'I'dk. W tych okolicach ludzie szaleni uważani są niemal za Świętych. Został oświecony przez Ducha, zaś wszystkim jego chao-tycznym słowom przydaje się głębszego sensu. Widzi pan, z jaką miłością spogląda na niego matka?

Gospodyni zauważyła, że rozmowa gości dotyczy jej szalonego syna.

- 'I-raz wypoczywa -wyjaśniła przyjaźnie. - Później, gdy Duch oświeci go znowu, możecie zadać mu swe pytania, na które wam odpowie. Santa Madonna! A cóż to znowu?!

W osadzie wszczął się jakiś hałas. Słysząc było kroki biegną-cych ludzi i ich pełne lęku okrzyki.

- Ciekawe, co też mogło się wydarzyć? - zastanawiała się kobieta. - Może znowu popełniono jakieś morderstwo? Ludzkie życie nic tu nie znaczy.

Okrzyki stawały się coraz wyraźniejsze.

- Uciekajcie, uciekajcie! -wołał czyjś przeraźliwy głos.
- Zamykajcie drzwi!
- Święta Matko Boża! Może to znowu jakiś wściekły kojot?! Ib byłby już trzeci w ciągu ostatnich dni.

Obaj mężczyźni podeszli do okna. Okrzyki zbliżały się coraz bardziej.

- Kojot, wściekły kojot! Chowajcie się do domów! Zamykajcie drzwi!

- Możemy być spokojni - stwierdziła kobieta. - Moje drzwi są mocne. Ale biada temu, którego ugryzie wściekły kojot! Dobry traper jest zawsze gotowy do działania, nawet w gośc-innej izbie jakiegoś zajazdu. Zaledwie Old Firehand usłyszał o wściekłym kojocie, już miał w ręce gotową do strzału rusznicę. Z okna zajazdu wida~ było mały placyk, na którym schodziły się prowadzące z przeciwległych stron dwie drogi. Jedną z nich właśnie 270 nadjeżdżał jakiś jeździec. Słyszał okrzyki, ale nie rozumiał ich treści. Beztrosko puścił wodze swego konia i z ciekawo~cią spoglądał na krzyczących ludzi.

- Niech mi niebiososa pomoga! - wykrzyknęła gospodyni zauważywszy go. - Tb mój syn! A potem pośpiesznie otwarła małe okienko.

- Uciekaj, Juanito! - zawołała. - Szybko! W osadzie jest wściekły wilk!

Jeździec nadal zdawał się nie rozumieć o co chodzi, gdyż przyłożył rękę do ucha. Hałas na drodze i krzyki matki spowodowały, że nie rozumiał ani jednego słowa. Nagle jednak pojął co się dzieje, i to bez słów.

Z boku bowiem wypadł na drogę wielki, szary kojot, ciągnący za sobą sztywny od wilgotnej ziemi, potargany ogon. Jego sierść była zjeżona, oczy zapadnięte, kości i żebra zdawały się dziurawić skórę, a język zwisał z pokrytego pianą pyska. Wilk gnał prosto w stronę jeźdźca.

- Uciekaj, Juanito, uciekaj! Na miłość boską i wszystkich świętych, uciekaj! - krzyczała kobieta.

Jeździec zobaczył swego wroga; wyciągnął rewolwer z olstera, po-tem uderzył konia ostrogami tak mocno, że wierzchowiec wspiął się na tylne nogi. Być może wilk przebiegłby obok niego, jednak gwałtowny ruch jeźdźca i konia zwróciły jego uwagę. Wściekły kojot zatrzymał się, skierował płonące oczy na młodego mężczyznę, a potem spisał się do skoku.

Jeździec natychmiast wystrzelił, jednakże jego kula minęła cel. Strzał przestraszył wilka. Skoczył w bok, wciągnął ogon pod siebie i zawył chrapliwie. Jeździec wykrzytał ten moment, by oddać kolejne dwa strzały. Pierwszy znowu ominął cel, drugi zaś tylko powierzchownie zranił zwierzę, które teraz, rozdrażnione, miało zamiar ponownie rzucić się na jeźdźca.

Z uliczki, z której wybiegł wilk, wypadły teraz dwa wielkie psy. Ich 271 sierść była zmierzwiona; krwawiły z wielu ran. Najwyraźniej walczyły już z kojotem i musiały się wycofać. Nadbiegły w odpowiednim momencie; rzuciły się na niego w chwili, gdy miał zamiar skoczyć na jeźdźca.

Juanito skorzystał z tej okazji i wystrzelił po raz czwarty do wilka, znowu nie trając. Potem galopem ruszył w stronę swego domu.

- Szybko, szybko! - krzyczała pełna lęku kobieta przez okno, a potem pobiegła, by otworzyć drzwi zajazdu. Jej przecucia sprawdziły się: wilk biegł za jeźdźcem. W krótkim czasie zdążył przegryźć nogę jednego psa i wyłączyć z walki drugiego. Przed domem Juanito zeskoczył z konia, uderzył go po zadzie, by odbiegł galopem, i jednym skokiem znalazł się w zajazdzie. Wbiegł do izby gościnnej, a za nim matka. Oboje jednak z przerażenia zapomnieli zamknąć za sobą drzwi.

- Uratowany! Dzięki Bogu! - wykrzyknął Juanito.

- Niech będzie pochwalona Najświętsza Panienska! Gdyby ci się nie... Na Boga! On tu jest!

Oczy kobiety skierowane były ku wejściu, w którym właśnie ukazał się wilk. Ujrzał jeźdźca, który mu umknął i skoczył w jego stronę.

Juanito rzucił się w bok, przewracając się przy tym na podłogę. W tym momencie rozległ się ogłuszający huk wystrzału, a izba wypełniła się prochowym dymem. 'Ib Old Firehand zastrzelił kojo-ta.

- O cielo! - wykrzyknął przeraźliwie Juanito. - Na pomoc!

- Czy cię ugryzł? - zawołała matka. - Święta Panienska!

Jej okrzyk utonął w hałasie psiego wycia.

- Psy! - zawołał Hermann. - Zostały pogryzione przez kojota. Uważajcie na nie!

- Nie ma obawy - zabrzmiał spokojny głos Old Firehanda.

Zaraz potem padły bardzo szybko kolejne dwa strzały oddane jakby w tym samym momencie. Potem rozległ się charkot 272 zdychających psów i jeszcze głośniejsze lamenty matki i syna, aż w końcu Old Firehand kazał im się uspokoić.

- Czy ktoś został pogryziony? - zapytał.

- Ja nie - odparł zbity z tropu Juanito.

- Ja też nie - dodała drżącym głosem jego matka.
- Więc nie krzyczcie tak, jakby was skalpowano!
- Ale mój synek, mój mały synek! - lamentowała dalej kobieta.

- Co mu się stało?

Kobieta pochyliła się nad swym niedorozwiniętym synem.

- Święci Pańscy ochronili go! Jeszcze dzisiaj zapalę świecę przed obrazem jego patrona!

- Czy kojot nie żyje?- zapytał Juanito.

- Naturalnie, w przeciwnym razie rozdarłby cię na strzępy. Zre-sztą zobacz sam.

Dym prochowy wypełniający izbę powoli się rozchodził. Tiafione w głowę zwierzę leżało na środku podłogi. Z pyska zwisiał mu wywalony jęzor. Z żółtawej piany wychylały się zakrwa-wione zęby, zaś ściervo wydzielalo z siebie obrzydliwą woń.

- Nie żyje! Naprawdę nie żyje! - potwierdziła kobieta pochy-lająca się z lękiem nad nieżywym wilkiem. -Ustrzeżliście nas wszystkich przed straszną śmiercią; bez was bylibyśmy teraz zgubieni. Nie jesteśmy w stanie nawet wyrazić naszej wdzięczności senior, jaką jesteśmy wam winni. Prawda, Juanito?

- Oczywiście - potwierdził młodzieniec wyciągając rękę do Old Firehanda. - Niech pan przyjmie moje podziękowania, senior! Jeśli będę w stanie coś dla pana zrobić, uczynię to. Dowiódł pan wielkiej przytomności umysłu i nadzwyczajnych zdolności strzelec-kich! Niech pan spojrzy, ilu ludzi zebrało się na zewnątrz! Najpierw ostrożnie, potem coraz odważniej gapie wchodzili do zajazdu, a potem do izby gościnnej, tak że niebawem zabrakło w niej miejsca. Zapanował hałas; wszyscy chwalili Old Firehanda za 273 błyskawiczną reakcję. Potem wyniesiono zastrzelone zwierzęta. Nie-bawem th~m się rozszedł. W końcu w izbie pozostała tylko gospodyni ze swymi synami i dwaj goście.

Juanito przyniósł butelkę wódki i postawił ją na stole.

Dopiero teraz Old Firehand mógł mu się dokładniej przyjrzeć. Ivlody człowiek nie miał jeszcze trzydziestu lat. Jego twarz miała osobliwe, szarżółte zabarwienie; poza tym zezował. Fakt ten, w powiązaniu z szerokimi, niemal pozbawionymi warg ustami i wysta-jącymi kośćmi pol~czkowymi wywierał odpychające wrażenie. Nie była to twarz, która mogłaby wzbudzić zaufanie.

Wyraziwszy swoją wdzięczność jedynie uściskiem dłoni, młody człowiek zachowywał się chłodno. Nie wspomniał nawet ani sło-wem, że jego bratu i matce groziło wielkie niebezpieczeń-stwo. Był, jak się wydaje, człowiekiem całkowicie pozbawionym serca, a może jeszcze kimś gorszym.

Wypił szybko kilka kieliszków wódki, podczas gdy jego matka ciągle jeszcze zajęta była jego niedorozwiniętym bratem.

- Co się stało, że zajrzałeś do nas dzisiaj, Juanito? - zapytała.

- Nudziło mi się.

- Czy twój pan ciągle jeszcze nie przyjechał?

i:;;

- Nie.

- ~edy wraca?

- Nie wiem. Zostawił wszystko na rnojej głowie, wszystkie kłopoty i troski, a nie dostanę za to ani grosza więcej. Niech go diabli wezmą! Jeśli zdarzać się to będzie częściej, powiem mu, że mam tego dość. Wolę raczej odejść od niego.

- Co? Chyba nie chcesz odejść z pracy? Nigdy i nigdzie więcej nie zarobisz tylu pieniędzy. Powinieneś o tym pamiętać.

- Nie mam jednak zamiaru znowu znaleźć się w takim niebezpieczeństwie i się zatruć.

- Przecież ty właściwie nie masz nic do roboty na dole.

- Och, ja muszę być wszędzie, także i przy tyglach do topienia.

274

Przyjrzyj mi się tylko! Kolor mojej skóry mówi, że wdycham rtęć.

Mam zamiar trochę zaoszczędzić i otworzyć potem własny interes. Ale nie mam zamiaru pracować ponad siły, podczas gdy mój pan będzie leniuchował i tygodniami włóczył się konno po okolicy.

- Dokąd on właściwie pojechał?
- Nad Błękitną Wodę.

Old Firehand i Hermann zaczęli przysłuchiwać się rozmowie matki z synem już w chwili, gdy zaczęła być mowa o rtęci; Nazwa Błękitna Woda wzmogła jeszcze ich uwagę.

- Na miłość boską! - zdziwiła się kobieta. - Czego on tam szuka? 'Ib przecież teren wrogich nam Apaczów.

- On się ich nie boi. Ma ze sobą Marikopasów. Chce... ale to nie powinno obchodzić ani ciebie ani innych.

Juanito spojrzał przy tym nieufnie na obu przybyszów.

-Może chce przywieźć srebro, które ponoć jest tam zakopane-zamyśliła się kobieta.

- Nie wiem.

- Przecież musiał ci powiedzieć, po co jedzie w tak niebezpieczną podróż.

- Oczywiście, że mi powiedział. Jestem w koficu jego zaufanym człowiekiem. Beze mnie w ogóle nie mógłby nic zrobić.

- A więc teraz musisz sam prowadzić całą kopalnię?

- Absolutnie sam; dlatego też mówię, że zapracuję się na śmierć! - i Juanito ponownie spojrzał ponuro na gości.

- Tb życie jak w piekle. Wokół skały, nic tylko skały, słoneczny żar i trujące opary. Niech to wszyscy diabli wezmą! Pomówmy jednak o czymś innym! Skąd jesteście, seniores?

- Z tamtej strony granicy - odparł Old Firehand.

- Meksykanie?

- 'Pdk.

- Co was sprowadza do tej dziury?

- Interesy.

275

- Interesy? Nie bardzo was rozumiem. W tej nędznej okolicy nie da się przecież ubić żadnego interesu.

- Może jednak. Jestem plantatorem i odkryłem na swej ziemi bardzo dobrą bonanzę .

- Cielo! -wykrzyknął Juanito. - Czy ona jest rzeczywiście taka dobra?

- Bardzo wydajna.

- Złoto czy srebro?

-Itoito.

- Tb bardzo, bardzo rzadki przypadek. Życzę panu dużo szczęścia, senior. A jaki związek ma pańska bonanza z tą podróżą?

- Moje srebro nie jest czyste, muszę je odzyskiwać z rudy, a do tego potrzebna jest, jak pan wie... .. rtęć - wpadł mu w słowo Juanito.

- Naturalnie.

- Ach, teraz rozumiem, jakie to interesy sprowadziły tu pana!

Chce pan kupić rtęć u seniora Roulina?

- „Pdk. A skąd panu przyszło do głowy nazwisko Roulin?
- Ponieważ jest w tej okolicy jedynym, u którego można ją kupić.
- Zna go pan może?
- Naturalnie; jestem jego pracownikiem. Pracuję u niego jako zarządca.
- Czy to o nim mówił pan przed chwilą?
- `Iak.
- Nie ma go w domu, jak słyszałem?
- Nie. Jest nieobecny.
- A kiedy wróci?
- `I~go nie wiem. Wyjechał na czas nieokreślony. Może wrócić już dzisiaj, albo dopiero po kilku tygodniach.
- Nie mogę czekać aż tak długo.
- I nie musi pan; przecież ja tu jestem!
- Czy ma pan pełnomocnictwo do zawierania umów?

276

- Oczywiście.
- Doskonale. Czy ta kopalnia leży w tak zwanej Dolinie Śmierci?
- `Pdk.
- Kiedy pan tam wraca?
- Jeszcze dzisiaj.
- A więc pojedziemy z panem.
- `Ib niemożliwe, senior.
- Dlaczego?
- Roulin nie lubi, gdy obcy przyjeżdżają do doliny.
- Nie bardzo rozumiem. Jeśli ktoś chce kupić od niego rtęć, musi przecież do niego przyjechać.
- `Ib nie jest konieczne. Spory jej zapas leży u mojej matki. Tb do niej przychodzą ludzie, którzy chcą ją kupić.
- Hm... Ile jej macie na składzie?
- Całe sto funtów.
- `Ij~lko?
- Potrzebuje pan więcej?
- Cztery razy tyle.
- Caspita! Jest pan w stanie tyle zużyć?
- `Pdk, w przeciwnym razie nie kupowałbym jej.
- Może pan zapłacić?
- Nie zwykłem pożyczać.

Oczy Juanita zaczęły robić się coraz większe. Dokładnie, od stóp do głów, przyjrzał się Old Firehandowi i Hermannowi, jak gdyby chciał ich zmierzyć.

- Sądziłem tylko, że pomylił się pan w obliczeniach - powiedział po chwili. - Czy kupował pan już kiedyś rtęć?
- Tak.
- I twierdzi pan, że ma tyle pieniędzy, iż jest w stanie zapłacić za czterysta funtów?
- `Idk. Więc jak? Chce pan ze mną zrobić fen interes czy nie?

277

- Naturalnie.
- A co z tymi brakującymi trzystoma funtami?
- Przyślę je panu tutaj potem.

Juanito spojrział z ukosa na Old Firehanda. 'li~aper zauważył to spojrzenie i wiedział co ono oznacza. Juanito zastanawiał się po prostu, czy przybysz wpadnie w jego pułapkę. Przed chwilą zabronił mu odwiedzin w Dolinie Śmierci; teraz jednak, gdy wiedział, że ten ma przy sobie dużo pieniędzy, bardzo chciał, aby pojechał razem z nim.

- Sądzi pan, że zwykłem kupować kota w worku? - odezwał się po chwili Old Firehand. - Nie mam tego w zwyczaju.

- Nasza rtęć jest czysta.

- Możliwe, ale mimo to chcę ją zbadać. Pojadę z panem.

- A jeśli się nie zgodzę?

- Wtedy nasz interes nie dojdzie do skutku.

- Zdaje się, że pan bardzo chce zobaczyć Dolinę Śmierci?

- Najpierw zależy mi na tym, aby zbadać rtęć. Chcę być jednak wobec pana szczery i przyznaję, że jestem jednak zaciekawiony. 'Ib miejsce ma tak dziwną nazwę, że chyba każdy chciałby zobaczyć tę dolinę.

- Hm... - zaczął się zastanawiać Juanito. - Chciałbym spełnić pafiskie życzenie, ale jeśli w tym czasie wróci senior Roulin, wtedy... .. nic się nie stanie. Powie mu pan, że przyjechaliśmy do pana od razu do Doliny Śmierci.

- Byłaby to wymówka, której nic nie mógłby zarzucić.

- Szczególnie, że chcemy kupić tak dużą partię towaru.

- No dobrze; spróbuję.

- A więc weźmie nas pan ze sobą?

- 'Pak.

Przysłuchująca się do tej pory w milczeniu rozmowie gospodyni podeszła bliżej.

- Rozumię pana, senior - powiedziała błagalnym tonem - ale 278 czy wie pan, że mój syn może z tego powodu stracić pracę?

- Ależ skąd! Słyszała pani, jaką doskonałą ma wymówkę.

- Senior Roulin nie uwierzy w nią.

- Będzie musiał. Przecież nie ma powodu do wątpliwości.

- Nie zna go pan. Jest bardzo podejrzliwy.

- Ale chyba nie ma powodu, by tak bardzo lękać się naszej wizyty w Dolinie Śmierci.

- Nawet gdyby początkowo uwierzył, że mój nie zabrał was ze sobą, to w koficu dowie się jednak prawdy.

- W jaki sposób? Zdradzi nas pani i opowie mu o tym?

- Nie, ale usłyszysz historię o wściekłym wilku, dowie się, że urato-waliście Juanito, a potem pojechaliście z nim do Doliny Śmierci.

- Do tej pory już nas tu nie będzie.

- Ale Juanito zostanie; to on odpowie za to, nie wy.

- To moja sprawa - przerwał jej Juanito. - Milcz!

- Nie, nie powinieneś zabierać ze sobą tych seniores!

- A właśnie, że wezmę!

Na twarzy kobiety pojawił się strach, który musiał mieć jeszcze inne przyczyny poza lękiem o syna. Gospodyni podeszła bliżej do Old Firehanda.

- Nie pojechalibyście tam gdybyście wiedzieli, że...

- Milcz, starucho! - brutalnie przerwał jej Juanito.

- Będę milczała jak zawsze, aby ci nie zaszkodzić. Ale ci seniores uratowali nas; jestem im to winna. Będę wobec nich szczera.

- Tb przecież tylko bajki!

- Nie, to prawda! Musicie wiedzieć, seniores, że Dolina Śmier-ci jest niebezpiecznym miejscem.

- Dlaczego? Z powodu upałów?

- Nie, za przyczyną złego ducha, który mieszka w skalistych rozpadlinach. 'I-n, kto wejdzie do Doliny Śmierci, jest czło-wikiem zgubionym.

- Nie wierzę. Pani syn mieszka tam przecież i przyjeżdża pania 279 odwiedzać.
- Dałam mu cudowny amulet, który go chroni.

- Ach tak! A senior Roulin, właściciel doliny? Czy zły duch jest dla niego również groźny?

- Może on też ma amulet.

- Niech się więc pani o nas nie troszczy! Mój towarzysz i ja także mamy takie cudowne amulety. Proszę tylko spojrzeć - i Old Fire-hand wskazał najpierw na swoją, a potem na rusznicę Hermanna.

- Raczy pan żartować! Myśli pan, że prochem i ołowiem możecie zaszkodzić złemu duchowi?

- Z pewnością!

- Nie, nie! Byli tam już tacy, co wierzyli w swe strzelby: senior Wilkins, senior Adler i...

- Diabło! Zamilknij wreszcie! - ryknął wściekle na matkę Juanito.

- Nie, dzisiaj nie będę milczała! Wielu ludzi poszło do doliny: mężczyźni, kobiety i dziewczęta. Nikt już o nich potem nie słyszał.

- Z pewnością się czegoś o nich dowiemy. Już dawno chciałem spotkać jakiegoś ducha. Może uda mi się spełnić to życzenie.

- 'Pdk, zobaczcie go. Ale chwila, w której to się stanie, będzie waszą ostatnią.

- Jesteś szalona, matko!

- Powiedziałam wam, seniores, że mój najmłodszy syn potrafi patrzeć w przyszłość. Zapytajcie go sami.

Kobieta pociągnęła Old Firehanda za rękaw do krzesła, na którym siedział nieszczęśnik. Hermann poszedł śladem trapera. Kobieta ustawiła ich przed chorym biedakiem i zapytała, wskazując na Old Firehanda:

- Czy widzisz tego seniora, Enrique?

Chory wolno uniósł ciężką głowę i wpatrzył się w Old Firehanda.

- Widzieć go, widzieć go. Tak - zamruczał pod nosem.

280

- Czy to dobry człowiek?

- Dobry, bardzo dobry. Enrique go lubić.

Powiedział to być może dlatego, że mimo swego szaleństwa, zdołał zrozumieć, iż Old Firehand uratował jego rodzinę.

- On chce jechać do Doliny Śmierci? Czy powinien?

- Niech jedzie! Nic mu się nie stanie.

-Alabado mea Dios! Bogu niech będą dzięki! Zawsze sprawdza się to, co on mówi.

Juanito wstał z krzesła i z ponurą twarzą przyglądał się tej scenie.

- No i masz, co chciałaś! - zadrwił z matki. - Ponieważ kilku podróżnych pojechało do Doliny Śmierci, a potem dalej, a w związku z tym nie wracali przez tę dziurę, matka uwierzyła w tę bzdurę, że zniknęli. Zły duch doliny! 'Ib bardziej niż śmieszne! Chyba w to nie wierzycie, seniores?

- Ani nam to w głowie! - roześmiał się Old Firehand. - Chyba wynikało to już przedtem z moich słów.

- 'Tak. Aczkolwiek muszę was uprzedzić, że droga do doliny wcale nie jest taka bezpieczna, ale nie z powodu złego ducha, tylko wrogo nastawionych Indian. Jesteście dobrze uzbrojeni?

- 'Pdk.

- Czy macie tylko te rusznice?

Zarówno Old Firehand jak i Hermann mieli zamiast pasów szerokie meksykański szarfy owinięte wokół bioder, za którymi były ukryte rewolwery. Spojrzenie, jakie rzucił na ich broń Juanito, nie wzbudziło ich zaufania.

- Oprócz tych rusznic mamy jeszcze noże - odparł ostrożnie Old Firehand. - To chyba wystarczy?

- W zupełności, skoro na dodatek jest pan tak doskonałym strzelcem, jak to miałem okazję zaobserwować. Jedźmy więc.

- Jesteśmy gotowi. Jak daleko jest do doliny?

- Będziemy potrzebować około czterech godzin, by dotrzeć do celu. Macie dobre konie? 281

- Lepsze od pańskiej szkapy.

- A więc jedźmy!

Goście zapłacili i pożegnali się z gospodynią zajazdu uści-skiem dłoni.

Na północ od Dos Palmas rozciągała się nie posiadająca wszelkich dróg i ścieżek szeroka, kamienista równina pozbawiona śladu jakiej-kolwiek roślinności. Mimo że było już późne popołudnie, słońce prażyło wysuszoną, nieurodzajną ziemię tak mocno, że aż oczy bolały od jego blasku.

Mężczyźni jechali obok siebie w milczeniu.

Juanito ukradkiem obserwował swoich towarzyszy; oni udawali jednak, że wcale tego nie zauważają.

- Jak wydobywacie rtęć, senior? - zapytał Old Firehand. - W czystej postaci?

- Nie, jako siarczek rtęci.

- A więc jako cynober. Z dużej głębokości?

- 'k.

- Macie wielu robotników?

- Nie. Jest go tyle, że wystarczy niewielu górników, aby wydo-bywać ilość potrzebne do zaspokojenia potrzeb naszych klientów.

- Senior Roulin musi więc być bogatym człowiekiem.

- Być może.

- Od dawna jest właścicielem kopalni?

- Nie wiem.

- A czy nie ma ochoty jej sprzedać?

- Nie pytałem go o to. Mam wrażenie, że dobrze się tu czuje. Nie jest żonaty, a o gospodarstwo troszczy się gospodyni. Ale nie mów-my o tym; nie interesują mnie osobiste sprawy mego chlebobawcy.

- Wielkie nieba! Ale pan jest tajemniczy! Można się nawet przestraszyć!

- A więc wracajcie!

- Na dodatek jest pan nieuprzejmy! Dziwny z pana człowiek.

282

Lubię takich ludzi. Jestem przekonany, że pan mnie też polubi, gdy się bliżej poznamy.

- Być może.

Juanito dodał swemu koniowi ostrogi i ruszył galopem. Old Firehand i Hermann musieli uczynić to samo. Jednak ani jednym spojrzeniem nie zdradzili swoich myśli.

Od tej pory nikt nie odezwał się już ani słowem. Juanito jechał cały czas nieco bardziej z przodu, aby odebrać im ochotę do rozmowy. Nie miał pojęcia, jak miałby odpowiadać na ich pytania. Poza tym był ciągle jeszcze wściekły na to, co powiedziała jego matka; nie miała pojęcia, na jakim

stanowisku pracował właściwie u Roulina i kim jest zły duch, przed którymi ostrzegała obu podróżnych.

Po trzech godzinach równina zaczęła się wznosić. W oddali ukazały się ostre zarysy gór. W miarę jazdy ich grzbiety zbliżały się do siebie coraz bardziej. Kiedy słońca dotarło do horyzontu na zachodzie, jeźdźcy wjechali do wąskiego wąwozu głęboko wcinającego się między strome, skaliste ściany.

- 'Ib jest wejście - stwierdził krótko Juanito.
- Do Doliny Śmierci?
- Naturalnie!

Można było odnieść wrażenie, że każde słowo tylko z trudem wydostawało się z jego ust.

Wąwóz był długi. Rozszerzał się dopiero później; opadając stro-mo przechodził w szeroką kotlinę, na widok której Old Firehand mimowolnie wstrzymał konia.

- 'Pdk, widać, że to jest właśnie Dolina Śmierci - powie-dział.

Kotlina mierzyła w poprzek około trzech kilometrów. 'Iworzyły ją czarne, skaliste ściany opadające niemal prostopadle na dno, po-przerywane wąziutkimi, poszarpanymi zapadlinami. Na obserwato-rze ściany te robiły niesamowite wrażenie. Zdawać by się mogło, iż 283 nigdy szalał tu wielki pożar, który zabarwił je na czarno lub też, że było to wejście do wnętrza Ziemi, dopiero niedawno zamknięte skalnymi złomami.

Słofice już zaszło, ale żar jaki pozostawiło po sobie, nie znalazł ujścia, zabierając ludziom i zwierzętom możliwość oddychania. Konie zaczęły parskać lękliwie.

Wokół nie było ani śladu drzewa czy źdźbła trawy. Wszystko w okolicy było martwe. Z jednym, jedynym wyjątkiem. Pośrodku tej ponurej pustki wznosiła się prostopadła gbra. Na szczycie, spomiędzy skalnych zębów, wydobywała się z niej cienka, szara smużka dymu.

- Co tam się pali na szczycie? - zapytał Old Firehand.
- Krater - odpowiedział Juanito.
- Ach! Wulkan! liitaj? 'I-go naprawdę nie przypuszczałem. Czy jest niebezpieczny?
- Nie. Jedynym znakiem jego życia są tylko opary, jakie się z niego wydobywają. 'Ilwdno je nazwa~ dymem czy parą.
- Czy można zobaczyć ten krater?
- Nie. Góra jest nie do zdobycia. Na jej szczyt nie prowadzi żadna ścieżka.
- Ale mimo to są tam ludzie!
- Nie.

A jednak, senior.

- Musiałbym przecież o tym wiedzieć~!
- Czy nie widzi pan tego ciemnego punktu? Założę się, że to człowiek.

Przez twarz Juanita przemknął grymas wściekłości.

- Człowiek? Nie. ló z pewnością ptak. Zaraz to sprawdzimy!
- Niech pan zostawi swą lornetkę w futerale!

Juanito przyłożył dłonie do ust i wydał przeraźliwy okrzyk.

Znajdująca się na górze syiwetka natychmiast zniknęła.

- Widzi pan; to był ptak! - powiedział.

284

- Gdyby to był ptak, to by odleciał. 'Pd postać jednakże nie odleciała, tylko się ukryła.

- 'Ib ja jestem tutaj w domu, senior. Jeśli nie chce pan wierzyć moim słowom, to niech się pan lepiej w ogóle nie odzywa!

- Proszę się na mnie nie gniewać; nie miałem zamiaru panu zaprzeczać. A gdzie jest pańskie mieszkanie?

- Zaraz je pan zobaczy.

Juanito ruszył szybciej do przodu, tak że nie usłyszał słów, jakie zamienili ze sobą Old Firehand i Hermann.

- Tb był człowiek - szepnął Hermann.

- Oczywiście.

- A jeśli ta skała jest wulkanem, to dam się upiec na wolnym ogniu. Sądzę, że wiem, kim jest ten zły duch, o którym mówiła gospodyni w zajeździe.

- Będziemy na niego uważać, ale musimy być przy tym ostrożni. Jestem przekonany, że ten typ będzie dybał na nasze życie. Ale teraz sza! Ani słowa więcej! Nie może przeczuwać, że go przejrzeliliśmy.

- Och, sądzą, że już to przeczuwa! Zbyt mu się pan sprzeci-wiał.

- Nie mogłem znieść jego bezczelności.

Przejeżdżali teraz u stóp rzekomego wulkanu. Po chwili ujrzeli drugą część Doliny Śmierci. Jak okiem sięgnąć, nie widać było śladu ludzkiej siedziby. Tylko po lewej stronie widać było jakieś mury. Były to trzy ściany z kamienia stykające się ze skałą i tworzące z nią wysoki czworokąt.

- Co to jest? - zapytał Old Firehand.

- Moje mieszkanie - odparł Juanito zatrzymując się.

- Bez okien?

-Tb co widzicie jest tylko murem otaczającym dziedziniec. Okna znajdują się wewnątrz, w ścianach domu.

- Ach, więc ten mur otacza hiszpańskie patio. Gdzieś jednak 285 muszą tu być jakieś drzwi?

- Są tam.

Juanito ruszył przodem i skręciwszy za róg podjechał do bramy; była tak niska, że trzeba było zsiąść z konia i tak wąska, że mógł przez nią przejść tylko jeden człowiek. Zrobiono ją z grubych desek i obito żelazną blachą. Nie było w niej żadnego zamka, dziurki od klucza ani klamki.

Juanito zsiadł z konia i mocno zastukał kolbą pistoletu. Po dłuższej chwili bramę otwarto. Ze szpary wyrzała głowa w czerwonej chustce, o długim, wydatnym nosie i zwiędłych, pozbawionych zębów ustach.

- Kto tam? - zapytał chrapliwy głos.

- Ja. Czy mnie nie poznajesz, stara czarownico?

- Ach, to ty panie! A goście? 'Ib przecież zabronione!

!!

- Nic cię to nie powinno obchodzić

- Senior Roulin będzie się wściekał.

- 'Ib moja sprawa. Otworzysz w końcu czy nie?

- Jeśli weźmie pan to na siebie! Mnie to obojętne.

Kobieta otwarła bramę do końca i wyszła na zewnątrz. Wyglądała rzeczywiście jak stara czarownica z dziecięcych bajek, która mieszka w głębi starego boru i zjada dzieci. Była boso i miała na sobie tylko starą potarganą spódnicę i koszulę, która chyba nigdy nie była prana. Jej stopy były brudne, tak samo jak nagie ramiona i ręce. Starucha sprawiała wrażenie, jakby wyszła właśnie z wędzarni, w której wisała przez kilka miesięcy i wyschła na mumię. Skierowała swe pozbawione rzęs oczy na obu obcych.

- Wchodźcie więc do środka i bądźcie pozdrowieni! Będzie się wam u nas podobać!

Starucha roześmiała się, a jej śmiech zabrzmiał jak triumfal-ne krakanie wrony trzymającej już swą zdobycz w szponach. Pierwszy wszedł do wewnątrz Juanito, prowadząc za sobą swego konia, a zanim Old Firehand i Hermann.

286

Przez ciemny i ponury korytarz cała trójka przeszła na dziedzi-niec. 'I-raz zobaczyli okna w ścianach domu; pozbawione one jednak było zarówno szyb jak i ram. Praktycznie rzecz biorąc, były to tylko wąskie, przypominające strzelnice otwory w murach.

- Zaprowadźcie swoje konie do stajni - powiedział Juanito i ruszył przodem w stronę pozbawionego drzwi pomieszczenia, które przypominało stajnię tylko z powodu kilku żelaznych haków służy-cych do przywiązywania koni.

- Czy w dolinie jest trawa dla koni?

- Nie, ani źdźbłą. Karmimy je kukurydzą, którą oczywiście musimy tu przywozić z daleka.

- A woda?

- Jest, ale bardzo mało. W dolinie nie ma źródła, z którego woda nadawałaby się do picia; wszystkie są zasiarczone. Musimy zbierać wodę deszczową w tamtych zbiornikach. Niestety, w tej okolicy deszcze padają rzadko.

Old Firehand podszedł do zbiornika. Była to głęboka, czwo-rokątna dziura. Nie był w stanie dojrzeć jej dna, ale w nos uderzyła go wofi nieświeżej wody, która natychmiast odebrała mu ochotę do picia. Odwrócił się i zauważył, że obok zbiornika leży na ziemi długa i bardzo mocna drabina.

- Chodźmy, seniores - odezwał się Juanito. - A teraz zapro-wadzę was do sali.

Powiedziawszy to, ruszył w stronę szerokich, kamiennych scho-dów. Wszedłszy na ich szczyt, otworzył znajdujące się tam drzwi. Było to wejście do pomieszczenia, które Juanito przed chwilą nazwał salą. Była to jednak tylko zwykła izba, w której stał stary stół i kilka krzeseł. Dwie wąskie szczeliny w murze miały służyć za okna; teraz jednak, jako że zapadł zmierzch, nie dawały one żadnego światła. Dlatego też Juanito zapalił świecę. Lichtarzem była dynia, w której wycięto dziurę.

- A więc witam was, seniores! - powiedział. - Siadajcie

287 i rozgoście się! Ja wyjdę na moment, ale zaraz wrócę. Kiedy wyszedł z izby, obaj mężczyźni spojrzeli na siebie pytają-co, a potem wybuchnęli stłumionym śmiechem.

- I to ma być sala! - stwierdził ironicznie Hermann. - Pie-kielnie wytworna! Nie oczekiwałem tutaj takiego przepychu.

- Sądzę, że jeszcze nie raz przeżyjemy tu podobne zasko-czenie. Właściwie, to nie ma się z czego śmiać.

- Nie, wcale nie. Co pan powie o tej starej?

- 'Ib pra-pra-prababka diabła.

- Co najmniej. I to wejście. Kiedy wprowadzałem za sobą konia, miałem wrażenie, że jestem głupcem wchodzącym dobro-wolnie w pułapkę.

- Ja również. A że jesteśmy w pułapce, nie mam najmniejszych wątpliwości.

- Jest pan pewien, że on dybie na nasze życie?

- Całkowicie - skinął zamyślony Old Firehand.

- Przecież uratowaliśmy mu życie.

- 'I-mu typowi jest to absolutnie obojętne. Najpierw nie chciał nas zabrać ze sobą, ale kiedy usłyszał o pieniądzech, natychmiast się zgodził. Był nawet grubiański wobec własnej matki.

- Musimy bardzo uważać.
- Najpierw jednak trzeba się dowiedzieć, ile osób jest w tym domu. Jestem przekonany, że niebawem dowiemy się, gdzie... Pst! Ktoś nadchodzi.

Bestie ludzkie

Wyszedłszy z „sali” Juanito poszedł ciemnym korytarzem, w którym znajdowało się wiele obitych żelazną blachą drzwi. Wszedł do niskiego, rozjaśnionego słabym światłem pomieszczenia. Siedziała w nim małym starucha nabijająca sobie tytoniem stary, obgryziony cybuch.

- Czy coś się wydarzyło podczas mojej nieobecności? - zapytał.
- Nie.
- A Anita?
- Była bardzo spokojna. Myślałam, że nie przyjedziesz dzisiaj, panie!
- Spotkałem tych dwóch ludzi i musiałem wrócić.
- Czego oni chcą?
- Kupić rtęć.
- Przecież jest u twojej matki!
- I tak; nie chciałem zabierać ich ze sobą do doliny. Ale w końcu... muszę ci coś powiedzieć.
- No to mów!

Starucha zapaliła fajkę.

- Czy pamiętasz, jak wtedy, ten Anglik...
Starucha wyszczerzyła zęby w uśmiechu.
 - 10 Dolina śmierci 289
 - I był tłusty kasek! Szkoda, że tak dawno. Znowu powinienem trafić taki sam. rrrrrr.
 - Lepiej dwa niż jeden.
 - Co masz na myśli? Czyżby tych dwóch, którzy przyjechali z tobą?
 - Idk.
 - Mają pieniądze?
 - Wiele setek dolarów.
 - Dios! Ile z tego dostanę?
 - Całe sto.
 - I ubrania, ubrania!
 - Zgoda.
 - Jestem z tobą. Roulin oczywiście nie może się o niczym dowiedzieć.
 - Boże ucho! A więc ty dostaniesz sto dolarów i ubrania, a ja konie i resztę.
 - Zgoda.
 - Czy masz jeszcze tę trucizną do mięsa?
 - I tak. Anglik też ją wtedy zjadł. Niech to diabli, ale on się wtedy związał i jęczał, gdy trucizna zżerała mu wnętrzności! Starucha zachichotała pod nosem; na jej twarzy ukazał się straszliwy grymas. 'Idź kobieta była chyba jeszcze gorszą istotą od Juanita.
 - A więc przygotuj ją! - rozkazał Juanito. - Seniores są głodni.
- Ja tymczasem przyniosę mięso.

Gdy wyszedł z izby, zatrzymał się na moment. Miał wrażenie, jakby poczuł lekki powiew powietrza. Czyżby ktoś przebiegł tędy przed chwilą? Zaczął nadśledzać. Nie zobaczywszy, ani nie usłyszawszy niczego, poszedł dalej schodami w dół, a potem do spiżarni na dziedzińcu.

A jednak się nie mylił. Pod drzwiami izby stała i podsłuchiwała jego rozmowę ze staruchą jakąś kobietą. Kiedy wyszedł na 290 ~, korytarz, błyskawicznie odskoczyła kilka kroków, a potem stała się ~, ~, ~, ~ bez ruchu do chwili, gdy ruszył dalej. Po pewnym czasie kobieta zaczęła się znowu

skradać. Nie miała ani sekundy do stracenia. Jej kroki były coraz głośniejsze, gdy zbliżała się do celu. 'Ib właśnie ją słyszał Old Firehand nadsluchując pod drzwiami.

Kobieta weszła do „sali”. Jej suknia była potargana i brudna

mimo to kobieta nie sprawiała wrażenia prostej. Już na pierwszy rzut oka widać po niej było, że jest Hiszpanką.

- Czego pani sobie życzy, seniorito? - zapytał Old Fire-hand.

Dziewczyna położyła palec na ustach i powiedziała lęklwym szeptem:

- Cicho, senior, cicho! Nikt nie może wiedzieć, że przyszłam tutaj. Chcę was ostrzec przed Juanito i tą staruchą; mają zamiar was otruć.

- Czyżby?!

- Mięsem; on poszedł je przynieść.

- 'l'ak przeczuwałam. Czy wie pani o tym na pewno?

- 'Pdk. Widziałam was, jak przyjechaliście i miałam nadzieję, że mnie uratujecie. Dlatego ukradkiem wyszłam ze swej izby i podślu-chiwałam. Wtedy usłyszałam, że otruli już jakiegoś Anglika...

- Coraz lepiej!

- Chcą też otruć was, bo macie przy sobie kilkaset dolarów.

'I~ starucha ma dostać sto dolarów i wasze ubrania.

- Powiedziała pani, iż oczekuje, że ją uratujemy. Kim pani jest?

- Ach, mój Boże! Jestem biedną, nieszczęśliwą dziewczyną... przerwała i przycisnęła dłonie do twarzy. - Byłam tutaj panią - mówiła dalej po chwili. -Ale nie trwało to długo i Roulin znudził się mną. Od tej pory nie wolno mi opuszczać domu. O mój Boże, przeczuwam, co się ze mną stanie!

- ~?

291

- Tb tak straszne, aż trudno uwierzyć. Ale ja dokładnie zrozu-miałam, o czym rozmawiali ze sobą Roulin i Juanito.

- O czym?

- Mam pójść do kopalni.

- Diabło!

- Pracuje się tam tak długo, aż przyjdzie okrutna śmierć w męczarniach. '

-Ib nieludzkie!

- Ludzie z kopalni nigdy już nie oglądają światła dziennego.

- Gdzie jest ta kopalnia?

- Nie wiem.

-Jak pani sądzi, czy rtęć może być wydobywana z wnętrza tej góry?

- 'Ihk. Od czasu do czasu, nocami, słycać głosy dochodzące z góry.

- Czy wejście do niej jest w piwnicy?

- 'l'vtaj nie ma piwnicy.

- Ach, a może w zbiorniku na wodę? Obok niego leżała drabina.

- Często jej tam nie ma.

- Kto ją zabiera?

- 'I~go nie wiem. Nie wolno mi się tu niczym interesować.

Gdyby coś zauważono, natychmiast by mnie zamknięto.

- Ile osób jest w tym domu?

- Teraz tylko trzy: ta starucha, Juanito i ja.

- Doskonale! A więc chce pani stąd odejść?

- 'Pak. Wolę umrzeć, aniżeli dłużej przebywać w tym domu.

- A więc przyrzekam pani, że zabiorę ją ze sobą.

- Kiedy, senior?
- Kiedy tylko sam stąd odjadę. Może się to stać już tej nocy.

Gdzie jest pani izba?

- Całkiem z tyłu, w miejscu, gdzie lewe skrzydło domu styka się ze skałą. Obok schodów prowadzących na dach.

- Czy drzwi są otwarte?

292

- Tak.

- Ió nieostrożnie ze strony Juanita! Przecież może pani łatwo uciec.

- Wcale nie. W domu nie ma przecież okien!

- A główna brama?

- Jest zawsze zamknięta. Starucha nie wypuszcza z ręki klucza od niej.

- Gdzie go trzyma?

- Na piersi; pod koszulą... Na miłość boską! On wraca! - wykrzyknęła cicho i w następnej chwili wymknęła się, a potem ukryła za najbliższym zakrętem korytarza. Ponieważ panował w nim mrok, Juanito nie mógł jej zauważyć. Nie przeczuwając niczego wszedł do „sali”.

- Seniores - oświadczył. - Kazałem przygotować dla was kolację.

Old Firehand wiedział już, że w domu znajdują się tylko trzy osoby, stąd był przekonany, iż z łatwością uda mu się przeprowadzić swój plan.

- Co to będzie?

- Pieczeń.

- Kto ją przygotowuje?

- Klucznica.

- Brr! Nie ma mowy.

- Co pan ma na myśli?

- Że nie zjemy nic, co dotknęła ta osoba. Ona aż lepi się od brudu.

- Musicie pamiętać, że nie jesteście w Nowym Jorku czy San Francisco, seniores.

- Sądzi pan, że tylko w tych dwóch miastach można jadać w czystości?

- No dobrze; jesteście moimi gośćmi i muszę spełniać każde wasze życzenie. Postaram się więc o inną kucharkę.

- Macie tu inną kucharkę?

293

- Och, nawet wiele! W tym domu mieszka kilka młodych senioritas i seniores, krewnych pana Roulina, którzy są tu z wizytą. 'Ih damy chętnie zrobią mi przysługę.

Było to kłamstwo szyte grubymi nićmi. Mimo to Old Firehand udał, że w nie wierzy.

- A wy, seniores, rozgośćcie się i odłóżcie swą ciężką broń! - zaczął znowu Juanito.

- Czy zostaniemy w tej sali również i w nocy?

- Nie.

-Awięc nie zdejmujemy tu naszej broni. Dobry myśliwy nigdy nie rozstaje się ze swą rusznicą.

- Wobec tego pokażę wam teraz wasze pokoje.

- Nasze pokoje? Potrzebujemy tylko jednego; jesteśmy przy-zwyczajeni sypiać razem.

Juanito zmarszczył czoło, ale zdołał się opanować.

- Nie jestem w stanie zmusić was do wygodniejszego spędzenia nocy. Możecie zostać razem, jeśli o mnie idzie. Pozwólcie więc, że zaprowadzę was do waszego pokoju!

Juanito wziął do ręki „świecznik” i ruszył przodem, prowadząc swych gości do prawego skrzydła budynku. T~m otworzył jedne z obitych żelazną blachą drzwi i wpuścił ich do środka. Izba była niewielka; nie posiadała nawet otworu okiennego. Jeśli ktoś zostałby w niej zamknięty, nie mógłby nawet oddychać świeżym powietrzem. ‘Pa myśl natychmiast przebiegła przez głowę Old Firehanda. Dlatego też uważnie spojrzął na sufit. To, co zobaczył, uspokoiło go. Sufit był dość niski i składał się ze zwykłych desek, które położono na szczytach ścian. W tej biednej okolicy było to całkowicie wystarczające.

Przy stole, pośrodku izby, stały dwa stare krzesła.

- Siadajcie, seniores - powiedział Juanito. - Zaraz przynio-sę koce. Jesteście teraz jak w domu i możecie spokojnie odłożyć broń. Ja zaraz wrócę, - co powiedziawszy, wyszedł z pokoju.

294

- Ten typ musi bardzo bać się naszych rusznic! - stwierdził Hermann.

- Bardzo mu zależy, abyśmy je odłożyli. ‘I~n osioł robi to jednak w sposób zbyt widoczny.

- Nie podoba mi się to wszystko. ‘Iitaj nie ma nawet okna. Jeśli nas zamkną, to nie jesteśmy w stanie bronić swojej skóry.

- Och, wręcz przeciwnie! Uciekniemy stąd przez dach.

- Jest tak cienki?

- Mam nadzieję; zaraz go zbadam.

Old Firehand wszedł na stół. Był tak wysoki, że głową dotykał niemal sufitu. Kiedy nacisnął go ręką, sufit uniósł się nieco.

- Widzi pan? To będzie nasza droga ucieczki; na wszelki wypa-dek, oczywiście!

Nie mieli zbyt dużo czasu na rozmowę, gdyż Juanito wrócił zaskakująco szybko i rozłożył w kącie kilka koców, które miały im służyć~ za materace.

- A więc seniores, wasze posłania są już gotowe. Możecie teraz odłożyć broń i odpocząć!

- Bardzo panu zależy na tym, abyśmy zaczęli odpoczywać!

- Mnie? Nie. Mówię to tylko dla waszego dobra. Ja jestem przyzwyczajony do innych obyczajów: odkładam broń zawsze wte-dy, gdy jestem w gościnie. Jeśli ktoś tego nie robi, obraża gospo-darza; daje mu w ten sposób do zrozumienia, że mu nie ufa.

- Czy gospodarz też odkłada swoją broń?

- ‘Pdk; mam tylko ten rewolwer za Pasem. Oto on! - Juanito wyjął pistolet i odłożył go na stół. Z tego powodu Old Firehand także odstawił swoją rusznicę do kąta. Hermann zrobił to samo ze swoją strzelbą. Juanito wydawał się być zadowolony.

- Tb mi się j už bardziej podoba. Pójdę teraz zobaczyć, czy pieczeń jest już gotowa; pozwolicie chyba, że sam was obsłużę, seniores?

- Ależ chętnie.

Juanito zniknął znowu. Old Firehand pódshedł szybko do stołu, na 295 którym leżał rewolwer.

- Człowiek nigdy nie wie, co się może wydarzyć. Może dojść do strzelaniny. Lepiej uczynić ten rewolwer nieszkodliwym - mówiąc to traper wyjął naboje z bębenka i odłożył brofi z powrotem na stół. Zaledwie to uczynił, wrócił Juanito trzymając w rękach tacę pełną tortillas i nęcąco pachnących kawałków pieczeni.

- Oto wasza kolacja, seniores!

Old Firehand i Hermann usiedli za stołem.

- Jest tu może trzecie krzesło? - zapytał Old Firehand.

- Dla kogo? Czyżby dla mnie?

-1'dk, naturalnie. Przecież nie będzie pan jadł na stojąco, jak koń.
- Dziękuję, nie jestem głodny. Już jadłem.
- Jeśli nie dotrzyma nam pan towarzystwa, też nie będziemy jedli. Jesteśmy pafiskimi gośćmi i musi pan zjeść kolację razem z nami.

- No dobrze, zrobię to dla was, seniores.

Juanito wyszedł i wrócił po chwili z krzesłem i kawałkiem zimnego mięsa.

- Doskonale - uśmiechnął się Old Firehand. - Zobacz pan, że kolacja we trzech smakuje lepiej niż we dwóch. Proszę, niech się pan częstuje!

Juanito wziął jeden z placków i ugryzł go. A więc tortillas nie były zatrute.

-A teraz mięso! Proszę! - Old Firehand wyciągnął nóż, odciął kawałek pieczeni i podał go Juanito.

- Dziękuję - odparł pośpiesznie gospodarz. - Wolę raczej zimne mięso.

- Szczerze mówiąc, my też. Podzielmy się jednak tą piecze-nią.

- Zatrzymajcie ją dla siebie; nie jestem zbyt zwinny - : kiem pieczeni.

Mimo to Old Firehand naciskał na Juanita, który usiłował wywinąć się z nieprzyjemnej dlań sytuacji różnymi wymówkami i usprawiedliwieniami.

- Chciałbym zobaczyć człowieka, który nie lubi pieczonej wołowiny! - wykrzyknął w końcu gniewnie traper. - Sam pan sobie będzie winien, jeśli uznamy pafiskie zachowanie za podejrzan.

- Podejrzan? Dlaczego podejrzan?

- Ponieważ z takim uporem broni się pan przed skosztowaniem tej pieczeni! Coś jest nie w porządku z tym mięsem. Ja go nie będę jadł.

- Ja też nie - stwierdził Hermann.

- Tempestad! Chcecie mnie obrazić, seniores?!

- Pan nie chce z nami jeść; to też jest obraza! Nie traćmy zbyt wielu słów. Jestem Meksykaninem, a nie Anglikiem. Nie chcę umrzeć jak Anglik, tylko jak Meksykanin.

'I~warz Juanita zrobiła się nagle popielata.

- Co pan ma na myśli, senior?: - zapytał.

- Czyż nie umarł tu kiedyś pewien Anglik?

- Nie.

- Zjadł pono~ wtedy mięso, które zostało zatrute przez tę staruchę.

- Czy pan oszalał?

Juanito zerwał się z krzesła; jego oczy rozbłyły groźnie.

- Ja? Szalony? - zdziwił się Old Firehand i dodał za moment z naciskiem: - Wręcz przeciwnie.

Jestem tak zdrowy, że moje uszy doskonale słyszały, jak pan umawiał się z tą staruchą.

- Umawiał? Na jaki temat?

- Że ma dostać sto dolarów i nasze ubrania!

- Tormenta!

- Ty zaś miałeś dostać nasze konie i resztę - mówiąc to Old Firehand siedział spokojnie przy stole i uśmiechał się na pozór obojętnie.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi, senior! -wydusił z siebie 297 z trudem Juanito.

-Ja za to rozumiem doskonale, morderco! 'Ib ty jesteś tym złym duchem Doliny Śmierci, o którym opowiadała twoja matka! Chciałeś nas obu dzisiaj zamordować, aby zdobyć moje pieniądze. Ale nie pójdzie ci to tak łatwo, jak twoje poprzednie łotrstwa!

- Nie? - zazgrzytał zębami Juanito. - Właśnie, że pójdzie! Idź do piekła!

Wykrzyknawszy te słowa, Juanito schwycił leżący na stole pistolet i nacisnął spust. Broń nie wypaliła. Juanito nacisnął spust po raz drugi; bezskutecznie.

- Nie trudź się! - roześmiał się Old Firehand. - Postaramy się wcześniej, aby ta osa nie mogła nas użądlić. T~raz zaś my pokażemy nasze żądła. Oto one. I co teraz, senior? Mówiąc to Old Firehand wyciągnął zza pasa swój rewolwer;

Hermann uczynił to samo.

Juanito stał jak sparaliżowany. Życie wróciło do niego dopiero wtedy, gdy zobaczył oba pistolety. Zanim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, wyskoczył na korytarz i zamknął drzwi na klucz.

- Schwytałem was! - zaśmiał się drwiąco.

- Tak, schwytałeś - powiedział Hermann. - Sami jesteśmy sobie winni!

- Nic nie szkodzi, mister - odparł Old Firehand. - 'I~n głupiec myśli, że nas przechytrzył. Byłoby głupotą strzelać do niego, gdyż może nam jeszcze zdradzić to, co chcę wiedzieć. Gdybym chciał, z pewnością by nam nie umknął. Wystarczyłoby, że stanąłbym między nim a drzwiami!

Wyjdziemy przez sufit. Może uda nam się go podsłuchać. W ten sposób dowiemy się więcej. Zgaśmy światło! Mogłoby nas zdradzić. I podsuńmy stół do ściany! Old Firehand zdmuchnął świecę i schował ją do kieszeni. Potem wszedł na stół i kolbą swej ciężkiej rusznicy zaczął podważać jedną z desek sufitu. Po kilku minutach jego starania zakończyły się sukcesem: deska odpadła z głośnym trzaskiem. Teraz z łatwością 298 podniósł się na rękach aż na skraj sufitu.

- Niech pan poda swoją rusznicę! Ja przytrzymam deskę.

W kilka sekund później Hermann siedział obok Old Firehanda.

- Cicho! - ostrzegł go traper. - Musimy się liczyć z tym, że usłyszano ten hałas. W takiej sytuacji Juanito może tu przyjść i sprawdzić jego przyczynę.

Minęła minuta i nic się jednak nie wydarzyło.

- Wszystko idzie doskonale - szepnął Old Firehand. - Znajdujemy się na dachu nad prawym skrzydłem. Musimy się teraz dostać na lewe skrzydło, gdzie są schody. Całkiem możliwe, że Juanito siedzi teraz ze staruchą w izbie pod nami. Musimy iść zatem nie po deskach, ale po szczycie ścian, aby uniknąć hałasu. Wkrótce obaj dotarli do lewego skrzydła. Odkryli w dachu klapę, pod którą znajdowały się wąskie schody. Zaczęli nimi schodzić; nie dotarli jednak jeszcze do dolnych stopni, gdy Old Firehand zatrzymał nadśluchując.

- Słyszę czyjeś głosy. To chyba Juanito.

- Ciekawe, gdzie jest?

- W izbie obok. U dziewczyny, która nas ostrzegła.

- 'Pak; przecież powiedziała nam, że mieszka obok schodów.

- Drzwi są chyba otwarte. Zejdźmy na dół. Może usłyszemy coś, co nam się przyda. Ale cicho!

Juanito rzeczywiście był u Anity. Podsłuchujący słyszeli każde słowo, jakie zostało wypowiedziane w izbie. Po krótkim czasie usłyszeli także kroki kogoś, kto nadchodził od strony prawego skrzydła. Po tej stronie korytarza stał Old Firehand.

Szybko cofnął się na schody. Jakaś postać przesunęła się obok niego nie zauważając go i weszła do izby, w której byli Juanito i Anita. Była to stara gospodyni.

Kiedy Juanito wybiegł z izby, w której znajdowali się Old Firehand i Hermann, zamknął za sobą drzwi na klucz i zasunął wielki, żelazny rygiel. Potem pobiegł do gospodyni.

299

- Czy już zjedli? - zapytała starucha.

- Ani kawałeczka!

- Dlaczego?

- 'Ih dranie chciały, aby zjadł razem z nimi. Naturalnie nie mogłem tego zrobić i wtedy zaczęli coś podejrzewać. Wyobraź sobie, że oni wiedzą o tamtym Angliku!

- 'Ib niemożliwe! Poza nami nikt o tym nie wie!

- Ja też tak myślałem, ale teraz doszedłem do innego wniosku.

- 'Ib niepojęte! Czy oni są wszystkowiedzący?

- Bzdura! Ale wiedzą również, że nafaszerowałaś mięso trucizną!

- Nie wierzę!

- Sami mi to powiedzieli! Wiedzą nawet, że masz dostać sto dolarów i ich ubrania.

- Naprawdę? - stara cofnęła się przerażona.

- 'Idk.

- Musieli więc podsłuchać naszą rozmowę.

- Tb bardzo prawdopodobne. Kiedy wychodziłem od ciebie, wydawało mi się, że ktoś przebiegł korytarzem. Zatrzymałem się, ale nikogo nie zauważyłem.

- To pewne więc, że nas podsłuchiwali.

- 'Pdk; niedobrze mi się robi, gdy pomyślę, że zostawiłem u nich swój pistolet. Wyjęli z niego wszystkie naboje. Chciałem do nich strzelić, ale nic z tego.

- Tormenta!

- Wybiegłem z izby, zanim zdążyli mi w tym przeszkodzić i zamknąłem ich.

- Do wszystkich diabłów! Tb sprytne z twojej strony. Nie wydo-staną się stamtąd?

- W żadnym razie.

- I co teraz zrobimy?

300

- Wypuścisz ich jutro i powiesz, że wyjechałem. Naprawdę zaś ukryję się na dziedzińcu i zastrzelę ich, gdy tylko wyjdą z domu.

- Świetnie. A ich zwłoki zakopamy tak samo, jak wtedy tego Anglika.

- Ale musimy uważać, żeby nas Roulin nie zaskoczył. Może wrócić już jutro.

- Czy Anita jest jeszcze w domu?

- 'Pdk. Musi zniknąć jeszcze tej nocy. 'Pdk rozkazał Roulin. Nie chce jej już więcej widzieć, kiedy wróci.

- No to trzeba jej się pozbyć!

- Pójdę do niej i załatwię tę sprawę.

Juanito zastał Anitę siedzącą na krześle przy ogarku świecy. Gdy wszedł, dziewczyna podniosła się z krzesła i cofnęła lekko do kąta.

- Siedz! - poleciał jej Juanito. - Dlaczego uciekasz przede mną?

- Czego pan tu szuka?

- Najwyższy czas, abym wykonał rozkaz Roulina: musisz pójść do kopalni.

- Nie! Będę się bronić aż do śmierci.

- Nie bądź śmieszna! Nie jesteś w stanie obronić się przede mną.

Musiałabyś mnie usłuchać nawet wtedy, gdybyś była silniejsza ode mnie. Zamknąłbym cię tutaj i poczekał aż wyczerpana z głodu i pragnienia nie byłabyś w stanie ruszyć ręką ani nogą.

-Per todos los Santos! Przysięgam, że nie uda ci się zaciągnąć mnie do tej przeklętej kopalni rtęci!

W tym momencie w izbie pojawiła się starucha. Słyszała jeszcze ostatnie słowa dziewczyny.

- Czy ta ladacznica oszalała? - wykrzyknęła. - Myśli może, że jest w stanie nam się opierać?

- 'Pdk właśnie sądzi.

- No to zaraz dowiedziemy jej, że się myli! Łap ją, a ja ci pomogę!
Starucha wyciągnęła rękę w stronę dziewczyny, ale zaraz cofnęła się z okrzykiem bólu.

301

-Diabło! Ona mnie uderzyła!

Anita potraktowała staruchę pięścią po twarzy.

- Czy nie widzisz, senior, że ona mnie uderzyła?! - darła się stara. - Czego pan tak stoi? Niech mi pan pomoże!

- Zostaw ją, starucho! Nie mieszaj się do moich spraw!

- Ona mnie uderzyła!

- I zostanie za to ukarana. Więcej nie odważy się grozić pięściami! Juanito odwrócił się znowu do dziewczyny.

- Uważaj na siebie! - Anita aż drżała ze wzburzenia. Juanito roześmiał się szyderczo.

- Głupia kotko! Jeden mój chwyt wystarczy i będziesz zała-twiona!

- Spróbuj tylko!

- Nie mam wcale ochoty mocować się z tobą. Sama do mnie ś... przyjdiesz. Coś musiało ci się pokręcić w głowie. Zachowujesz się tak, jakbyś spodziewała się pomocy.

- I spodziewam się jej.

- Z czyjej strony?

- Tych dwóch seniores, którzy przyjechali razem z tobą.

- Ach, to tak? 'I-raz rozumiem! Ale się pomyliłaś! Tych dwóch mężczyzn jest naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

- Kłamiesz! Od kiedy to chce się otruć przyjaciół?

Juanito drgnął zaskoczony.

- Otruć? - powtórzył. - Co masz na myśli, dziewczyno?

- Tb, że oboje otruliście tego Anglika i chcecie też otruć tych dwóch!

- Tempestad! 'I-raz zaczynam pojmować. I b ty nas podślu-chiwałaś, zmijo!

- 'Pdk.

- I ostrzegłaś ich?

- 'Pdk. A oni usłyszą moje wołanie i przyjdą mi z pomocą!

302

Juanito wolno pokiwał głową.

- Stąd ten opór. 'I-raz wszystko rozumiem. Ale przeliczyłaś się; ci dzielni i dobrzy seniores, od których oczekujesz wybawienia, otruli się mimo twych przestróg. Ich zwłoki leżą teraz zamknięte w izbie, w której zjedli swój ostatni posiłek.

Anita pobladła.

- Kłamiesz!

- Czy mam ci pokazać ich trupy?

- Nie gadaj tyle! - przerwała mu starucha.

- 'I'dk, masz rację. Ona nie jest tego warta. I żeby ci udowodnić, że wszelkie twe nadzieje są próżne, zaraz cię unieszkodliwię. Chodź tu! Zobaczmy, czy potrafisz także obronić się przede mną!

Juanito wyciągnął ręce w stronę dziewczyny.

- Cofnij się! - wykrzyknęła Anita.

-Bzdura! Zaraz cię złapię! - roześmiał się szyderczo i schwycił ją obiema rękami.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu Anita przyjęła to ze spokojem; stała nieruchomo wpatrując się w drzwi.

Starucha była bardziej uważna niż Juanito. Odwróciła się i zobaczyła stojącego w drzwiach Old Firehanda.

- Cielo! - wykrzyknęła przeraźliwie.

'I~raz odwrócił się także i Juanito.

- Co się stało, do diabła?

- Tb pomoc nadchodząca w ostatniej chwili. Ale nie dla ciebie, ty łotrze!

- Więc żyjecie! Nie zostaliście otruci? - zawołała radośnie Anita.

- Nie, nie, moje dziecko...

- Ale i tak spotka was śmierć! - ryknął Juanito i rzucił się na Old Firehanda z rękoma wyciągniętymi do przodu, aby go złapać za gardło.

Przeliczył się jednak. li~aper powitał go tak potężnym uderzeniem pięści, że Juanito upadł na ziemię. Zanim zdążył zebrać myśli, Old 303 Firehand klęczał już na nim i wiązał go przy pomocy lassa. Starucha chciała wykorzystać ten moment i uciec, ale drzwi zastawił jej Hermann. Z krzykiem cofnęła się do środka.

- Niech pani zostanie, szlachetna senioro! - roześmiał się Hermann. - 'Pdk bardzo za panią tęskniłem, że nie mogłem już dłużej czekać. Przybiegłem tu, aby panią uściskać i przytulić do serca. 'Pdkże i on trzymał w pogotowiu lasso; związał nią staruchę, która nawet nie próbowała się bronić. Potem oparł ją o ścianę, jak związany snop zboża.

Juanito stracił oddech na skutek uderzenia Old Firehanda. T~raz z wysiłkiem starał się wciągnąć powietrze do płuc.

- Co to ma znaczyć? - wykrzyknął po chwili. - Napadacie mnie w moim własnym domu? Czy wiecie, co to oznacza?

- 'I~k, że nadszedł twój koniec!

- Nie waż się mnie tknąć! Żądam, aby mnie natychmiast uwolniono!

-Jak sądzę, potrafisz doskonale śpiewać! Oto moja odpowiedź

- i Old Firehand jeszcze bardziej ściągnął lasso. Więzień zawył z bólu. - Jeśli będziesz niezadowolony, możemy to zrobić jeszcze lepiej.

Anita uklękła na podłodze i złożyła dłonie.

- Dziękuję ci, Boże! - zaczęła się modlić. - Nigdy w życiu nie zapomnę tego dnia ani godziny. Wysłałeś mi pomoc w ostatniej chwili, mnie i wszystkim, którzy tu cierpią i umierają, a dzięki łbnie zostaną uwolnieni. Bądź pochwalony na wieki wieków, amen! ' Anita powiedziała te słowa z tak wielką żarliwością, że Old Fire-hand i Hermann poczuli, jak ogarnia ich wzruszenie.

- Ach, jak pięknie śpiewa ta pliszka - zadrwiła Starucha. - ale ' jastrząb nadleci prędzej aniżeli się spodziewa!

- 'Pdk, módl się, dziwko, módl! - warknął Juanito. - Myślisz; ;', że jesteś uratowana, ale grubo się mylisz. Poczekaj tylko! Niebawem to się skończy!

304

Old Firehand potraktował łotra kopniakiem na dowód swego gniewu.

- Jesteś gorszy, człowieku od najgorszego zwierzęcia! - zawołał - Nas, którzy uratowali cię od wściekłego wilka, chciałeś w nagrodę otruci! A tutaj... ale szkoda każdego słowa dla takiego łotra. Niech pani będzie tak dobra, Anito i oprowadzi nas po domu. Musimy poznać wszystkie pomieszczenia, aby wiedzieć, jak się bronić w razie konieczności. Przedtem jednak zabiorę klucz.

Old Firehand błyskawicznie sięgnął ku szyi staruchy i zerwał jej sznurek z kluczem: Czy jest jakiś klucz główny?

- Dwa - odparła Anita. - Jeden z nich ma przy sobie senior Roulin, a drugi Juanito nosi zawsze w kieszeni spodni.

- Zaraz sprawdzimy!

Old Firehand zabrał klucz i cała trójka ruszyła na obchód budynku.

Wszystkie drzwi były pozamykane, podobnie jak brama na dziedziniec. Na wszelki wypadek, aby Roulin ich nie zaskoczył, Old Firehand zasunął dodatkowo potężny rygiel w bramie. W kuchni, obok innych zapasów, znaleźli worek kukurydzianej mąki, w której kłębiły się larwy i robaki.

- Łó świństwo wymieszane z zimną wodą jest jedynym pożywieniem górników - wyjaśniła Anita.

- Ale chyba nie z larwami?

- A jakże. Starucha nie ma czasu, aby je wybierać. Kiedyś powiedziała mi, że takie larwy są dobre dla więźniów; po ich zjedzeniu ludzie nawet śpiewają przy pracy.

- Poczekajmy! Zobaczmy wobec tego, jak ona potrafi śpiewać po takim posiłku!

W izbie Juanita znaleziono pejcz skręconych z dwunastu rzemieni. Każdy z nich miał na końcu supeł. Był to narzędzie tortur najgorszego rodzaju. Niebawem znaleziono całą masę kajdan na nogi i ręce oraz łańcuchy: Były tak wykonane, że niemal 305 całkowicie utrudniały więźniom chodzenie. Do każdego łańcucha przykuty był szeroki młotek i mała, krótka szufelka. Przy pomocy tych narzędzi więźniowie mogli pracować nie rozsuwając nawet rąk. Old Firehand z uwagą przyglądał się narzędziom.

- Zdaje się, że więźniowie mają skute ręce i nogi. W takiej sytuacji nawet nie ma co nawet myśleć o ucieczce czy oporze. A tu mamy kluczyk, który pasuje do zamków przy łańcuchach. Jeszcze tej nocy uwolnimy wszystkich więźniów!

- Wielki Boże! Ale się ucieszą! - wykrzyknęła Anita.

- Mam jednak przeczucie, że dla wielu z nich śmierć byłaby większym wybawieniem od wolności. Wracajmy teraz do naszych jeńców - powiedział Old Firehand biorąc do ręki pejcz. - I raz trochę się z nimi zabawimy - dodał. - Tłitaj jednak jest trochę za ciasno; pójdziemy więc do tej wspaniałej „sali”, gdzie nas przedtem uwięziono.

Old Firehand wziął Juanita za rękę, zarzucił go sobie na plecy jak worek. Hermann zajął się staruchą, a Anita zabrała świecę. Wszyscy ruszyli do „sali”, gdzie jeńców ułożono na podłodze. Potem rozwiązano Juanito na tyle, że miał wolne plecy.

- Co to ma znaczyć? - warknął ponuro.

- Zaraz się dowiesz, mój kochany.

- Żądam, aby mnie uwolniono! Senior Roulin wróci jeszcze dzisiaj i mnie pomści!

- Bardzo bym się ucieszył, gdyby rzeczywiście wrócił! Niestety, jestem pewien, że coś go zatrzyma po drodze.

- Co pan o nim wie?

- Bardzo dużo. Pojechał nad Błękitną Wodę. Nie udało mu się tam jednak osiągnąć swego celu i musiał uciekać. Jest teraz ścigany; ja wyprzedziłem pogoni, aby tak szybko, jak to możliwe, zawrzeć z wami znajomość.

- A więc nie chciał pan kupić rtęci?

- A po co mi rtęć? Po prostu nabrałem cię i to wszystko.

306

- Niech to diabli!

- 'Ink. Wasza sytuacja nie jest najlepsza. Mam przeczucie, że ktoś niebawem zacznie robić dla ciebie nową chustkę na szyję. Być może, już niedługo, będziesz musiał umrzeć w miejscu, które znajduje się parę stóp nad ziemią.

- Mam to w nosie. Jestem całkiem spokojny. Nie można mnie o nic oskarżyć.

- Och, ty sam się oskarżysz. Opowiesz mi wszystko o tym, co masz na sumieniu. Nawiasem mówiąc, ja sam mogę wystąpić jako oskarżyciel. Chcieliście nas otruć.

- 'R~ kłamstwo!

- Każemy zbadać mięso, które dałeś nam do zjedzenia.

- I przedtem dodacie do niego trucizny, nieprawdaż? A potem zwalicie winę na nas!

- Jesteś rzeczywiście strasznym łajdakiem, Juanito! Nawet sza-tan mógłby się od ciebie czegoś nauczyć~. Ale nie mówmy o tym; mamy co innego do roboty. Odpowiedz mi więc: jak długo pracujesz już dla Roulina?

Juanito milczał nawet wtedy, gdy Old Firehand powtórzył swoje pytanie.

- No cóż - powiedział traper. - Spróbujemy teraz zapytać naszą donię. Damy bywają zazwyczaj bardziej uprzejme. A więc, seniora, jak długo ten mężczyzna prowadzi interesy twojego pana? 'Pakże i starucha zachowała milczenie.

- Ach, chcecie więc grać małą komedię? Zgadzam się. Wasze role wypadną jednak żałośnie. Mam bowiem zamiar nieco rozluźnić wasze języki.

I Old Firehand zwrócił się do Anity.

- Proszę mi wybaczyć, seniorita, ale nie mogę pani oszczędzić tego przykrego widoku! Zawsze, nawet w swoim wrogu, usiłuję ujrzyć człowieka, ale ta dwójka pozbawiona jest jakiegokolwiek ludzkiego uczucia i nie zasługuje, ludzkie traktowanie. Do

307 tego pejcza przyklejona jest krew wielu niewinnych więźniów. Po-stąpię więc sprawiedliwie, jeśli przy jego pomocy otworzę im usta. Juanito natychmiast odzyskał mowę.

- Chce mnie pan wychłostać? - wykrzyknął. - Niech się pan tylko odważy! ..

- Odważę się. Za każde pytanie, na które mi nie odpowiesz, dostaniesz jedno uderzenie. A więc uważaj! Zaraz zobaczysz, że powiedziałem to całkiem poważnie.

Old Firehand odwrócił Juanita twarzą do podłogi, przycisnął nogą za ramię i trzymał pejcz gotowy do uderzenia.

- A teraz pytam po raz ostatni: jak długo służyysz u Roulina?

Juanito milczał.

Świsnął pejcz i w izbie rozległ się przeraźliwy okrzyk. Jeniec przygryzł wargi, aby nie krzyknąć po raz wtóry. Razem z nim wykrzyknęła również i starucha.

- Odpowiadaj! - naciskał Old Firehand unosząc pejcz. - Albo dostaniesz trzy baty zamiast jednego!

- Minęło już... pięć lat - jęknął w odpowiedzi Juanito.

- Czy poznałeś niejakiego Wilkinsa?

- Nie.

Chłosta podziałała odpowiednio na Juanita, chociaż dalej nie mówił prawdy.

- A niejakiego Adlera?

- Nie.

- Radzę ci, abyś mówił prawdę!

- Mogę powiedzieć tylko to, co wiem.

- A więc mów! Gdzie jest kopalnia rtęci?

- Nie wiem.

- Gdzie są górnicy?

- Nie mam pojęcia.
- Przecież jesteś tu zarządcą!
- Rzeczy, o które pan pyta, są tajemnicą mister Roulina.

308

- Powiedziałeś, że jesteś jego zaufanym człowiekiem.
- Bo jestem, ale nie na tyle.
- Nie wiesz też z pewnością, gdzie znajduje się wejście do kopalni?
- Nie-wiem.

Juanito wierzył zapewne, że tymi kłamstwami uda mu się oszukać Old Firehanda, ale natychmiast został skarcony pejczem po raz kolejny.

- Wiem, wiem! - zaryczał w odpowiedzi.
- A więc, gdzie?
- W zbiorniku wody.
- Czy potrzebne są klucze?
- 'Pak, ten, który mam przy sobie.
- Każda chwila, jaka dzieli nas od uwolnienia tych biedaków, jest przestępstwem. Czy będzie się pani bała, Anito, jeśli na godzinę zostawimy panią samą z tą staruchą?
- O nie, senior! Przecież będzie pan w pobliżu.
- Niech pani jej nie rozwiązuje i najlepiej wcale nie odpowiada na jej pytania! Na wszelki wypadek zostawię tu swój rewolwer! My w tym czasie zejdziemy do kopalni, aby uwolnić tych biedaków. A ty, Juanito, zaprowadzisz nas do nich. Nie myśl jednak, że uda ci się nas oszukać i uciec! Masz do czynienia z ludźmi, którzy są od ciebie o wiele lepsi w tym rzemiośle. Chodźmy, mister Adlerhorst! Po wydaniu jeszcze kilku poleceń, Old Firehand zaniósł Juanita do jego izby, założył znalezione w niej kajdany na jego ręce i nogi, a dopiero potem uwolnił od łańcuchów.

Później, uzbrojona w latarnię, cała trójka wyruszyła do kopalni.

Piekło

„ Old Firehand miał zamiar od razu pójść do zbiornika, ale kiedy mijają drzwi, za którymi, według Anity, znajdował się pokój Roulina, przysłała mu do głowy pewna myśl. Kazał poczekać Hermannowi pilnującemu Juanita i otworzyć drzwi. Chciał sprawdzić, czy w pokoju nie znajdzie spisu osób, które miał zamiar uwolnić. Poza tym było całkiem możliwe, że Juanito nie zaprowadzi go wszędzie; we wnętrzu góry mogły się znajdować szyby, przejścia czy korytarze, których nie można byłoby znaleźć bez jego pomocy. Należało przypuszczać, że Roulin prowadził księgę dotyczącą swej kopalni; to w niej powinny znajdować się nazwiska wszystkich ludzi, których szukał Old Firehand. Umeblowanie pokoju zdradzało, że służył on zarówno jako gabinet, jak i sypialnia. Nigdzie jednak nie było żadnych ksiąg czy zapisków. Po chwili Old Firehand zorientował się w świetle latarni, że za tą izbą znajduje się następna. Pośrodku niej stał stół, a na nim leżały różne książki, zeszyty i pisma. Jeden z tych zeszytów nosił tytuł: „Rejestr robotników”. Zawierał on dokładny spis dziennego wydobycia każdego z górników. Obok zapisane były imiona: Rosa, Mercedes, Christina, Paulina i Augusta. Na kolejnej stronie byli wymienieni mężczyźni:

Adler, Wilkins i „Indianin”.

310

Old Firehand skinął zadowolony głową. W koficcu odkrył ślad obu mężczyzn, których tak długo bezskutecznie szukał: Adlera i Wilkin-sa.

Ponieważ przy każdym nazwisku zapisano charakter wykonywanej pracy, Old Firehand otrzymał dodatkowe informacje o przypu-szczalnym miejscu pobytu w kopalni każdego z poszukiwanych. Zadowolony wrócił do Hermanna i Juanita.

‘Il;raz cała trójka udała się prosto do zbiornika.

- Jak dostaniemy się na dół? - zapytał traper.
- Przy pomocy drabiny - odparł Juanito.
- Zejdę jako pierwszy. Jak widzisz, zabrałem ze sobą pejcz.

Uderzę cię nim za każde słowo czy ruch, który mi się nie spodoba. Nie próbuj więc mnie zwodzić lub zwabić w pułapkę! A pan, mister Hermann, niech na razie zaczeka na górze!

‘Ii~aper spuścił drabinę i zszedł do zbiornika. Światło latarni wystar-czyło, aby mógł się tam dokładnie rozejrzeć.

Woda na dnie lśniła mętnie, wydzielając zgniłą wofi. ‘Ib ją pili jeficy pracujący w kopalni rtęci. Sięgała do kolan. Zbiornik był zbudowany z dużych kamieni i miał sporą śred-nicę. W połowie wysokości Old Firehand dostrzegł małe, wąskie drzwi obite grubą, żelazną blachą. Przesunął drabinę wstronę drzwi. Wisiała na nich kłódka, do której pasował główny klucz zabrany zarządcy. Old Firehand otworzył kłódkę.

Wejście było niskie; trzeba się było mocno pochylić, aby się przez nie przedostać. Z ciemności uderzyła trapera wofi zgnilizny, która na chwilę zaparła mu dech w piersiach. Mimo to wszedł w głąb sztolni. Po kilku krokach strop korytarza podniósł się tak, że dalej można było już iść wyprostowanym. Old Firehand naliczył trzydzieści kroków, gdy dotarł do kolejnych drzwi wyglądających dokładnie tak samo, jak poprzednie. Tiaper postanowił wrócić do zbiornika.

- Zejdźcie na dół! - zawołał - Juanito naturalnie jako pier-wszy. Jeśli będzie się opierał, niech przypomni sobie pejcz.

311

Słyszając te słowa jeniec przestał stawiać jakikolwiek opór. Bolące plecy były dowodem na to, że najlepszym wyjściem w jego sytuacji będzie posłuszeństwo. Oczywiście, nie mógł zejść na dół w normal-ny sposób; żelazne kajdany nie pozwalały mu stawiać stóp na szczeblach. Musiał podtrzymywaE się rękoma; aby stawiać stopy jednocześnie na kolejnych stopniach. Hermann zszedł za nim i pomógł dostać się do wąskiego i niskiego korytarza. Juanito był blady jak trup, ‘ ale jego oczy błyszczały podstępnie, zaś twarz przybrała wyraz dzikiego zdecydowania.

Old Firehand zauważył to i postanowił zachować jeszcze wię-kszą ostrożność.

Kiedy dotarli do drugich drzwi, zapytał:

- Dokąd one prowadzą?
- Do magazynu.
- Czy w kopalni są miejsca niebezpieczne dla ludzi?
- Nie.

- Mam nadzieję, że mówisz prawdę - powiedział traper otwierając drzwi. Znadująca się za nimi sztolnia rozszerzała się w niską komorę.

- Co tu jest?
- Właśnie magazyn, o którym mówiłem. Odchodzą od niego chodniki.

Wejścia do chodników były akurat tak wysokie, że dorosły mężczyzna mógł się do nich dostać tylko na czworakach. Obok każdego z nich stała beczka wypełniona cynobrem.

Old Firehand pochylił się nisko i zajrzał do jednej z tych dziur.

Daleko z przodu dostrzegł blade, migoczące światełko.

- Kto tam pracuje? - zapytał jefica.
- Mercedes.
- A więc dziewczyna. Ile ma lat?
- Dwadzieścia cztery.
- Jak długo już tu jest?

312

- Dwa lata.
- Nie wychodząc na świeże powietrze?
- Senior Roulin nie pozwala na to!
- Tb straszne! Tkwić w tej dziurze przez dwa lata, bez świeżego powietrza, bez słońca, nie znając różnicy między dniem a nocą! 16 czyściec! Nie, to piekło!

'Ii~aper sądził, że dziewczyna usłyszy jego mocny głos, dlatego wykrzyknął w głąb otworu jej imię. Odpowiedzią był jakiś głuchy dźwięk.

- Wyjdź stamtąd! - zawołał Old Firehand. Po chwili zauważył, że światełko zbliża się ku wyjściu.

Nieszczęsna dziewczyna wychodziła, tyle, że na czworakach i tyłem. Najpierw ukazały się jej nogi, bowiem nie była w stanie odwrócić się w wąskim korytarzu. Kiedy wyprostowała się zmęczona, obaj mężczyźni ujrzeli widok, który zmroził im krew w żyłach. Dziewczyna ubrana była tylko w skórzany fartuch. Jej ciało było straszliwie wychudzone. Głowa przypominała czaszkę, w której oczodołach tkwiły oczy pozbawione całkowicie blasku. Dziewczyna patrzyła nieruchomo na trzech mężczyzn.

- Miejcie litość! Tb nie moja wina! - szepnęła.
- Co nie jest twoją winą? - zapytał zacinając się Old Firehand.
- Że moja beczka nie jest pełna. Jestem zbyt zmęczona; z pragnienia nie potrafię już więcej pracować.
- Mój Boże! Mój Boże! Czy dwa lata są w stanie uczynić z człowieka aż tak żałosną istotę?
- Dwa lata? Jestem tu dłużej, o wiele dłużej.
- Nie, mylisz się.
- Ja się nie mylę. Miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy mnie związano i zniesiono na dół. Od tamtej pory nie widziałam słońca; nie wiem, czy to dzień czy noc, ale z pewnością mam teraz ponad trzydzieści lat. O Boże, mój Boże! Uwolnijcie mnie! Nie zdradzę 313 was! Nie powiem nikomu ani słowa!

- 'Iiwoje życzenie zostanie spełnione, seniorita. Od tej chwili jesteś wolna.

Nieszczęsna dziewczyna spojrzała na Old Firehanda z wyrazem niewiary w oczach.

- Wolna? - powtórzyła. - Niech pan nie żartuje z nie-szczęsnej kobiety, senior!
- Mówię to absolutnie poważnie.
- Nie mogę w to uwierzyć. Tii, na dół, schodzą tylko diabły i szatany.
- Przyjtrzyj się temu mężczyźnie! Znasz go?
- Tb nasz dręczyciel! -jęknęła patrząc zmęczonym wzrokiem na Juanito.
- Nie będzie was już więcej dręczył. Jest związany, jak widzisz!

Przybyliśmy tu, aby was wszystkich oswobodzić.

- Os... wo... bo... dzić?!

Dziewczyna dotknęła skutymi łańcuchem rękami serca, wes-tchnęła głęboko, a potem osunęła się zemdlna na ziemię.

- Ona umiera! Radość ją zabiła! - wykrzyknął Hermann.

- Nie. To raczej wyczerpanie, aniżeli radość. W tym stanie nie mogła do kofica poją~, iż jest wolna.

Old Firehand ukląkł przy zemdłej i wyjął z kieszeni manier-kę, którą zabrał z kuchni. Kiedy chłodne krople wpłynęły między wargi, dziewczyna otworzyła oczy i zaczęła chciwie pić.

- Dziękuję! - szepnęła.

- Pij! Nie wolno ci znowu zemdleć. Potrzebuję cię.

- Do czego? - zapytała matowym głosem.

- Masz wyprowadzić pozostałych z innych sztolni. My się tam nie dostaniemy.

- Pozostałych?

Spojrzała na Old Firehanda i Hermanna nic nie rozumiejącym wzrokiem. Nagle w jej oczach pojawiło się życie.

314

- Mam wyprowadzić innych? - wyrzuciła z siebie.

- 'Iak. Czy będziesz mogła dostać się do nich?

- A więc to prawda, co pan powiedział? Jestem wolna?

- 'Pak. Ty i wszyscy pozostali.

Dziewczyna usiadła, ukryła twarz w skutych łańcuchem dłoniach i zaczęła szlochać. Uspokoila się dopiero po wielu minutach.

-Przychodzi pan do nas niczym anioł, senior - spojrzała prosto w oczy Old Firehanda. - Niech Bóg pana wynagrodzi za ten dobry uczynek. Jak to jednak możliwe, że Roulin zgodził się na to?

- On nie wie o niczym. Uwolnimy was podczas jego nie-obecności.

- Och, ten Roulin jest gorszy od szatana! Jak mogłam uwie-rzyć jego słowom!

- Oszukał cię?

- Mnie i innych. Najął mnie do służby w San Francisco jako gospodynię. Potem, kiedy przyjechałam tu za nim, mówił o miłości; miałam zostać jego żoną. Nie wątpiłam w prawdziwość jego słów. A czym się to skończyło, sami widzicie. Czy potraficie sobie wyobra-zić, co tu wycierpieliśmy? Nasze mózgi zżerały żal, nienawiś~, rozpacz, a wnętrzości były niszczone przez ręk. Gniliśmy za życia. Głód niszczył nasze ciała, a pragnienie - krew. Jeśli byliśmy za słabi, by wykomnać dzienną normę, karano nas za to straszliwie. Dlaczego? Cóż zawiniliśmy? Modliłam się do Boga, ale na próżno. Przeklinałam i bluźniłam; nic to nie pomogło. Potem zamil-kłam, ale nie z pokory, tylko dlatego, że nie miałam już sił, by się modlić lub przeklinać. Gdyby ci ludzie zabili nas szybko, strzelając w głowę lub pchając nożem, wtedy już by nas tu nie było, a nasze dusze błagały by Boga o łaskę dla morderców, gdyż moglibyśmy ich wtedy zaliczyć jeszcze do ludzkich istot. Oni jednak powoli zadręczają nas na śmierć. Spójrzcie na te beczki! Obok każdej dziury stoi jedna; kiedy ten człowiek, nazywający się Juanito, a który powinien nosić imię Belzebub, schodzi do nas na dół, każda beczka musi być pełna.

315

W przeciwnym razie, otrzymujemy chłostę zamiast wody! Jestem...

Och, mbj Boże!

Nieszczęsną dziewczyną wstrząsnął atak gwałtownego kaszlu. Old Firehand ujął jej głowę w dłonie. Mercedes spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jest mi teraz lżej. Mój Boże, tak dobrze, jak teraz, nie było mi już bardzo, bardzo dawno. Ale czy nie powiedział pan, że mam wyprowadzić pozostałych? Zapomniałam o nich i myślałam tylko o sobie.

- Ilu osób tu jest?

- Pięć; ale jak przypuszczamy, za tymi drzwiami są jeszcze inni. Nie widzieliśmy ich jednak do tej pory.

- A więc przyprowadź pozostałą czwórkę! Przedtem jednak zdejmę ci kajdany!

Old Firehand otworzył kłódkę przy łańcuchu kluczem, który znalazł przy Juanito.

Po chwili dziewczyna zniknęła w najbliższym korytarzu, a potem zanurzyła się w kolejnych trzech. Niebawem wyszły z nich trzy pozostałe towarzyski jej niedoli. 'I~kże i one miały na sobie tylko skórzane fartuchy. Wyglądały jeszcze nędzniej od Mercedes, gdyż dłużej niż ona znajdowały się w tym przerażającym miejscu. Nie mogły pojąć, że w końcu nadeszło wyzwolenie z tych męczarni; ich szlochom i płaczom nie było końca.

Old Firehand nie chciał jednak tracić czasu. Uwolniwszy ko-biety z łańcuchów, przykazał Hermannowi, aby pilnował Juanito, a sam poprowadził byłe więźniarki do zbiornika. Po kolei wyszły po drabinie na dziedziniec. Na górze usiadły wyczerpane na ziemi; ich płuca odzwyczały się od świeżego powietrza. Nie mogły patrzeć na oczy.

Old Firehand czekał na nie cierpliwie, a potem zaprowadził do domu, do izby, w której Anita pilnowała staruchy. Jęzda zakłęła głośno na widok uratowanych kobiet, jednakże Old Firehand 316 w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Poprosił Anitę, aby postarała się o ubrania dla kobiet i nie spuszczała oka ze staruchy. Potem wrócił do szybu.

Kiedy dotarł do Hermanna i Juanito zauważył, że doszło między nimi do spięcia. Hermann dał zapewne wyraz swoim uczuciom i to prawdopodobnie nie tylko słowami.

Old Firehand wręczył Juanito klucz, którym musiał otworzyć następne drzwi. Cała trójka weszła do dużego pomieszczenia, z którego prostopadłe w górę prowadził kolejny szyb. Jego ściany były, co dziwne, zbudowane nie z desek, ale z żelaznej blachy. Z boku szybu wznosiła wysoko się żelazna sztaba, do której przyku~y był łańcu~chem mężczyzna leżący w tej chwili na ziemi. Na dnie szybu paliła się lampa.

W jej blasku Old Firehand i Hermann zauważyli, że mężczyźna powoli unosi głowę.

- Kim jest ten człowiek? - zapytał Old Firehand.

- Indianinem.

- Z jakiego plemienia?

- Nie wiem.

- Wiesz doskonale. Odpowiadaj! - Old Firehand uniósł pejcz i Juanito natychmiast znalazł odpowiedź.

- 'Ib Apacz.

- W jaki sposób znalazł się tutaj?

- Przywiózł go Roulin.

- Kiedy?

- Dawno temu.

- Dlaczego on nic nie mówi?

- Bo nie chce. To bardzo knąbrny typ.

- Uważaj, co mówisz, człowieku! - oburzył się Old Firehand, a potem zwrócił się do Indianina w jego języku. Ale również i teraz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

- Czy możesz mówić?

317

Indianin potrząsnął głową.

- Dlaczego?

Mężczyzna wskazał ręką na usta; najwyraźniej dręczyło go straszliwe pragnienie.

Old Firehand podał mu swoją manierkę; nawet po wypiciu kilkunastu łyków Indianin nadal nie był w stanie mówić; jęczał tylko.

- Ty bestio! - powiedział traper do Juanita. - Chciałeś, aby ten człowiek umarł z pragnienia?

- Sam był sobie winien; nie chciał pracować. Był za leniwy.

- I z tego powodu nie dawałeś mu wody?

- Tak rozkazał Roulin, bowiem chłosta nic nie pomagała.

- Czyś ty oszalał? Od kiedy ten człowiek nie miał wody w ustach?

- Od sześciu dni.

- 'I raz rozurniem już wszystko; on był po prostu śmiertelnie wyczerpany i za to musiał cierpieć z pragnienia. Nie ma kary na takich łotrów jak ty! Co ten Indianin miał robić?

- 'Il transportować cynober na górę, a gotową rtęć na dół.

- A więc piece znajdują się na górze?

- 'I k.

- Tam, gdzie widzieliśmy tego człowieka, którego ty nazwałeś ptakiem?

- 'Pak.

- Kto tam pracuje?

- Kilku robotników.

- Czy ktoś jest jeszcze na dole?

- Nie ma tu już nikogo.

- Prawdopodobnie kłamiesz, ale zostaniesz za to niebawem ukarany.

- Mówię prawdę. Teraz jest mi już wszystko obojętne; nie dam się więcej bić za winy Roulina. 318

- Tb mądrze z twojej strony. Rządy Roulińa już się skończyły. A więc biłeś tego Indianina?

Uważaj więc, bo kiedy przyjdzie do siebie, będziesz zgubiony.

- Wy mnie obronicie.

- 'Tb dziwne żądanie. Bez przerwy dybiesz na nasze życie i sądzisz, że my będziemy cię bronić z wdzięczności. Albo jesteś bezgranicznie bezczelny, albo szalony. Patrz, jak wygląda jego ramię! Apacz nie byłby w stanie leżeć na ziemi wyprostowany; powodem tego był fakt, że wykorzystywano go do transportowania wielkich ciężarów. Jednocześnie był oczywiście zakuty w kajdany. W ten sposób nie był w stanie wchodzić po drabinie.

'Tb z tego powodu umocowano do ściany, obok drabiny, żelazną sztabę. Na nią założone były dwa pierścienie, do których z kolei przykuto łańcuchy Indianina. W ten sposób mógł przenosić w górę i w dół ciężary, a jednocześnie był nadal skuty. Nie mógł jednak odpoczywać w normalny sposób, to znaczy leżąc, bowiem pierścienie były zbyt małe. Musiał się kulić jak pies, aby usiąść lub położyć się na boku.

- Tb był pomysł Roulina - powiedział Juanito.

- A ty byłeś jego pomocnikiem, pomocnikiem kata. Biłeś tego Apacza; tę obrazę zmasać może tylko twoja śmierć. Niech ten człowiek trochę odpocznie; my w tym czasie wyjdziemy na górę. Indianin wyprostował się, rzucając pełne wdzięczności spojrzzenie na Old Firehanda.

- Weź moje życie! Jesteś moim wybawicielem! - powiedział chrapliwym, świszczącym głosem. Old Firehand otworzył oba zamki jego łańcuchów.

Apacz był wolny. Przeciągnął się mocno, wyprostowując po kolei ręce i nogi. Jego oczy zaczęły błyszczeć; spojrzął na Juanito, a potem... jak to się mogło tak szybko wydarzyć?!... błyskawicznie wyrwał nóż zza pasa Hermanna, rzucił się na Juanita, przewrócił go na ziemię, schwycił lewą ręką za włosy i przycisnął kolaniem do 319 ziemi. Nastąpiły trzy szybkie, krótkie pociągnięcia nożem, szarpnięcie za włosy i przeraźliwy wrzask Juanita. Apacz podskoczył do góry i wydał z siebie

głośny, pełen triumfu okrzyk wojenny, powiewając jednocześnie trzymaną w lewej ręce skórą z włosami. Juanito został żywcem oskalpowany!

Chwilę przedtem Old Firehand spojrział w górę szybu; miał zamiar zacząć się wspinać. Stąd też zwrócił uwagę na to, co się dzieje w chwili, gdy Apacz klęczał już na Juanito i zrywał skalp z głowy zarządcy. Wszystko to wydarzyło się tak błyskawicznie, że Old Firehand, mimo że natychmiast zeskoczył z drabiny, złapał Apacza dopiero wtedy, gdy ten miał już w ręce skalp Juanita. Zarządcą ryczał jak potępieniec. Leżał na ziemi, bijąc o nią rękoma i nogami. Jego wrzaski nie miały w sobie nic ludzkiego. Old Firehand spojrział w milczeniu na Indianina.

- To zemsta! - powiedział ochryple Apacz.

- Nie była to odpowiednia pora.

- Zemsta! - powtórzył Indianin.

- Lepiej byłoby, gdybyś go zabił!

- Zabił? Mój biały brat nie wie, co musiałem znieść. Inni wycierpieli jeszcze więcej. Szybka śmierć nie byłaby dla niego żadną karą. Zabrałem mu tylko skalp. Niech wyje, aż mu wyrośnie następny. Będę przy nim czuwał, gdy mój brat pójdzie na górę.

- Dobrze! Ale nie torturuj go! I przynajmniej opatrz jego rany!

Apacz chciał zaprotestować, ale zauważywszy surowe, ostrzegawcze spojrzenie traper, zrezygnował. W milczeniu odwiązał szarfę, którą Juanito używał jako pasa, oblał ją resztką wody z manierki Old Firehanda i obmył krwawiącą ranę Juanita. Oskalpowany krzyczał za każdym dotknięciem, ale Indianin nie zwracał na to uwagi i w milczeniu dokończył opatrunku. Potem związaawszy chustkę na głowie Juanita usiadł w milczeniu na ziemi.

- Mój czerwony brat odniósł wspaniałe zwycięstwo: zwyciężył sam siebie - powiedział Old Firehand, a potem razem z Hermannem zaczął wspinać się szybem do góry.

Szyb był bardzo wysoki. W koficu znaleźli się pod swego rodzaju dachem podpartym jedynie czterema słupami, co pozwalało na dopływ świeżego powietrza do szybu. Na niebie widać było migocące gwiazdy. W ich świetle zauważyli mężczyznę siedzącego przy wyjściu z szybu. Nie podnosząc głowy, mężczyzna zapytał:

- Co się stało na dole, Apaczu? Kto tak krzyczy?

Pytanie to zostało zadane w narzeczu Apaczy.

- Juanito został oskalpowany - odparł Old Firehand po hiszpańsku.

- Przez kogo? - zdziwił się mężczyzna i uniósł głowę.

- Przez Apacza.

- Tormenta!

Zakuty w łańcuchy mężczyzna zerwał się z ziemi i spojrział na Hermanna Adlerhorsta.

- Kim jesteście? Ten pies, Juanito, został oskalpowany? Och, może pojawiła się dla nas jakaś nadzieja!

- I ak; przychodzę, aby powiedzieć ci, że jesteś wolny, senior.

- Wielkie nieba! Niech Bogu będą dzięki! Bałem się straszliwie, że skoficzę tak, jak ci przede mną tutaj!

- Jak?

- Och, tego nie da się opisać! Jestem tu dopiero od niedawna.

- Jak się pan nazywa?

- Benfield.

- Ilu ludzi jest tu na górze?

- Sześciu.

- Zna ich pan?

- Tak.

- Czy rozmawiał pan z nimi?

- Nie. Mogłem widzieć tylko jednego z nich. Każdy obsługuje swój piec i jest do niego przykuty w taki sposób, że nie może odejść.

Ale znam ich nazwiska. Poza mną są tu Adler, Wilkins, Groota,

11- Dolina śmierci 321

Hampton i Baring.

- Zaraz pana uwolnię.

- Naprawdę? Będę wolny? Wolny! Oto moje ręce i nogi, senior... Jak się pan właściwie nazywa?

- Winter.

Po chwili Old Firehand ruszył na poszukiwanie pozostałych więźniów. Przebywali na szczycie skały, gdzie w wielu małych szopach stały piece i tygle do topienia; do każdego z nich przykuty był jeden mężczyzna.

Można sobie wyobrazić ich radość, kiedy dowiedzieli się, że mają być wolni. Poza Benfieldem, wszyscy wyglądali w najwyższym stopniu żałośnie, jako iż przy oczyszczaniu rtęci byli wystawieni na działanie tego metalu. Na szczęście, na szczycie skały wiał niemal bez przerwy silny wiatr rozwiewający w dużym stopniu trujące opary.

Po rozkuciu wszyscy zeszli na dół szybu. Apacz ciągle jeszcze siedział obok Juanita trzymając w dłoni nóż. Zagroził mu, iż go zasztyletuje, jeśli krzyknie choć jeden raz. 'Ih groźba osiągnęła swój skutek; Juanito zagryzł zęby i ze wszelkich sił starał się opanować ból. Mimo to nie był w stanie zapanować nad sobą i nie jęknął od czasu do czasu, co wywoływało pełne pogardy spojrzenie India-nina.

Oskalpowanemu zarządcy zdjęto kajdany z nóg. W tym stanie i przy tak licznych towarzystwie nie miał co marzyć o ucieczce. Kiedy upewniono się dokładnie, że w kopalni nie ma już więcej chodników, a więc i więźniów, wyruszono w drogę powrotną. Ze względu na swe rany, Juanito musiał być podtrzymywany. Old Firehand zaprowadził mężczyzn najpierw do izby Roulina, w której znajdowały się jego ubrania. Wystarczyło ich dławszystkich. W tym czasie wybawiciele poszukiwali żywności. Kiedy mężczyźni zaczęli jeść, Old Firehand poszedł do kobiet, dla których Anita postarała się o skromne okrycia.

322

Stara jędra została zamknięta razem z Juanito w jednej z izb pozbawionych okien. Na straży, na własną prośbę, stanął Apacz.

Dwóch braci

Old Firehand i Hermann Adlerhorst oparli się o okno i przyglądali uratowanym.

Hermann był bardzo wzburzony; po siedemnastoletniej rozłące spotkał dzisiaj znowu brata i własnoręcznie uwolnił go z więzów. Musiał przy tym bardzo panować nad swymi nerwami, by nie dać się rozpoznać. Nagła radość mogłaby poważnie zaszkodzić uratowanemu bratu.

Martin był teraz tylko cieniem człowieka, który mieszkał i pracował w Wilkins-xeld; wyglądał jak kościotrup, a jego pozbawione blasku oczy tkwiły głęboko w oczodołach. Hłęczał teraz przy skalnej ścianie obok mężczyzny, który podobnie jak on, zdawał się składać ze skóry i kości. Jego broda była długa i zmierzwiona, ale rysy twarzy posiadały dziwne podobieństwo do Roulina, właściciela i pana tej kopalni. Był to Artur Wilkins, zaginiony bratanek plantatora Wilkinsa.

Obaj mężczyźni mieli sobie dużo do powiedzenia; Martin wyruszył przecież na Dziki Zachód, aby odnaleźć zaginionego. Jednakże, mimo iż przebywał w kopalni od miesięcy, nigdy go nie widział. Dzisiaj rozmawiał z nim po raz pierwszy. Z płonącymi oczyma Hermann śledził każdy ruch swego brata. Tęsknił za chwilą, w której będzie mógł dać się poznać i objąć go 324 ramionami. Old

Firehand widział, co dzieje się z młodym człowiekiem. Kiedy więc w rozmowie obu byłych więźniów nastąpiła przerwa, zwrócił się do Martina:

- Muszę z panem porozmawiać, mister Adler. Proszę, aby wyszedł pan ze mną na piętnaście minut.

Martin poszedł za Old Firehandem do „sali”, gdzie zaczął mu gwałtownie dziękować. Old Firehand przysłuchiwał się mu z uśmiechem.

- Niech pan już nie dziękuje, mister - przerwał mu w pewnej chwili. - Nie tylko mnie ma pan do zawdzięczenia fakt, że został pan dzisiaj uwolniony. Szukałem pana.

- Pan? Mnie?

- Jest wiele osób, które chętnie chciałyby się dowiedzieć o pańskim aktualnym miejscu pobytu.

- Kto?

- Najpienw pewien mister Wilkins i jego córka Almy. Dwa z

pewnością znane panu nazwiska. Nieprawdaż

- O Boże! Gdzie oni są? Jak im się powodzi? Gdzie pan ich spotkał?

- Chwileczkę; zadaje mi pan mnóstwo pytań na raz, a ja nie mam czasu, aby na nie teraz odpowiedzieć. Przyślę panu kogoś, kto chętnie udzieli pożądanых informacji.

- Kim jest ten człowiek?

- Tb mój towarzysz. On również szukał pana przez wiele miesięcy.

- Zaciekawia mnie pan coraz bardziej. Czego on chce ode mnie? Nie przypominam sobie, abym go kiedykolwiek widział.

- Nie? - uśmiechnął się traper. - Siedemnaście lat to naturalnie dużo czasu.

- Siedemnaście lat? Nie rozumiem pana. Wtedy byłem jeszcze chłopcem i... i...

- 1?

325

- Nie było mnie wcale tutaj, tylko na Bliskim Wschodzie! Ale pan nie może przecież o tym nic wiedzieć!

- Myli się pan. Znam doskonale całą historię pańskiej rodziny.

Martin spojrział na trapera szeroko otwartymi oczyma.

- Mówi pan prawdę?

- Nie mam powodu do żartów.

- Kto mógłby panu o tym powiedzieć? Chyba tylko mój przybrany ojciec, Wilkins, który dobrze zna mój los.

- Nie.

- Nie? W takiej sytuacji mógł to panu powiedzieć tylko mój wuj.

Ale byłby to przypadek, w który aż nie chce mi się wierzyć.

- Ma pan może na myśli sir Dawida Lindsaya?

- 'Ib niemożliwe; pan go naprawdę zna! Gdzie i kiedy widział go pan ostatnio?

-- Przed kilkoma dniami na rzece Kolorado. 'Pdkże i on szuka pana. Ale myli się pan sądząc, że to od niego usłyszałem o panu po raz pierwszy.

- Nie wiem więc, kto mógł panu opowiadać o mnie!

- A któż inny, jak nie pański brat?

- Mój... brat...?

- 1'ak, pański brat.

- Pan się myli! Pan musi się mylić! Nie mam brata... to znaczy... miałem kiedyś brata... nawet dwóch... ale to niemożliwe, aby to ich miał pan na myśli... zaginęli dawno temu... a może nawet nie żyją.

- A jeśli zapewnię pana, że oni żyją?

- Skąd pan może to wiedzieć?

- Właśnie od pańskiego brata!

- Od... mojego... brata? Niech pan sobie nie żartuje ze mnie!

- Jak mógłbym żartować, gdy idzie o tak poważne sprawy? Jest tak, jak powiedziałem.

- O Boże... gdyby to była prawda... Którego ma pan na myśli?

326

Gottfrieda czy Hermanna?

- Hermanna.

- Gdzie on jest?

- Całkiem blisko. Tb właśnie mój towarzysz, o którym przed-tem mówiłem.

Martinowi zadrżały kolana. Musiał znowu usiąść.

- On... miałby... być... moim bratem?

- Pdk jak panu powiedziałem.

- Ale w jaki sposób dotarł do Ameryki? Skąd on się tu wziął?

- Najlepiej będzie, jeśli sam to panu wyjaśni. Potem może panu również opowiedzieć o pafiskiej siostrze Lizie i o bracie.

- Wielkie nieba! Co pan wie o nich?

- Wiem tylko, że Liza, pod dobrą opieką, znajduje się w Niemczech, a pafiski brat, Gottfried, w Rosji.

- Dzięki ci, najłaskawszy Boże! Wybacz mi, że byłem tak małoduszny i niemal straciłem nadzieję. Ach, sir: ujrzeć choć raz moich najbliższych, to było marzenie mego życia. Może pan sobie wyobrazić, co czułem, kiedy musiałem zrezygnować z tego marzenia, bowiem wrzucono mnie do tego piekła! A teraz to, co miałem zamiar zdobyć pracą całego życia, samo wpada mi do rąk! Niech Bóg pana za to wynagrodzi! Jak się pan nazywa?

- W tej okolicy nazywają mnie Old Firehandem.

- Pan... jest... Old Firehandem?

- Ihk, to ja. I jak sądzę, . znam pana jeszcze z- dawnych czasów.

- Dawnych czasów? Jakim sposobem?

- Myślę o Niemczech, gdzie byłem kiedyś nadleśniczym w służbie pewnego Bruno von Adlerhorsta. Mógł to być pafiski ojciec, jak sądzę.

- Czyżby to było możliwe?

- Oczywiście, pan był wtedy jeszcze małym dzieciakiem w wieku około dwubeh lat. Dlatego nie może pan pamiętać leśniczego pańskiego ojca, który nazywał się Winter.

327

- I tym leśniczym jest pan?

- l'dk. Ja jestem ów Winter.

- Wierzyć się nie chce! Jakże dziwne są zrzádzzenia losu!

- Ma pan rację. Ja też nigdy nie myślałem nawet we snach, że na Dzikim Zachodzie spotkam syna mego dawnego pracodawcy.

- Jak pan spotkał Hermanna? Z pewnością sam przyszedł do pana.

- Nie; on nie miał pojęcia o moim istnieniu. Natknęliśmy się na siebie przypadkowo, jeśli mogę to tak określić. Było to w Santa Fe, gdzie spotkaliśmy się na ulicy. Natychmiast zauważyłem jego podobieństwo do ojca. Zaczepiłem go, a reszta rozwinęła się sama z siebie.

- Mówi to pan tak lekko! Och, ile razy kłóciłem się ze swym losem i Bogiem! Wątpliwości zagnieździły się tak głęboko w mym mózgu i zżerały wiarę, którą wyniosłem ze swego dzieciństwa. I wtedy pan, niczym wysłannik niebios, przybył tu, by mnie uratować. Ura-tował pan nie tylko moje życie, mister Winter, ale również i wiarę! Jak mam panu...

- Już dobrze! - przerwał mu Old Firehand. - Niech pan nie dziękuje mnie, ale Bogu! Byłem tylko jego narzędziem. Nie tylko zresztą ja, ale również wielu innych wspaniałych mężczyzn, którzy starali się pana odnaleźć. Oni także zasłużyli na pańskie podziękowania.

- Kim są ci ludzie?

- Winnetou, wódz Apaczów.

- Winnetou!

- Potem Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker, którzy bardzo przyczynili się do pańskiego wybawienia. 'I~raz jednak nie traćmy czasu; zaraz przyślę tu panu kogoś, kto opowie panu wszystko, o czym będzie pan chciał wiedzieć~.

Old Firehand poszedł po Hermanna, który ciągle jeszcze stał w tym samym miejscu, z niecierpliwością oczekując na powrót trapera.

328

- Niech pan idzie do swego brata! Przygotowałem go na spotkanie z panem.

- Czy mogę powiedzieć mu wszystko?

-`Iak. Myślę, że jest już wystarczająco silny, aby poznać całą prawdę. Znajdzie go pan w „sali”. Hermann pośpiesznie wyszedł.

Old Firehand poszedł teraz do Artura Wilkinsa, bratanka plan-tatora. Można sobie wyobrazić, w jakim napięciu Artur słuchał wyjaśnienia trapera, jako że ta opowieść wyjaśniała mu cały przebieg oszustwa, ktregu padł ofiarą. Niewiele mógł się dowiedzieć o tym od Martina, który wyruszył na jego poszukiwania, zanim Wilkins i Almy zostali wypędzeni ze swej plantacji i nie wiedział, jakie były ich dalsze losy. Ręce Artura zaczęły silnie drżeć, kiedy dowiedział się z jak wielką podłością postąpiono z jego krewnymi.

- Biada Roulinowi, jeśli znajdzie się na mojej drodze! Powie-dział pan, że możemy się go tu spodziewać w najbliższym czasie. Co pan ma zamiar zrobić?

- Prz~każemy go w ręce sędziego.

- Jaki zapadnie wyrok?

- Z pewnością będzie to wyrok śmierci.

-`Idk, niech go powieszą. Ale czy to wystarczająca kara za jego przestępstwa? Niech pan pomyśli, co wycierpiał jego ofiary! Po-winien umrzeć po dziesięciokroć! Zostać zlinczowany!

- Jestem przeciwny. Sąd musi dowieść, że wszedł w posiadanie Wilkinsfield w sposób bezprawny. Letlor będzie musiał oddać plan-tację bez żadnego odszkodowania, a także zwrócić wszelkie zyski, jakie mu przyniosła plantacja. Czy osiągnie pan to linczując Rou-lina?

- Ma pan rację. Mądrość nakazuje przekazać go w ręce sędziego. Ale nadal twierdzę, że zasłużył na wiele więcej.

- W jaki właściwie sposób dostał się pan w ręce Roulina?

- Zaraz to panu opowiem. W Santa Fe poznałem Walkefa, który

329 mnie tutaj zwabił. 'Iiz zostałem miło przyjęty przez Roulina, który dziwnym trafem, był do mnie bardzo podobny. Zostałem przez niego poczęstowany napojem, w którym rozpuszczono środek nasenny. Kiedy się obudziłem, byłem już więźniem w kopalni rtęci. Musiałem pracować dzień i noc, jeśli nie chciałem być traktowa-ny nieludzko. Jedyną rzeczą, która trzymała mnie przy życiu, była nadzieja.

- `Pdk, nawet w najcięższych chwilach należy mieć nadzieję; nigdy nie pozwoli nam ona zginąć i wyzwała wielkie siły.

- 1'ak, sir. Wstydę się teraz godzin, w których ogarniało mnie zwątpienie. Ale niekiedy przechodziła mi przez głowę myśl, że uda mi się znowu odzyskać wolność; dodawała mi ona siłę, aby znosić to nędzne życie.

- W jaki sposób mister Adler odnalazł pafiski ślad?

- Nie było to takie trudne, jak mi wyjaśnił przed chwilą. Dowiedział się, że sprzedaż plantacji miała miejsce w Santa Fe. Był to dla niego pierwszy ślad. Dlatego pojechał do tego miasta.

- Całkiem słusznie!

- Przez dłuższy czas szukał mnie w tamtej okolicy. Od jednego z urzędników dowiedział się, że cała transakcja odbyła się w sposób zgodny z prawem; podobno ja sam byłem u sędziego z Walkerem.

- Był to naturalnie Roulin, który zabrał panu wszystkie dokumenty i podał się za pana.

- 'Ib prawda. Adler przebywał w Santa Fe i okolicy przez około miesiąc, na próżno szukając śladu Walkera. Wtedy poznał hiszpańskiego Kreola, nazwiskiem Alvarez; był on właścicielem gospody w Dos Palmas.

- Doś Palmas? Byłem tam wczoraj i spotkałem Juanito, którego matka prowadzi tę gospodę.

- Zna pan nazwisko Juanita?

- Nie.

- On nazywa się Alvarez. Juanito jest synem człowieka, 330 którego mister Adler spotkał w Santa Fe. Był on współnikiem Walkera w jego przestępstwach, o czym Adler naturalnie nie miał pojęcia. Kiedy zaprzyjaźnił się bardziej z Alvarezem, zapytał go pewnego dnia o Walkera i ku swej radości dowiedział się, że tamten go zna.

- Ku swej radości, ale także na swoje nieszczęście!

- Alvarez powiedział mu, że jeśli chce spotkać Walkera, musi pojechać z nim do Dos Palmas.

Walker rzekomo miał mieszkać w tamtej okolicy i często bywać w jego gospodzie. 'Ib była pułapka, w którą wpadł Adler. Stamtąd Alvarez zwał go do Doliny Śmierci; powiedział mu, że ma coś do załatwienia u właściciela kopalni rąci. Nazwa Dolina Śmierci zaciekała Adlera; chciał ją koniecznie zobaczyć. Przyjechał tu, został uprzejmie przyjęty i tak samo, jak mnie, poczęstowano go środkiem nasennym. Kiedy się obudził, był już w kopalni, zakuty w łańcuchy. Twarz dowiedział się, jakiego rodzaju znajomość łączyła Alvareza z Roulinem: Alvarez był zarządcą jego kopalni.

- 'Idk, jak teraz jego syn.

- 1'dk.

W tym momencie w izbie pojawili się obaj bracia Adler-horstowie. Młody Wilkins bardzo się zdziwił dowiedziawszy się o ich pokrewieństwie.

- Nie mamy zbyt wiele czasu - ostrzegł Old Firehand. - Niech pan opowiada dalej, mister Wilkins. Mówił pan, że Juanito został następcą ojca w kopalni.

- 'Idk jest.

- Gdzie jest teraz jego ojciec?

- Gdzieś pod ziemią. On nie żyje.

- Szkoda. Bardzo bym się ucieszył, gdybym mógł mu zapłacić za wszystko, tak jak mam zamiar zapłacić jego synowi.

- Ojciec otrzymał już zapłatę: nie umarł śmiercią naturalną. Ale najlepiej, jeśli opowie o tym mister Adler. 331

- Dlaczego?

- Był przy tym, kiedy upomnieli się o niego diabli..

- Zginął w wypadku?

- Zależy, jak na to patrzeć - wpadł mu w słowo Martin. - '1'dk, zginął w wypadku; nadział się na moje pięści.

- Ach!

- Oczywiście nie chciałem pracować w kopalni, za co otrzymałem chłostę tym pejcem. Nie wiecie, co to znaczy. Już po pierwszym razie, kiedy mnie uderzył, Alvarez podpisał na siebie wyrok śmierci. Byłem jednak przykuty do żelaznej szyny; strzegł się, aby nie podchodzić do mnie zbyt blisko. Nie mogłem go więc schwycić. Podchodził tylko na tyle, by móc dosięgnąć mnie pejcem. Często dostawałem chłostę. Ty jeszcze bardziej potęgowałeś moją zawziętość. Pewnego dnia udałem, że straciłem przytomność: upadłem na ziemię. Alvarez był tak nieostrożny, że postanowił zbadać mój puls... i wtedy go dostałem. Co prawda, miałem na rękach łańcuchy, a on bronił się jak dzikie zwierzę, ale ja byłem wtedy jeszcze bardzo mocny. Umarł pod moimi pięściami.

- Łatwa śmierć za jego niesłychanego łotrostwa.

- Jego następcą został Juanito, który już od pewnego czasu mu pomagał.

- Ty było niezbyt miłe dla pana.

- Rozumie się; syn starał się ze wszystkich sił, aby pomścić ojca.

Nie jestem w stanie opisać swych cierpień. Roulin zaś miał czelność, by mi opowiadać, że także i Artur Wilkins jest jego więźniem. Nie robił żadnej tajemnicy z tego, że w Santa Fe podał się za Wilkinsa, a potem sprzedał plantację Walkerowi. 'I raz wie pan wszystko, mister Firehand.

- Dziękuję. Został pan uwolniony z piekła. Wie pan jednak chyba, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło?

- Niestety! Ma pan na myśli nasz stan fizyczny? Jesteśmy zatruci; nawet jeśli otrzymamy pomoc lekarską, jest rzeczą

332 wątpliwą, czy kiedykolwiek odzyskamy pełnię zdrowia.

- Niech pan nie traci nadziei!

- Nie robię tego. Na szczęście, piecze i tygrysy znajdowały się na szczycie skały, gdzie wiatr chociaż częściowo rozwiewał trujące opary.

- Ty chyba jedyną zaletą tego miejsca. Mówiąc jednakże o niebezpieczeństwie, nie miałem na myśli pafiskiego zdrowia, lecz coś innego: Roulin powróci niebawem ze swej wycieczki i przyprowdzi ze sobą kilkuset Indian ze szczepu Mohawe.

- Wielki Boże! Uciekajmy więc, póki czas!

- Uciekać? O czym pan myśli? Żaden westman nie poddaje się tak szybko!

- Proszę mi wybaczyć! Nie chciałem pana obrazić mówiąc o ucieczce. Miałem na myśli tylko to, że będziemy znowu na straconej pozycji, gdy Roulin i Indianie nas tu zastaną. Powinniśmy stąd odejść i wrócić z przedstawicielami prawa, którzy zajmą się jego osobą.

- Byłoby to najbardziej niezręczną rzeczą, jaką moglibyśmy zrobić - uśmiechnął się z wyższością Old Firehand.

- Nie podoba się panu moja propozycja?

- Nie, wcale nie. Sądzi pan, że zastaniemy tu jeszcze Roulina?

Kiedy po powrocie dowie się, że uwolniliśmy jego więźniów, natychmiast zniknie. Nie. Pozostaniemy tutaj i będziemy na niego czekać.

- I b szalony zamiar! Niech pan pamięta o naszym stanie!

Jedynymi, którzy są całkowicie zdrowi, jesteście wy: pan i Hermann.

Pozostali nie są zdolni do obrony.

- Mamy pomocników. Za Roulinem i jego trzystoma Indianami jedzie kilku naszych przyjaciół z czterystoma Apaczami i Mariko-pasami. Idą za nimi trop w trop.

- Czy nasi sprzymierzeńcy pokażą się Mohawom podczas po-goni? -- włączył się do rozmowy Hermann. 333

- Z pewnością; nawet im to poradziłem. Nie powinni im dać ani chwili spokoju, by nie znaleźli czasu i nie próbowali zrobić krzywdy Aliny.

- Mój Boże! Almy! - wyrwało się Adlerowi. - Musimy jej pomóc!

- Zaraz wyruszam w drogę! - zdecydował Old Firehand.

- Wyjeżdża pan? - zdziwił się Hermann: - Czyż nie powie-dział pan przed chwilą, że będziemy tutaj oczekiwać przybycia Roulina?

- 'I'dk; ale to wy tu zostaniecie. Ja muszę wyjechać.

- Dokąd? I to w środku nocy?

- Naprzeciw Mohawom. Pojadę po pomoc. Nasi przyjaciele jadą za nim trop w trop. Chcę wziąć od Winnetou grupę Apaczów i przyprowadzić ich tutaj jak najszybciej i to tak, aby Roulin tego nie zauważył. Wtedy weźmiemy go w dwa ognie.

-Ib doskonały pomysł. A czy wie pan, gdzie spotkać Apaczów?

- Jakoś ich znajdę.

- Bardziej wierzę, że prędzej natknie się pan na Indian Moha-we, którzy idą przed nimi. .

- 'Ib jasne, że zobaczę ich jako pierwszych.

- I wpadnie pan w ich ręce!

- Pshaw! Old Firehand wie doskonale, na co może sobie pozwolić.

- A więc pojadę z panem.

- 'Ib niemożliwe. Chce pan zostawić tych biednych ludzi po-trzebujących pomocy samym sobie? Jeden z nas musi przy nich zostać.

- Co mam jednak zrobić, gdyby Roulin przybył tu ze swymi Indianami przed pańskim powrotem?

- 'Ib bardzo proste; nie wpuszczać ich. Reszta jest moją sprawą.

- Jest pan bardzo odważnym człowiekiem!

- Wcale nie. Mój kofi jest bardzo wytrzymały. Ma do prze-jechania spory kawałek drogi; ale on to wytrzyma.

334

- Zna pan tę okolicę?

- Nie, ale niech się pan oto nie martwi. Mam dobre oczy i potrafię myśleć. Poza tym, każdy westman posiada szczególny zmysł, któremu może zawierzyć w trudnej sytuacji.

Old Firehand przekazał jeszcze swoje wskazówki Hermannowi, a potem wyruszył w drogę. Na dziedzińcu natknął się na Apacza, który na moment opuścił swój posterunek przy Juanito, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Indianin z uwagą przyjrzał się koniowi trapera.

- Mój biały brat ma dobrego konia.

- Jest doskonały.

- Czy go kupiłeś?

- Nie, dostałem go w podarunku.

- Jesteś więc wielkim wojownikiem. Widziałem tego konia jako źrebaka. Należał do Mocnej Ręki, wodza Apaczów Chiricahua.

- Moje uznanie! - zdziwił się Old Firehand. - Rzeczywiście dostałem go od niego.

- Musiałeś wyrządzić mu wielką przysługę. Komuś innemu wódz nie podarowałby swego konia. Gdzie widziałeś go po raz ostatni?

- Nad wodami Kolorado.

- ~y?

- Wczoraj.

- I kiedy go znowu zobaczysz?

- Może już jutro. Przybędzie tu z wieloma wojownikami, aby cię pomścić.

- Uff! - zdziwił się Indianin.

- Jadę teraz do niego.

- Mój biały brat ma jeszcze jednego konia; pojedę z nim.

Apacz powiedział to takim tonem, jakby wszelki sprzeciw był wykluczony.

- Żartujesz - odparł Old Firehand. - Jak mógłbyś ze mną pojechać? Męczarnie, jakie przeżyłeś, zniszczyły twoje siły. Musisz najpierw dojść do siebie.

335

- Od chwili, gdy ujrzałem tego konia i powiedziałaś mi o wodzu, odzyskałem moje siły.

- Tb złudzenie. Nawet gdybyś był zdrowy, nie mógłbym cię zabrać ze sobą. Wyjeżdżam jako zwiadowca; niepotrzebny mi jest do tego towarzysz.

- A więc usłucham cię i zostanę tutaj. Powiedz mi jednak, skąd wyjechali Apacze?

- Znad 'Iiitlish-to.

- I ty też tam byłeś?

- 'Pdk, byłem gościem Leśnej Gołębiczy.

- A więc wódz musi cię bardzo lubić. Nigdy nie udałby się nad Błękitną Wodę z obcym mu człowiekiem. Czy spotkałeś tam wojownika o imieniu Rączy Jelefi?

- 'Ih, rozmawiałem z nim nawet. Jest jeszcze bardzo młody, ale ma serce doświadczonego wojownika.

- To mój brat.

- A więc ty też jesteś synem Mocnej Ręki?

- Rzekłeś, biały bracie.

- Cieszę się więc w dwójnasób, że udało mi się cię uratować. W jaki jednak sposób znalazłeś się w tej niewoli?

- Jeden z Marikopasów obraził mnie i pojechałem, aby zabrać mu skalp. Marikopasowie byli przyjaciółmi człowieka, który zwie się Roulinem i jest właścicielem tej kopalni. 'I-n, którego szukałem, był w Dolinie Śmierci. Przyjechałem tutaj i podkradłem się do domu. Ktoś wykopał obok niego dół, jako pułapkę na stepowe wilki. 'Pdkie doły są przykryte i trudno je zauważyć. Wpadłem do tego dołu. Na dnie wkopano w ziemię ostre pale. Jeden z nich przebił mi udo. Leżałem tam wiele godzin, zanim mnie odkryto. Dostałem gorączki i rana zaczęła się jadzić. Mój duch opuścił mnie, dlatego nie byłem w stanie się bronić. Gdyby nie ta gorączka, zabiłbym swoich wrogów, zanim umarłbym na skutek mej rany. Zabrano mnie do kopalni. Duża rana zagoiła się po pewnym czasie, ale ja pozostałem w niewoli.

336

- A więc twoi bracia nie wiedzą, że jesteś tutaj?

- Nie. Czerwoni wojownicy często wyjeżdżają samotnie, by się zemścić i nie mówią nikomu o tym ani słowa. Gdyby wojownicy Apaczów wiedzieli, dokąd wyjechałem, przybyli by tu, aby mnie uwolnić. Oni sądzą jednak, że od dawna nie żyję.

- Tym bardziej się więc ucieszają, gdy cię zobaczą.

- Jedziesz teraz do wodza?

- 'Pdk.

- Powiedz więc Mocnej Ręce, że Szybki Wiatr żyje nadal i zdobył dzisiaj skalp swego prześladowcy! Podstęp Billa Newtona

Po wizycie nad rzeką Kolorado, Indianie Mohawe ruszyli na zachód, w drogę, która miała ich zawieść do Doliny Śmierci. Prowadziła ona najpierw przez porośniętą trawą prerię, a potem przez

pustynną, kamienistą równinę. Później, gdy okolica stała się górzysta, pojawiły się również i zarośla.

Czerwonoskórzy znali tę okolicę tak dobrze, że posuwali się do celu w linii prostej.

W nocy nie rozbito obozu, aby nie dać okazji ścigającym do zmniejszenia przewagi. Odpoczynek trwał tylko godzinę, by ode-tchnęły konie, a potem ruszono w dalszą drogę.

Jeficy byli związani, tylko Almy uwolniono ręce, aby mogła się trzymać konia.

Pograżony w zadumie dawny derwisz, Bill Newton, jechał obok swoich towarzyszy w milczeniu. Od czasu do czasu jego spojrzenie wędrowało ku Almy, otoczonej przez Indian. Jej oryginalna, południowa uroda wywarła na nim głębokie wrażenie; od kilku godzin dręczyła go pewna zuchwała myśl. Wiedział, że Leflor i Walker mają ochotę na dziewczynę, ale nie miał zamiaru im tego ułatwić. A co by było, gdyby udało mu się uwolnić Almy i uciec razem z nią?. Był wystarczająco sprytny, by zauważyć, że w tym towarzy-stwie jest jedynie tolerowany jako narzędzie, którego się używa, a 338 potem odrzu~a na bok. Denenwowała go wyniosłość współników i byłby piekielnie zadowolony, gdyby udało mu się dać im prztyczka w nos i udowodnić swoją wyższość.

Niepokoila go poza tym inna sprawa: spotkanie z Hermannem Adlerhorstem i Old Firehandem. Był przekonany, że obaj będą trzymali się jego tropu jak psy myśliwskie. Hermanna obawiał się mniej, za to tym większym lękiem napawała go myśl o spotkaniu z traperem, o którego wyczynach słyszał już wystarczająco dużo w czasie swego krótkiego pobytu w Stanach.

Był tchórzem; jeśli trzeba było stanąć oko w oko z przeciwnikiem, jak prawdziwy mężczyzna; nawet obecność trzystu Indian nie dawała mu poczucia bezpieczeństwa. Jednakże jeśli idzie o podstęp, Bill Newton mógł się mierzyć z każdym.

Stąd też, od wielu godzin, nosił się z myślą ucieczki i tak dosko~atego zatarcia śladów za sobą, aby prześladowcy nie byli ich w stanie nigdy odnaleźć. Ale nie samemu, chciał zabrać ze sobą dziewczynę. Na złość swoim towarzyszom.

Postanowił porozmawiać z Almy; trudno mu było jednak uczynić to w sposób niezauważony przez innych. Z tego powodu jechał w jej pobliżu; w koficu, dzięki sprytowi, udało mu się poprowadzić jej konia.

Zbliżył się do niej i zapytał, niemal nie poruszając wargami:

- Czy pani mówi po francusku, seniorita?

Almy spojrzała na niego zaskoczona. Nie odpowiedziała mu, bowiem nie potrafiła sobie wyobrazić, co może powiedzieć czło-wiekowi, którego znała jako przestępcę.

- Mam dobre zamiary względem pani, ale nikt nie może się o tym dowiedzieć. Proszę na mnie nie patrzeć i odpowiadać tak cicho, aby poza mną, nikt nie mógł usłyszeć pani słów. Czy pani mówi po francusku?

Nie wolno jej było patrzeć na niego, ale mimo to Almy poświę-ciła Newtonowi badawcze, niewiarygodnie długie spojrzenie.

339

- '1'ak - odparła cicho.

Bill Newton prawidłowo zrozumiał jej spojrzenie.

- Pani wątpi w me słowa?

- 'Idk.

- Dlaczego?

- Znam pana i nie wiem, co dobrego mogłoby mnie spotkać z pafiskiej strony.
 - Rozumiem panią; oczekiwałem zresztą takiej odpowiedzi. Ale człowiek może się przecież zmienić na lepsze.
 - A cóż takiego wpłynęło na pafiskie nawrócenie?
 - Mam już dość życia, gdy człowiek spotyka się z pogardą ze strony wszystkich uczciwych ludzi. Proszę mi wierzyć, że mówię q...: prawdę! Może mi pani całkowicie zaufać!
 - Chciałabym, ale..
 - Ale?
- .. to zbyt niebezpieczne.
 - Niebezpieczne? Nie rozumiem. W większym niebezpieczeństwie niż teraz nie może się pani przecież znaleźć!
 - Chce mnie pan uratować?
 - Pak.
 - Tylko mnie?

'Ib pytanie było bardzo niewygodne dla Newtona. Prawdopodobnie dziewczyna nie chciała uciekać z nim sama.

- Postąpię zgodnie z pani życzeniem. .
- Chcę być wolna tylko razem z moim ojcem.
- 'Ib może być trudne.
- A więc pozostanę w niewoli.
- Proszę pamiętać o tym, co panią czeka!
 - Bóg mnie obroni.
 - Już jutro przybędziemy do Doliny Śmierci. Nasza ucieczka musi nastąpić do tego czasu.
 - Powtarzam, że nie ucieknę sama.

340

Newton milczał przez chwilę. Nie oczekiwał takiego oporu. Jed-nakże jego przebiegłość pomogła mu znaleźć wyjście z sytuacji.

- Dobrze. Zrobię wszystko, by uwolnić pani ojca. Musi mi pani jednak przyrzec, że będzie postępować zgodnie z moimi poleceniami.
 - Jestem gotowa.
 - Ucieczka jest możliwa tylko w nocy.
 - W jakisposób?
- 'Ihgo jeszcze nie wiem. Muszę zmylić strażników, spowodować, że zostawią panią samą. Nie wiem, jak tego dokonam.
 - Dokąd nas pan zaprowadzi?
 - Dokąd chcecie.
- Mój ojciec będzie chciał wrócić nad Błękitną Wodę. Ale my nic nie mamy; jak pan wie, tamci zabrali nam wszystko.
- Ja też jestem biedny, ale wydobędę pieniądze od Walkera. Ma w swoim pasie ukrytą dużą sumę pieniędzy.
 - Ghce je pan ukraść?
- Nazywa pani kradzieżą odebranie tego, co on sam ukradł innym? Zabrali wam waszą wolność. Któż może mieć wam za złe, jeśli zabierzecie mu to, co potrzebujecie, aby ją odzyskać? Nawiasem mówiąc, muszę wam oświadczyć, że wcale nie jesteśmy tak osamotnieni, jak myślicie. Ścigają nas Apacze.

- Słyszałam o tym.
- A wśród nich jest Old Firehand.
- Jest pan tego pewien?
- Absolutnie.
- Dlaczego więc nie zaatakował Mohawów? Byłby to naj-prostszy i najpewniejszy sposób, by przywrócić nam wolność!

- Nie. Byłaby to dla was najpewniejsza droga ku śmierci. Kiedy tylko Mohawowie zostaliby napadnięci, zabiliby was, abyście nie wpadli z powrotem w ręce waszych przyjaciół. Możemy więc po-służyć się tylko podstępem. Podczas najbliższego odpoczynku

341 rozwiążę was, a potem zaprowadzę do Old Firehanda. Tó chyba najlepsze, co mógłbym zrobić.

- 'Pdk, tak. Razem z nim będziemy bezpieczni!

Powiedziała to tak głośno, że Indianie zwrócili uwagę na jej słowa. Ich wódz skierował swego konia w jej stronę i spojrzał przenikliwie na Billa Newtona.

- Dlaczego blada twarz nie pozwoli swemu językowi odpo-czywać?

- A dlaczego czerwony mąż porusza swoim?

- Ponieważ Dziki Niedźwiedź chce wiedzieć, o czym rozmawiasz z tą dziewczyną.

- Czyżbym musiał ci się tłumaczyć?

Indianin spojrzał na niego z gniewem.

- 'l'dk; jestem wodzem.

- Ale nie moim!

- Ty jesteś nikim, absolutnie nikim! Jesteś sługą twego pana.

Masz słuchać. Dziki Niedźwiedź nie chce jednak słuchać już twych słów - oświadczył Indianin i popędził konia na czoło pochodu, gdzie zwrócił się do Walkera.

- Czy blada twarz, zwana Billem Newtonem, posiada twoje zaufanie?

- Jak do tej pory nie miałem powodu, by mu nie ufać.

- On nie ma dobrej twarzy.

- 'I-k, to prawda, jego oblicze przypomina pysk lisa.

- Dlaczego on jedzie obok białej squaw?

- Każdy może to zrobić.

- Dlaczego on jednak z nią rozmawia? Tb co jej powiedział, wprawiło białą squaw w wielkie wzburzenie. Wódz widział to na własne oczy.

Walker spojrzał zaskoczony na Roulina i Leflora. Potem poki-wał głową w zadumie.

- 'Ib rzeczywiście jest podejrzane.

342

- Od chwili, gdy go zobaczyłem, nie miałem do niego zaufania - powiedział Roulin. - Czy zauważyliście, że jego spojrzenia bez przerwy skierowane były na miss Almy?

- Musimy zatem na niego uważać. Czy mój czerwony brat zabronił mu rozmawiać z dziewczyną?

- Uczyniłem to - skinął głową wódz - ale on twierdzi, że nie mogę mu rozkazywać.

- Ale nam nie może odmówić posłuszeństwa. Najlepiej będzie, jeśli to my weźmiemy jeficów pod opiekę.

Ib rozwiązanie jednak niezbyt spodobało się Indianinowi.

- Do kogo należą jeficy? - zapytał dumnym głosem wódz.

- Do mnie i do moich towarzyszy - zaczął się chełpić Walker.

- Mylisz się. Czyż nie przyrzekłeś nam Leśnej Gołębiczy i jej ojca?

- T~k, ale powiedziałem również, kiedy ich wam oddam. 'I~raz są jeszcze moją własnością.

- Nie, oni należą do mnie! Są ceną za ochronę, jaką dają wam wojownicy Mohawów.

Walker chciał się oburzyć, ale natychmiast zapanował nad swymi nerwami. On i jego towarzysze byli zbyt słabi, aby sprzeciwić się Indianom, których ochrony nadal jeszcze potrzebowali.

- Nie będziemy się kłócić - odparł spokojnie. - Ci więźniowie należą zarówno do nas jak i do was. Ustalimy wszy-stko, kiedy przyjedziemy do Doliny Śmierci.

- Ja wiem, kto ma do nich prawo - zdecydował krótko wódz, ściągnął uzdę konia i wrócił do Billa Newtona.

Nie odezawszy się ani słowem, zabrał mu z ręki cugle wierz-chowca Almy, zawiódł go do swych wojowników i kazał im lepiej na nią uważać. Bill doszedł do wniosku, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie unikanie wszelkich kłbni. Starał się tylko pozostać w zasięgu wzroku dziewczyny i kiedy to było tylko możliwe, dawać jej dodające odwagi znaki.

Pod wieczór kolumna dotarła na trawiastą równinę, gdzieś tam 343 porośniętą również małymi zagajnikami. Na popas zatrzymano się właśnie w jednym z takich zagajników rosnących nad skalnym rumowiskiem. Pełno tu było też gęstych krzewów jeżyn. Duże bryły skalne dawały doskonałą ochronę na wypadek ataku; ponieważ zaś okolica była płaska, Apaczom i Marikopasom trudno byłoby podejść ściganych w sposób niezauważony.

Mohawowie wiedzieli, iż są ścigani przez Apaczów i Mari-kopasów; nie mieli jednak pojęcia, ilu ich jest. Sądzieli, że mają do czynienia tylko z małą grupką zwiadowców i chętnie by ich zaatakowali. Dziki Niedźwiedź sprzeciwiał się temu jednakże; znał dobrze Dolinę Śmierci posiadającą jedynie dwie drogi dojścia. Gdyby Mohawom udało się dotrzeć do doliny, wtedy mogliby zniszczyć przeciwników jednym uderzeniem.

Zapalono małe ogniska; nie należało zwracać uwagi Apaczów na fakt, że ścigani stanęli na popas. Wystawiono też liczne stráže, które bez przerwy patrolowały teren wokół obozowiska. Jeficy byli strzeżeni przez Indian. Nieco opodal obozowali biali wołacy zachować dumny dystans wobec czerwonoskórych. Tylko Bill Newton wstał kilka razy i próbował podejść do Indian. Aż płonął z chęci, by zamienić choć jedno słowo z Almy. Ponieważ jednak nie udawało mu się spełnić swego zamierzenia, coraz mniejszą uwagę zwracał na zachowanie ostrożności. Zbliżała się północ, kiedy po raz kolejny usiłował zbliżyć się do Almy. Na próżno. Wściekły wrócił do grupy białych. Był przekonany, że jeśli nie uda mu się wykonać swego planu tej nocy, to nie zrealizuje go nigdy. Usiadł na ziemi tak, aby mieć w swym polu widzenia zarówno dziewczynę, jak i jej indyjskiego stróża.

Jak do tej pory Walker w milczeniu obserwował zachowanie Newtona. 'I~raz jednak postanowił zareagować.

- Czy nie bolą pana nogi od tego ciągłego chodzenia tam i z powrotem?

- Od kiedy to interesuje się pan moimi nogami? Czy chodzenie 344 zostało zakazane?

- Miał pan wystarczająco dużo ruchu podczas dzisiejszej jazdy.

Mam nadzieję, że nie wpadł pan na pomysł, by pójść w konkury.

- Co pan ma na myśli?

- Odnoszę wrażenie, że Almy bardzo się panu spodobała.

- Pshaw! Co mnie obchodzi ta kobieta? Nie mam z nią nic wspólnego.

- A mimo to rozmawia pan z nią potajemnie. Jeśli ma pan zamiar nawiązać z więźniami jakiś kontakt bez mojej wiedzy, to niech pana Bóg strzeże! Nie mam w zwyczaju żartować. A więc ostrzegam pana. Jeżeli jeszcze raz zobaczę, że próbuje pan podkraść się do dziewczyny, to jest pan zgubiony.

- Brzmi to tak, jakby chciał mnie pan zakatrupić.

- Jeśli pan mnie nie posłucha.
- Wielkie nieba! Niebezpieczny z pana człowiek! - stwierdził ironicznym tonem Bill Newton.

Potem wstał i udał, że ma zamiar sprawdzić strażę. Uszedłszy jednak kilka kroków schylił się gwałtownie, padł na ziemię i poczoł-gał się z powrotem. Ukrywszy się za dużym kamieniem, znajdował się zaledwie o metr od swych towarzyszy. Zależało mu na tym, by podsłuchać, o czym będą rozmawiali; zapewne ich słowa będą dotyczyły jego osoby. I nie mylił się.

- I co wy na to? - zapytał Walker.
- Zb uparty człowiek - odparł Leflor.
- Poczł się bardzo urażony; widać to było po nim.
- Ja też jestem przekonany, że coś knuje. Musimy ostrzec wodza.
- Bardzo mu to odpowiadało, gdyż w ten sposób więźniowie całkowicie znajdą się w jego rękach.
- Z tego z kolei ja nie byłbym zadowolony - mruknął Leflor. - Żądam Almy dla siebie. 'I~k się umówiliśmy i tak musi zostać!
- Niech pan nie będzie taki nerwowy! - ostrzegł go Walker.

345

Mohawowie są nam jeszcze potrzebni. Dlatego też to oni, na razie, będą pilnować jeficów.

- A co zrobimy później? Nie będą chcieli oddać ich żywych.
- Ha, ha! - roześmiał się Roulin. - Dojedźmy tylko do Doliny Śmierci, do mojego domu! 'Pdm, jeśli nie będę miał zamiaru ich oddać, to ich nie oddam! Jestem przekonany, że w mojej kopalni ręcł przybył mi kolejny robotnik.

- Kogo pan ma na myśli?
 - Wilkinsa.
 - Lepiej go może... zabić?
 - Psahw! T~n, kto trafi do mojej kopalni, jest więcej niż trupem!
 - Przyszedł mi do głowy wspaniały plan! - zawołał Walker.
 - Dotyczący tego Billa Newtona?
 - Jaki?
 - On od dawna stał się już dla mnie niewygodny. Teraz jestem nawet przekonany, że nas zdradzi, kiedy będzie miał z tego jakąś korzyść. Myślę, że musimy go unieszkodliwić.
 - Ib łatwa sprawa. Po prostu dostanie kulkę i po krzyku!
 - Nie, on nie jest wart kuli. Niech pracuje dla pana, senior Roulin.
 - 'Ib doskonały pomysł!
 - Panu przyniesie to zysk, a on się czegoś nauczy. Kto wie, co ten człowiek ma na sumieniu? Musimy mu dać okazję, by odpokutował trochę za swe winy już na ziemi, aby po śmierci nie musiał zbyt długo smażyć się w ogniu czyścłowym. W ten oto chrześcijafiski sposób zatroszczymy się o jego duszę i jednocześnie o nasze dobro. Pan dostanie nowego robotnika, a ja pozbędę się niepożądanego współ-nika!
 - Zgoda.
 - Doskonale, ale niech pan nie pozwoli, aby coś zauważył.
- Musimy być dla niego bardzo przyjacielscy. Kiedy znajdzie się w Dolinie Śmierci, wtedy dopiero zauważy, że jego godzina wybiła. Rozmowa przeszła w tym momencie na zupełnie inny temat.

346

Bill z powrotem wyczoł-gał się ze swej kryjówki.

- A to łotry! - syknął zaciskając pięści. - Nie uda wam się to tak łatwo. Wcześniej od was będę w Dolinie Śmierci i zagram kartą, której nie będziecie w stanie przebić!

Po pewnym czasie wrócił do reszty białych i spokojnie usiadł obok ogniska.

- Dlaczego teraz nikt z was nie pyta, czy jestem zmęczony? - zapytał ironicznie.

- Bo pafiski spacer nie zagrażał teraz nikomu z nas - odparł Roulin.

- Jestem przekonany, że poprzednie były o wiele mniej nie-bezpieczne. Ale nie jestem w stanie nic zrobić, mając do czynienia z tak wrażliwymi ludźmi jak wy. 'I~raz mam zamiar przespać mój gniew. Mamy przed sobą jeszcze daleką podróż; człowiek musi mieć .na nią siły.

- Później będzie pan mógł odpocząć u mnie.

- Ach tak? Chce mnie pan gościć u siebie, mister Roulin?

- Z przyjemnością.

- Jakże to łaskawie z pafiskiej strony! Ale nie mam zamiaru stać się dla pana ciężarem.

Roulin skrzywił się, jak gdyby chciał powiedzieć: - wcale nie będziesz dla mnie ciężarem, tylko doskonałym robotnikiem. Między współnikami zapanowały z powrotem, ale tylko pozornie, dobre stosunki. Mężczyźni wyciągnęli się na swych derkach. Nie musieli troszczyć się o swoje bezpieczeństwo; straż wokół obozowiska trzymali Indianie.

Minęło może pół godziny. Wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie, gdy Bill Newton, leżący obok Walkera, nagle się poruszył. Uniósł głowę i przysunął ucho do ust Walkera: jego oddech był bardzo regularny i spokojny.

Po chwili Bill namacał ręką pas Walkera, delikatny, jedwabny szal, który oszust nosił owinięty wokół bioder. Zatknięty był za nim nóż, 347 rewolwer i portfel, w którym, co Bill doskonale wiedział, znajdowały się banknoty. Wyczuwszy palcami portfel, Bill wyciągnął swój ostry jak brzytwa nóż i przeciął pas w miejscu, gdzie były pieniądze. Ostrożny chwyt i już miał je w ręce. Bill schował portfel na piersiach, opadł na kilka chwil z powrotem na swoje poślanie i spojrzał w stronę jeńców.

Wokół leżących na ziemi Wilkinsa i Almy siedziała w kucki grupka Indian.

- Do diabła! - zaklął Newton. - 'I~ łotry są ostrożne jak nigdy dotąd. Strażnicy w ogóle nie poszli spać; jest niemożliwe, aby udało mi się uwolnić dziewczynę. Pojadę więc sam ~i będę na nich czekał w Dolinie Śmierci. Muszę jej to jednak powiedzieć, zanim wyjadę.

Bill wstał i wolno ruszył w stronę grupki strażników. Byli trochę zdziwieni, że jeszcze nie śpi, ale nie żywiąc żadnych podejrzeń, odpowiedzieli na jego spokojne pytania.

Newton zauważył, że jeficy nie spali; nic dziwnego, to okoliczności nie pozwalały im zasnąć. Almy zobaczyła go i poruszyła się, aby dać mu znak.

- Tb niemożliwe - powiedział szybko po francusku Newton. - Pojadę teraz do Doliny Śmierci, aby tam przygotować waszą ucieczkę. Zostaniecie uratowani.

Natychmiast zerwał się jeden ze strażników, wyciągnął nóż i złapawszy Newtona za ramię, odciągnął go na bok.

- Jeszcze jedno słowo i wbiję ci to żelazo w serce!

- O co ci chodzi? - zapytał spokojnie Bill. - Jeśli nie chcesz, abym z nią rozmawiał, to sobie pójdę!

I odszedł, ale nie w stronę obozowiska swych towarzyszy, lecz ku koniom.

Walker miał bardzo dobrego konia, którego pożyczył od Mo-hawów. Newton odwiązał go i wsiadł na siodło. Jeden ze strażników wstał, aby rozpoznać twarz białego.

348

- Dokąd blada twarz chce jechać?

- Na zwiady.

- Czy wie o tym blada twarz, którą nazywacie Walkerem?

- 'Pdk, to on mnie wysłał. Powiedz mu jutro rano, że dziękuję mu za pieniądze - dodał i odjechał w ciemność. Strażnik spoglądał za nim przez chwilę w zadumie; to wydarzenie wydawało mu się dość, dziwne. Dlatego też po pewnym namyśle postanowił obudzić Walkera.

- Czy wysłałaś zwiadowcę?

- Nie.

- Błada twarz, która rozmawiała tak dużo z dziewczyną, odjechała. Kazał ci powiedzieć, że dziękuję za pieniądze. Ale miałem ci to przekazać dopiero jutro rano.

Walker natychmiast sięgnął do pasa i zobaczył, że jest przecięty i brakuje w nim portfela. Wieść o kradzieży szybko obiegła cały obóz. Walker dowiedział się teraz, iż przed swoją ucieczką Newton rozmawiał z Almy.

Rozwścieczony złapał swój noż i szarpnąwszy dziewczynę za ramię, postanowił ją na nogach.

- Przyznaj się, o czym on z tobą rozmawiał! Albo natychmiast cię zasztyletuję!
Dziewczyna drżała na całym ciele.

- Szybko! I mów prawdę!

- On chciał mnie uratować! - wydusiła z siebie w koficu.

- 'Pdk też myślałem! W jaki sposób?

- Miał mnie stąd wywieźć dzisiejszej nocy, ale jego plan się nie udał.

- Dalej!

- Teraz pojechał do Doliny Śmierci, aby tam przygotować kolejny plan.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął Roulin. - Juanito jest sam w kopalni. Newton go oszuka. Musimy natychmiast wyjechać, aby go 349 wyprzedzić~!

- Dobrze! - zdecydował Walker. - Pojedziemy za nim. Wódz da mi trzydziestu wojowników z najszybszymi końmi, abyśmy wcześniej od niego przybyli do kopalni. Ty ja go w niej przyjmę, zamiast on mnie.

Już po dziesięciu minutach trzydziestu wojowników było gotowych do drogi. Nagle Walker odwrócił się zdziwiony.

- I to dziwne! Czy przed chwilą nie leżał tu jeszcze duży, ciemny kamień?

- Mnie też się tak wydawało - potwierdził Roulin.

- Nie ma go.

- Ale przecież kamienie same nie chodzą!

- Założę się, że się nie pomyliłem. Leżał tu, gdzie stoi teraz moja noga.

- Ciekawe, gdzie się podział? - zadrwił Letlor. - Chyba mu nie urosły skrzydła!

- Zapewne się pomyliłem, ale w takich sytuacjach człowiekowi wszystko wydaje się podejrzane. Ty ten przeklęty Bill Newton jest temu winien. Biada mu, gdy go dopadnę! Otrzyma jedno pchnięcie nożem~ za każdego dolara, którego mi ukradł.

'I zech białych wraz z trzydziestoma czerwonoskórymi wyruszyło w drogę. Wódz z resztą miał jeszcze trochę odpocząć. Mimo iż sprawa znikającego kamienia pozostała nie wyjaśniona, Walker nie wpadł na myśl, że mógł to być człowiek. 'Pdk bezczelność, wślizgnięcie się do środka wrogiego obozu i udawanie kamienia pod płachtą ciemnej skóry, było dla niego rzeczą niewyobrażalną. A mimo to kamień ten biegł teraz na dwóch cienkich, pałąkowatych nóżkach wokół zewnętrznej linii wartowników w stronę zarośli, zza których wyszła długa, wychudzona postać Dicka.

- Nareszcie! Bogu niech będą dzięki! - powiedział Stone. - Myślałem już, że cię złapali.

- Mnie? - zachichotał Sam. - Mnie złapać? Hihihhi! Raz już

350 zostawiłem włosy, było to u Paunisów; teraz żaden czerwonoskóry nie ma już więcej szans na mój skalp, jeśli się nie mylę!

- Czy coś podsłuchałeś?

- Wiele, Dardzo wiele!

- Co takiego?

- Nie mamy teraz czasu, jeśli się nie mylę. Musimy natychmiast działać. Właśnie z obozu wyjechało trzydziestu wojowników, aby ścigać Billa Newtona, który ucieka do Doliny Śmierci. Old Firehand jest tam zupełnie sam z mister Adlerhorstem. Musimy im pomóc.

- A co z tymi pozostałymi dwustu siedemdziesięcioma wrogami, którzy nadal tu są?

- Oni wyjadą później i kiedy dotrą do doliny, zgotujemy im takie powitanie przy pomocy naszych rusznic, że nie zapomną go do końca życia, hihihih!

- Ale czy Old Firehand zgodzi się na to?

- Cóż za pytanie? Old Firehand zgadza się zawsze ze wszy-stkim, co robi Sam Hawkens.

Chodźmy! Za pięć minut musimy być w siodłach. Tb będzie bardzo szybka jazda, ale dobrze nam ona zrobi, długa tyczko chmielowa, jeśli się nie mylę!

Allah wszechmocny!

Jak już mówiliśmy, Old Firehand opuścił Dolinę Śmierci nocą. Jadąc, starał się unikać wszelkich miejsc, w których kopyta konia mogły pozostawić ślady na ziemi. Oстрыm kłusem jechał w kierunku leżących na wschodzie gór, do których dotarł około południa. Za-trzymał się przy gęstych zaroślach i długo przyglądał kształtom oraz położeniu poszczególnych wierzchołków.

'I~raz należało odgadnąć, z której z dolin wyjadą przyjaciele, ~ z której wrógowie.

Nagle zauważył ciemny punkt, jeźdźca, który zjeżdżał po łagodnym, pozbawionym roślinności zboczcu. Sylwetka jeźdźca powię-kszała się w szybkim tempie.

~aper cofnął się w zarośla i po chwili, ku swemu zaskoczeniu, rozpoznał jeźdźcu Billa Newtona, który pędził w jego kierunku spocony z wysiłku. Przeczuwając, że dojdzie do walki, Old Firehand odwiązał łąso od łęku, ułożył je w regularne pętle i trzymał gotowe do rzutu.

Po chwili Bill Newton był już obok niego. Miał za sobą długą, szybką jazdę. Gwałtownie zatrzymał konia, gdy zza krzewów wyjechał nagle Old Firehand.

- Witaj, derwiszu Osmanie! - zawołał głośnie traper. - Skąd i dokąd prowadzi droga?

352

Newton stał jak sparaliżowany.

- Old Firehand! - wytwało mu się w koficu..

- Ach, tak szybko mnie pan rozpoznał? 'Pak, tak, jesteśmy przecież dobrymi znajomymi, którzy nie zapominają o sobie zbyt łatwo. Niech pan będzie tak dobry i zejdzie z konia! Chcę z panem zamienić kilka słów!

Żądanie to przywróciło Newtonowi przytomność umysłu.

- Niech będę przeklęty, jeśli to zrobię! - roześmiał się i spiął konia ostrogami.

Old Firehand pozwolił mu odjechać tylko o kilka kroków.

- Stój ! - zawołał.

- Gifi, psie! - odkrzyknął Newton, wyciągając z olstra pistolet.

Odwrócił się w siodle, ale nie zdążył nawet unieść ręki, gdy rozległ się świst łąsa lecącego w powietrzu; pęta opadła na jego tors, przy-ciskając ręce do ciała. Pistolet co prawda wypalił, ale kula poleciała gdzieś w bok. Old Firehand gwałtownie na sposób kowbojski, skon-trował konia;

ponieważ zaś łąso umocowane było do łąku siodła, Bill Newton wyleciał z siodła, jak z procy. Jego kofi biegł jeszcze przez chwilę, a potem zatrzymał się.

Old Firehand zeskoczył z konia i podszedł do jeńca, który machał nogami i za wszelką cenę usiłował poszerzyć ściśniętą pętlę, aby się od niej uwolnić.

- Niech się pan niepotrzebnie nie męczy! - wykrzyknął Old Firehand. - W ten sposób tylko jeszcze bardziej zaciąga pan pętlę. Dlaczego mnie pan nie usłuchał i nie zatrzymał się? Chciałem porozmawiać z panem spokojnie; to tylko pafiska wina, jeśli nasza pogawędka będzie mniej miła. Dla pana, oczywiście! Przedtem jednak postaram się, aby nie był pan już dla nikogo niebezpieczny. Co powiedziawszy, Old Firehand zabrał Newtonowi brofi, a potem dokładniej owinął lassem, pozostawiając mu jednakże wolne nogi.

- A teraz, niech mi pan powie, skąd pan przyjeżdża!

12 - Dolina śmierci 353

Newton rzucił mu wściekłe spojrzenie, ale nie odpowiedział.

- A dokąd pan jedzie?

'Pdkże i teraz traper nie otrzymał odpowiedzi.

- No cóż, jeśli stracił pan mowę, będę musiał postarać się, aby pan ją znowu odzyskał - stwierdził Old Firehand i wyciągnąwszy myśliwski nóż, ukląkł na piersi Newtona.

W tym momencie Newton przypomniał sobie o języku.

- Chce mnie pan zakłuć nożem?!

- Z pewnością to zrobię, jeśli nie odpowie mi pan na pytania, jakie zadałem. Na co mi niemowa? - zapytał unosząc nóż. - A więc skąd?

- Z Prescott.

-lb już wiem. Miałem na myśli dzisiejszy dziefi!

- Z obozu Mohawów.

- Doskonale! A gdzie on jest, względnie był?

- Około dziesięciu godzin jazdy na wschód.

- Dlaczego nie został pan z nimi?

Bill oczywiście nie miał zamiaru powiedzieć, że okradł Walke-ra.

- Zostałem wysłany na zwiady.

- Dokąd?

- Do Doliny Śmierci.

- Czego pan tam chciał?

- Uwolnić miss Almy.

Newton sądził, że będzie mógł uratować się tymi słowami. Old Firehand zmarszczył jednak groźnie czoło.

- Kłamiesz!

- Przysięgam Bogu, że powiedziałem prawdę. Może pan to sprawdzić u miss Almy.

- Dlaczego u niej?

- Rozmawiałem z nią, mimo iż było to niebezpieczne i zabronione. Powiedziałem jej, że pojedę przodem do Doliny Śmierci, aby 354 przygotować plan jej uwolnienia.

- Co rozumiesz pod tymi słowami?

- Chcę przygotować jakiś plan, ale jeszcze nie wiem, jaki. Pod-słuchałem Roulina i dowiedziałem się, że w Dolinie Śmierci są uwię-zieni ludzie, których pilnuje tylko jeden człowiek nazwiskiem Juanito.

- Tb prawda.

- A więc widzi pan, że nie kłamię. Chcę udać przed nim wysłannika Roulina, a potem unieszkodliwić. Miałem nadzieję, że przy pomocy uwolnionych więźniów uda mi się uratować tę dziewczynę.

- Hm... - zamyślił się Old Firehand. - A dlaczego właściwie chciała pan uratować? Przecież przedtem pomógł ją pan schwytać!

- Z czystego miłosierdzia.

- Jakiej nagrody oczekuje pan za to?

- Żadnej.

- Patrzcie, patrzcie! Jaki to wspaniały człowiek się z pana zrobił?!

- Niech pan nie sztydzi ze mnie; bardzo się zmieniłem!

- Hiena nigdy nie będzie kanarkiem! Mnie nie omamisz! W jaki sposób udało ci się wyjechać z obozu?

- Przekonałem ich, aby wysłali mnie na zwiady.

- Pshaw! Jeśli potrzebowaliby zwiadowcę, to z pewnością nie wybraliby ciebie, tylko posłużyli się którymś z Indian. Zwykły wojownik jest lepszy od ciebie w tych sprawach. Wymyśl sobie lepszą wymówkę; ale ja i tak dowiem się prawdy! Przede wszystkim, powiedz mi, jak czuje się Wilkins?

- Biorąc pod uwagę warunki, dobrze.

- A jego córka?

- Również.

- Miejmy nadzieję. Ale dość już tych pytań; opowiesz mi wszystko później, gdy przyjdzie na to odpowiedniejsza pora. 'I~ój los

355 i tak jest przypieczętowany. I dopóki cię nie dosięgnie, nie ruszę się od twego boku. Pojedziesz więc ze mną.

- Jak pan chce. Będzie pan tego jednak żałował!

Old Firehand poszedł sprowadzić konia Newtona. Gdy wracał, prowadząc konia za uzdę, jego spojrzenie dziwnym trafem znowu padło na zбочce, którym niedawno zjeżdżał Bill Newton. 'Ihraz znowu pojawił się na nim taki sam, zbliżający się szybko punkt. 'Ii~aper pośpiesznie wprowadził oba wierzchowce w zarośla, za którymi oczekiwał przyjazdu Newtona. Nagle z jego ust wyrwał się okrzyk zdziwienia; rozpoznał zbliżającego się jeźdźca. Był nim Sam Hawkens.

Im bliżej był Sam, tym lepiej można było zauważyć, że jego wzrok skierowany był ku ziemi. Mały traper uważnie śledził trop Newtona. Właśnie przejeżdżał obok zarośli, w miejscu, gdzie Old Firehand schwytał Newtona na łąso. Hawkens zatrzymał swego wierzchowca, zbadał dokładnie trawę i spojrzał w stronę zarośli. Nie był jednak w stanie dojrzeć ani koni, ani obu mężczyzn, gdyż znajdowali się oni teraz po przeciwnej stronie.

Old Firehand ukląkł i spojrzał przez gałęzie. Ciekawiło go, jak zachowa się Sam.

Mały traper zauważył ślady prowadzące w krzaki. Widział, że są zupełnie świeże; był przekonany, że ludzie, którzy je pozostawili, znajdują się jeszcze w głębi zarośli. Natychmiast znalazł się za swym wierzchowcem, odprowadził go kawałek, a potem, ukryty za nim, szerokim łukiem zaczął okrążyć zarośla. W ten sposób kula, jaka zostałaaby wystrzelona w jego stronę, musiałaby trafić najpierw muła.

W pewnej chwili Sam zatrzymał się; dojrzał Old Firehanda, który siedział na ziemi i udawał, że nic nie zauważył. 'Pakże i Newton patrzył w inną stronę.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Sam. - A cóż to takiego?

Old Firehand odwrócił się wolno.

356

- Sam... Tb ty?

- A któżby inny? Co pan tu robi?

- Odpoczywam.

- Sądziłem, że jest pan w Dolinie Śmierci!
- Jak pan widzi, nie ma mnie tam.
- Naturalnie. Wyjechał pan stamtąd, jeśli się nie mylę. I to nie sam, ale w towarzystwie...

Zaskoczony Sam zamilkł. Dopiero teraz zauważył, kim był związany mężczyzna.

... więźnia.

- `Ib prawda, drogi Samie.
- A któż to taki? Przyjrzyjmy mu się z przodu!

Sam podszedł do Newtona, który był odwrócony do niego plecami i spojrzał mu prosto w twarz.

- Wielkie nieba! Czyż to nie jest ten nicpofi, którym zaopiekowaliśmy się tak dobrze nad Błękitną Wodą? A który po naszym wyjeździe okazał się być bardzo niewdzięczny i po prostu uciekł, je~li się nie mylę?

- l'ak, to on.
- Jak on się nazywa, bo zapomniałem?
- Bill Newton.

- I był dawniej derwiszem! `Pak, przypominam już sobie. Ciesz się, człowieku, że znowu znalazłeś się pod naszą opieką! Będzie ci u nas tak dobrze, że zaczniesz marzyć o piekle! W jaki sposób ten człowiek zaplątał się w pańskie lasso, mister Firehand?

- Spotkałem go tu, gdy opuściwszy Mohawów, zmierzał do Doliny Śmierci.

- Wiem, skąd przyjechał. Poza tym wiem również, że ukradł tam pieniądze.

- Coś podobnego!
- Byłem przy tym.
- Komu je ukradł?

357

=`I~k. Przeciął Walkerowi pas i wyciągnął portfel. `I~n człowiek to prawdziwy mistrz wszystkich oszustów. Musi pan sobie wyobrazić to zamieszanie, jakie nastąpiło po jego wyjeździe!

- Był pan tak blisko, Samie?
- Jeszcze bliżej! Walker mógł mnie niemal dosięgnąć ręką. Ale nie zrobił tego. W ciemnościach uznał mnie prawdopodobnie za kamień. Hihihih! Sam Hawkens kamieniem! Słyszałem całą ich rozmowę. `I~n wielce szanowny Bill Newton postanowił zająć się naszą drogą miss Almy...

- A więc jednak!

- Inni to zauważyli i nie byli z tego powodu zadowoleni, jako że każdy z nich chciał ją mieć dla siebie, hihihih! Sami zazdrośnicy! Dlatego postanowili dostarczyć go do Doliny Śmierci w charakterze więźnia i zatrudnić potem w kopalni rtęci. On ich jednak podsłuchał i potajemnie uciekł, zabierając sobie przedtem trochę pieniędzy na drogę. Kradzież została odkryta i Walker, razem z trzydziesto-ma Mohawami, natychmiast wyruszył za nim w pościg. Zacząłem się lękać o pana, mister Firehand i ustaliłem z przyjacielami, że należy ich wyprzedzić.

- Ze wszystkimi przyjacielami?
- `I~k; jest nas razem czterystu.
- Jak daleko ich pan wyprzedza?
- O kilkaset długości konia, jak sędzę.
- Musiał pan więc zatoczyć łuk.

- Naturalnie. Oni jadą nieco bardziej na południe stąd. Na-szych ludzi prowadzi Winnetou, który doskonale zna tę okolicę. Kiedy tylko odkryłem ślady tego dziwnego deiwisza, pojechałem przodem, aby zobaczyć, co z nich wyniknie. Nie sądziłem, oczywiście, że przy tej okazji spotkam pana. A skąd właściwie pan się tu wziął?

- O tym później. Muszę to opowiedzieć także innym; wtedy dowie się pan wszystkiego. 358

- Niech mi pan więc tylko powie, czy odniósł pan sukces?
 - Jestem bardzo zadowolony.
 - A więc ja również, jeśli się nie mylę. Widzi pan, już się zbliżają.
- Zauważyli, że zatrzymałem się i doszli do wniosku, iż jest tu coś ciekawego.

Jadący razem z Apaczami biali oddzielili się od reszty oddziału i wyprzedzili ich galopem, podczas gdy wodzowie Indian pozostali przy swoich wojownikach.

Na czele bladych twarzy cwałował sir Dawid Lindsay.

- Ach, to pan, mister Firehand! - wykrzyknął. - Pan tutaj! Tb dobry znak! Przybyliśmy, aby pana uratować!

- Dziękuję, sir. Ale nie była to sprawa aż tak pilna.
- Tym lepiej. Nie jest pan sam, jak widzę. Kim jest ten czło-wiek?

- Niech mu się pan przyjrzy!

Dawid Lindsay podjechał do Newtona; obaj natychmiast się rozpoznali. Anglik rozdziawił usta ze zdziwienia i nie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Stracił pan mowę? Bardzo mi przykro! - roześmiał się Old Firehand.

- Na Jowisza! Czyż to możliwe, mister Firehand? A może się mylę?

- Dlaczego?
- Czy to czasem nie nasz derwisz?
- 'l'dk, to on.

-La ilaha, illa 'llah! Na wszechmocnego Allaha! To przecież ten arcyłotr we własnej osobie! To doskonale, że znowu jesteś z nami! Będziemy więc mieli okazję, by się z tobą policzyć.

- Zostawcie go teraz - stwierdził Old Firehand. - Właśnie najeżdżają Indianie. Wsadźcie go na konia i przywiążcie! I dobrze na niego uważajcie!

- Will i ja załatwimy to! - uśmiechnął się pod nosem Dick.

359

Obaj wzięli dawnego derwisza za ramiona, posadzili go na konia i związali mu nogi pod brzuchem zwierzęcia. Potem wyruszono w dalszą podróż. Dick i Will jechali po obu stronach więźnia, który ani razu nie podniósł wzroku, by spojrzeć na nich. Newton wiedział już, że nie ma co myśleć o ratunku. Apaczów i Marikopasów było więcej niż Mohawów, a poza tym znali ich zamia-ry. Nawet gdyby ci ostatni zwyciężyli, Bill wpadłby w ich ręce, a wtedy trudno byłoby sobie wyobrazić jego los.

Teraz Old Firehand przejął przewodnictwo nad małą armią, którą pośpiesznie prowadził do Doliny Śmierci. Jadąc obok Win-netou i pozostałych towarzyszy, opowiedział im, co zrobił i czego się dowiedział w Dolinie Śmierci.

Zanim dotarli w pobliże doliny, popołudnie zaczęło zbliżać się ku końcowi.

- Miejmy nadzieję, że nasi wrogowie tam jeszcze nie dotarli - powiedział Old Firehand.

- Niepokoi się pan? - zapytał Sam.
- Niepokoić się? Mając przy boku czterystu dzielnych wojow-ników, a przeciwko sobie tylko trzydziestu wrogów?

- No więc?

- Nie mam żadnych problemów, jeśli idzie o moją osobę i was wszystkich. Jednakże w domu Roulina jedynym człowiekiem zdol-nym do walki jest tylko Adlerhorst. Jeśli Mohawowie dotarli tam wcześniej od nas, to mogli pokrzyżować nasze plany.

- Nie sędę, aby jechali szybciej od nas. Naturalnie, ich śladów nawet nie musimy szukać; podłoże to naga skała. Dodajmy więc ostróg!

Wszyscy wjechali galopem do doliny wschodnim wejściem. Niebawem zobaczyli budynek; Old Firehand i jego towarzysze za-trzymali się przed bramą. Prawie natychmiast po zapukaniu bramę otwarto i ukazał się w niej Hermann von Adlerhorst.

- Bogu niech będą dzięki! - zawołał.

360

- Bogu niech będą dzięki! - powtórzył z ulgą Old Firehand.

Bardzo się niepokoił, nie okazując tego jednak. Wzrok Hermnna prześliznął się po armii Apaczów i zatrzymał się na pojmanym New-tonie. W krótkich słowach traper wyjaśnił mu, w jaki sposób schwycił oszusta.

- Co słuchać w domu?

- Wszystko w porządku. Najmniejszych kłopotów. Ci biedacy nie mogą się najeść i napić do syta, ale wyraźnie dochodzą już do siebie.

- Nikogo tu nie było?

- Nie.

- Wejdźmy więc do środka; mam na myśli wodzów i pozostałe blade twarze. Czenwoni wojownicy na razie pozostaną tutaj. Ci z nich, którzy mają najszybsze konie, niech wrócą się kawałek doliną, aby zameldowa~ nam o zbliżaniu się wroga. Nasze konie zostawimy przed domem.

Jeźdźcy zsiadli z koni i przez wąską bramę weszli na dziedzi-niec. Stał na nim Szybki Wiatr, syn wodza Mocnej Ręki. Old Firehand miał wcześniej powiadomić ojca, ale nie uczynił tego. Chciał być świadkiem nieoczekiwanego spotkania między In-dianami, jako że czerwonoskórzy zawsze starają się nie okazywać swych uczuć. Mocna Ręka uważał swego syna za nieżyjącego; teraz miał go znowu zobaczyć żywym. Jak się przy tym zachowa?

Wódz wszedł na dziedziniec tuż za Old Firehandem. Ttaper usunął się na bok i skierował swój wzrok na Mocną Rękę. Wódz ujrzał syna i natychmiast go poznał, mimo wynędzniałego wyglądu. Żaden muskuł nie drgnął na jego twarzy. Z godnością podszedł do syna i podał mu rękę.

- A więc Szybki Wiatr nie udał się do Krainy Wiecznych Łowów, jak sądzili wojownicy Apaczów. Bądź pozdrowiony i wróć z nami do naszych wigwamów!

T~kże i syn zachował się z godnością.

361

- Czy blada twarz nie powiedziała ci, że tu jestem?

- Nie. Nie musiał tego mówić; wiedział, że tu przyjadę.

Old Firehand zwrócił się do Hermanna.

- Czy więźniowie są nadal w tej samej izbie?

- T~k; zachowywali się spokojnie.

- Wobec tego ten oto człowiek też do nich dołączy - wskazał na Billa Newtona. - Proszę go przejąć! Ja muszę teraz pójść do Adlera. Proszę zdjąć z Newtona moje lasso i założyć mu kajdany na ręce i nogi. Potem będę miał dla pana inne zajęcie.

- Jakie?

- Bardzo przyjemne! Będzie się pan mógł zająć swoim wujem.

Sędę, że nie pogniewa się na pana, jeśli zaprowadzi go pan przy-padkowo do swego brata, Martina.

- Rozumiem, rozumiem! - przytaknął gorliwie Hermann. - Jestem... jestem panu bardzo wdzięczny. Wziął pan na siebie wszy-stkie trudy i niebezpieczefistwa, by odnaleźć członków rodziny Adlerhorstów, a sławę i przyjemność pozostawił innym.

- Pshaw! - zaczął z uśmiechem bronić się traper. - Niech pan już idzie i cieszy się ze spotkania ze stryjem! 'I~k więc Hermann najpierw zaprowadził Bille Newtona do pozbawionej okna izby służącej za tymczasowe więzienie, w którym znajdowali się już Juanito i stara jędza, gospodyni. Heramann zakuł Newtona w kajdany i odwinął z lassa. Nie padło przy tym ani jedno słowo. Drzwi do izby były w tym czasie uchylone, aby mógł coś zobaczyćE w półmroku.

Nagle z kąta dobiegł go straszny jęk. Był to pozbawiony skalpu Juanito.

. - Oni nadchodzą! Biada nam! Biada! - krzyczał ranny ma-jacząc w gorączce Hermann położył na stole mały kluczyk, którym zamykał kajdanki, i powodowany współczuciem, zbliżył się do ran-nego, aby obejrzyć jego oskalpowaną głowę. Pochylił się nad Juanitem przewracającym się z boku na bok. Dotknął jego rozpalonego 362 czoła. Przez opatrunek ciągle jeszcze przeciekała krew. Bill Newton obserwował każdy ruch swego wroga; za wszelką cenę chciał się uwolnić i zemścić. Podczas drogi miał oczy szeroko otwarte; postanowił wykorzystaE do ucieczki każdą nadającą się okazję. Dlatego też zauważył, że Adlerhorst położył klucz na stole.

- Do diabła! Gdyby tylko o nim zapomniał! - przemknęło mu przez myśl. Ani na moment nie spuszczał wzroku z klucza. Stwierdził przy tym, że na stole leży drugi klucz podobnej wiel-kości. Może on też pasuje do kajdanek? - pomyślał. Lepiej byłoby jednak, gdyby Hermann zapomniał tamtego. Mózg Newtona praco-wał gorączkowo. Jeszcze przed chwilą uważał się za straconego, teraz jednak szczęście jeszcze raz wydawało mu się przychodzić z pomocą.

Musiał się odważyć na próbę ucieczki. Cóż takiego mogło mu się staE, gdyby zakończyła się ona fiaskiem? Wszystkie okoliczności zdawały mu się sprzyjać; ciemne pomieszczenie, współczucie, jakie zmusiło Hermanna, by zająć się oskalpowanym Juanitem, bli-skość stołu.

Ostrożnie zbliżył się do stołu, zabrał kluczyk, na jego miejsce przesunął leżący już wcześniej na stole, drugi klucz, i z powrotem przykucnął w kącie izby. Zabraný klucz ukrył w ustach. W tym samym momencie Hermann wyprostował się, zabrał klucz ze stołu i wyszedł z izby. Teraz pośpiesznie udał się odwiedzić wuja.

- Dear uncle - zaczął, - mam do ciebie prośbę.

- Proszę? - uśmiechnął się szelmowsko Lindsay. - Chcesz ode mnie pożyczy~ pieniądze?

- Nie, chciałbym sprawić ci radość! !

-Hm... Sprawić radość! Siostrzeńcy robią to właściwierzadko.

- A więc jestem wyjątkiem. Chodź zresztą i sam zobacz! - stwierdziwszy to zaprowadził Anglika do izby, w której siedział Martin.

- Oto właśnie ta radość, o której mówiłem.

363

Sir Dawid przyglądał się Martinowi przez chwilę. Jego nos po-ruszał się, jakby chciał węchem zgłębi~ tajemnicę tego człowieka.

- Wydaje mi się być dzielnym chłopcem, tyle, że przedtem należałoby go porządnie nakarmić.

- Wycierpiał dużo; jest bowiem jednym z więźniów, którzy musieli pracować w tej kopalni. Nazywa się Adlerhorst.

- Adler... - Lindsay otworzył szeroko usta, kilka razy zama-chał rękoma w powietrzu i opanował się, dokaficzając zaczętego słowa: - ...horst?!

- '1'ak. Masz dzisiaj okazję objąć drugiego z twoich długo po-szukiwanych siostrzeńców.

- Co za szczęście! Adlerhorst! Niech się tak stanie. Chodź do mnie, chłopcze! - wykrzyknął otwierając swe potężne ramiona. Kiedy drzwi izby zamknęły się za Hermannem, Bill Newton czuł się tak, jakby jedną nogą znajdował się już na wolności. W izbie panowała cisza, tylko od czasu do czasu słyhać było jęki majaczącego Juanita. Starucha siedziała w najbardziej oddalonym od drzwi kącie, do którego nie dochodziło żadne światło; stąd też trudno ją było zauważyć. Mimo mroku Newton widział jedną~k Juanita.

- Kto tu jest? - zapytał głośno.
- Jest nas tu dwoje! - odparła piskliwym głosem starucha.
- Ach, jeszcze ktoś! Kim jesteście?
- Powiedz mi najpierw, kim ty jesteś! Kolejnym przyjacielem senióra Roulina?
- Jestem jego najlepszym przyjacielem.
- A więc musisz mnie znać. Jestem senióra Arabella i prowadzę jego dom.
- Ach tak! A kim jest ten mężczyzna jęczący w kącie?
- 'Ió Juanito.
- Ach, Juanito Alvarez. Co mu się stało? Jest chory?
- Indianin go oskalpował.
- Wielkie nieba! Jak to się stało?

364

- Zostaliśmy napadnięci przez tych dwóch łotrów, którzy przyjechali tu jako przyjaciele, a potraktowali nas jak wrogów. I oni ich... uwolnili wszystkich naszych więźniów.

- Jak to możliwe?

Starucha opowiedziała mu całą historię na tyle, na ile uznała to za stosowne.

- A w jaki sposób dostał się pan w ręce Old Firehanda? - zapytała na koniec.

- Wysłał mnie Roulin, abym uprzedził was o jego przyjeździe - skłamał Newton. - I w drodze tutaj zostałem napadnięty.

- Bogu niech będą dzięki! On nas uwolni!
- Tylko nie wyobrażajcie sobie za dużo! Na zewnątrz, przed domem, obozuje czterystu Apaczów i Marikopasów, którzy mają zamiar go powitać.
- Dios! A więc jesteśmy zgubieni!
- Wiem o tym.
- 'Ib straszne! Czuję, że ci ludzie nas zabiją!
- Jestem o tym przekonany.
- Pomódlmy się do Madonny, aby zesłała nam wybawiciela!
- I b śmieszne! Madonna nie ma akurat nic innego do roboty, jak tylko troszczyć się o nas! Możemy polegać tylko na sobie i szatanach!
- Sam mówisz jak diabeł! -
- Znacie dobrze ten dom; ja natomiast nigdy tu jeszcze nie byłem. Zastanówcie się, w jaki sposób moglibyśmy sobie pomóc!
- Gdybyśmy tylko mogli pozbyć się tych łańcuchów!
- I co potem? Czy wiesz o czymś, co by nam pomogło?
- Nie.
- A więc uwolnienie się z łańcuchów na nic nam się nie przyda.

Gdyby istniała możliwość wymknięcia się stąd! Ile tu jest wyjść?

- Tylko jedno.
- Do diabła! A więc koniec już z nami. W krótkim czasie 365 wylądujemy w piekle.
- Dreszcze mnie przechodzą, gdy pana słucham. Niech pan lepiej zamilknie!

Newton zamilkł rzeczywiście. Myśl, iż nie jest w stanie stąd uciec była mu bardziej sympatyczna od perspektywy, że niebawem może się znaleźć w jednej celi razem z Walkerem i Roulinem. Był

co prawda zatwardziałym łotrem, ale to spotkanie przejmowało go grozą. Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien powiedzieć współwięźniom o tym, że ma klucz, ale zrezygnował z tego. Postanowił zachować tę tajemnicę dla siebie.

W tym czasie Hermann oddał klucz Old Firehandowi. Straż pod drzwiami izby z więźniami przejął Szybki Wiatr. Potem odbyła się narada nad planem, w jaki sposób powitać Walkera i Mohawów.

- Wszyscy muszą zginąć - powiedział Mocna Ręka.
- Każdy z nich powinien odpokutować za swoje przestępstwa!
- odparł Winnetou. - Niewinni mają być oszczędzeni. Mohawowie zostali podstępem skłonieni do wzięcia udziału w tym przestępstwie i są niewinni łotrów, jakich dopuścił się ten biały diabeł.
- Ja też nie jestem rzeźnikiem - wtrącił Old Firehand. - Może uda nam się obezwładnić tych trzydziestu Mohawów bez walki:
- Jak mój biały brat chce tego dokonać?
- Moi czerwoni bracia ukryją się na zewnątrz. Wrogowie podejną bez przeszkód do domu i zostaną wpuszczeni do środka. Tli zaś będzie czekało stu wojowników Apaczów, którzy zgotują im odpowiednie przyjęcie.
- Doskonale!
- Zaraz wydam odpowiednie rozkazy. Wódz Marikopasów będzie mi towarzyszył. Jest mądrym wojownikiem i z pewnością znajdzie odpowiednie miejsce, gdzie nie zostanie odkryty przez naszych wrogów.

Odkrycie Sama Hawkensa

Old Firehand wyszedł z wodzem Żelazną Strzałą przed dom, gdzie czekali czerwonoskórzy. W tym momencie nadjechali zwiadowcy i zameldowali, iż niebawem pojawi się w dolinie trzydziestu Mohawów. Old Firehand kazał zsiąść z koni stu Apaczom i wejść do domu. Reszta odjechała pośpiesznie pod wodzą Żelaznej Strzały. Stu Apaczów rozdzieliło się grupkami po wszystkich pomieszczeniach leżących najdalej od wejścia, tak aby Roulin nie mógł zauważyć ich obecności zaraz po przyjeździe. Drabina została ponownie wyciągnięta ze zbiornika.

Sam Hawkens podszedł do Old Firehanda uśmiechając się zadowolony:

- I teraz jesteśmy chyba już gotowi?
- Pdk.
- Nie ma pan dalszych rozkazów, mister Firehand?
- Nie.
- Chce pan ich zwabić na dziedziniec?
- Naturalnie.
- Będą się bronić przed tym. Gdyby to jednak uczynili, należałoby ich powieść za nogi, hihihih!
- Dlaczego?
- A kto ma im otworzyć drzwi?

367

- Ja.
- Wielkie nieba! Niech mnie pożą razem z moją pocziwą Mary, jeśli pafiski widok zwabi choć jednego Mohawa na dziedziniec. Hihihih!
- Brama znajduje się w niszy, z której natychmiast wyjdę, aby ich przepuścić. Wtedy znajdę się za nim i odetnę im drogę ucieczki, podczas gdy będziecie robić swoje.
- 'Ib niemożliwe, mister! Radzę panu postąpić inaczej. Odźwierżną tutaj jest ta starucha; siedzi co prawda uwięziona w izbie, ale czy

?

w zamian za nią bramy nie rciogłaby otworzyć ta dziewczyna, Anita - 'Ib raczej niemożliwe; Roulin oczekuje, że została już uwięziona i pracuje w kopalni.

- Niech znajdzie jakąś wymówkę.
- Właściwie, ma pan rację. Porozmawiam z Anitą, czy się na to zgodzi.

Anita zaczęła drżeć, kiedy usłyszała propozycję Old Firehanda. Potem jednak przezwyciężyła lęk i znalazła wymówkę, jaką miała się posłużyć, otwierając bramę.

Nadeszły minuty pełnego napięcia oczekiwania. W pewnej chwili usłyszano dochodzący z zewnątrz stukot kopyt. Zaraz potem ktoś zapukał w bramę. Anita zbladła jak ściana, ale z determinacją poszła do bramy, by ją otworzyć.

Na zewnątrz stał Roulin, Lellor, Walker i trzydziestu Indian.

Na widok Anity Roulin zmarszczył czoło.

- Ty? Ty tutaj? Dlaczego to Bella nie otworzyła bramy?
- Upadła i nie może chodzić.
- Kiedy to się stało?
- W kilka dni po pafiskim wyjeździe.

Była to sprytna wymówka doskonale uzasadniająca obecność Anity. Jeśli starucha była chora, Juanito nie mógł zamknąć dziewczyny w kopalni; musiała wykonywać jej pracę w domu.

- Dobrze - mruknął niechętnie Roulin. - Możesz odejść! Sam zamknę bramę. A wy wchodźcie do środka! - powiedział do reszty. - Ach, jeszcze chwila, Anito! - zwrócił się do dziewczyny.

- Czy ktoś tu był?
- Nie.
- Pakże i dzisiaj? Niejaki Bill Newton?
- Nie.
- I jeszcze przyjedzie. I bardzo się zdziwi!

Anita odeszła na drżących nogach.

Mohawowie zsiadli z koni i zostawili je pod strażą przed~bramą. Roulin wszedł do środka jako ostatni, zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Rozkazał Indianom, aby na razie rozłożyli się obozem na dziedzińcu, a potem zaprowadził Walkera i Leflora do „sali”.

- Jeszcze chwila cierpliwości! - powiedział. - Najpierw muszę zamienić kilka słów z Juanitem i Bellą. Zaraz wrócę. 'Pdk jak przewidział to Old Firehand, Roulin poszedł najpierw do swego pokoju. Tl~aper wraz z Winnetou oczekiwali na niego w we~wnątrz po obu stronach drzwi.

Zaledwie Roulin zamknął je za sobą, ręce Old Firehanda zacisnęły się na jego szyi tak mocno, że oszust nie był w stanie wydać z siebie głosu. Kiedy usiłował złapać powietrze, Apacz wetknął mu do ust knebel, a potem związał jego ręce i nogi. Wszystko to odbyło się w ciągu kilku sekund i bez najmniejszego hałasu. Roulinowi zdawało się, że śni; patrzył tylko głupio na obu mężczyzn.

- Witaj we własnym domu, Sonatako - pozdrowił go Old Firehand. - My tu już jesteśmy, jak widzisz. Mam nadzieję, że będzie nam się dobrze współżyło. Najpierw zaś sprawdzimy, co masz w pasie i w kieszeniach.

Przy pasie Roulin miał tylko brofi, w kieszeniach zaś pieniądze i dwa klucze - klucz główny i mały kluczyk do kajdan; taki sam posiadał również Juanito. Old Firehand schował je. Podczas rewizji Roulin bezkustecznie usiłował rozerwać więzy.

- Tylko spokojnie, senior! - uspokajał go Old Firehand. -

369

Oszczędzaj swoje siły! Będą ci jeszcze bardzo potrzebne, jako że jesteśmy bardzo ciekawskimi ludźmi i będziemy chcieli dowiedzieć się wielu rzeczy.

W tym czasie Leflor i Walker postawili swe strzelby w kącie „sali” i zasiedli za stołem.

W pewnej chwili rozległo się pulcanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał zdziwiony Walker.

Do środka wszedł Sam Hawkens, a za nim obaj chudzielcy, Dick i Will. Na widok tej trójki Walker i Leflor zaskoczeni zerwali się z krzeseł. Sam uklonił się uprzejmie.

- Wybaczcie, panowie; że przeszkadzamy! Zostawcie na swoich miejscach! Słyszeliśmy, że przyjechali nowi przyjaciele seniora Roulina, a ponieważ my również jesteśmy jego gośćmi, postanowiliśmy was powitać.

- Wy? aego gośćmi? - wyrwało się Walkerowi.

- l'ak.

- Tó niemożliwe!

- Zabrzmiało to tak, jakby senior Roulin nie był człowiekiem gościnnym. Nie obrażajcie go!

- Czy on wie, że tu jesteście?

- Jeszcze nie, ale niebawem się dowie. Jest u niego dwóch wielce szanownych gentlemanów, którzy go o tym poinformują, jeśli się nie mylę. Miejmy nadzieję, że pan mnie pozna?

- Nie miałem przyjemności - skłamał Walker.

- A moich towarzyszy?

- Iż nie.

Milczący zazwyczaj Dick kilkakrotnie już miał zamiar się odezwać, ale ciągle powstrzymywał się. Tym razem nie mógł się już jednak opanować.

- A czy nie pamięta pan owego dnia - wpadł mu w słowo - kiedy to łowił pan ryby na plantacji mister Leflora?

- Nie. Nigdy nie łowiłem tam ryb.

370

- Możliwe, ale siedział pan tam z wędką nad rzeką. Miał pan wtedy uczernioną twarz i udawał Murzynkę.

- Nie zauważyłem.

- Dałem się zwieść, a pan uciekł.

- Bzdura! Musiał mnie pan pomylić z kimś innym!

- No, to kim pan jest?

- Nazywam się Patmora i jestem hiszpańskim Kreolem z Los Angeles.

- Ach, przepraszam! Pomyliłem się więc. A kim jest ten senior obok? .

- Mój kuzyn, który nazywa się tak samo jak ja.

- A ja uważałem pana za niejakiego Walkera, mordercę Ciotki Droll, który od czasu do czasu nazywa się też Hopkins.

- Bardzo się pan więc pomylił.

- Czyżby istniało, aż tak zaskakujące podobieństwo? I do tego, aż w dwóch przypadkach na raz? Pozwolicie, panowie, że siądę razem z wami?

- Proszę bardzo. Niestety, nie będziemy mogli dotrzymać panu towarzystwa: senior Roulin nas oczekuje.

- Bardzo mi przykro, ja też nie będę panów zatrzymywał.

Miejmy nadzieję, że szybko się znowu zobaczymy! Obaj oszuści wstali i ruszyli do kąta, aby wziąć swe strzelby, a potem do drzwi. Niemal już do nich doszli, gdy do „sali” weszli Old Firehand i Apacz.

Leflor i Walker cofnęli się przerażeni.

- Ach, więc panowie już tu są? - uśmiechnął się Old Fire-hand. - Nie przypuszczaliście, że będziemy tu przed wami; sądziliście, że jesteśmy jeszcze w drodze.

- Nie, my jesteśmy przed i jednocześnie, za wami, jeśli się nie mylę - roześmiał się Sam. - A wygląda to tak! - dodał i schwycił kompletnie zaskoczonego Walkera za szyję, a potem przewrócił go na podłogę.

371

W tym samym momencie Dick i Will złapali za ręce Leflora. Old Firehand i Winnetou błyskawicznie zakneblowali i tak mocno związali obu przestępców, że ci nie byli w stanie ruszyć ręką, ani nogą. Potem zaniecono ich do Roulina.

Old Firehand wyszedł na dziedziniec i skinął na jednego z Mo-hawów, którego pióropusz był bardziej wspaniały od pozostałych. Indianin nie widział jeszcze nigdy trapera, więc uznał go za jednego z przyjaciół Roulina; odłożył dzidę, tarczę i strzelbę, a potem podszedł do Old Firehanda.

- Niech mój czerwony brat pójdzie za mną - powiedział traper.

Czerwonoskóry sądził, że to Roulin chce z nim rozmawiać i nic nie przeczuwając poszedł za Old Firehendem. Na piętrze traper puścił go przodem do izby, a potem zamknął za sobą drzwi.

- Uff!

Indianin wydał z siebie tylko ten cichy okrzyk, a potem zapadła cisza. Przed nim stało dwudziestu uzbrojonych Apaczów i kilku bia-łych, za nim Old Firehand, a obok niego Dick i Will. Zarówno próba ucieczki jak i opór były w obliczu takiej przewagi wroga absolutnie bez szans. Stąd też Indianin postanowił zachowywać się spokojnie, aby poczekać na dogodniejszą okazję do działania.

- Niech mój czerwony brat się nie obawia - odezwał się Old Firehand. - Stoją przed nim wodzowie Apaczów: Winnetou i Mocna Ręka, a ja jestem Old Firehand, którego czerwoni wojownicy nazywają Inshava Nonton, Białym Wodzem.

- Uff, uff! -wyrwało się z ust Mohawa.

- Żyję z wami w pokoju. Nic mi nie zrobiliście, ani ja wam. 'I;raz jednak sprzymierzyliście się z białymi ludźmi, którzy są złodziejami i rabusiami. Zaraz ci opowiem, jakich przestępstw dokonali - Old Firehand wyliczył Mohawowi wszystkie zbrodnie Roulina, Wal-kera i innych.

- Jest mi bardzo przykró - mówił dalej traper - że zostaliście 372 przyjaciółmi tych przestępców. Przybyliśmy tu, aby ich ukarać. Czy przeszkodziecie nam w tym?

Indianin spojrzał zdziwiony w poważną, ale otwartą twarz Old Firehanda. Wyobrażał sobie tego słynnego traperka całkiem ina- „i czej.

- Tb, co 'mówi Inshava Nonton, jest prawdą. On nigdy nie kłamie. Mężczyźni, o których mówiłeś, to źli ludzie. Zasłużyli na karę. Ale ja nie jestem wodzem; nie mogę zmienić przymierza i muszę ich chronić. Tylko wódz może wydać inny rozkaz.

- Poczekaj więc, aż przyjedzie tutaj.

- Nie wolno mi tego uczynić.

- A więc zginiesz. Jest nas tu dziesięć razy cztery po dziesięciu wojowników, a was jest tylko trzy razy po dziesięć.

- Czy Inshava Nonton może to udowodnić?

- 'Pdk. Chodź ze mną!

Old Firehand zaprowadził Indianina na płaski dach, skąd można było zobaczyć ukrytych Apaczów i Marikopasów. Mohaw zdumiał się.

- Poza tym stu Apaczów jest ukrytych wewnątrz domu - dodał znacząco traper.

- Pokaż ich nam!

- Będą walczyli z twoimi ludźmi.

- Powiedz im więc, że chwilowo ma być pokój między nami, a ja powiem to swoim ludziom.

- Dobrze, niech tak będzie.

;i

Po tej krótkiej rozmowie obaj mężczyźni zeszli z dachu. Niebawem Apacze i Mohawowie stanęli naprzeciwko siebie na dziedzińcu. Mohawowie zdziwili się niepomiarnie zobaczywszy tak dużą liczbę przeciwników. Ich zaskoczenie wzrosło, gdy dowiedzieli się, że mają do czynienia z Winnetou i Białym Wodzem.

- Chcę wam teraz przedstawić moje propozycje - zwrócił się do Mohawa Old Firehand. - Sam możesz wybierać między wojną a 373 pokojem, między życiem a śmiercią.

- Powiedz mi przedtem, gdzie znajdują się te trzy blade twarze, z którymi tu przybyliśmy.

- Zostali moim więźniami.

- Jaki czeka ich los?

- Umrą. Ty samo czeka i was, jeśli się nie poddacie. Policz, ilu nas jest. Jeśli choćby jeden z twoich wojowników podniesie broń, zaczniemy strzelać i niebawem wszyscy będziecie martwi.

- Inshava Nonton powiedział prawdę, ale nie wolno mu zapominać, że my nie boimy się śmierci.

- Wiem o tym, jesteście bowiem dzielnymi wojownikami. Ale czy nie lepiej jest żyć, a nie umierać, nawet jeśli się jest dzielnym wojownikiem? Czyż nie macie w swych wigwamach braci i sióstr, żon i dzieci? Czekają w nich na was. Chcą jeść mięso, które dla nich upolujecie. Czyż nie powinniście żyć dla nich? Jeśli zginiecie od naszych kul, rozlegnie się wielki płacz i biadanie; wasi krewni, żony i dzieci powiedzą:

„Nasi wojownicy zapomnieli o nas. Stracili do nas swe serca. Dali się zastrzelić, aby być uważanymi za dzielnych wojowników, którzy nie boją się śmierci. My zaś zostaliśmy niewolnikami Apa-czów i Marikopasów!”

Słowo „niewolnik” było najgorszym, jakie mógł usłyszeć Indianin. W szeregach Mohawów rozległ się szmer.

- Squaw mówią jak squaw. My zaś umrzemy, by nie zostać niewolnikami zwycięzców!

- Inshava Nonton powiedział, że jego czerwoni bracia nie będą niewolnikami zwycięzców, bowiem my nie jesteśmy waszymi wrogami i nie chcemy nimi być.

- Uff! Uff!

- Porozmawiam z moimi towarzyszami i waszym wodzem. Stanie się tak, jak ustalimy. 'I-raz zaś żądam tylko, abyście złożyli swą broń.

- Zabierzecie ją?

374

-1' dk.

- Kim jest wojownik bez broni? Nawet jeśli pozostawicie nam naszą wolność, zostaniemy wystawieni na drwiny naszych wrogów, a potem zginiemy z naszymi rodzinami z głodu.

- Inshava Nonton chce jedynie przechować waszą broń do czasu rokowań z waszym wodzem. Znasz moje imię. Powiedz mi, czy Old Firehand kiedykolwiek postąpił niesprawiedliwie wobec czerwo-noskórych mężów?

- Jeszcze nigdy.

- A więc i dzisiaj, podczas rokowań, będę chciał dla was sprawiedliwości, a moje słowa z pewnością zostaną wysłuchane.

- Jeśli oddamy broń, czy zostaniemy związani i zamknięci?

- Nie, zostaniecie na dziedzińcu i dostaniecie, tak jak my, jedzenie i picie. Musicie mi tylko przyrzec, że nie wystąpicie przeciwko nam, dopóki Inshava Nonton nie zakończy rokowań z waszym wodzem.

Przywódca Mohawów zwrócił się teraz do swoich ludzi i po krótkiej rozmowie wrócił do Old Firehanda.

- Dzielni wojownicy Mohawów zgadzają się na twoje warunki, ponieważ jesteś Białym Wodzem, któremu wierzymy. Powiedziawszy to, wyciągnął zza pasa tomahawk, położył go na ziemi, a obok niego całą swą pozostałą broń. Pozostali wojownicy uczynili tak samo. Jeden po drugim składali na ziemi broń, którą Old Firehand kazał kilku Apaczom zanieść do budynku. Potem Mohawowie przykucnęli pod murem i czekali na dalszy rozwój wypadków.

- 'I~raz przeszkadzają nam jeszcze tylko konie- stwierdził Dick Stone. - Na dziedzińcu nie możemy ich wprowadzić, na zewnątrz też nie wolno ich zostawić; zdradzą zbliżającym się naszą obecność.

- A to dlaczego? - zdziwił się Old Firehand. - Właśnie kiedy je tam zostawimy, podjadą spokojnie; będą myśleli, że ich ludzie są bezpieczni wewnątrz domu.

375

- Ale trzeba je będzie karmić i poić!

- Woda jest w zbiorniku. Jest niedobra, ale dla koni wystarczy.

A obrok - no cóż, będą musiały trochę głodować.

- Kto będzie musiał głodować? - zapytał Sam Hawks, który właśnie podszedł do rozmawiających.

- Konie, no i my także - wyjaśnił Old Firehand.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie ma tu nic do jedzenia.

- A kto tak twierdzi? - oczy Sama błysnęły chytrze.

- Ja.

- A więc mówi pan nieprawdę, jeśli się nie mylę. W tym domu, mister Firehand, jest wystarczająco dużo zapasów.

- Skąd pan o tym wie?

- 'Pdk, skąd wiem... Sam Hawks nie jest wcale takim złym człowiekiem. Kiedy inni nie myślą o niczym, on musi wyęźać swój mózg pod fałszywym skalpem. Przyjrzyjcie się tej sympatycznej Dolinie Śmierci! Żadnego drzewa, krzaka, ani źdźbła trawy! A mimo to żyją tu ludzie i zwierzęta. Muszą tu być więc spore zapasy żywności.

- Zapewne ma pan rację; ale nie wystarczą one dla tylu ludzi.

- 'I~k pan myśli? Hm... Niech pan spojrzy na ten dom... Czyż nie wygląda na małą twierdzę? Z pewnością wytrzymałby dobrze długie oblężenie. A na taką okazję oblężeni muszą mieć zapasy i to nie dla dwóch, trzech mułów i tylko na jeden dzień...

- 'Ib mądra argumentacja, ale samymi argumentami nie da się nakarmić ani ludzi ani naszych szkap. Przeszukałem cały dom.

- To miło z pafiskiej strony, sir, ale nic pan nie znalazł. Ja wcale nie szukałem, a mimo to coś znalazłem.

- Gdzie?

- Na plecach właściciela tego miłego domu, hihihih! Powiedział pan, że moja argumentacja nie jest zła. Podczas gdy pan prowadził rokowania z Mohawami, ja poszedłem wraz z moją

376 argumentacją do Roulina, który cierpiał jednak na zatiik pamięci. Wtedy zdjąłem z niego koszulę i zacząłem nacierać mu plecy. Już po trzecim razie jego pamięć była znowu w porządku, hihihih!

- Powiedział coś?

- Pdk.

- Co mianowicie?

- Że jest tu piwnica.

- Gdzie?

- Pod kuchnią. Tizeba tylko podnieść kamienną płytę, pod którą jest wejście.

- Był pan na dole?

- Nie; próbowałem jedynie podnieść płytę. Udało mi się, więc natychmiast przybiegłem do pana.

- Doskonale!

-Roulin tak nie uważa, hihihih! Jego plecy wyglądają jak mapa, na której lądy zaznaczone są na brązowo, a morza na niebiesko. Gdyby się nie przyznał, wtedy z pewnością pojawiłoby się coś czerwonego. Chciałbym panu pokazać tę piwnicę.

Mały traper ruszył przodem dumny jak paw.

W kuchni Old Firehand i Hermann zobaczył kamienne schody, ukryte do tej pory pod płytą.

Cała trójka wzięła lampy stojące pod ścianą i zeszła do piwnicy. Jej widok wywołał wielkie zaskoczenie. Stały w niej beczki z mąką, pudła z jajkami, marynowane szynki i długie szeregi pełnych ~bu-telek. Krótko mówiąc, te zapasy świadczyły o tym, że Roulin liczył się z oblężeniem.

W głębi duszy Old Firehand podziwiał rozważę małego tropera.

- No, i jak to się panu podoba? - roześmiał się Sam.

- Doskonale! - odparł Old Firehand.

- A kto jest odkrywcą tej bonanry?

- Mister Sam Hawkens!

- Musi pan przyznać, że to całkiem sprytny człowiek!

377

- Niekiedy.

- Niekiedy? Hm... a więc dobrze się złożyło, iż właśnie dzisiaj miałem swój dobry dzień, jeśli się nie mylę. Niech pan patrzy: jest tu nawet tytoń i cygara. Pozwoli pan, że zapalę sobie jedno. Podczas gdy Sam zapalał cygaro, Old Firehand szukał dalej. Ponieważ podłoga piwnicy była po prostu ubitą ziemią, wpadł mu w oko czworokątny kamień, który udało mu się odsunąć. Pod kamieniem znajdował się ciemny otwór, z którego poczuł wilgoć.

- Niech pan przyniesie lampę, Sam! Sądzę, że znalazłem studnię.

- Mielibyśmy szczęście; woda jest dla Indian lepsza od piwa.

- Które z pewnością chce pan zachować dla siebie?

- Niech pan sobie, kpi Biały Wodzu! Indianie po prostu nie lubią piwa, hihihih! - powiedział zbliżając się do otworu z lampą. Rzeczywiście, jej światło odbiło się w małym zwierciadle wo-dy, która na dodatek, okazała się być całkiem dobrej jakości.

- 'Ib najlepsza ze wszystkich rzeczy, jakie tutaj znaleźliśmy - stwierdził Old Firehand. - 'I~raz nie tylko ludzie, ale także i konie będą się mogły napić świeżej wody. Naturalnie, jej czerpanie będzie trochę kłopotliwe...

- Wcale nie! - wtrącił Hermann. - W kącie widzę żelazną pompę i kilka węży. Nie musimy się więc wcale tak bardzo męczyć. Kiedy Old Firehand zbadał ściany piwnicy zauważył cienki pro-mień światła; była to czworokątna dziura prowadząca na zewnątrz, przez którą wypchnięto wąż od pompy.

Apacze wynieśli na dziedziniec tyle żywności, ile akurat było po-trzebne w tej chwili. Urząd kucharki przejęła Anita. Potem wezwano ukrytych w Dolinie Śmierci wojowników, którzy także otrzymali swą część żywności i wodę dla koni.

'Pdk miały godziny. Nie oczekiwano jeszcze co prawda przy-bycia wodza Mohawów z resztą wojowników, ale Old Firehand v~ysłał na wszelki wypadek zwiadowców, aby uniknąć wszelkich 378 niespodzianek.

'Pdkze i Mohawowie na dziedziniec zaczęli się zachowywać swobodniej, przekonawszy się, że są traktowani tak samo jak inni. Dom i dziedziniec były za małe dla tak dużej liczby gości, dlatego Sam zaproponował, aby Roulina i jego towarzyszy zamknięto w kopalni rtęci. Uzyskano w ten sposób dwa pomieszczenia, w których do tej pory znajdowali się więźniowie. Old Firehand zgodził się od razu na tą propozycję. Drabina jeszcze raz została spuszczone do zbiornika. Potem za~srowadzono złoczyfców. Ju-anito był znowu przytomny. Rzucił lękliwe spojrzenie na Roulina, który pozornie nie zwrócił na niego uwagi.

Old Firehand i Sam Hawkens ruszyli przodem; za nimi szli więźniowie, których pilnowali na koficu Dick i Will. 'Ii~aper otworzył drzwi i szedł w nikłym świetle lampy przez podziemne korytarze. Zatrzymali się w ostatniej komorze, gdzie przykuto więźniów do żelaznych pierścieni przy ścianie.

Zamykając kłódki kajdanek, Old Firehand posłużył się na nie-szczęście kluczem zabranym Roulinowi; w przeciwnym razie natych-miast zauważyłby zamianę, jakiej dokonał Newton. Potem, zamyka-jąc za sobą starannie drzwi, powrócił z towarzyszami na powie-rzchnię. Tylko Sam Hawkens potrząsał w zadumie głową.

- Czy nie popełniliśmy błędu, mister Firehand?

- Dlaczego?

- Powinniśmy ich byli rozdzielić. 'I~raz są razem i mogą ze sobą rozmawiać, knuć plany, które mogą nam sprawić kłopoty.

- Niech się pan nie lęka, Sam! Nie wydostaną się stąd. Nawia-sem mówiąc, zrobiłem to specjalnie: zaczną się teraz strasznie kłócić. 'Ib zaostrenie kary, które im się należy.

- Ma pan rację. Wszyscy z pewnością obsypią obelgami tego Juanito! Gdyby nie dał się panu zaskoczyć, mister Firehand, nie poszłoby nam tak łatwo!

Ucieczka

Przypuszczenia Old Firehanda, że więźniowie zaczną się ob-rzucać nawzajem zarzutami, sprawdziły się całkowicie. Juanito, starucha i były derwisz, byli do tej pory oddzieleni od innych. 'I~raz znaleźli się w tym samym pomieszczeniu. Roulin aż gotował się z wściekłości i przy najmniejszej okazji musiało dojść do wybuchu. Początkowo jednak zachowywał się spo-kojnie; zdawał się być jeszcze oszołomiony wydarzeniami. 'Pakże i pozostali milczeli, każdy bowiem myślał o swoim ponurym losie, jaki go niebawem czekał. Słychać było jedynie ciche jęki Juanita.

- Bardzo cię boli? - zapytał w koficu Roulin z dobrze uda-wanym współczuciem. Juanito zajęczał przeraźliwie.

- Jak do tego doszło, mój drogi Juanito?
- Niech będzie przeklęty ten Old Firehand!
- Jestem całkowicie twojego zdania. Ale jeszcze bardziej po-winna być przeklęta twoja głupota!
- Nie byłem głupi!
- A może to była mądre, że dałeś sobie ściągnąć skórę z głowy?
- Co ja mogłem? 'I~n typ podał się za meksykańskiego wła-ściciela kopalni i chciał kupić rtęć.
- Dlaczego nie sprzedałeś mu jej z zapasów twojej matki?

380

- Miała jej za mało. Powiedział mi, że potrzebuje dużo, dużo więcej.
- Jak on cię oszukał! Mogłeś przecież dowieźć mu resztę, a jemu kazać, by czekał u matki. Dlaczego zabrałeś go ze sobą?
- 'I~n drafi... Och! Ach! - zajęczał znowu Juanito. Czuł się tak, jakby głowę zanurzono mu w roztopionym metalu.
- A więc, dlaczego? - zapytał powtórnie Roulin.
- Bo... bo...
- Koniec z tymi kłamstwami! One i tak cię nie uratują!
- Wcale nie chcę kłamać. Wszystko mi teraz obojętne. I tak nas zabiją. 'I~n typ miał przy sobie dużą sumę pieniędzy, więc chciałem...
- Chciałeś ją mieć, nie sprzedając mu rtęci?
- 'Pdk.
- Czy to znaczy, że chciałeś go zabić?
- Mniej więcej.
- Ty wariacie!
- Wszyscy jesteśmy szaleficami - zajęczał Juanito - a pan jest największym spośród nas!
- 'Iwoje szczęście, że jestem związany, w przeciwnym razie za to dobre wychowanie ściągnąłbym ci skórę, jaką masz jeszcze na grzbie-cie! Chyba nie oskalpował cię Old Firehand?
- Nie; to ten przeklęty Apacz, który pracował w kopalni!
- Cbż za piekielna historia! Opowiedz jednak, jak udało im się cię obezwładnić i uwolnić więźniów!
- Ja... - zaczął Juanito i przerwał znowu jęcząc straszliwie.
- Weź się w garść! - krzyknął na niego Roulin.
- Ja..: ja nie mogę - jęczał Juanito. - 'Pdk strasznie mnie boli!
- Nie jestem w stanie długo mówić. Niech ta jęcza wszystko opo-wie. Och, moja głowa, moja głowa!
- Należy ci się to, głupcze. Dostałeś nawet za mało! Skóra na głowie powinna ci odrastać codziennie i codziennie powinno się ciebie skalpować! Natarłbym ci te rany jeszcze pieprzem, ty zezowaty

381

- Miała jej za mało. Powiedział mi, że potrzebuje dużo, dużo więcej.
- Jak on cię oszukał! Mogłeś przecież dowieźć mu resztę, a jemu kazać, by czekał u matki. Dlaczego zabrałeś go ze sobą?
- 'I~n drafi... Och! Ach! - zajęczał znowu Juanito. Czuł się tak, jakby głowę zanurzono mu w roztopionym metalu.
- A więc, dlaczego? - zapytał powtórnie Roulin.
- Bo... bo...
- Koniec z tymi kłamstwami! One i tak cię nie uratują!

- Wcale nie chcę kłamać. Wszystko mi teraz obojętne. I tak nas zabiją. 'I~n typ miał przy sobie dużą sumę pieniędzy, więc chciałem...

- Chciałeś ją mieć, nie sprzedając mu rtęci?

- 'Pak.

- Czy to znaczy, że chciałeś go zabić?

- Mniej więcej.

- Ty wariacie!

- Wszyscy jesteśmy szaleficami - zajęczał Juanito - a pan jest największym spośród nas!

- 'Iwoje szczęście, że jestem związany, w przeciwnym razie za to dobre wychowanie ściągnąłbym ci skórę, jaką masz jeszcze na grzbie-cie! Chyba nie oskalpował cię Old Firehand?

- Nie; to ten przeklęty Apacz, który pracował w kopalni!

- Cóż za piekielna historia! Opowiedz jednak, jak udało im się cię obezwładnić i uwolnić więźniów!

- Ja... - zaczął Juanito i przerwał znowu jęcząc straszliwie.

- Weź się w garść! - krzyknął na niego Roulin.

- Ja...: ja nie mogę - jęczał Juanito. - Tak strasznie mnie boli!

Nie jestem w stanie długo mówić. Niech ta jęcza wszystko opo-wie. Och, moja głowa, moja głowa!

- Należy ci się to, głupcze. Dostałeś nawet za mało! Skóra na głowie powinna ci odrastać codziennie i codziennie powinno się ciebie skalpować! Natarłbym ci te rany jeszcze pieprzem, ty zezowaty 381 Kreolu. Gadaj, starucho!

Bella czekała na to wezwanie. Była bezgranicznie wściekła na wszystkich, również i na Juanita, który ponosił całą winę za to nie-szczęście, bo przyprowadził Old Firehanda. Zaczęła więc opowiadać całą historię i to tak, aby nie spotkaE się z żadnym zarzutem.

- Oczywiście, ty nie ponosisz żadnej winy, jędo -zazgrzytał zębami Roulin. - Och, gdybym był tylko wolny...! W tym momencie do rozmowy włączył się Walker.

- Czy rzeczywiście nie ma żadnej możliwości ratunku?

- A potrafi pan rozerwać swoje łaficuchy? - zadrwił Roulin.

- Nie.

- Ma pan może klucz do nich?

- 'I~ż nie. Cóż za pytanie!

- A więc nie mamy żadnej szansy ratunku. Jesteśmy zgubieni.

- 'I~ łotry nie będą się z nami bawić.

- 'I~k pan sądzi?

- Naturalnie.

- Tb byłoby dobrze. Szybka śmierć jest w naszych warunkach najlepszą rzeczą, jaka może nas spotkać. Wydaje mi się jednak, że nie możemy na nią liczyć. Ten Old Firehand jest wściekłym psem, który nie robi nic sprzecznego z prawem. Jestem przekonany, że zawiezie nas wszystkich ze zwycięską miną do San Francisco, aby tam wytoczyć nam proces.

- Do diabła! Lepsza śmierć niż taki proces!

- On to z pewnością zrobi!

- Wolę sam się przedtem zabić!

- W jaki sposób? Jest pan przecież związany!

- Znajdę jakąś okazję. Nie pozwolę, aby ludzie w San Fran-cisco gapili się na mnie jak na raroga.

- 'Idk, z pewnością będzie to proces, jakiego jeszcze nie było.

W taki właśnie sposób przebiegała rozmowa między Walkerem a Roulinem. W końcu wziął w niej udział także i Leflor; cała trójka 382 zaczęła bluźnić przeciwko Bogu i ludziom. Przekleństwa mieszały się z nagłymi napadami strachu, a brutalne oskarżenia z lamentami. Bez przerwy też słyhać było co chwilę okrzyki bólu oskalpowanego Juanita; była to z pewnością jedna z najdziwniejszych rozmów, jaką można usłyszeć. Potem wszyscy zaczęli głęboko zastanawiać się nad znalezieniem drogi ucieczki, ale na próżno. Nie było żadnej możli-wości.

Po chwili, na nowo zaczęto niepohamowanie drwić z Juanita. Ale Kreol nie odpowiadał, więc cała trójka zaczęła się wzajemnie obrzucać obelgami.

- Ja jestem najmniej winny z was wszystkich - wykrzyknął Leflor rozzłoszczony. - Zamknijcie swe brudne gęby na kłódkę! Kupiłem od was plantację w dobrej wierze; to wszystko. Nie mam nic wspólnego z waszymi łajdactwami. Nic mi nie można zarzucić!

- Niech pan nie udaje takiego niewiniątka! - odparł Walker. - Kupno tej plantacji było całkiem niezłym oszustwem. Chciałbym zobaczyć~ szeryfa, który nie ukreśliłby panu za to stryczka! W każdym razie, już pan nie ma tej plantacji!

- Zgoda, ale muszę mnie zostawić przy życiu!

- Tak pan sądzi? Uwolnił pan jednego z nas z ich rąk, potem brał udział w porwaniu Wilkinsa i Almy oraz wydaniu tych dwojga Indianom. Poza tym, znał pan dobrze cel naszej podróży do Doliny Śmierci! 'Ib wystarczy, aby skreślić panu kark i to dwukrotnie.

- Zobaczymy! A jeśli idzie o Billa Newtona, którego uwolniłem nad Błękitną wodą, to... Walker przewrócił się gwałtownie na drugi bok.

- Dobrze, że pan wymienił to przekłężne nazwisko! Podły pies!

Gdzie masz moje pieniądze, draniu?

Walker oczekiwał, że Newton zacznie albo kłamać, albo wcale nie odpowie. Oszust jednakże nie okazał zbytniego wzburzenia tym pytaniem.

- Pafiskie pieniądze? Stracone, Old Firehand je ma.

383

- Do diabła! Znowu ci je zabrał?

- Niestety.

- 'I-mu drabowi udaje się wszystko, dosłownie wszystko. Jeśli diabeł uwolni mnie stąd, to zemszczę się na tym człowieku tak, jak jeszcze żaden człowiek się nie mścił na drugim.

- Powodzenia! - zadrwił Newton.

- Nie wyśmiewaj się ze mnie, człowieku! Nienawidzę tego drania, a mimo to cieszę się, że nie tylko zabrał ci te pieniądze, ale także cię schwytał! Jak, łajdaku, mogłeś wpaść na pomysł, aby mnie okraść?

- Ponieważ pan wpadł na pomysł, aby mnie tu uwięzić!

- Bzdura!

-Pshaw! Podsłuchiwałem wczora was rozmowę. Niech mi pan

J

więc nie zarzuca, że pana okradłem!

a:

- Chciałeś uratować Almy!

- Ani o tym myślałem!

- Ty łotrze!

- Jest pan takim sam m łotrem ak a z edn t lko różnicą: ja y J J, 1 ą y jestem sprytniejszy od pana. Podczas gdy wy kłóćcie się tutaj, zupełnie niepotrzebnie zwalając winę jeden na drugiego, ja zasta-ś'- nawiąłem się nad sposobem uratowania się z tej sytuacji.

- Gadanie!

!t.. I

- Jeśli zechcę, to za dwie minuty mogę uwolnić się z łańcu-chów.

-Nie pozwolę, abyś ze mnie dłużej kpił, ty śmierdzący kojocie!

- Ale co ja z tego będę miał? Wolny, ale nie znając tych piekielnych korytarzy i sztolni, nie wydam się na zewnątrz... Bill Newton powiedział te słowa tak spokojnie i beznamyślnie, że pozostali nagle przerwali swą kłótnię.

- Nie wygłupiaj się, Bill! - odezwał się Roulin. - Jeśli to prawda, co powiedziałeś, całkowicie zapomnimy o tym figlu, jaki nam spletałeś.

384

- Doskonale. A co dalej?

- Zostaniesz wynagrodzony!

- 'Ib brzmi bardzo pięknie. W jaki sposób?

- Dam ci tysiąc dolarów! - wykrzyknął Leflor.

- Ma je pan może przy sobie?

- Nie, wszystko mi zabrano. Ale pojedziesz ze mną do Wilkinsfield i tam ci je wypłacę.

- Nie robi pan tego: Wilkinsfield nie należy już do pana!

- Przysięgam ci na wszystkie świętości, że zapłacę ci tę sumę!

-Jakie świętości? -zadrwił Newton. - Ma pan chyba na myśli Belzebuba, co?

- Na co zechcesz, Newton!

- Zobaczymy. A co proponują pozostali?

- Ja też dam ci tysiąc - powiedział ponuro Walker.

- ~y?

- Gdy wrócę do Prescott.

- Nie pokaże się pan już tam do kofica życia! A pan, senior Roulin? Co pan proponuje?

- Tyle samo.

- Wystarczająco mało. Ma pan te pieniądze?

- 'ak.

- Czyżby na górze, tam gdzie jest teraz Old Firehand?

- Nie, mam je ukryte tu, na dole.

- Gdzie?

- 'o moja tajemnica.

- A więc, zatrzymaj ją sobie, do diabła!

- Nie tak nerwowo!

- W końcu wcale pana nie potrzebuję. Nawiasem mówiąc, jeśli ma pan te tysiąc dolarów, to z pewnością znajdzie się ich trochę więcej. Może doda pan dwa tysiące, które przyrzekło mi tamtych dwóch?

Roulin zawahał się na chwilę.

13 - Dolina śmierci 385

- 'Idk, mogę ci je dać - warknął w końcu z niechęcią.

- Dobrze. Oświadczam wam więc, że ucieczka jest możliwa.

Muszę tylko przedtem być pewny, że dostanę te pieniądze i czy uda nam się stąd wydostać, jeśli zdejmę sobie i wam kajdany.

- Mogę cię uspokoić w tej kwestii. Jeśli będę wolny, w każdej chwili mogę się stąd wydostać.

- W jaki sposób? Czy jest tu jakiś tajemny chodnik?

- Nie, ale czy przedtem, gdy paliły się lampy, przyjrzelście się temu szybowi?

- ' 'dk; do ściany umocowana jest drabina.

- Prowadzi ona na szczyt tej skały.

- A w jaki sposób można zejść na dół?

- Przy pomocy liny.

- Ma pan tu linę?

- 'Pak.

Juanito milczał do tej pory; częściowo ze względu na ból, z drugiej strony nie chciał~zwracać na siebie uwagi, a w ten sposób i gniewu pozostali~. Jednakże obelgi, jakimi obrzucał go Roulin zdenerwo-wały go, szczególnie, gdy ten nazwał go zezowatym Kreolem. Jego gniew był tak silny, że momentami zapominał nawet o bólu.

- On kłamie, senior! - wykrzyknął w pewnej chwili do New- ' tona. - Niech mu pan nie wierzy! On nie ma żadnej liny!

- Jesteś tego pewny? - zapytał Newton.

- I'ak. Gdyby była tu jakaś lina, musiałbym o tym wiedzieć!

Roulin zaczął się rzucać po ziemi, parskając jak dzikie zwierzę.

- Milcz, ty podły bydlaku! Powiedziałem, że lina jest tutaj!

- Chce pan tylko oszukać seniora Newtona! Nie ma tu liny sięgającej od szczytu skały do ziemi!

- Dobrze - powiedział spokojnie Newton. - Skoro, jak widzę, chcecie mnie oszukać, więc ucieknę stąd sam.

- Niech się pan nie da ómamić! - krzyknął Roulin. - Mimo, iż nie muszę zwracać uwagi na szczekanie tego oskalpowanego psa,

386 zdradzę panu moją tajemnicę, aby pan widział, że nie mam zamiaru pana oszukać!

- Niech tak będzie!

- Sposbb, w jaki prowadziłem tę kopalnię spowodował, że postanowiłem się przygotować, na wszelki wypadek, do nagłego jej opuszczenia, gdybym wpadł w jakieś kłopoty. Zrobiłem więc tutaj skrytkę i przygotowałem również linę, o której istnieniu wiedzia-łem tylko ja.

- Niech pan w koficu powie, gdzie ona jest! - naciskał nie-cierpliwie Newton.

- Obok drabiny prowadzi w górę gruba, żelazna sztaba. Wi-dział ją pan?

- `Pak.

- Jest w środku pusta, tworząc rurę, której główkę można odkręcić. Lina jest wjej wnętrzu. Jest tak długa jak sama rura, a więc sięga od szczytu skały do jej podnóża. Na górze, przy ostatnim piecu, jest mocny, żelazny hak, do którego można tę linę przywiązać.

- Ale na zewnątrz są Apacze. Natychmiast zauważą, że ktoś spuszcza się ze skały.

- Nie zauważą, w tym bowiem miejscu znajduje się bardzo głęboka szelina w skale dochodząca aż do samego podnóża. Moż-na więc zjechać tą szczeliną i nikt tego nie zauważy. Jest pan teraz zadowolony, Newton?

- Jeśli idzie o linę, tak, ale nie z powodu pieniędzy.

- Dostanie je pan na pewno!

- Same przyrzeczenia mi nie wystarczą. Muszę mieć absolutną pewność, że naprawdę dostanę te pieniądze.

- Niech mu pan w koficu powie, gdzie jest skrytka! - zapi-szczała starucha.

Roulin milczał przez dłuższą chwilę; nie było mu łatwo rozstać się ze swoją tajemnicą.

- Dobrze, niech je pan sobie zatrzyma - zadrwił Newton - i

387 weźmie ze sobą do piekła! Ja mam już wolną jedną rękę - oświad-czył i z triumfem podniósł uwolnione ramię.

- Co, tak źle pana zakuto?

- `I~raz wiem już, gdzie jest lina i sam stąd ucieknę.

- Niech cię piekło pochłonie! - wykrzyknął Walker. - Jesteś przeklętym sknerą, Roulin i w ten sposób wszystkich nas zaprowa-dzisz na szubienicę! Daj mu dowód, że te pieniądze naprawdę tu są!

- No cbż, w zasadzie nie ma żadnego niebezpieczeństwa; nie uda mu się ich wziąć bez naszej pomocy. Powiem więc, gdzie są: na szczycie szybu, za piątym szczeblem od góry, jest luźny kamień. Jeśli go wyjąć, to zobaczy się żelazne drzwiczki, za którymi ukryta jest kasetka, a w niej pieniądze!

Oczy Newtona zaślniły podstępnie.

- Dlaczego mówi pan to dopiero teraz? - zapytał chłodno. - Co to znaczy, że nie wezmę ich bez waszej pomocy?

- Zamek w kasetce otworzyć można tylko kluczem od kajdan.

Zrobiłem tak, bo nosiłem go zawsze przy sobie, gdy schodziłem do szybu.

- 'Il:raz go panu zabrano. Jak chce się pan dostać do pieniędzy?

- Wspólnymi siłami chyba uda nam się rozwalić tę kasetkę?

- A co potem?

- Najpierw pojedziemy do matki Juanita. U niej zdobędziemy inne ubrania, bo z pewnością zaczną nas szukać listami gończymi.

- Gdzie ona mieszka?

- W Dos Palmas. Nazywa się Juana Alvarez i ma gospodę.

- Czy Dos Palmas leży na południowy wschód, obok linii kolejowej?

- 'Pdk, ale teraz niech się pan postara uwolnić drugą rękę.

- Zaraz tak się stanie.

- A co z łańcuchem przykutym do muru?

- Ukręcę go, jestem wystarczająco silny.

388

Newton trzymał do tej pory klucz w ustach. Teraz włożył go do zamka kajdanek na lewej ręce i otworzył go. A potem z ulgą odrzucił kajdanki. 'I~raz wystarczyło się pochylić, by otworzyć zamek trzymający łańcuch przy pierścieniu. Przedtem udawał tylko, że będzie go musiał ukręcić, aby nie zdradzić się z posiadania klucza. W koficu łańcuchy opadły z brzękiem na ziemię.

- Jest pan wolny? - zapytał Roulin.

- 'Pdk.

Mężczyźni wykrzyknęli z radością; ujrzeni jak nadchodzi ratunek przed niechybną śmiercią.

- Dzięki Bogu! 'I~raz niech pan zapali światło! - domagał się gorączkowo Roulin.

- Światło?

- Obok stoją lampy, którymi posługiwali się górnicy. Wszy-stko, co jest potrzebne, by je zapalić, znajdzie pan w zagłębieniu skały naprzeciwko mnie.

Niebawem zapłonął płomyk małej lampki.

- Dobrze - powiedział Roulin. - A teraz niech pan pójdzie do tamtego kąta. U stóp drabiny leży kilka krótkich żelaznych sztab, którymi łatwo rozerwie pan nasze łańcuchy.

Newton roześmiał się nieprzyjemnie.

- Chciałby pan, abym i was teraz uwolnił? Najpierw muszę się przekonać, czy powiedział mi pan prawdę.

- W ten sposób tracimy tylko drogocenny czas! Mówiłem prawdę, na Boga!

- Na Boga? - dwił dalej Newton. - Ma pan u mnie piekielnie mały kredyt zaufania, mister Roulin. Będzie lepiej, jeśli sam się o tym przekonam. Czekać więc, aż wrócę! Wszyscy więźniowie zaczęli zarzucać teraz rzekomego wybawcę prośbami i przekleństwami. Nic im to nie pomogło. Nie zwracając uwagi na ich okrzyki Newton wszedł na drabinę zabierając ze sobą lampę.

14 --- Dolina śmierci 389

Musiał się wspinać bardzo wysoko; minęło dużo czasu, zanim dotarł do piątego szczebla od góry. Rzeczywiście, znajdował się za nim luźny kamień. Za kamieniem zaś naprawdę były się żelazne drzwiczki, a za nimi kasetka. Klucz od kajdanek pasował do jej zamka. Newton dokładnie sprawdził jej zawartość: było w niej ponad pięć tysięcy dolarów w banknotach i różnego kształtu pierścionki oraz inne kosztowności. Oczy Newtona lśniły, gdy chwycił zawartość kasetki do kieszeni.

Włożył kasetkę z powrotem na swoje miejsce, zastawił wglębienie kamieniem, umocował lampę do szczebla, gdyż mogła go zdradzić w ciemnościach panujących na zewnątrz, a potem wspiął się na sam szczyt drabiny.

Żelazna sztaba koficzyła się głowicą, którą Bill usiłował odkręcić. Była nieco zardzewiała, ale po kilku próbach udało mu się ją poruszyć. Pośpiesznie ją odkręcił i rzeczywiście zobaczył w środku koniec liny. Wyciągnął ją na zewnątrz zwijając. Potem odszukał piec z hakiem; wszystko było tak, jak powiedział Roulin. W koficy zszedł z powrotem na dno szybu, gdzie oczekiwano go już z wielką niecierpliwością. Tylko Juanito Alvarez jęczał nadal i śmiał się nienaturalnie w malignie.

- Nareszcie! - zawołał Roulin. - Zniknął pan na całe godziny! Co pan tam robił?

- Wdychałem świeże powietrze - odparł z drwiną w głosie Newton i usiadł spokojnie na najniższym szczeblu.

- Znalazł pan linę?

- 'Pak.

- A kasetkę?

- 'I~ż.

- Jak pan widzi, powiedziałem przedtem całą prawdę. A więc, do dzieła!

- Poczekajmy jeszcze chwileczkę; mam czas.

- Ale my nie mamy!

390

- Och, będziecie mieli tyle czasu, ile zechcecie. A co by było, moi panowie, gdyby odjechał sam? Roulin zawył.

- Nie robi pan tego! Straci pan trzy tysiące dolarów!

- Wręcz przeciwnie; jeśli was uwolnię, wtedy stracę dwa tysiące dolarów! A może nie dostanę ani jednego?!

- Nie rozumiem pana!

- Ma pan przecież w kasetce pięć tysięcy dolarów, nieprawdaż?

- Pięć ty... - głos odmówił Roulinowi posłuszeństwa.

-Jeśli odejdę stąd sam, będą należały do mnie. Czyż nie mam racji, szanowni gentlemen? -

uśmiechnął się Newton. -Jeśli jednak zabiorę was ze sobą, to będę musiał oddać dwa tysiące, a może nawet całą sumę. Nie wierzę wam ani za grosz.

- Ty draniu! -zawył z wściekłością Roulin. -Skąd wiesz w ogóle, ile pieniędzy jest w kasetce?

- Ponieważ ją otwarłem, mister. A oprócz pieniędzy są w niej również kosztowności.

- Otwarłeś kasetkę?

- Naturalnie; przy pomocy klucza.

- A więc masz klucz!

- 'Pdk. Oto on! - Bill Newton podsunął kluczyk do płomienia lampki. Więźniowie wykrzyknęli na jego widok z radością. Z wyjątkiem Roulina, który napluł Newtonowi w twarz.

- Otwórz zamki! Otwórz! - poganiali go inni, dzwoniąc łańchami i wyciągając ku niemu złożone ręce. Był to wzrusza-jący widok; tylko jeden człowiek był całkowicie nieporuszony: Bill Newton. Siedział dalej na szczelbu i tylko drwiąco machnął ręką.

- Spokój! - powiedział po chwili. - Nie mogę rozmawiać ze wszystkimi naraz! Zaczniemy więc od pana, mister Roulin. Jest pan złodziejem, oszustem i mordercą, a także pyszałkiem i głupcem. Jeśli pożyczę więc sobie od pana te pięć tysięcy dolarów, by oddać 391 je panu kiedyś w piekle, mam nadzieję, że się w nim spotkamy za kilkanaście lat, nie będzie to żadnym przestępstwem.

- Zdrajco!

- Nazywaj mnie, jak chcesz! Nie jesteś w stanie mnie obrazić.

A jeśli idzie o pozostałych, to należycie do gatunku ludzkiego robac-twa, które należy wytepić. Ani mi w głowie brać na swe sumienie tak ciężki grzech i pomóc wam ująć przed ręką sprawiedliwości. Zostaniecie tutaj!

- Chcesz sam zniknąć, psie?! - ryknął Walker.

-1'dk, drogi panie.

- Zgniotę cię jak pluskwę! - Walker jak oszalały zaczął szarpać łańchami.

- Niech się pan nie trudzi, mister Walker! Co prawda niena-widzę Old Firehanda, ale nie mam zamiaru pozbawiać go przye-mności posłania was na szubienicę. Wierzę, że za ten dobry postęp-pek zostanie mi wiele odpuszczone.

Roulin rzucił się na kolana, trzymając w górze swe zakute w kajdany ręce. Jego oczy skierowane były w Newtona, jak gdyby chciały przebić go na wylot. Usta Roulina szeptały gorączkowo słowa modli-twy pomieszane z przekleństwami, usiłując wzruszyć serce człowieka, od które zależał jego los.

Newton obojętnie odwrócił się od swych niedawnych towarzyszy.

- Chcieliście mnie tu zamknąć, abym nigdy już nie zobaczył słońca - powiedział z szerokim uśmiechem i znowu przysunął się do światła. - Nadeszła godzina zapłaty: mam was w swoich rękach. Mógłbym was uwolnić, ale zostanieie tu, gdzie ja miałem zostać!

- Nie zrobisz mi tego, kochany Billu! - zachrypiała płaczli-wie starucha.

- A dlaczegożby nie? Może z miłości do ciebie? Cieszyłaś się nieszczęściem uwięzionych i postępowała z nimi jak diablica. Szatani już się cieszą na twoje przyjsie do piekła!

'I~kże i Leflor usiłował zmienić swój wyrok.

392

- Niech pan pamięta, Bill, że to ja uratowałem pana nad Błękitną Wodą!

- Żąda pan za to dowodu wdzięczności, mister? W pafiskim przypadku była ona rzadkością, jak mi się wydaje. Z wdzięczno-ści chciał mnie pan nawet zamknąć w tym piekle. Nie, przyjacielu, niech się pan nawet nie stara! Odchodzę stąd. Żegnam się z wami mając tylko jedną prośbę: abyście wspominali mnie z miłością, gdy będą wam zakładać stryczek na szubienicy! 'Ib będzie chyba wspaniałe uczucie, którego życzę wam z całego serca. Żegnajcie! - powiedział i postawił nogę na pierwszym szczelbu drabiny.

- Ty szatanie! - ryknął Walker. - Uwolnij nas!

- Billu, mój drogi, kochany Billu! - szlochała starucha.

- Dobrze wam tak! - roześmiał się złośliwie Newton. - Chciałem zobaczyć, jak klęczycie przede mną. Idźcie do piekła! Ja jestem uratowany!

A potem zaczął wchodzić na drabinę.

- Bill, mój kochany! - zaczęła od nowa lamentować starucha.

- Zabierz mnie ze sobą, Bill! - płakał Leflor. - Dam ci dziesięć tysięcy dolarów!

- Przenigdy; nawet za sto tysięcy.

- Będę twoim sługą! - wykrzyknął nagle Walker. - Przez całe życie... nie pozwól tylko, abym w tak nędzny... W kącie, w którym leżał oskalpowany Juanito, zadźwięczały nagle łaficuchy, a potem w kopalni rozległ się przeraźliwy, oszalały śmiech, przecinający przekleństwa i błagania.

Nawet Bill Newton zdrzął słysząc ten niesamowity śmiech.

Zgasił lampę i zaczął się szybko wspinać po drabinie.

- Tb była zemsta! - mrucał pod nosem. - 'Ib ja wygrałem tę grę!

Ja!

Pod nim leżała w ciemnościach Dolina Śmierci. Newton nic nie widział; udało mu się jednak po chwili odnaleźć ryse w ścianie, o której mówił Roulin.

393

Umocował linę do żelaznego haka i ostrożnie zaczął zjeżdżać dół.

- 'I~raz szybko; nawet gdyby skóra miała mi popękać na dłoniach!

Zjazd szedł mu lepiej, aniżeli sądził. Komin pełen był nierów-ności i występów, na których mógł od czasu do czasu postawić stopę.

Gdy dotarł w koficu na dół, nie czuł się nawet specjalnie zmę-czony; nie ucierpiały też jego ręce. Przez chwilę stał w szczelinie i nadśluchiwał. Nie doszedł go żaden podejrzany dźwięk czy szelest.

- Dokąd teraz? - zastanowił się. - Muszę iść na południe. Są tam z pewnością zwiadowcy Apaczów, ale chyba jakoś uda mi się ich minąć. A potem do Dos Palmas, do Juany Alvarez. Newton położył się na ziemi i zaczął czołgać wzdłuż skały. W pewnej chwili usłyszał cichy okrzyk. 'I~n sam okrzyk rozległ się natychmiast jako odpowiedź; w tym momencie przebiegło obok niego kilka ciemnych postaci.

Z oddali doszedł Newtona stukot wielu końskich kopyt.

- Strażnicy odeszli, a Mohawowie nadchodzą - mruknął pod nosem. - 'Ib dobra okazja, by stąd znikną~.

Zerwał się na równe nogi i pobiegł w stronę nadjeżdżających. Dotarłszy niemal do wyjścia z doliny, rzucił się ponownie na ziemię, kryjąc za najbliższą skałą. Omal nie wpadł w ręce Mohawów.

Kiedy ostatni Indianin zniknął z jego pola widzenia, Newton wstał, wbiegł do wąwozu prowadzącego na równinę i pognął przed siebie jak szalony.

Dotarłszy na równinę, zatrzymał się.

- Sacre bleu, udało się! Jestem uratowany. Mam pieniądze. Do diabła z wami, łotry! A także z tobą, przekłety Adlerhorst, bo to ty napuściłeś na mnie psy goficzne! Spotkamy się jeszcze, a wtedy się policzymy!

Sukces i porażka

Mohawowie okrążyli skałę pośrodku doliny i zatrzymali się przed domem. Zobaczywszy wierzchowce swoich wojowników, uznali że wszystko jest w porządku. Dziki Niedźwiedź zsiadł z konia i zapukał. Po pewnym czasie brama się otworzyła i wyszła z niej Anita.

- Dlaczego bramę otwiera córka bladych twarzy? - zapytał nieufnie.

- Jestem odzwierną.

- Gdzie jest pan tego domu?
- Je kolację.
- A wojownicy Mohawów?
- Jedzą razem z nim.

Wszystko to było prawdą; Old Firehand zaprosił Mohawów na posiłek, aby usunąć ich w ten sposób z dziedzina.

- Zaprowadź mnie do niego!

Anita zamknęła drzwi i poprowadziła wodza przez dziedziniec, a potem schodami do jednej z izb. Dziki Niedźwiedź rozejrzał się po niej w słabym świetle lampy i ściągnął ponuro brwi.

- Co mam tu robić?
- W tej izbie nasz pan zwykł przyjmować swych gości.
- Mam tu może czekać, aż przyjdzie? Nie jestem bladą twarzą i nie muszę znać waszych obyczajów. Pójdę do niego! - oświadczył

395 i odwrócił się, by wyjść z izby, ale zaskoczony tym, co ujrzał, cofnął się o krok. W otwartych drzwiach stał bowiem Winnetou. Dziewczyna wybiegła na korytarz.

- Gdzie są moi wojownicy? - zapytał po chwili, gdy otrząsnął się już z wrażenia na widok stojącego w północy, nieznanego mu Indianina.

- Są moimi gośćmi.
- Chcę rozmawiać z panem tego domu. Kim ty jesteś?
- ~ Ja teraz jestem panem tego domu. A nazywają mnie Winnetou. Mimo, iż wśród Indian nieokazywanie swoich uczuć jest sprawą honoru, zaskoczenie wodza po usłyszeniu tego słynnego imienia było tak wielkie, że prawie stracił swą zimną krew.

- Uff! - wykrzyknął, cofając się o krok. - Ty jeste~ wodzem Apaczów?

- Mój czerwony brat dobrze słyszał.
- Co robisz w tym domu, w Dolinie Śmierci?
- Winnetou przybył tu, aby powitać ciebie i twoich wojowników.

- A gdzie jest ten, którego my nazywamy Srebrnym Człowiekiem? Dlaczego nie przyszedł, aby nas powitać?

- Coś mu w tym przeszkodziło. Winnetou robi to w jego imieniu.

W zachowaniu Winnetou było coś, co kazało Mohawowi za-stanowić się nad słowami wodza Apaczów. Dziki Niedźwiedź zmar-szczyłczoło.

- Jesteś tu jako nasz przyjaciel czy wróg?
- `Ib zależy tylko od ciebie.
- Uff! Wódz Apaczów jest znany jako przyjaciel wszystkich czerwonych wojowników.
- I`dk, jestem przyjacielem wszystkich: Apaczów i Koman-czów, Marikopasów i Mohawów.
- Apacze, Komancze i Marikopasowi są wrogami Dzikiego

396

Niedźwiedzia. Jeśli jesteś ich przyjacielem, nie możesz być moim.

- Winnetou jest przyjacielem tego, kogo zechce. Wszyscy dobrzy ludzie są jego braćmi, bez względu na kolor skóry. Dlaczego jednak ty jesteś przyjacielem bladych twarzy, którzy są złymi ludźmi, wrogiem tych, którzy ci nic nie zrobili?

- Kto ci to powiedział?
- Winnetou wie wszystko. Srebrny Człowiek jest oszustem, mordercą i rabusiem. Ty zaś jesteś jego sprzymierzencem. Tb może sprowadzić na mego czerwonego brata nieszczęście. Wódz Mohawów chwycił za tomahawk.

- 'I~raz przyznałeś się, że jesteś moim wrogiem!
- Winnetou jest wrogiem tylko tych, którzy dali mu do tego powód. Żądam wolności dla twoich więźniów, ponieważ nie uczynili ci nic złego i są przyjaciółmi moich przyjaciół.
- Pozostaną moim więźniami tak długo, jak mi się spodoba.
- I'dk długo, jak to się spodoba Winnetou. Teraz ty sam jesteś moim jeficem.

- Nie, to ty jesteś moim!
Wypowiedziawszy te słowa Dzik Niedźwiedź zamachnął się tomahawkiem, ale Winnetou był na to przygotowany. Schwycił go za ramię, wywał tomahawk i rzucił przeciwnikiem o ścianę.

- Co?! Odważasz się podnieść broń na wodza Apaczów?! Chcesz zginąć?!

Dzik Niedźwiedź był odważnym wojownikiem. Szybko doszedł do siebie i zaatakował Apacza nożem. Jednakże Winnetou uderzył go tak potężnie w ramię, że Mohawowi nóż wypadł z ręki.

- Winnetou dwa razy rozbroił cię i potrzebował do tego tylko swojej ręki. Będziesz zgubiony, jeśli zaatakujesz jeszcze raz.

- Moi wojownicy zemstczą się krwawo za to, że się na mnie targnąłeś!

- Nie boję się ich!
- Czy policzyłeś; ilu ich jest?

397

- Winnetou nigdy nie liczy liczby swoich przeciwników. Ty zaś nie wiesz, ile jest tu moich wojowników. Ludzie, których wysłałeś przodem, są rozbrojeni.

- Kłamiesz!
- Winnetou nigdy nie kłamie. U jego boku znajdują się naj-słynniejsi myśliwi preerii. Sam ich zobaczysz.

Winnetou otworzył drzwi, z których wyszedł Old Firehand, a za nim Sam Hawkens, Dick i Wiil; na zewnątrz stali Apacze i Marikopa-sowie.

- Uff! - wykrzyknął zaskoczony wódz.
- Pojąłeś już, że to ty jesteś moim jeficem? - zapytał Winnetou.

Dzik Niedźwiedź wahał się przez chwilę z odpowiedzią.

-Dokąd zabrałeś moich wojowników, którzy pojechali przodem?

- zapytał w koficu.
- Są w tym budynku.
- A więc ich nie zabiłeś?
- Ani jednego.

~ Ale waczyliscie?

- Nie; oni poddali się dobrowolnie.

~ Są więc tchórzliwymi psami, których wypędzimy z naszego szczepu.

- Nie byli tchórzliwi, ale mądrzy. Pojęli, że opór byłby daremny; dlatego się poddali.

- Mogli się wycofać, zamiast poddawać się.
- Ucieczka była niemożliwa.

- Dla dzielnego i mądrego wojownika nie ma rzeczy nie-możliwych!

- Czy Dzik Niedźwiedź sądzi, że jest dzielnym wojownikiem?
- Wątpisz w to?
- Spróbuj więc stąd uciec.

- Zwabiłeś mnie tu w pułapkę. Zostałem otoczony przez Apaczów, Marikopasów i biade twarze. W jaki sposób mam uciec?

398

- 'Ib samo powiedzieli twoi ludzie. Przyjechali tu, a my ich otoczyliśmy. Byli tak samo mądrzy jak ty i zrezygnowali z walki.

- Mówisz bez zastanowienia. Czy wiesz, że znajdujesz się w moich rękach? 'I-n dom otoczony jest wojownikami Mohawów.

- Nie musimy się ich lękać; to oni powinni się nas obawiać.

Okружиłi co prawda ten dom, ale z kolei sami są otoczeni przez Apaczów i Marikopasów. Żaden z nich nie jest w stanie uciec.

- Nie wierzę.

- Winnetou dowiedzie ci tego - Apacz dał znak Samowi.

Po kilku chwilach Hawkens wrócił z dowódcą wziętych do niewoli Mohawów.

Wódz powitał go ponurym, pełnym pogardy spojrzeniem.

- Jesteś tchórzem!

Mohaw z trudem panował nad sobą.

- Daj mi nóż, weź do ręki swój i stańmy do walki! Wtedy udowodnię ci, że nie jestem tchórzem!

- Ib hańba oddać się w ręce wrogów, z którymi nawet nie się walczyło!

- 'Iwoje słowa są gorzkie. Gdyby chodziło tylko o mnie, to walczyłbym aż do śmierci. Ale nie mogłem ryzykować życiem tych, którzy zostali oddani pod moje dowództwo. T~raz ty jesteś tutaj; jeśli zyczysz sobie, abyśmy zginęli, będziemy walczyć. Howgh! Wojownik odwrócił się i oparł o ścianę, skrzyżowawszy z dumą ramiona. Dziki Niedźwiedź zrozumiał, że posunął się za daleko. Poszedł do przeciwległego rogu izby, przywołał do siebie Mohawa i cicho zaczął z nim rozmawiać. Początkowo ruchy rąk wodza były gniewne i nerwowe. Wraz z upływem czasu stawał się coraz spokojniejszy i słuchał opowieści swego podwładnego, nie przerywając mu. W końcu zamyślił się, a potem z wahaniem powrócił do Winnetou.

- Co wódz Apaczów ma zamiar uczynić?

- 'Ib zależy od twojej decyzji.

399

- Przed domem nadal czeka duża liczba moich wojowników.

- Niewiele ci oni pomogą.

~ Udowodnij to!

- Chodź ze mną - Winnetou zaprowadził wodza Mohawów na dach.

- Patrz, tam przy bramie stoją twoi ludzie. 'I-raz Winnetou pokaże ci swoich wojowników.

Było ciemno. Winnetou wyjął rewolwer i wystrzelił. Natychmiast rozległ się przeraźliwy okrzyk wojenny wydany z setek gardeł, a za chwilę Dziki Niedźwiedź zobaczył ciernne sylwetki jeźdźców otaczających półkolem jego wojowników. Mohawowie zostali całkowicie zaskoczeni. Nie sądzili, że spotkają się tutaj z wrogiem i początkowo myśleli, że to wysłana przez ich wodza forpoczta. Ale otaczających ich wojowników było zbyt wielu, a okrzyk wojenny stanowił pewną oznakę wrogości. Jeden z Mohawów, którzy nie chcieli podejmować żadnej decyzji bez swego wodza, podbiegł do bramy i zaczął się do niej dobijać.

- 'Iwoi ludzie wołają cię - powiedział Winnetou. - Co uczynisz?

- Wolimy raczej walczyć; aniżeli pójść bez oporu w niewolę.

- Kto ci powiedział, że Mohawowie mają być naszymi jeńcami?

- A czyż nim nie jestem?

- 'I-raz tak; ale jeśli posłuchasz rady Winnetou, będziesz wolny.

- A co stanie się z moimi ludźmi?

-l'dkże i oni będą wolni.

- Czego żadasz?

- Chcę, abyś oddał mi twoich jeficów, blade twarze i żebyś wypalił ;:

z Apaczami i Marikopasami fajkę pokoju.

- Co jeszcze?

- Nic więcej.

Wódz Mohawów zrozumiał, że jest całkowicie zdany na łaskę swoich przeciwników. Zwycięstwo jego wojowników znajdujących 400 się na zewnątrz było całkowicie wykluczone. Nie mogli też uciec, jako że wyjścia z doliny były z pewnością obsadzone prze~; ludzi Winnetou i Old Firehanda. Część wrogów mogła zginąć w walce, ale Mohawowie musieliby zginąć w niej do ostatniego człowieka. Indianie są przyzwyczajeni twardo traktować swych wrogów, jed-nakże warunki Winnetou były do przyjęcia. Poza tym zawarcie pokoju z Apaczami i Marikopasami też miało dobre strony. By być całkiem pewnym i nie wpaść w pułapkę, wódz Mohawów zapytał:

- Czy możesz potwierdzić swe słowa i wypalić ze mną fajkę przysięgi?

-l'ak.

- Czy wodzowie sprzymierzonych z tobą czerwonych wojowni-ków też się na to zgodzą?

- Zrobią to, co zechce Winnetou.

- Jestem więc gotów naradzić się z tobą i z nimi.

- Dziki Niedźwiedź jest nie tylko dzielnym, ale również i mą-drym wodzem. Postaraj się, aby twoi wojownicy zachowywali się spokojnie! Winnetou rozkaże swoim to samo.

Obaj wodzowie wydali z dachu rozkazy wojownikom, a potem z powrotem zeszli do izby, w której czekali na nich biali. Dziki Niedźwiedź podszedł do Mohawa, którego przedtem tak zbeształ.

- Mój brat postąpił mądrze. Niech zapomni o słowach, jakie przedtem wypowiedziałem.

- Nie mogę o nich zapomnieć, bo słyszeli je biali wojownicy - odparł ponuro Indianin. - Nazwałeś mnie tchórzem; zmasać to może tylko krew albo przeprosiny. Jeśli nie poprosisz mnie o wybaczenie, będę z tobą walczył, aż do chwili, gdy jeden z nas uda się do Krainy Wiecznych Łowów.

Było to twarde żądanie. Dziki Niedźwiedź zmarszczył brwi, po chwili jednak opanował się.

- Nie boję się walki, ale dlaczego miałbym cię jeszcze zabijać,

401 skoro cię przedtem obraziłem? Wybaczysz mi moje słowa, wiem bowiem, że.twoja ręka jest silna, a ty jesteś dzielny i nie boisz się żadnego wroga.

- Moje ucho nie pamięta już twoich słów. Nic do mnie nie powiedziałeś.

- Weźmiesz więc teraz udział w naszej naradzie! Przedtem jednak chcę zobaczyć moich wojowników i przekonać się, że są dobrze traktowani.

- Chodź ze mną; powinieneś ich powitać - powiedział Old Firehand.

Mohawowie siedzieli właśnie przy wieczornym posiłku. Kiedy zobaczyli wchodzącego wodza, wstali i spojrzeli na niego z niepo-kojem. Byli przekonani, że usłyszą od niego gniewne słowa.

- Moi bracia postąpili mądrze—odezwał się Dziki Niedźwiedź.

- Mohawowie zawrą przymierze z Apaczami i Marikopasami.

Narada rozpoczęła się zgodnie z przepisanyimi formami. Stojący i siedzący na korytarzach Indianie słyszeli głośne słowa mówców; kiedy w koficu poczuli ostry zapach tytoniu, każdy był przekonany, że pokój został przypieczętowany. Przypuszczenia te zostały natych-miast potwierdzone: z izby, w której odbywała się narada, wyszedł Old Firehand wrazwodzami Indian i wydał rozkaz, aby Mohawom oddano brofi.

W ten sposób honor tych, którzy poddali się bez oporu, został zachowany; wśród wszystkich obecnych zapanowała ogólna ra-dość, aczkolwiek jej okazywanie przebiegało inaczej w przypadku

białych, a inaczej u Indian. Czerwonoskórzy rozmawiali przyciszonymi głosami, wszystkie ich ruchy były spokojne i opanowane. Lśniły tylko ich oczy.

- Niech mój biały brat pójdzie teraz ze mną - powiedział Dzikie Niedźwiedź do Old Firehanda. - Chcę mu oddać naszych jeficów. Obaj mężczyźni wyszli przed bramę, gdzie obozowali Mohawowie.

Pojawienie się wodza wojownicy przyjęli z zadowoleniem.

402

- Niech moi bracia będą spokojni - zawołał wódz. - Znajdowaliście się w wielkim niebezpieczeństwie, gdy nie wiedząc o tym, zostaliście otoczeni przez przeważające siły wroga. Ci biali wojownicy przynieśli nam jednak pokój. 'Ib Biały Wódz, który doprowadził do zawarcia rozejmu między Mohawami, Marikopa-sami i Apaczami.

- Uff! Uff! - rozległo się wokół. Wszyscy zaczęli się cisnąć, aby znaleźć się w pobliżu człowieka, którego imię wymawiane było przy ogniskach z szacunkiem.

Old Firehand przecisnął się przez tłum do więźniów, którzy nie zrozumieli słów wodza wypowiedzianych w narzeczu Mohawe. Kiedy jednak rozpoznali wysoką postać Old Firehanda, Wilkins uniósł głowę z okrzykiem radości.

- Mister Firehand! Pan tutaj? Bogu niech będą dzięki! Nasze wybawienie jest więc blisko!

- 'Idk, sir, jesteście wolni.

- Nareszcie! Jak to się panu udało?

- Przy odrobinie sprytu, drogi panie, wszystko jest możliwe. Niech pan pójdzie ze mną.

- 'Ib nie takie proste, jak pan sądzi, jako że jestem związany.

Natychmiast jednak podbiegło doń kilku Indian, by zdjąć z niego więzy na rozkaz Dzikiego Niedźwiedzia. W tym czasie Old Firehand zatroszczył się o los Almy.

- Jak mam panu dziękować, sir? - powiedziała całkowicie wyczerpana. - Nie ma pan pojęcia, jak bardzo się baliśmy! - dodała opierając się o ramię Old Firehanda.

- Niech pan przede wszystkim opowie, co dzieje się w Dolinie Śmierci? - zapytał Wilkins.

- Wszystko w porządku, sir. Oczekuje tu na was kilka nie-spodzianek. Chodźcie ze mną!

Old Firehand dał już przedtem znak Samowi. 'Ib raz zaprowadził Wilkinsa i Almy do jednej z izb, w której siedział nikt inny, jak tylko 403 bratanek plantatora, Artur. Wepchnął Wilkinsów do środka, a sam wyszedł na korytarz.

Cała trójka stała przez kilkanaście sekund w milczeniu. W ostatnich czasach Artur wiele wycierpiał fizycznie i psychicznie. Nawet jego krewni mieli spore kłopoty, by go poznać. Ale także i plantator bardzo się postarzał. Jego włosy posiwiały, a twarz okolona była siwą brodą, która nadawała mu całkiem innego wyglądu. Za to Almy wcale się nie zinięła. W czasie, gdy Artur opuszczał Wilkinsfield, była jeszcze podlotkiem. Dzisiaj radość i cierpienia przydały jej rysom dojrzałości i kobiecości. Artur nie poznał swych krewnych; Sam Hawkens powiedział mu jedynie, że ktoś chce z nim porozmawiać.

- Sir? Miss? Pafistwo chcieli ze mną porozmawiać? - zapytał w końcu.

Plantator chciał rnu odpowiedzieć, ale gardło miał jak zasznurowane. Ten człowiek, którego wygląd wskazywał na przebyte straszne cierpienia miał być jego bratanek? Coś trudnego do określenia ciągnęło go do tego człowieka, Był niemal pewien, że to jego bratanek. Chciał mówić, unieść ramiona, ale w tym momencie nie był w stanie zrobić ani jednego, ani drugiego.

- Nic takiego nie żądaliśmy, sir - Almy potrząsnęła zdziwio-na głową. Artur zrobił krok do przodu.

- Ten głos! - zawołał. - Znam go przecież! Kim... kim pani jest?

Na miłość boską! Czy to ty, Almy?

- `Ihk.

- Stryju! - Artur rzucił się w objęcia plantatora.

~ Arturze! Arturze! - szeptał starzec. - Ió naprawdę ty? Mój Boże, mój Boże!

Almy wybuchnęła płaczem.

-A więc cię odnaleźliśmy! Wielki Boże, ile ty musiałeś wycier-pie~! 404

Wzruszenie Artura było tak wielkie, że musiał usiąść. Miał opo-wiedzieć swoją historię, ale nie byłw stanie. Słuchając słów Wilkinsa i Almy mógł tylko kiwać potakująco głową.

W tym momencie do izby wszedł Sam Hawkens.

- Jak widzę, drodzy pafistwo, wszystko jest w najlepszym po-rządku. Z całego serca życzę wam szczęścia.

- Jesteśmy panu i pafiskim przyjaciołom winni wdzięczność - odparł odmawiającym posłuszeństwa głosem Wilkins.

- Nie jest tak źle - uśmiechnął się Sam. - Porozmawiajmy o czymś innym! Dajmy nieco odpocząć mister Arturowi! Jest mu to bardzo potrzebne. Pan, mister Wilkins, może przy nim zostać, ale miss Almy zabiorę ze sobą. Chciałbym ją zapytać o radę, której nikt innym nie może mi dać.

Mały traper zaprowadził Almy przed jedne z drzwi.

-Spotka pani w tej izbiejednego ze starych Indian Mohawe, który chętnie porozmawiałby w cztery oczy z Leśną Gołębicą.

- Mohaw? Czego on chce ode mnie?

- Niech sam pani powie! Może chce się pani oświadczyć, hihihih!

Ku swemu zaskoczeniu, w izbie, zamiast Indianina, znalazła bia-łego; jego skóra była szarozółta, miał wychudzone policzki i głęboko zapadnięte oczy. Stała przed nim w milczeniu, patrząc nafi niemal przerażonym wzrokiem. Tó był Martin Adler. Rozpoznał Almy na-tychmiast, ale poczuł się w tym momencie tak samo, jak jej ojciec na widok swego bratanka: wzruszenie nie pozwoliło mu mówić. Jego oczy lśniły. Drżały mu tylko wargi, ale był w stanie wydobyć z siebie tylko niezrozumiały szept.

Nagle twarz Almy drgnęła.

- Martin! - wykrzyknęła. - Martin!

W tym samym jednak momencie przypomniała sobie, że nigdy przedtem nie zwracała się do niego po imieniu. Jej twarz oblała się purpurą.

405

- Mister Adler! Czy to może być prawda? Tb pan? Naprawdę?

Poczuł jak robi mu się słabo. Miał wrażenie, że ściany wokół niego zaczynają się kręcić w koło. Zachwiał się; były to skutki nadmier-nego wzruszenia.

Almy podbiegła i podtrzymała go.

- Byłam nieostrożna! Proszę mi wybaczyć! - wykrzyi~nęła.

- `Ib... to pani? -wyjąkał. - I nic się pani nie stało? I'dk bardzo się bałem, gdy powiedziano mi, że jest pani w niewoli u Indian.

- Ojciec i ja jesteśmy cali i zdrowi. Wiedzieliśmy, że nasi przyja-ciele nie zostawią nas na pastwie losu! Ale za to pan, mister Adler, wygląda na człowieka, który wiele wycierpiał!

- Tb było piekło!
- Ale już się skończyło! Zostaliśmy uratowani, wyzwoleni od wszelkiego cierpienia, a ja jestem szczęśliwa, że mogę być przy panu!
- Naprawdę? - wyszeptał.
- 'I~k - wyznała Almy wytrzymując odważnie jego badawcze spojrzenie.
- Miss Wilkins! Almy!
- Martin!
- Mój Boże, Almy, zawsze o tobie myślałam... szczególnie podczas tych miesięcy spędzonych pod ziemią... Jestem bardziej niż szczęśliwy... - Martin zamilkł i zaczął okrywać jej dłonie pocałunkami.
- Och, Martinie, mój kochany Martinie... to wszystko z mojej winy!
- 'Iiwojej winy?
- Wiesz o tym, ale twoja szlachetność nie pozwala ci tego przyznać. To moja wina, że tyle musiałeś wycierpieć!

- O czym ty mówisz?
- Wyjechałeś z Wilkinsfield, by odnaleźć Artura. Zrobiłbyś to, gdybyś... mnie nie kochał?

406

Martin chwycił ją w ramiona.

- Almy, moja Almy, tak bardzo cię kocham!
- A ja ciebie!
- Mnie, człowieka chorego? - zapytał nagle z głęboką powagą~
- Tym bardziej cię kocham! - odparła, a potem przyciągnęła do siebie i pocałowała.
- Kto to... co się stało? Almy? - rozległ się spod drzwi zdziwiony głos.

Był to Wilkins ze swoim bratankiem. Plantator zdawał się być bardzo zaskoczony widząc swą córkę w objęciach jakiegoś mężczyzny.

- Ojczel! - roześmiała się Almy. - Przyjrzyj mu się tylko! Nie poznajesz go?

Wilkins rzucił badawcze spojrzenie na Martina, który wstał z krzesła i wolno zbliżał się do niego.

- Czy go poznaję? Nie, ale przeczuwam, kto to jest. Mister Adler, czy to pan?
- 'Ihk, to on, drogi ojczel! - wykrzyknęła Almy.
- Pójdź w moje ramiona, chłopcze! Moje szczęście jest już całkowite. 'I'raz mogę przestać się już dręczyć!

- 'I~ go obejmujesz - przekomarzała się Almy - a mnie na to nie pozwalasz!

- Tbbie? Ależ skąd, moje dziecko. Jak mogę wam zabronić być szczęśliwymi? Co najwyżej, ktoś inny mógłby się temu sprzeciwić i powołać na swe dawne prawa, Almy - dodał spoglądając przy tym na Artura.

- Ależ skąd! Zapomnijmy o przeszłości. Almy wybrała już inaczej - oświadczył bratanek plantatora.

- I dobrze wybrała - uzupełnił wzruszony Wilkins.
- Jestem teraz biednym i chorym człowiekiem - przerwał mu Adler. 407
- Ja za to jestem bogatszy! - roześmiał się uszczęśliwiony Wilkins. - Co prawda, plantacja nie należy już do mnie. Jest własnością Artura, zakładając, że sąd rozstrzygnie sprawę na jego korzyść, w co nie wątpię. Ale przebywając nad Błękitną Wodą, dowiedziałem się od Apaczów o bogatym złożu srebra; zebrałem go na tyle, że mogę się teraz zaliczać do ludzi bogatych. Jak mi się wydaje, chyba trochę się kochacie, dzieci?

- Nieskoficzenie! - wykrzyknął Martin.
- I to już od dawna! - dodała Almy i oparła głowę o pierś Martina.
- Wobec tego moje szczęście jest tym większe. Wasza miłość wynagrodzi doznane cierpienia. Niech Bóg was błogosławi, dzieci. Uczyni waszą przyszłość tak radosną, jak pełną cierpienia była wasza przeszłość.

Do Old Firehanda podszedł jeden z Apaczów.

- Czy wielki, biały wojownik pozwoli, aby czerwony mąż coś mu powiedział?
- Co mój czerwony brat ma mi do przekazania?
- Pewien ptak wyśpiewał to do ucha czerwonego męża.
- Jaki ptak?
- Biała squaw, do pilnowania której zostałem wyznaczony.
- Czego ona chce?
- Bez przerwy wymieniała imię Białego Wodza. Może chce z nim rozmawiać.
- Zaprowadź mnie więc do niej.

Apacz odwrócił się i poprowadził Old Firehanda ' do izby, w której Miranda została zamknięta zaraz po przybyciu Apaczów. Dro-gę od brzegów Kolorado do Doliny Śmierci przebyła zachowując zewnętrzny spokój, aczkolwiek była związana i dokładnie pilnowa-na przez czerwonoskórych, z którymi nie mogła się porozumieć. Była to dotkliwe zaostrenie, ale Old Firehand zarządził je, jako karę za wciągnięcie Almy w pułapkę. Mirandzie nie powinno 408 powodzić się lepiej od Almy, przebywającej w niewoli u Mohawów. W Dolinie Śmierci zdjęto jej co prawda więzy, ale za to zamknięto w izbie, z której nie było mowy o ucieczce. Na dodatek, przed jej drzwiami, stał na straży jeden z Apaczów. Wszystko to absolutnie nie podobało się rozpieszczonej senioricie. Mijała godzina za go-dziną i żaden człowiek nie zatroszczył się o nią. Z hałasów dobie-gających zza drzwi wywnioskowała; że dzieją się rzeczy ważne, ale nadal nie pojawiał się nikt, by zaspokoić jej ciekawość. W koficu nie była dłużej w stanie hamować swej niecierpliwości i zaczęła wywoły-wać imię Old Firehanda.

Stojący na straży Apacz otworzył drzwi i kazał jej milczeć, ale ona go tylko wyśmiała. Imię Old Firehanda bez przerwy dobiegało zza zamkniętych drzwi. W końcu strażnik zaczął się zastanawiać. A jeśli ta biała squaw chce wyznać wielkiemu wojownikowi bladych twarzy coś ważnego? Pozostawił więc na straży swego towarzysza, a sam poszedł szukać trapera. Kiedy Old Firehand wszedł do celi Mirandy, został natychmiast powitany potokiem zarzutów.

- Czy to tak traktuje się damę?
- Old Firehand wzruszył ramionami z poważną miną.

- Jest pani w niegorszych warunkach, niż byli mister Wilkins i jego córka. Niech więc pani zamilknie!

- Nie będą milczała i żądam, aby mnie uwolniono!
- Przekażę pani swe żądania sędziemu.
- Nie mam zamiaru spotykać się z żadnym sędzią.
- Czy uważa mnie pani za dziecko, które można oszukać?

Miranda spróbowała więc osiągnąć swój cel w inny sposób. Położyła dłonie na piersi i rzucając błagalne spojrzenie, powiedzia-ła namiętnym głosem:

- Czy pan rzeczywi~cie może być tak okrutny wobec bezbronnej kobiety, mister Firehand? Proszę pana, nie, zaklinam na kolanach, aby się pan nade mną zlitował! Będę panu za to wdzięczna do kofica życia.

409

I Miranda naprawdę uklękała i usiłowała objąć go za kolana. Old Firehand cofnął się szybko o krok.

- Proszę wstać! Nie wskóra pani u mnie nic tą komedią.
'Ilafiła pani na niewłaściwego człowieka!

Miranda uniosła się powoli; na chwilę ogarnęło ją poczucie wstydu. Za moment już tupnęła nogą z wściekłością.

- Nie to nie! Po raz drugi z pewnością nie padnę przed panem na kolana! Nie jest pan tego wart, głupcze!

- I'ak już lepiej, seniorita. Bardziej mi się pani teraz podoba, przynajmniej ukazała pani teraz swe prawdziwe oblicze.

- Niech mi pan zrobi tę przysługę i uwolni mnie od swego towarzystwa!

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Nawiasem mówiąc, wcale nie musiała mnie wzywać, skoro tak mało pani na mnie zależy. Co rzekłszy, Old Firehand odwrócił się do niej plecami.

Miranda złapała go jeszcze na odchodnym za rękaw.

- Jeszcze nie, senior! Najpierw musi pan spełnić moją prośbę, właściwie drobiazg.

- Jaki?

- Urnieram tu z nudów, senior. Strażnik przed moimi drzwiami mówi tylko w swym indiaftskim narzeczu, z którego nie rozumiem ani słowa. Niech pan będzie przynajmniej tak miły i przyśle mi strażnika, który rozumie po angielsku lub hiszpańsku.

- Żeby pani mogła grać dalej swoją komedię? Przejrzałem panią! Ió co nie udało się pani ze mną, może się pani zdaniem udać z innym. Prawda?

Po drgnięciu twarzy Mirandy traper zorientował się, że trafił w sedno.

- Jest pan barbarzyńcą! - wykrzyknęła Miranda. - Powie-dziano mi, że pochodzi pan z Niemiec. Ió pasuje do pańskiego zachowania. Wszyscy Niemcy są barbarzyńcami, którzy nie wiedzą, jak prawdziwy caballero powinien się zachowywać wobec damy.

410

Old Firehand spokojnie patrzył się w rozwścieczone oczy ko-biety. Jego wzrok był przy tym tak twardy, że niebawem Miranda umilkła.

- Nazywa mnie pani barbarzyńcą, donia Miranda, i nawet obraża przy tym moją ojczyznę. Oświadczam pani, że każdy Nie-miec uważa kobietę niemal za świętość. Dla jej honoru jest w stanie nawet zaryzykować życiem. Ale i ona powinna przy tym zachowywać swą kobiecą godność. Diabolicę zaś, która stała się narzędziem w rękach podłych przestępców i zwabia innych w pułapkę, każdy Niemiec będzie traktował tak, jak na to zasługuje. Czy pani mnie zrozumiała? - nie czekając na odpowiedź, Old Firehand wyszedł z izby.

Przed domem płonęło wiele ognisk, wokół których obozowali Indianie. Marikopasowie, Mohawowie i Apacze palili tytoń i oma-wiali wydarzenia ostatnich dni. Wiele mówiono o Winnetou i Białym Wodzu.

W tym czasie Apacz wyszedł z budynku i z przewieszoną przez plecy Srebrną Rusznicą zniknął w ciemnościach nocy. 'I~kże i wśród białych nie było nikogo, kto by myślał o śnie. Uratowani i wybawcy siedzieli razem i bez końca zadawali sobie pytania i odpowiadali na nie. W ten sposób mijały godziny. Zgodzono się, że schwytanych przestępców należy dostarczyć do San Francisco i przekazać sądowi. Liść Koniczyny był oczywiście temu przeciwny i upierał się, aby natychmiast zostali osądzeni zgodnie z niepisany prawem Dzikiego Zachodu, zwanego dark and bloody grounds i opierającego się na zasadzie oko za oko, ząb za ząb, krew za krew.

Ale Old Firehand ostro sprzeciwił się tej propozycji.

- Nie mogę panu rozkazywać, mister, jeśli się nie mylę - powiedział Sam. - Niech pan więc robi, co chce! Ale ja pojedę do San Francisco i to tylko po to, aby przypilnować tych drabów. Mam nadzieję, że nie pojedę sam.

411

- O nie, Will i ja pojedziemy naturalnie razem z tobą - oświadczył Dick.

- Ja także - odezwał się Artur Wilkins. - Nawiasem mówiąc sędzę, że jeszcze raz będę musiał przyjechać z San Francisco do Doliny Śmierci. Władze sądowe będą naturalnie chciały zobaczyć to sympatyczne miejsce, a my, jako świadkowie, musimy przy tym być. Później jednak nigdy więcej nie pojawię się tutaj, w miejscu, w którym niewinni ludzie wycierpieli tak wiele.

Old Firehand przyznał mu rację. Potem wyszedł przed dom, by zobaczyć, co robią Indianie. Siedzieli ciągle razem, wygasili już jednak ogniska, jako że zbliżał się świt.

Old Firehand minął grupki Indian, a potem wolno poszedł jeszcze kawałek dalej. Skręcił za skałą i właśnie chciał zawrócić, gdy jego spojrzenie padło na ciemną linię prowadzącą ze szczytu skały na dno doliny. Zaciekawiony podszedł kilka kroków, by sprawdzić, co to jest.

Zobaczył szczelinę w skale, a w niej... linię! I to była podejrzana sprawa. Lina z pewnością nie wisiała tutaj od zawsze. Spuszczono ją w tylko w pewnym, konkretnym celu. Ale jakim? Old Firehand pochylił się i zbadał miejsce, w którym lina dotykała ziemi. Leżała tam warstewka piasku, a na nim widniały wyraźne ślady czyichś stóp. Kiedy się im przyjrzał dokładniej, doszedł do wniosku, że zostały pozostawione co najwyżej przed kilkoma godzinami. A więc w trakcie nocy ktoś zjechał po linie ze szczytu skały.

Szybko pobiegł z powrotem i nakazał kilkunastu Indianom, aby udali się pod skałę i pilnowali jej. Potem zwołał Liść Koniczyny i wraz nim wszedł przez zbiornik wody do wnętrza kopalni. Kiedy dotarli do ostatniej komory, usłyszeli głośne i gniewne okrzyki więźniów. Kiedy weszli do środka, Roulin wykrzyknął w najwyższym podnieceniu chrapliwym i pełnym wściekłości głosem:

- Nareszcie, nareszcie! Złapaliście go?

412

- Kogo?

- Do krocset! A więc udało mu się? Nic nie wiecie, co się stało?

- Co się stało? O kogo chodzi? - zapytał niecierpliwie Will, który stał jeszcze przy wejściu do komory i nie mógł zobaczyć, iż brakuje jednego z więźniów. Old Firehand natomiast wcześniej zauważył leżące na ziemi łańcuchy.

- A to łotr! - wykrzyknął. - Bill Newton uciekł! Jak to było możliwe? Walker roześmiał się szyderczo.

- Dajcie nam klucz, który pasuje do tych kajdanek, a my też uciekniemy!

- On miał klucz? I to niemożliwe!

- Psahw! Możecie sobie myśleć, co chcecie!

- Ile czasu minęło od jego ucieczki? - zapytał Old Firehand.

- Wiele godzin! - zachrypiała starucha.

- I wy o tym wiedzieliście?

- Przecież nam o tym powiedział! - uśmiechnął się ironicznie Walker i dodał: - Czy sądzicie może, iż naszym najwyższym obowiązkiem było powiadomienie was o jego planach? Chętnie by-śmy to zrobili, do diabła, nawet bardzo chętnie! Ale ponieważ byliście tak łaskawi i zakuliście nas tu w kajdany, nie byliśmy, niestety, w stanie was o tym powiadomić.

- Słuchaj drabie! - ofuknął go Sam groźnym tonem. - Bądź łaskaw posługiwać się nieco bardziej uprzejmym językiem, w przeciwnym razie wezmę łąso i przetrzepię ci nim plecy, jeśli się nie mylę!

Zaskoczony początkowo odkryciem Old Firehand błyskawicznie odzyskał zimną krew.

- Jeśli Newton miał klucz - zwrócił się do Roulina - to dlaczego nie uwolnił także i was?

- Z zemsty. 'I~n łotr wiedział, że go nie lubimy. 'I~raz uciekł, na dodatek z moimi pieniędzmi! - wyrwało się Roulinowi.

413

- Ach, a więc miał pan jeszcze pieniądze?

-lb nie pana sprawa!

- Wręcz przeciwnie, nawet bardzo! Jeśli zostawił was tu tak haniebnie, mimo iż mógł was uratować, to musiałyby was ucie-szyć, gdybym go schwytał i sprowadził tutaj z powrotem.

- Do wszystkich diabłów! Ma pan rację!

- A więc opowiedzenie mi wszystkiego leży w waszym własnym interesie. Będę mógł wtedy podjąć odpowiednie kroki. Mimo to Roulin nie odpowiedział od razu, tylko zapytał po chwili zastanowienia:

- Co pan o tym sądzi, mister Walker?

- Radzę, aby mu wszystko opowiedzieć - odparł zapytany. - Ci seniores nie zasłużyli co prawda na to, ale bardzo bym się ucieszył, gdyby schwyтали Newtona.

- Jestem tego samego zdania. Pieniędzy już nie mam, a więc nie zależy mi na ukrywaniu prawdy.

I Roulin opowiedział, w jaki sposób Billowi Newtonowi udało się uciec, a na dodatek wejść w posiadanie znacznej sumy pieniędzy. Po wysłuchaniu tej opowieści Old Firehand wszedł po drabinie na górę, aby się przekonać, czy Roulin powiedział mu prawdę. Sprawdziwszy wiarygodność jego słów, zwinął łąnę, aby zanieść ją w bezpieczne miejsce i wrócił z powrotem na dół.

-Czy wiecie, dokąd mógł uciec Bill Newton? -zapytał więźniów.

- Myślę, że tak - odparł Leflor. - Był tak głupi, że zapytał nas o drogę. W każdym razie z pewnością udał się do Dos Palmas, do gospody Juany Alvarez, matki Juanita. Chce u niej zdobyć dla siebie inne ubranie.

-'Tb dobrze! -stwierdził krótko traper. - Dick Stone niech zostanie z tymi ludźmi, aż każę go zmienić! Od tej pory straż ma pełnić tutaj dwóch Indian. A my naprzód! Na dziedzińcu Old Firehand wydał konieczne rozkazy i za pięć minut odjechał już galopem wraz z Winnetou.

414

Znalezienie gospody nie było dla niego problemem. Tb właśnie jej gospodyni dziękowała mu tak gorąco za uratowanie obu synów. Mimo to nie oczekiwał, że zostanie przez nią powitany z radością, gdyż przypuszczał, że Bill Newton opowiedział jej, że Juanito został przez niego uwięziony.

Nieoczekiwanie okazało się, że Bill nie powiedział na ten temat ani słowa. Gospodyni bardzo przyjaźnie powitała Old Firehanda, którego natychmiast rozpoznała. 'Ii~aper dowiedział się od niej, że poszukiwany przez niego człowiek był tutaj i kupił od niej stare ubranie. Przypadkowo usłyszała również, że miał odjechać poran-nym pociągiem do San Francisco.

Old Firehand bez zwłoki poszedł na stację, by dowiedzieć się, jak było naprawdę. Dokładnie opisał ubranie, jakie kupił Bill i niebawem uzyskał informację, że dokładnie tak samo ubrany mężczyzna wykupił bilet do San Francisco. 'Ii~aper natychmiast wysłał telegram. Do odjazdu następnego

pociągu jadącego w tym samym kierunku była jeszcze godzina. Old Firehand był zdecydowany, by nim pojechać i omówił z Winnetou konieczne kroki. Wszyscy, którzy przebywali w Dolinie Śmierci, mieli w niej pozostać. Jutro lub pojutrze pojawi się w niej urzędnik sądowy, by przeprowadzić śledztwo; wraz z nim powróci Old Firehand, jeśli to oczywiście będzie możliwe. Winnetou wyjechał więc z Dos Palmas, prowadząc konia trapera za uzdę. Sam Old Firehand odjechał godzinę później pociągiem, marząc, by jego polowanie zakończyło się sukcesem. W przedziale siedziało tylko kilku podróżnych. Zgodnie z amerykańskimi obyczajami, żaden z nich nie zajmował się pozostałymi. Mijały godziny; pociąg zatrzymywał się tylko na większych stacjach. Późnym popołudniem Old Firehand dotarł do 'Iilare. 'Ii także pociąg zatrzymał się tylko na krótko. W pewnej chwili z peronu dobiegł go głośny okrzyk:

- Czy w tym pociągu znajduje się senior Winter?

- 'Iiitaj! - odkrzyknął traper.

415

tY',.

Mężczyzna miał na sobie cywilne ubranie, ale szeptem przedstawił się jako policjant.

- Jakwynika z pańskiego telegramu, szuka pan niejakiego Billa Newtona - powiedział policjant. - Już go mamy.

- Gdzie?

- W tutejszym areszcie. Może go pan zaraz ze sobą zabrać.

Zasłużyli~my na nagrodę, jaką pan wyznaczył.

- A więc idę z panem, senior - oświadczył Old Firehand.

Bardzo się cieszył na myśl, że zaraz zobaczy Billa Newtona; nie-stety, za chwilę musiał przeżywać duże rozczarowanie. Znalazł bowiem jedynie tylko ubranie, jakie Bill kupił w Dos Palmas. Za to mężczyzna, który je miał na sobie, był człowiekiem absolutnie obcym. Spotkał Newtona w pociągu i dał się przekonać chytremu lisowi, aby za dobrą opłatą zamienić się z nim ubraniami. Mężczyzna miał na sobie strój kowboja, który szalenie spodobał się Newtonowi. W efekcie, zamiast Billa, aresztowano w 'Iilare nieco ogarnionego na umyśle kowboja.

Naturalnie Old Firehand ponownie zatelegrafował w obu kierunkach i następnym pociągiem pojechał do San Francisco. Ale także i w tym mieście traper przeżył rozczarowanie: Bill Newton zniknął w zamęcie portowego miasta. Niestety; ani pomoc policji ani wypróbowana pomysliwość Old Firehanda nie przyniosły efektu - przestępca i tym razem uniknął karzącej ręki sprawiedliwości.

Koniec

□